R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES PICTA .COM

SZKICE HISTORYCZNE

STANISŁAW SMOLKA.

SZKICE

HISTORYCZNE.

SERYA PIERWSZA.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
KRAKÓW. G. GEBETHNER I SPÓŁKA.
1882.

93(438)3 : 93(438)4 : 93(438)5

KRAKÓW. — Z DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PAMIĘCI

KAROLA SZAJNOCHY.

Przedmowa.

Szajnocha utworzył w naszéj literaturze szkice historyczne, w jego ślady wstępowali inni, i tak wyrobił się odrębny niejako rodzaj historycznéj literatury, z właściwemi sobie cechami. Jest to — jeśli się tak wyrazić wolno — coś pośredniego pomiędzy angielskiemi *essays* a rozprawami monograficznemi o ściśle naukowym zakroju. Zawsze bowiem szkice historyczne służyły u nas podwójnemu celowi, a każdy z nich ma wszelkie warunki żywotności. Zmierzano w nich do opracowania szczegółów naszéj historyi, do zbierania cegiełek, które kiedyś mają się złożyć na większą budowę. Zarazem jednak zwracano w nich baczną uwagę na formę, która im ułatwiała przystęp do szerszéj publiczności, i na tem właśnie polega społeczne znaczenie tego rodzaju literatury historycznéj. Było to głównie zasługą pióra Szajnochy, że umiał zająć szersze koła opracowaniem szczegółów, ale i to pewna, że również w szczęśliwym wyborze przedmiotu była druga przyczyna, dlaczego szkice historyczne, nietylko Szajnochy, ale i innych autorów, doczekały się takiego rozpowszechnienia. Przedmiot ich bowiem, jakkolwiek z natury rzeczy monograficzny, dotyka zwykle takich wydarzeń dziejowych, których poznanie pobudza czytelnika do rozmyślań nad różnemi

ważniejszemi zagadnieniami z zakresu naszéj historyi i toruje przez to drogę ustaleniu trzeźwego sądu o przeszłości narodu. Tak i historyk z zawodu liczy się z szkicami historycznemi, traktując je jako drobne monograficzne opracowania szczegółów, i czytelnik, nie należący do „cechu historycznego“ bierze je chętnie do ręki, nie odstraszony ich rozmiarem, przynęcony formą przystępną, w nadziei, że w nich znajdzie rozrywkę i korzyść zarazem.

Temi względami się kierowałem, składając z rozmaitych prac swoich, najnowszych i dawniejszych, ten nowy zbiór szkiców historycznych. Kiedy ta pierwsza serya dojdzie do rąk czytelnika, druga już będzie pod prasą, a jeśli pierwsze nie będą źle przyjęte, niebawem, da Bóg, złoży się może i trzecia.

Jeśli szkice Szajnochy nazwałem pierwowzorem szkiców historycznych w naszéj literaturze, uczyniłem to dla stwierdzenia faktu literackiego, któremu, zdaje mi się, nikt nie zaprzeczy. Spodziewam się że nikt mię z tego powodu nie posądzi o jakąś niewłaściwą pretensyą, jeśli nazwisko Szajnochy znajdzie na pierwszéj karcie téj książki. Ani o dorównaniu Szajnosze, ani nawet o naśladowaniu jego właściwości nie można dziś myśleć, jak to każdy przyzna, kto się zastanowi nad naszym ruchem dziejopisarskim w ostatnich kilkunastu latach. Jeśli jednak poważam się pamięci Szajnochy tę książkę poświęcić, niech to będzie wyrazem hołdu i czci dla autora tych prześlicznych „Szkiców historycznych“, które u nas w najszerszych kołach obudziły tyle żywego udziału w obec wszystkiego, co ma związek z dziejami narodu.

W Krakowie, dnia 26. Listopada 1881.

NIEPOPRAWNY RÓD.

Było to w pierwszych dniach Listopada 1037 roku. W kościele św. Jerzego w Pradze wystawione były zaledwie zastygłe zwłoki księcia Oldrzycha. Lud garnął się tłumnie do wrót kościoła, aby ujrzeć zamknięte na zawsze powieki, z pod których jeszcze niedawno pioruny gniewu błyskały, strącając w bezdeń nicości najpotężniejszych panów w narodzie, aby się naocznie przekonać, czy już nie poruszą się te usta wszechwładne, czy z nich już nigdy nie wyjdą słowa, którym jeszcze wczoraj nikt nie śmiał stawić oporu. W tem jak gdyby iskra elektryczna przebiegła tłum, oblegający drzwi kościelne, wszystkich oczy odwróciły się od świateł, z wnętrza bijących, wszyscy wytężyli wzrok ku rydwanowi, który do kościoła się zbliżał. Któż to wysiada z niego? Jakiś starzec, jakby z grobowej wydobyty cieśni, jak mara, której w świetle dziennem nie zdarzy się oglądać. To książę Jaromir, brat zmarłego monarchy. Z opowiadania tylko znali go młodsi, kto jednak przed ćwiercią wieku wyrósł z lat dziecinnych, pamiętał dobrze, że to wówczas ręka tego nędzarza dzierżyła berło, które wczoraj z skostniałéj dłoni Oldrzycha wypadło. Ale mało kto poznałby go teraz, bo odkąd go po raz ostatni na tronie widziano, nikt przez wszystkie te lata nie oglądał Jaromira, bo niczyj wzrok nie dotarł do ciemnicy więziennej w warownym gro-

dzie na Łyséj Górze, gdzie nieszczęśliwy ten książę wszystkie te lata przepędził, i zaprawdę dziś jakby pozagrobowe zjawisko wyszedł z lochów więziennych. A on nikogo nie mógł poznać, choć w otaczającym go tłumie niejeden był przed laty wiernym mu służebnikiem i codzień się o jego majestat ocierał, on nikogo nie poznał, bo już od ćwierć wieku światła dziennego nie oglądał, ze stopni tronu oddany w ręce oprawców, którzy mu rozżarzoném żelazem wypalili źrenice. Wprowadzili do kościoła ślepego starca, przed zwłoki brata, który tych wszystkich jego nieszczęść był sprawcą. Cisza grobowa zapanowała pod sklepieniami kościoła, kiedy z tych ust, niegdyś do rozkazu przywykłych, a od lat tylu na jęki tylko skazanych, ozwał się głos żałosny: „Martwy leżysz bracie, nie masz już uciechy z złudnych blasków panowania. Wczoraj książę potężny, dziś trup bezwładny, jutro pastwą robakom, z czasem popiołem i bajką potomnym wiekom. Oślepiłeś mnie, nie byłeś mi dobrym bratem. Dziś chciałbyś, żeby to się nie stało, coś mi uczynił, wiem, że oddałbyś mi oczy, gdyby to w mocy twéj było, bo twoje, choć całe, na nic ci się nie zdadzą. Ale ja ci bracie z całego serca odpuszczam, niech Bóg wszechmocny zmiłuje się nad tobą, pokój twéj duszy!“

Załzawiły się oczy obecnych, choć do tkliwości nieskore i niejedna łza spłynęła w czasie mszy żałobnéj, w któréj ślepy starzec, złamany żywotem w kaźni więziennéj, zanosił modły do Boga za sprawcę swojéj niedoli. A kto będzie księciem, kto nam teraz będzie panował, ten ślepy nędzarz czy młody a wsławiony już syn Oldrzychów Brzebysław? wszystkim ta myśl snuła się po głowie wśród modlitwy żałobnéj.

Skończyła się wreszcie msza, zwłoki zmarłego księcia spuszczono do podziemiów kościelnych, a Jaromir z Brzetysławem i co było panów przedniejszych w kościele, wszyscy

podążyli na zamek. A tłumy ludu z wrzawą potoczyły się za tym orszakiem i zaległy dziedziniec zamkowy, ciekawie spoglądając ku oknom wielkiej sali, w któréj stał osierocony tron książęcy. Nagle tysiące okrzyków rozległo się wśród dziedzińca, tysiące rąk w górę się wzniosło i zgiełk powstał, jakiego od dawna nie pamiętano, bo oto z okien wielkiéj sali posypał się deszcz pieniążków, których skarbnicy książęcy po starym zwyczaju dziesięć tysięcy rozrzucili między zebrane tłumy. Znak to, że już nowy książę zasiadł na tronie ojców.

Tam zaś na górze, młody Brzetysław siedział na tronie, a Jaromir przy nim stojąc, trzymając w swojéj dłoni jego prawicę, wołał do zgromadzonych: „oto wasz książę.“ I po trzykroć rozległ się okrzyk: Kirlessu — Kyrie elejson. A ślepy starzec mówił daléj: „Przystąpcie wy z rodu Municów i wy z pokolenia Tepty“, i tak pokoleniami i po imieniu zwoływał wszystkich, którzy znaczniejsi byli w narodzie. „Nie mnie już panować nad wami“ — rzekł do nich, — „jego więc ustanawiam księciem, słuchajcie go i bądźcie mu wierni“. Do Brzetysława zaś odezwał się daléj: „A ciebie synu upominam, czcij ich jak ojców, jak braci ich miłuj i we wszystkiem idź za ich radą. Ich pieczy zamki powierzaj i przez nich rządź narodem, bo na nich zawsze stało państwo czeskie i stoi dziś i na wieki stać będzie. Ale strzeż się tych, którzy są z rodu Werszowców, bo to są złych ojców niegodziwi synowie, naszego rodu wrogowie odwieczni, nieprzyjaciele nasi z dziada i pradziada, unikaj wszelakich z nimi związków, bo oni nam nigdy nie byli wierni. Jam był ich księciem i nic im nie zawiniłem, a oni mnie związali i okaleczyli sromotnie; minęły potem lata i znów ich złość w rodzie naszym bratnią niezgodę zasiała, bo za ich zdradziecką namową twój ojciec mi oczy wyłupił. Pomnij synu proroctwo św. Wojciecha, który za okru-

tne zbrodnie tego rodu, wyklął ich w kościele i trzykrotną rzeź im przepowiedział. Już po dwakroć spełniła się nad nimi pomsta boża, a oni nieustannie nad tém pracują, żeby sobie na nią po raz trzeci zasłużyć".

Słyszeli to Werszowce, obecni w sali zamkowéj, i „sapali ze złości, a jak lwy zębami zgrzytali" mówi stara kronika czeska. I niedługo czekał Jaromir na słów tych zapłatę, nie dane mu było w pokoju dokonać bolesnego żywota, bo nie minął rok cały, a stary Kochan, głowa rodu Werszowców, najął mordercę, który zakradłszy się w nocy, zarznął sromotnie ślepego księcia [1]).

Starzec to już także był wówczas ten Kochan, Jaromira rówieśnik, a przecież wiek sędziwy nie stłumił w nim wściekłéj zawziętości, którą przez cały swój długi żywot pałał ku temu nieszczęśliwemu księciu. Czterdzieści bowiem lat blisko upływało, jak po raz pierwszy Werszowce targnęli się na Jaromira, a i wtedy już Kochan przeważny głos miał w swym rodzie. Panował wówczas w czeskiéj ziemi Bolesław, Jaromira i Oldrzycha brat najstarszy, pod którego zwierzchnictwem młodsi bracia dzierżyli wyznaczone sobie dzielnice książęce. Na dworze Bolesława niemało znaczyli Werszowce, wzbili się wysokich dostojeństw i wpływem swoim usidłali słabego a złym skłonnościom z natury uległego księcia. Za ich to podobno podszeptem, powziął Bolesław nieufność do braci i tém bardziéj się ich obawiał, im więcéj serca narodu, zrażone wybrykami jego srogości, odwracać się od niego poczęły. Bazyliszkiem bowiem jadowitym zwie go pisarz współczesny i słów znaleść nie może na odmalowanie ucisku, jakiego naród czeski doznawał pod jego żelazném panowaniem [2]). Postanowił więc Bolesław pozbyć się obydwóch braci. Na Oldrzycha nasłał morderców, którzy go w łaźni mieli udusić, ale nie udał się zamach, młody książę umknął oprawcom i w niemieckie schronił się

kraje. Jaromira podjęli się sprzątnąć Werszowce. Kochan z braćmi swoimi i krewniakami zwabili go na łowy i zawlekli w ustroń leśną na górze welickiéj. Nie dość im było zgładzić swoją ofiarę, skoro ją mieli w swéj mocy, złość ich zdobyła się na wyuzdaną zbrodnię, „o jakiéj wieki poprzednie nie słyszały“, mówi stara kronika czeska. Związali go jak bydlę, skrępowali powrozami, a okaleczywszy sromotnie, napastwiwszy się do syta, stratowawszy nieszczęśliwego księcia kopytami końskiemi, porzucili na wpół żywego wśród puszczy leśnéj, żeby tam w mękach najokropniejszych ducha wyzionął. Znalazł się jednak poczciwy sługa okrutników, który pokryjomu przyjaciół Jaromira przywiódł na miejsce zbrodni, kiedy jeszcze czas go było ocalić [3]). Ale sromotne kalectwo pozostało mu na całe życie piętnem haniebném, które nierozwianą nigdy chmurą zasępiło na zawsze dni jego pogodę, choć go los późniéj wyniósł na tron ojców w praskiéj stolicy. Wtedy zaś ród Kochana w obawie pomsty, uzbroił przeciw kalece dłoń drugiego brata, a ten go z tronu zrzucił, oczy mu wyłupił i do ciemnicy go wtrącił, w któréj aż do dnia pogrzebu Oldrzycha jęczała nieszczęsna ofiara Werszowców [4]).

Któż to byli ci Werszowce, ten „ród przeklęty“, to „złe pokolenie“ ci „nieprzejednani wrogowie dziedziczni książęcéj rodziny“, jak ich przydomkami tymi tylekroć najstarsza kronika czeska nazywa, to „plemię zawistne“, które wszędzie zapach krwi szerzy dokoła, ilekroć się pojawi na kartach dziejów pierwotnych czeskiego narodu. To znamienity ród w najstarszéj arystokracyi czeskiéj, najznaczniejsi między potomkami owych książąt plemiennych, którzy w przeddziejowéj, mgłą niedocieczoną pokrytéj dobie w ziemi czeskiéj panowali. Czternaście czy też więcéj odrębnych plemion zamieszkiwało w owéj dobie obszar kotliny czeskiéj, Deczanie, Bieliny, Dudleby, Horwaty, Łuczanie, Lutomie-

rzyce, Miezy, Netolice, Popielowce, Pszowanie, Lemuzy, Siedlice, Stadice, w samym zaś środku kotliny, nad brzegami Wełtawy rozciągały się posady plemienia Czechów. Jedna mowa, jeden obyczaj, jedna wiara panowała u tych wszystkich plemion, tym samym bogom składało każde ofiarę w świętych gajach i uroczyskach, ale nad każdem władali udzielni książęta i żaden ich związek nie łączył, chyba w razie jakiego napadu nieprzyjacielskiego chwilowa potrzeba skojarzyła plemiennych książąt ku wspólnéj obronie zagrożonych siedzib. Tak było w téj prastaréj epoce na wpół sennego bytu, kiedy w całéj Słowiańszczyznie takie samo panowało rozbicie, kiedy nielicznym nawet, ale siłą większéj spójni i lepszéj organizacyi wyposażonym najezdcom łatwo było nad rozbitemi plemionami słowiańskiemi jarzmo ucisku rozciągać. Tak było w owych czasach, kiedy Karol Wielki zakładał wschodnią marchią nad Dunajem, ku obronie swojéj monarchii, w niedalekiém tych plemion sąsiedztwie, i jeszcze w pokoju je pozostawiał, poprzestając na trybucie i przyrzeczeniu uległości; tak jeszcze i za wnuków Karola, kiedy u współplemiennych Morawian pod naciskiem niebezpieczeństwa i podbojów niemieckich dawne rozbicie ustało, a w jego miejscu wzniosło się w walce z Niemcami potężne państwo słowiańskie. A nawet kiedy władcy morawscy, Mojmir, Rościsław, Świętopełk, rozpościerając naokół zabory swoje w Słowiańszczyźnie, wraz z pierwszym posiewem chrześcijaństwa narzucili zwierzchnictwo swoje sąsiadom w czeskiéj kotlinie, i wtedy jeszcze nie przyszło do ściślejszego połączenia tych plemion a skończyło się tylko na shołdowaniu każdego plemiennego księcia z osobna. Ale w chwili konania morawskiego państwa pod obuchem podwójnym niemieckich udręczeń i zagonów dzikiéj hordy madiarskiéj, w końcu IX. czy w pierwszych latach X. stólecia, i w czeskiéj kotlinie zmieniła się postać rzeczy. Nad ple-

mieniem Czechów, których nazwa odtąd dostała się całéj téj krainie, panowali wówczas dwaj bracia, Spityhniew i Wratysław, synowie Borzywoja, potomkowie mitycznego Przemysła, protoplasty książęcego rodu, który od wieków rządził czeskiem plemieniem. Tym to Przemysłowicom dane było spełnić wobec sąsiednich plemion to szczytne posłannictwo, którém Mojmir i Rościsław w poprzedniém pokoleniu zajaśnieli w dziejach Słowian morawskich. Podbojem wszystkich okolicznych plemion położyli kamień węgielny pod budowę czeskiéj monarchii, wydobyli je z nicości i z uśpienia, w którém dotychczas drzemały, zbudzili do życia dziejowego i spoili w całość jednolitą ku obronie odwiecznych siedzib, życia i dobytku, rodzimego języka i obyczaju przeciw zaborczym zachciankom niemieckich sąsiadów[6]). Był to podbój, był gwałt, nie obeszło się bez krwi rozlewu, któréj niemało musiało się wytoczyć, zanim inni książęta plemienni, niedawno równi Przemysłowicom, ugięli się pod ich panowaniem. Niejeden z tych rodów książęcych jeśli bronił się do ostatka, wyginął może ze szczętem; potulniejsi pogodzili się z losem, a za to otrzymali od nowych panów jakąć część posiadłości dziedzicznych, w których mogli żyć spokojnie jako najznamienitsi z poddanych monarchy[6]). Rozgałęziały się ich rody w następnych pokoleniach, rozdrabniały działami posiadłości ich potomków, z których złożył się zawiązek najprzedniejszéj w narodzie warstwy, bogactwem i pochodzeniem znacznéj, bo nie tak rychło wygasła o tém pamięć, że w ich żyłach płynęła krew dawnych władców plemiennych, jakoż nie przestawał ich lud władykami nazywać. Którzy stłumili w sercu zawiść ku Przemysłowicom i garnęli się do majestatu nowych monarchów, mogli w ich służbie dojść do wysokich dostojeństw i zwiększyć fortunę dziedziczną donacyami z łaski książęcéj; nieprzejednanym, jeśli odsuwali się od dworu, przyszło zmar-

nieć z czasem, gdy w dalszych pokoleniach ród się rozmnożył i na każdego potomka dawnych książąt plemiennych mały tylko przypadł skrawek dziedzicznych bogactw.

Ciężkie jednak zadanie mieli pierwsi monarchowie z tymi potomkami udzielnych władców, i zanim ich okiełznać zdołali, miecz książęcy nieraz musiał się srożyć nad ich głowami. Najwięcéj przytarł im rogów Bolesław Okrutny, czwarty z rzędu monarcha czeski z rodu Przemysłowiców. Stąd to jego przydomek, stąd też mówi o nim stary latopis, że to był „tyran okrutniejszy od Heroda, wściekleiszy niżli Neron, w okropnościach zbrodni bardziéj od Decyusza rozpasany, od Dyoklecyana sroższy“. I opowiada o nim baśń starą, w któréj fantazya ludowa pod postacią jednego zdarzenia złożyła tradycyą długich i krwawych, a w końcu zwycięskich zapasów książęcego rodu z krnąbrnymi władykami. Oto zachciało się Bolesławowi zbudować gród potężny, wysokim murem na rzymski sposób obwiedziony dokoła. Zwołał więc władyków nad brzeg Łaby i rozkazał im ten mur budować własnemi rękoma. A oni wzbraniali się i odrzekli: „Myśmy czołem narodu, w naszych rękach dostojeństw berła, nie usłuchamy ciebie, bo my nie do takiéj roboty i ojcowie nasi tego nie robili. Jak stoimy przed tobą, raczéj pod miecz kark oddamy, niż pod jarzmo takiéj niewoli“. Wtedy zaciekł się srogi książę, zabłysnął mieczem i wrzasnął: „Pokaże się, co wam milsze, ostrze miecza, czy brzemię tego jarzma!“ I dziwna rzecz była a godna widzenia, bo gdyby był tysiącem rąk uzbrojonych zamierzył się na nich, nie mógłby większy postrach paść na całą rzeszę. Gdy tak książę ujrzał ich wylękłe, zbladłe oblicza, chwycił za kędziory jednego, który między starszymi był najdostojniejszy, i ściął mu głowę jak makówkę. A wszyscy, jak stali, grozą przejęci, upadli mu do kolan i ze łzami błagali go o łaskę. „Daruj nam już panie“,

wołali, „już zawsze będziemy słuchać twoich rozkazów, zrobimy już co zechcesz, tylko nie sroż się tak nad nami“. I zaraz kończy kronika, porwali się do roboty i zbudowali na rzymski sposób gród mocny o wysokim murze, tak jak go dzisiaj widać, a od imienia księcia przezwano go Bolesławiem. [7])

Jak w tém starém podaniu, na brzegu Łaby, zbroczonym krwią nieposłusznego władyki, stanęły potężne, obcym, bo jak mówi podanie, rzymskim sposobem wzniesione mury Bolesławowego grodu, tak w istocie urósł w ciągu X. stólecia gmach silnéj jak te mury a obcéj staremu obyczajowi Słowian władzy książęcéj, dzieło srogiego poskromiciela znamienitych rodów, które od dawnych władców plemiennych wywodziły swe pochodzenie. I tylko ta groza, którą srogość książęca rozpościerała dokoła, zdolna była utrzymać urok i siłę téj władzy, zapewnić posłuszeństwo jéj rozkazom i skupić siły państwa, z takim trudem zbudowanego, ku rozrostowi i obronie przeciw zawistnym sąsiadom. Nie próżno też jeszcze prawnuk Bolesława Brzetysław, obwołując walną wyprawę do Polski, po całym kraju rozesłał stryczek z groźbą, że każdego czeka niechybna śmierć na szubienicy, kto ze zdolnych do broni nie stawi się na wyprawę w oznaczonym czasie [8]). Jakoż dość przerzucić pobieżnie pełną malowniczych epizodów kronikę Kozmasa, a na każdéj niemal karcie, nietylko w dawnych podaniach, ale i w opisie współczesnych autorowi wypadków z końca XI. i z początku następnego stólecia, spotka się jaskrawe przykłady srogości książęcéj wobec możnych władyków. Wtedy już jednak spadała najczęściéj pomsta książęcego gniewu na władyków, którzy dosłużyli się jéj niewiernością swoją lub zmową z nieprzyjaciółmi, już wówczas nie chodziło o to, jak przed wiekiem, żeby im wybić z głowy, iż byli potomkami da-

wnych książąt plemiennych, niegdyś równych książęcéj rodzinie.

Jeden tylko ród nie mógł o tem zapomnieć, może dla tego, że był znaczniejszy od innych, że większe były przed wiekami jego przodków dzierżący, ród Werszowców. Od Wersza ten ród pochodził. I u nas znane było to imię w Piastowskich czasach. Był jakiś Warsz przed wiekami na Mazowszu, który nad Wisłą gród sobie zbudował; pamięć o nim zaginęła dawno i mało kto o tem pomyśli, że jego imię żyje w nazwie Warszawy, która z czasem na gruncie Warszowego grodu urosła. [9]). Kiedy żył ów przedwiekowy Warsz, którego potomkami byli Werszowce, nikt tego nie odgadnie, ale to pewna, że był to, tak jak współczesny mu może Przemysł i wszystkie wnuki Przemysła aż do Spitylniewa czasów, jakiś książe plemienny, którego kraik graniczył może o miedzę z ziemią Przemysłowiców. Prawnuki jego musiały ugiąć się przed potęgą Przemysłowiców i upaść z wyżyny książąt udzielnych do stanowiska poddanych władyków, ale w rodzie tym nigdy nie wygasła pamięć, czém byli jego przodkowie, pamięć krzywdy doznanéj, a z nią nieprzejednana ku Przemysłowicom zawiść. I stąd, kiedy już Munice i Tepty potomkowie i jak się tam zwały te rody władyków, dawno pogodzili się z losem i służyli wiernie książęcej rodzinie, Werszowce pozostali zawsze jéj odwiecznymi z dziada i pradziada wrogami. „Cóż to, oni mają być panami naszymi? Czyż między nami nie ma lepszego, któryby godniejszym był tronu?“ takie buntownicze słowa były ich hasłem według starego podania. [10]) Mimo to nie odsuwali się Werszowce od książęcego dworu. Był może czas, kiedy siedzieli na uboczu, na swoich włościach i grodach, za dumni, żeby się tam pokazywać, gdzieby musieli się kłaniać Przemysłowicom. Ale poznali podobno z czasem, że tak zmarnieją bezczynnie, że ich strawi zawiść bezsilna i nie ugaszą pra-

gnienia zemsty. Poczęli więc garnąć się wreszcie na dwór Przemysłowiców, do Pragi i do Wyszehradu, udawać, że rozumu nabrali i pogodzili się z losem; wzrośli przez to w znaczenie, bogactwa i wysokie podostawały im się urzędy, bo książęta radzi widzieć w swej służbie przejednanych władyków, zlewali na nich tém szczodrzéj promienie swéj łaski. A choć ich to bolało, że w książęcym musieli pokazywać się orszaku, zasługiwali się Przemysłowicom, bo nie mogli im szkodzić z dziedzicznych swych grodów, z Satca i Lutomierzyc, bo siłą nie dało się ich już pokonać, kiedy się wszyscy przed nimi ugięli. Ale zawiścią dawną pałali i na to tylko znosili brzemię służby książęcéj, aby się dobić wpływu i znaczenia, aby być blizko książęcego dworu i z blizka rzucać kąkol niezgody między Przemysłowiców, bo tylko jad waśni domowéj mógł ich zgubić. Raz byli już Werszowce blisko celu i lżéj musieli oddychać, kiedy skutkiem bratnich zatargów między Bolesławem Rudym a Jaromirem i Oldrzychem, Przemysłowice poszli w rozsypkę, Bolesław z wyłupionemi oczyma w Polsce gdzieś jęczał w lochach podziemnych, dwaj młodsi tułali się na wygnaniu w niemieckich krajach, a w staréj ich stolicy praskiej zasiadł na tronie potężny zaborca, Bolesław Chrobry; łatwiej już było Werszowcom mieć panem nad sobą Piasta, władcę sąsiedniego państwa, byle Przemysłowice zmarnieli i przepadli. Ale rok tylko jeden zabawił Chrobry w Pradze, wyparli go ztamtąd Niemcy, przywróciwszy na tron dawną rodzinę książęcą. [11]). Więc znów nic nie pozostało Werszowcom, jak wichrzyć po dawnemu, jątrzyć domową niezgodę w znienawidzonym rodzie książęcym, brata przeciw bratu podburzać, a każda kropla krwi, przelana w rozterkach między Przemysłowicami, była tryumfem i rozkoszą dla trawiącéj Werszowych potomków gorączki, którą tylko zemsta mogła ukoić.

Słusznie więc mówił stary Jaromir, że to są odwieczni książęcego rodu wrogowie, którzy wszystkich w nim nieszczęść byli przyczyną. A czy usłuchał Brzetysław przestróg ślepego stryja, stojącego nad grobem, w który go zawiść Werszowców niebawem wtrąciła? Podobno, bo przez cały czas rządów Brzetysławowych nic o nich niesłychać. Może radzi nieradzi musieli się znów zamknąć w swoich grodach dziedzicznych, wypchnięci z dworu książęcego, czekając lepszéj pory do zemsty. I przyszła wreszcie ta pora, w któréj co chwila zdarzała się sposobność siać niezgodę i wichrzyć w książęcej rodzinie. Czterech bowiem synów zostawił Brzetysław, umierając w r. 1053 i postanowił, żeby odtąd zawsze najstarszy z Przemysłowiców całem państwem rządził, a wszyscy młodsi książęta na Morawach mieli dzielnice. Niedługo ród książęcy rozgałęził się szeroko w następnych pokoleniach, więc i o dzielnice waśni było niemało i o tron praski łatwo było walkę domową rozniecić, bo każdy z książąt pożądał go dla siebie, a mało kto chciał uszanować prawo starszeństwa.

Długo ważyły się wówczas losy czeskiego narodu i na całą przyszłość miało się rozstrzygnąć, jakiemi torami potoczą się daléj. Od dawna już Niemcy zarzucali sieci na czeskie państwo i w Czechach samych dwa prądy ścierały się ze sobą, jedni w obawie niemieckiéj potęgi jedyny sposób ocalenia się przed niechybną zagładą widzieli w uległości względem cesarstwa, drudzy śmieléj własnym ufając siłom, rwali się do walki z Niemcami. Sam Brzetysław w dwóch różnych fazach swego panowania ulegał po kolei obydwu tym prądom przeciwnym. Zrazu marzył o wielkiéj monarchii słowiańskiéj, którąby Czechy objęła i Polskę i zwiększonym zasobem sił śmiało stawiła czoło niemieckim zachciankom; późniéj pokonany i upokorzony, musiał się ugiąć przed zwierzchnictwem niemieckiém. I odtąd rozstrzy-

gnęły się losy czeskiego państwa. Książęta czescy zachowali swobodę zupełną w zarządzie wewnętrznym państwa, ale jako lennicy cesarskiéj korony stanęli w rzędzie książąt Rzeszy, najpierwsi i najmożniejsi w ich gronie.

Werszowce zdawna lgnęli do starych słowiańskich tradycyj i wrogie względem niemieckiego prądu zajmowali stanowisko. Wszak wszelkie ich pragnienia, wspomnienia zgasłéj świetności łączyły ich z przebrzmiałą dobą staréj słowiańskiej swobody, wszak upadek ich poczynał się od tych czasów, kiedy zaborcze zachcianki niemieckich sąsiadów stały się źródłem przewrotu, w którym Przemysłowice ugruntowali swoją potęgę. Przodowali więc Werszowce wszystkim żywiołom, wrogim niemczyznie i niemieckiemu zwierzchnictwu, już za Chrobrego czasów szukali oparcia w pobratymczéj Polsce i późniéj z rodem Piastów spiskowali przeciw Przemysłowicom, a przez to mieli za sobą w całym kraju liczne stronnictwo, które zawiścią pałało ku Niemcom i otrząść się pragnęło z pod niemieckiéj przewagi.

Póki jeszcze żył syn Brzetysławów Wratysław, nie opłacało się wichrzycielskie rzemiosło. Bo przeciw jego potędze nikt nie ważył się podnieść, on był prawą ręką cesarzowi Henrykowi IV, który go téż, pierwszego z czeskich książąt, zaszczycił królewską koroną. I za jego więc panowania głucho jeszcze było o Werszowcach, w niepamięć poszły stare ich dzieje i znów zbliżyli się do książęcego majestatu, dobili się znaczenia i dostojeństw. Tak kiedy po Wratysławie Brzetysław II. zajął tron ojcowski, największéj powagi zażywał na dworze Werszowiec Mutina, syn Bożów, i w całym kraju go szanowano jako zaufanego doradcę młodego księcia. Było tak przez lat kilka, ale w r. 1096, podczas wyprawy wojennéj na Polskę, przy oblężeniu śląskiego zamku Kamieńca, wydały się zdradzieckie Werszowców zamysły. Łagodny był z natury książę Brzetysław i z po-

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

bożności słynął, nie chciał więc mścić się srodze surowych przodków obyczajem, zawezwał tylko Mutinę w obozie przed swoje oblicze i w te słowa odezwał się do niego: „Gdybym się nie bał obrazić Pana Boga, pewniebym ci oczy wyłupił, jakeś na to zasłużył, ale nie chcę, bo grzech to jest wielki, psuć ręką ludzką, co palec boży stworzył w człowieku“. Pozwolił mu więc zabrać dwóch ludzi z pocztu swojego i wydalił go z obozu. Natychmiast zaś wysłał do Czech gońca i kazał na rzecz skarbu zagarnąć rozległe posiadłości dziedziczne Mutiny. Skoro jednak Werszowce knuli coś złego, nie dość było Mutiny pozbyć się z kraju. Drugim przywódcą tego rodu był wówczas Bożej, syn Czacza, możny pan na Lubicu. Schwytali go zatem wysłańcy książęcy, wraz z żoną i dwoma synami pojmali w dziedzicznym grodzie i Łabą na korabiu odesłali do Łużyc, skąd Bożej do Polski podążył i tam spotkał się z Mutiną, który na dworze Władysława Hermana dobrego doznał przyjęcia. [12])

Nie tak postępowali z zdrajcami dawniejsi książęta, którym dość było się sprzeciwić, żeby życiem lub utratą oczu krnąbrność przypłacić. Ale czy ta łagodność na dobre wyszła Brzetysławowi? W cztery lata potem, byłoto w zimie, na parę dni przed świętami Bożego Narodzenia, młody książę bawił się łowami. W zimowym dniu rychło zmrok zapadł i ciemno już było, kiedy łowiecka drużyna wracała na nocleg do wsi Stibeczny. Na spotkanie jéj wyszli ludzie książęcy z latarniami i pochodniami i kiedy wśród ciemności, przy migotliwém świetle pochodni do wsi już zbliżał się orszak, nagle z ukrycia wypadł jakiś jeździec zbrojny, przebił Brzetysława oszczepem i umknął w pomroce. Powstał rozruch we wsi, mieszkańcy rozbiegli się po wszystkich stronach i niedaleko znaleziono mordercę konającego w kałuży, w którą z koniem z urwiska jakiegoś runął w cie-

mności. Niewiadomo, czy się sam przebił, słysząc pogoń za sobą, czy przypadek tak szybko wymierzył mu sprawiedliwość. Poznano go, był to Lorek, „zły łotr od dyabła przysłany“, mówi latopis. To pewna jednak, że on sam nie miał do Brzetysława żadnéj urazy, ale głos powszechny orzekł bez wachania, że to Werszowce nasłali mordercę na dobrego księcia. [13])

Mimo to Bożej i Mutina wrócili teraz bezpiecznie z wygnania, a i następca Brzetysławów Borzywoj łaskawym był dla nich, nie z serca, ale z konieczności — jak mówi pisarz współczesny — zwrócił im zagrabione dobra dziedziczne i znów do wysokich wyniósł ich dostojeństw; obawiał się snać losu brata i rad nie rad w zgodzie chciał żyć z Werszowcami. I dobrze mu z tém było przez czas jakiś, bo nawet cała powaga jego w państwie polegała na gorliwém poparciu, którego mu cały ten ród użyczał. Ale czy to istotnie tylko nieprzyjaciele podeszli Borzywoja, wzbudzając w nim podejrzenie przeciw Werszowcom, żeby go przeciwko nim pobudzić, i tak najwalniejszéj pozbawić podpory, czy téż Werszowce osądzili, że już czas, aby i na tym Przemysłowicu spełniła się pomsta, dość że rychło zerwała się ta przyjaźń. Mutina i Bożej mieli zmiarkować, że książę na nich czycha, choć otwarcie ich nie zaczepiał; udali się na Morawy, do Świętopełka — byłto brat stryjeczny Borzywoja — a przyrzekając mu poparcie całego rodu swojego, łatwo go skłonili do buntu. [14])

I znów jeden Przemysłowic postradał tron i tułał się za granicą, słaniał się do nóg cesarzowi, by go przemocą Czechom na pana narzucił, a więc i nowemu księciu ciężkie gotował kłopoty. Była to woda na młyn Werszowców, bo o to im tylko chodziło, żeby w książęcéj rodzinie waśnie podżegać. Udało się wreszcie Świętopełkowi odwrócić to niebezpieczeństwo, choć po trudnéj przeprawie, wśród któ-

réj na kilka miesięcy dostał się do cesarskiego więzienia, Skoro zaś ubezpieczył swe panowanie, nie dziw, że Werszowce najwięcej u niego znaczyli, bo im to przecież tron zawdzięczał, i znów Mutina był pierwszym dostojnikiem w państwie. Tak kiedy w r. 1109 książę z cesarzem wyprawił się na Węgry, Mutinę i Wacka, który z innego był rodu, ustanowił zawiadowcami państwa na czas wojny. Już przekroczono węgierskie granice, wojska czeskie i niemieckie rozłożyły się pod Presburgiem, a Świętopełk coraz więcéj zaskarbiał sobie łaskę cesarską; był to Wrzesień, dobra jeszcze do wojny pora, można było zapuścić się jeszcze daleko w kraj nieprzyjacielski. W tém przybiega do obozu czeskiego goniec od Wacka z złowrogą wieścią, że młody książę polski, Bolesław Krzywousty, z wielką siłą wkroczył do Czech od strony Śląska, bez oporu zdobył twierdzę graniczną i po całym kraju spustoszenia rozpostarł. Z żalem i z gniewem zerwał się Świętopełk do odwrotu, ale Bolesława już nie zastał. Poznał, co się święci, goniec Wacków odsłonił mu całą tajemnicę. Twierdza nadgraniczna nad którą Mutina miał dozór, była tak silnie obwarowana, że wszystkiego raczéj się spodziewał, niż żeby ją Polacy mogli zdobyć tak łatwo. Zdrajca udawał tylko, że stawia opór hufcom Bolesława, z którym widocznie był w zmowie. Pokazało się wreszcie, że Mutina niedługo przed najazdem polskim, niby łowami się bawiąc w nadgranicznych lasach, przekradł się pokryjomu na Szląsk do Świdnicy i tam ze stryjem swoim Nemojem, dawno wygnanym Werszowcem, uknuł nowy spisek na swego księcia, do którego w Bolesławie Krzywoustym chętnego znalazł sprzymierzeńca.[15])

Tego było za wiele Świętopełkowi. Losy obydwóch poprzedników były mu nauką. Dokąd zawiodła Brzetysława łagodność i pobłażliwość? jakąż zapłatę odniósł Borzywój za to, że jak niewolnik u żyda kupiony ulegał Werszowcom?

Świętopełk nie chciał być księciem malowanym i czekać nie myślał, rychło i na niego przyjdzie kolej z łaski tego rodu. Stanęły mu żywo w pamięci dzieje ostatnich czasów i stare podania o przodkach Mutiny. „Na nic mi się nie zda, jeśli samego Mutinę ukarzę“, rozważał w duchu powracając z węgierskiéj wyprawy i poprzysiągł sobie cały ten ród zawistny wyplenić jednym zamachem oręża. Ale miał przy sobie niektórych Werszowców w drużynie wojennéj, więc zamysłów swoich nie zdradzał i wesołe wszyst. kim ukazywał oblicze. A nawet kiedy pod Lutomyślem Wacek z Mutiną przybyli na jego spotkanie, przyjął ich dobrze i nikomu nie wymawiał zdrady ani opieszałości. Już wówczas jednak przyjaciele Mutiny, przeczuciem jakiemś wiedzeni, radzili mu umykać, bo pewno życiem lub utratą oczów odwagę swoją przypłaci. Ale snać los ciągnął go do zguby, bo za nic sobie ważył roztropne przestrogi.

Tak przybył książę z całym orszakiem wojennym do zamku Wratysławia. Tu nazajutrz zwołał do wielkiéj halli zamkowéj liczne zebranie starszyzny, zacnego rodu władyków i dostojników znacznych. A kiedy ukazał się między nimi, stojąc podle komina, na którym właśnie silnym płomieniem ogień się jarzył, znać było, mówi latopis współczesny, że gorętszy gniew zeń buchał, niżli ognia tego płomienie. I utkwiwszy wzrok w Mutinie, zawołał: „Przeklęte a znienawidzone plemię, żli synowie rodu Werszowców, odwieczni naszéj krwi wrogowie!“ i długo trwało, zanim wszystkie winy wyliczył, które na nich ciężyły. Ale nie miało skończyć się na tych gromach, jak przed laty siedmdziesięciu, kiedy Kochan z braćmi, tłumiąc w sobie gniew wściekły, z ust ślepego Jaromira słuchali podobnych wyrazów. Przestał mówić książę, a szmer ogólny rozległ się w zgromadzeniu, wszyscy słowem i ruchem przyświadczyli księciu. Świętopełk wyszedł z sali, skinąwszy wprzód na

kata, który z mieczem przypadł do Mutiny. Nic złego nie przewidując zasiadł był Mutina między starszyzną, do rady się gotując, która niedawno jeszcze najwięcéj znaczyła w takich zebraniach, i na tém samém krześle dwa ciosy nieruchomie odebrał, a zerwawszy się pod drugim, padł pod trzecim razem nieżywy. Przy nim legli dwaj dorośli synowie, obok nich w téj saméj chwili spadły głowy dwóch jeszcze innych Werszowców, Domaszy i Unisława. Lecz nie dość było pięciu ofiar. Książę obwieścił, że ktokolwiek jest z tego rodu, taką samą zginąć ma śmiercią, na wszystkich głowy sowite nagrody naznaczył, stokrotną za Bożeja i jego syna, cały ich dobytek obiecując oprawcom. I wnet na wszystkie strony rozbiegli się zbiry, złota żądni i zemsty, bo niejeden zdawna ku Werszowcom śmiertelną żywił urazę.

Był to ponury dzień październikowy i rychło ku zachodowi skłaniało się słońce, kiedy w modrzewiowych ścianach lubickiego dworu stary Bożej zasiadał do stołu z żoną i synem Borutem. W tém zjawił się w komnacie sługa z doniesieniem, że jacyś jeźdzcy zbrojni tłumnie pędzą przez pole. „Z wojny wracają“, odrzekł stary, „w imię boże, niech nam błogosławieństwo w nasze progi wniosą“. Lecz gdy to mówił, już otwarły się wrota i z gołym mieczem wpadł do komnaty Krasa. „Giń łotrze“, wrzasnął, „giń zbrodniarzu, cóż ci zawinił Tomasz, mój krewniak, żeś go zabił w ostatnim poście!“ Wstał na to młody Borut od stołu i poskoczył ku napastnikowi. „Cóż ci to?“ zawołał, „kazano ci nas pojmać, to pójdziemy za tobą bez gwałtu“. Ale słów tych nie dokończył, a miecz przeszył go na wskróś, i krwią Boruta oblany, utkwił w gardle starego Bożeja. Od wieków gromadziły się w komorach starego dworu skarby dziedziczne Werszowców, złoto, klejnoty, kamienie drogie, opony i tkaniny kosztowne; wszystko to rozdrapała między siebie zgraja napastników i ani jednéj

szmaty nie zostało, aby przykryć skrwawione zwłoki Bożeja i Boruta. Zwleczono z nich szaty i nagie ciała mściwa ręka zbirów wrzuciła jak ścierwo bydlęce na dno fosy opodal dworu.

Nie był to jeszcze koniec, bo książę wszystkim Werszowcom poprzysiągł los Mutiny i Bożeja. Posłuchajmy słów kronikarza, który na to sam patrzał. „Ani dowiedzieć się nie mogłem dokładnie, ile głów tego rodu spadło, nie w jednym bowiem dniu i w niejednem miejscu rzeź się odbywała. Jednych powleczono na plac publiczny, gdzie ginęli marnie jak bydło w jatkach pod nożem rzeźniczym, niektórych ścięto na górze Petrzyńskiéj, wielu zaś po domach lub na ulicach pomordowali zbiry książęcy. A cóż powiem o śmierci małych pacholąt Mutiny, których mord straszniejszy był od wszystkiego, co oko ludzkie widziało. Dobre to były chłopięta, ładne, milutkie, że tak ślicznych twarzyczek żaden mistrz nie wyrzeźbi z kości słoniowéj ani w obrazie nie wymaluje. Widzieliśmy, jak ich na plac wleczono, jak krzyczeli żałośnie: „Mamo, ratuj nas mamo“, gdy ich krwawy kat bez litości zarzynał. Uciekaliśmy wszyscy bijąc się w piersi, bo któż mógł patrzeć na kata, taką zbrodnię spełniającego. A jednak pozostało jeszcze kilku Werszowców, z których jedni do Polski, inni do Węgier umknęli [6]).

Nie minął jeszcze rok od tych krwawych dni, kiedy Świętopełk bawił z cesarzem na Śląsku, na wyprawie wojennéj przeciw Krzywoustemu. Z pod Głogowa, którego oblężenie długo się przeciągało, wyruszył na łupieską wycieczkę i spustoszywszy całą okolicę aż do grodu reczeńskiego, z bogatą zdobyczą powrócił wesół do cesarskiego obozu. Cały dzień 21 Września zeszedł mu na wojennéj naradzie w cesarskim namiocie i o zmroku dopiero wracał z liczną drużyną do swego siedliska na nocleg. Po drodze spotkali jakiegoś rycerza; stał pod pniem dużego buka

o rozłożystych konarach, przy nim grzebał ziemię koń osiodłany. Mało kto zwracał na to uwagę, rycerz szybko wskoczył na konia, wmięszał się w szeregi książęcéj drużyny i w mgnieniu oka padł Świętopełk nieżywy, ugodzony w samo serce kopią nieznanego rycerza. Rozsiekali go na miejscu i nikt się nie dowiedział, jakie było jego imię, ale niebawem wieść gruchnęła, że go przysłał Jan Cztowic, jeden z nielicznych Werszowców, którzy uszli rzezi w roku minionym [11]).

Ostatnia to była ofiara krwawéj nienawiści między rodem książęcym a plemieniem Werszowem. Już nie ważyli się Werszowce pokazać w Czechach i od téj chwili ani jeden książę z rodziny Przemysłowiców nie zginął pod ciosem skrytobójczéj ręki.

Ale cóż nas obchodzą te mordy i rzezie na czeskiéj ziemi? ośm wieków je już przykryło i wartoż krwawy ich wątek wydobywać z zapomnienia? Warto, zaprawdę warto, bo z tych starych, odległych a strasznych dziejów pada obficie jasny promień światła, przy którém się rozwidni niejedna zagadka naszéj najdawniejszéj historyi. Bo Werszowce, którzy się przed mieczem katowskim schronili do Polski, nie potrzebowali długo bawić w przybranéj ojczyźnie, żeby do niéj przywyknąć i uczuć się jak w domu w państwie Krzywoustego. Jakkolwiek bowiem dzieje Czech i Polski różnemi zgoła popłynęły łożyskami w dalszym swym biegu, tuż obok siebie biją ich źródła. A w niczém tak jaskrawo nie objawia się to bliźnięce podobieństwo fizyognomii naszych i czeskich dziejów początkowych, jak w ustroju społecznym i politycznym Piastowskiéj monarchii i państwa Przemysłowiców, bo oba państwa na téj saméj wyrosły podstawie, bo geneza ich była jednaka. Słuszna zatem, żebyśmy w ubóstwie źródeł do historyi naszéj pierwotnéj, u pobratymczych sąsiadów zapożyczyli wskazówek,

które barwnie rozświecą szary zamierzchłych owych czasów koloryt, i w blasku tym rozwiążą najprościéj zagadkę początku i zawiązków państwa Piastowskiego.

Wróćmyż do Werszowców. Otóż tak wszystko zastali wylękli zbiegowie w gościnnéj Polsce, jak to, co w czeskiéj porzucili ojczyźnie, z czém od dziecka się zrośli i do czego ich ojcowie przywykli. Przyjęci łaskawie na dworze Bolcsława Krzywoustego, poznali w nim księcia, który na każdym kroku przypominał im Świętopełków, Borzywojów i Brzetysławów. A Prandota, Wojsław, Skarbimir, Jaszczółd, Czadryk, Michał, Odolan, Piotr Włostowic, Wszebór, Pakosław, [18]) możni panowie, których w orszaku książęcym spotkali, byli to wszyscy jakby Mutina lub Bożej, albo innych rodów czescy magnaci, na polską przeszczepieni ziemię. I w nich płynęła krew dawnych książąt udzielnych, którzy przed laty panowali lechickim plemionom nad Wisłą i nad Odrą, nad Pilicą, nad Bzurą i Gopłem, Chrobatom, Ślązanom, Łęczycanom, Kujawiakom, Mazurom, aż oręż Piastów, książącego rodu Polan z nad Warty, zmusił ich zrzec się panowania i służyć panom wielkiéj monarchii, na gruzach ich księstw zbudowanéj. [19]) Półtrzecia wieku mijało, jak drobnym kraikiem jeszcze władał Popiel z gnieźnieńskiéj swojéj stolicy i pewno nawet nic nad całą ziemią Polan rozciągało się jego panowanie, bo podobno w Poznaniu już siedział inny książę i ze wszystkich stron okrążały go dzierżawy podobnych mu władców. Ale odkąd syn Piasta zasiadł na tronie Popielowym, złe czasy przyszły na sąsiadów gnieźnieńskiego księcia, bo dziwna żądza panowania paliła ten ród Piastowski. Z trzech pierwszych Piastów, każdy po kilkakroć większy obszar państwa zostawiał synowi, niźli sam objął, na tron wstępując, a czwarty z rzędu Mieszko wszystkich przodków swoich w zaborach prześcignął, i nim jeszcze chrześcijaninem został, w dalekie strony rozeszła się jego sława, aż na dwór cesarski zanosząc

imię potężnego władcy Lechitów. Aż wreszcie za Bolesława Chrobrego wszystkie plemiona lechickie w dorzeczach Wisły i Odry ugięły się pod berłem niezwyciężonego Piasta i daléj jeszcze sięgnęły jego zabory [20]).

Jakiż więc spotkał los tych książąt udzielnych, których do tego czasu lechickie plemiona słuchały? Ten sam, któremu w Czechach ulegli Werszowce, Munice, plemię Tepty i inni potomkowie książąt plemiennych. Jedni wyginęli w walkach z Piastami, bo w budowę Piastowskiéj monarchii także nie jedna kropla krwi wsiąknąć musiała, inni poddali głowę pod jarzmo, zatrzymali z łaski zdobywców cząstkę swych dzierżaw, i służąc im za to wiernie, tradycyą téj służby książęcéj przekazali w spuściźnie z dziedzicznemi posiadłościami synom i wnukom, w których orszaku Krzywousty powitał Werszowców na swoim dworze.

A czy między ich rodami nie było takich Werszowców, którzyby z ojca na syna przeszczepiali jad zawiści nieprzejednanéj ku Piastowskiéj rodzinie?

Kto wie, byli może, choć o nich starych podań nie mamy, a może już żelazne rządy Bolesława Chrobrego uleczyły wszystkich potomków książęcéj krwi z takich zachcianek niewczesnych. Bo téż w kronice współczesnego Thietmara Chrobry takim wydaje się tyranem, jak imiennik jego i wuj Bolesław Srogi w starych czeskich podaniach [21]). Jakkolwiek zaś nasza kronika najdawniejsza, w sto lat późniéj spisana, w legendarnéj już tylko aureoli wystawia jego postać, to i jéj przecież godzi się posłuchać. „Nieraz królowa, mądra i przezorna niewiasta, wyrywała z rąk kata wielu na śmierć skazanych, a zachowując im życie, kazała ich bez wiedzy króla zamykać w ciemnicy więziennéj. I kiedy król siedział przy uczcie z królową w gronie zaufanych dostojników i ich małżonek, a wśród rozmowy o tym

lub owym rodzie, ktoś wspomniał o którym z tych straconych skazańców, zdarzyło się czasem, iż król, pomny zacności ich ojców, zadumał się i żal mu było, że nie darował im życia. Wtedy czcigodna królowa, głaszcząc króla pieszczotliwie po piersi, zapytywała go, czyby miło mu było, gdyby ich zdołał kto wskrzesić. A król odpowiadał, że nie ma nic tak kosztownego, czegoby nie dał w nagrodę, gdyby kto mógł ich żywych z grobu wydobyć i zdjąć z ich potomstwa piętno hańby. Więc przyznawała się w takim razie mądra królowa do swéj zdrady poczciwéj a padając ze wszystkimi biesiadnikami społem do nóg królowi, błagała go o łaskę dla siebie i dla skazanych. Król ściskając ją łaskawie, z pocałunkiem z ziemi podnosił i chwalił jéj zdradę miłosierną jako dobry uczynek. I wnet posyłano konie rozstawne po więźniów, roztropnością królowéj od śmierci ocalonych. A gdy przybyli, nie szli od razu do króla, lecz wprzod ich karciła królowa, to ostro to znów łagodnemi słowy, aż w końcu prowadzono ich do łaźni królewskiéj. Tam zaś król, kąpiąc się z nimi, rodowi ich zacnemu oddając należne pochwały, jak ojciec synów na dobrą drogę nawracał. „Nie godzi się“, mówił do nich, „byście tak czynili, wy, co z krwi tak szlachetnéj, z rodu tak wysokiego pochodzicie“. Jeśli byli sędziwego wieku, to słowem tylko ich karcił, młodszych słowem zarówno ćwiczył i rózgami“ [22]).

Zacnego to więc rodu byli skazańcy, bo za lada kogo nie narażała się królowa na gniew małżonka. Kto zaś w czasach Bolesława Chrobrego zaliczał się do wysokiego rodu, tego dziad chyba nie mógł być czém inném, jak księciem plemiennym. A „często“, „nieraz“, jak mówi kronika, zdarzały się takie wypadki, więc bardzo często musiały spadać z gniewnych ust Chrobrego wyroki śmierci na głowy tych krwi książęcéj potomków, boć przecież wyjątkiem to być musiało, jeśli kogo od topora katowskiego

ocaliła dobroć królowéj. Tak niezawodnie częste ciosy tego topora wyrzezały władykom Chrobrego, jeśli nie pamięć o książęcém pochodzeniu, to przynajmniéj wszelkie zachcianki powrotu do stanowiska przodków, wszelką ochotę mierzenia się z Piastami. A przy szczęku katowskiego topora, pod którym tyle głów władyckich spadło, budziło się uczucie grozy i żelazna konieczność ślepego posłuszeństwa względem monarszych rozkazów. Czém późniéj, czém więcéj owoców wydawało chrześcijaństwo i ustrój państwowy, narzucony dłonią Chrobrego, tém mniéj téż było powodu do kar surowych, tém bardziéj z zapachu krwi oczyszczała się atmosfera. Ale trwałym pomnikiem téj grozy, przez pierwszych Piastów rozpostartéj, była wszechwładza księcia, przeciw któréj nikt głosu nie poważył się podnieść, klucz do zrozumienia powodzeń i potęgi trzech Bolesławów. „Król-zbój“, jak go w Królu-Duchu nazwał Słowacki, utworzył państwo, w jego silnych karbach związał w jednolitą całość bezwładną rzeszę niedojrzałych plemion, z których każde z osobna przed obcą przemocą nie mogłoby się ostać, i surowością swoją bezwzględną broniąc rozprzężenia, przywiódł ją do tego, że pod wpływem dobroczynnych promieni chrześcijaństwa i zachodniéj cywilizacyi urosła — w naród.

I przyszedł potém czas, kiedy „Król-zbój“ runął, bo dość już było jego panowania, dosyć krwi przezeń przelanéj, ale runął dopiero wtedy, kiedy dzieło jego już tyle było dojrzałe, że bez niego mogło się ostać: naród już istniał i żył daléj. A rzućmy tylko okiem za Odrę, na ten obszar rozległy aż po brzegi Łaby, gdzie przed wiekami siedziały takież same plemiona lechickie, téj saméj krwi, co Kujawiacy, Mazury, Polanie. Nie dał im los tego króla mściwego, któryby je sprzągł w państwo jednolite i pozostały w takiém rozbiciu, w jakiém przed podbojami Piastów żyło rojowisko lechickich plemion nad Wisłą i Wartą.

A dziś ani śladu z nich nie ma, lub jeśli gnieniegdzie ślad jakiś nieznaczny pozostał, to tylko jakby martwy zabytek z czasów przedpotopowych. Bo przyszedł na nie rychło potop niemieckich podbojów, i zginęły w nim marnie i miały czego żałować, że nie doczekały się na czas srogiego króla, któryby z nich naród przemocą utworzył.

PRZYPISKI.

[1]) Cosmae Pragensis Chron., Fontes rerum Bohemicarum II. 65 — 67.

[2]) Thietm. Merseb. Chron. V. 15. Mon. Pol. hist. I. 268 Interim Bohemiorum dux Bolislavus, quia potestas consortis et successoris est semper pavida, Jaremirum fratrem eunuchizans, junioremque Othelricum in termis suffocare cupiens, una cum matre eosdem patria expulit, solusque vice basilisci noxii regnans, populum ineffabiliter constrinxit. Według Kozmasa (l. c. 50.) którego opowiadanie w tém miejscu jest bardzo zamącone, Bolesław był „vir columbinus et sine felle“.

[3]) Malowniczą tę powieść podaje Kozmas l. c. 50, 51. Według Kozmasa dzieje się to równocześnie z schwytaniem Bolesława Rudego przez Bolesława Chrobrego, Werszowce zaś działają tu sami, bez rozkazu książęcego. Wiemy jednak z kroniki współczesnego Thietmara (l. c. 268, 269), że Chrobry pojmał Bolesława Rudego w czasie drugich jego rządów, t. j. po pierwszém wygnaniu i po krótkich rządach Włodoweja; Bolesław zaś Rudy okaleczył Jaromira na początku rządów, w każdym zaś razie w czasie pierwszego swego panowania. Według Thietmara on jest sprawcą tego kalectwa, Werszowce zatem działali z jego rozkazu. Kozmas mąci w tém miejscu, czerpiąc z tradycyi, Bolesława Chrobrego n. p. nazywa Mieszkiem, jakkolwiek zresztą w opisie pojmania zgadza się z Thietmarem.

[4]) Cosmae Pragensis Chron. l. c. 69.

[5]) Ob. Dümmler, De Bohemiae conditione Carolis imperantibus (788 — 928). Lipsiae. 1854. W pracy tej dowiódł

Dümmler w sposób niewątpliwy, że taki był początek państwa czeskiego. Nie zgadza się to z tradycyą historyczną czeską o pierwotnych dziejach narodu, o wielkiem państwie mitycznego Przemysła i jego następców. Jakoż znany historyk czeski W. W. Tomek podjął się „obrony“ tej tradycyi w rozprawie: Obrana nejstaršich dějin českých proti novějším útokum spisovatelů německých (Památky, Časopis Musea království Českeho pro dějepis hlavně český, V zesz. 4 — 7). Zasłużony jednak historyk miasta Pragi i uniwersytetu pragskiego w niczem nie zdołał osłabić przekonywujących dowodów Dümmlera.

[6]) Cosmae Pragensis Chron. l. c. 40 podaje granice „principatus“ Sławnika, którego siedzibą był Lubicz.

[7]) Cosmae Pragensis Chron. l. c. 31. 32.

[8]) Cosmae Pragensis Chron. l. c. 90 Bracizlaus statim terribilem dictat sententiam, totius Bohemiae per provinciam mittens in signum suae jussionis torquem de subere tortum, ut quicunque exierit in castra segnius dato signaculo, sciret procul dubio tali torque se suspendendum in patibulo.

[9]) Dr. Piekosiński zwrócił mi na to uwagę, że dygnitarze polscy XIII wieku tego imienia pochodzą niezawodnie od Werszowców, zamieszkałych w Polsce. Jest ród, w którym powtarzają się częstokroć chrakterystyczne imiona Werszowców: Warsz i Mutina.

[10]) Cosmae Prag. Chron. l. c. 51.

[11]) Thietm. Merseb. Chron. V. 18, VI. 8, 9. l, c, 269, 275, 276, Rocznik kwedlinburski, tamże 768.

[12]) Cosmae Prag. Chron. l. c. 139.

[13]) Tamże str. 147.

[14]) Tamże str. 148. 154.

[15]) Tamże 157.

[16]) Cosmae Prag. Chron. l. c. 158 — 161.

[17]) Tamże 163.

[18]) Liber confraternitatis monasterii Lubinensis, Zeissberg: Kleinere Geschitsquellen Polens, 6.

[19]) Jest to jak wiadomo, teorya, po raz pierwszy jasno określona i sformułowana przez Bobrzyńskiego w jego: „Hi-

storyi polskiej w zarysie", rozwinięta szerzéj w świeżo wydanéj rozprawie p. t. „Geneza społeczeństwa polskiego" (Kraków 1881).

[20]) Przeciw temu wytłumaczeniu genezy państwa Piastowskiego, tak prostemu i naturalnemu, opartemu na analogii stosunków słowiańskich i jasnéj interpretacyi kilku pewnych świadectw źródłowych, wystąpił — jak wiadomo — Dr. Piekosiński w rozprawie o początkach państwa i społeczeństwa polskiego, napisanéj z powodu mojéj pracy „Mieszko stary i jego wiek" a czytanéj na posiedzeniach wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Dr Piekosiński stawia natomiast hipotezę o najeździe Lechii nadodrzańskiéj i nadwiślańskiéj przez jakieś plemię lechickie z nad Łaby. Nie tu miejsce na polemikę w téj ważnéj kwestyi, zastrzegam ją sobie na później, po wydrukowaniu rozprawy Dra Piekosińskiego. Tutaj poprzestanę na zaznaczeniu głównych świadectw źródłowych, na których się opiera powyższe przedstawienie rzeczy. W kronice Galla przebija się jeszcze wyraźnie współczesne przeświadczenie tradycyi dziejowéj o takim a nie innym początku państwa polskiego. O czasach Popiela mówi Gallus (Mon. Pol. hist. I. 397.): *Nondum enim ducatus Poloniae erat tantus*, neque princeps orbis tanto fastu superbiae tumescebat, nec tot cuneis clientelae stipatus, ita magnifice procedebat; dlatego téż powyżéj wyraża się kronikarz (str. 395.): *Erat namque in civitate Gneznensi*, quae nidus interpretatur sclavonice, dux nomine Popel. Dopiero (str. 397): Semovith principatum adeptus non voluptuose vel inepte juventutem suam exercuit, sed usu laboris et militiae probitatis famam et honoris gloriam acquisiqit, atque *sui principatus fines ulterius quam aliquis antea dilatavit*. Cujus loco decedentis Lestik filius ejus subintravit, qui paternae probitati et audaciae gestis sese militaribus adaequavit. Lestik quoque morienti Semimizl ejus genitus successit, qui parentum memoriam et genere et dignitate triplicavit.

[21]) Thietm. Merseb. Chron. VIII. 2., Mon. Pol. hist. I. 311.

[22]) Gallus, Chron. Pol. I. 13. Mon. Pol. hist. I. 408.

WITOŁD
POD GRUNWALDEM.

Stare, gruzami pięciu blisko wieków przywalone dzieje krwawéj bitwy pod Grunwaldem odżyły w pamięci naszéj pod wrażeniem najnowszego wielkiego dzieła Matejki. Mimowoli ten nowy tryumf sztuki polskiéj obudził wspomnienie dawnego tryumfu polskiego oręża, jednego z najświetniejszych, jakie się na kartach dziejów naszych zaznaczyły. Cośmy znali z téj nieporównanéj, tak barwnéj a ciepłéj opowieści Szajnochy, to stanęło nam żywo przed oczyma: ujrzeliśmy rozpaczliwą walkę z odwiecznym wrogiem, w któréj unia Polski z Litwą krwawy chrzest odbyła, patrzyliśmy na straszny pogrom Krzyżackiego Zakonu, objawiający się symbolicznie w śmierci Wielkiego Mistrza...

I jeśli się kto zadumał przed tym obrazem, to mimowoli nasuwała mu się myśl, jaki to był owoc grunwaldzkiego tryumfu? Przypominaliśmy sobie, że ziemie polskie przez Zakon zagarnięte, wróciły następnie do macierzy i odżyły polskością na jej łonie; wróciły z procentem, z dumną Wielkich Mistrzów stolicą Malborgiem, z Elblągiem i ziemią warmińską — ale kiedy? Nie spadły na łono Polski jako dojrzały owoc grunwaldzkiego zwycięstwa, lecz dopiero po wielu nowych wysiłkach, po całéj przeszło wieku połowie, po czterech ciężkich wojnach, z których ostatnia jeszcze, przez lat trzynaście trwając, tyle ofiar w krwi,

w dobytku wszelkim, w kosztownościach świątyń pańskich nawet zażądała od Polski.

A mimo to wszystko, jeszcze wówczas ostał się Zakon w właściwych Prusiech, aby później w świeckie przekształciwszy się państwo, w małżeństwie z Brandeburgią wyróść w dzisiejszą pruską potęgę i po rozbiorze Polski, po Sadowie i Sedanie, przybrać rozmiary olbrzymiego państwa, znowu nieprzejednanego wobec swych dawnych zwycięsców...

Takiż to owoc Grunwaldu? Toż po pamiętnym dniu 15 Lipca 1410 roku, kiedy Wielki Mistrz, cała niemal starszyzna Zakonu i kwiat rycerstwa krzyżackiego legł na polu bitwy, kiedy przeważna część ludności ziem Zakonu, witała w Polsce wybawczynię od ucisku krzyżackiego, wyciągnąć było tylko Polsce rękę, by pokonanego nieprzyjaciela pchnąć w przepaść nicości, odebrać własne, podstępnie zagarnięte ziemie, a resztą spuścizny po Zakonie podzielić się z Litwą. Tymczasem właściwem, bezpośredniem następstwem téj wojny był pokój toruński, który wszystko w dawnym stanie pozostawił, zatwierdził tytuły prawne Zakonu do ziem nieprawnie zabranych, a tylko Żmudź odzyskał dla Litwy, i to z ważnemi ograniczeniami.

Czyż to tylko dowód, jeden z tych licznych niestety dowodów, że Polak z zapałem świetne dzieło jakieś rozpocznie, ale nie ma dość wytrwałości, żeby go dokonać? — I to nie starczyłoby jeszcze do wytłómaczenia, dla czego Polska tak szczupłe bezpośrednie korzyści odniosła z tryumfu grunwaldzkiego. Zakon zniszczony i zgnębiony słał się jej pod nogi, nie miał silnych sprzymierzeńców, którzyby wysoko podniesiony oręż zwycięsców powstrzymać zdołali. Któż go zatem ocalił? Kluczem do rozwiązania téj zagadki będzie nam ten, który w zwycięstwie grunwaldzkiem główną zdobył sobie zasługę, bohaterski wódz — Witołd.

Jeszcze dziś żywo tkwi nam w pamięci postać tego bohatera, w samym środku obrazu Matejki, na spienionym rumaku, który przeskakując powalonych na ziemię książąt, sprzymierzeńców Zakonu, niesie Witołda naprzód, ku niewątpliwemu już zwycięstwu, ku zagładzie Krzyżaków; chwila jeszcze, a wyskoczy bystry koń z obrazu i trzeba będzie szybko ustąpić, by nie uledz losowi Lichtensteina. Może kto, czytając tytuł tego szkicu, łudził się nadzieją, że znajdzie tu wierną opowieść czynów Witołda w tym dniu pamiętnym, od owéj chwili podniosłéj, kiedy Wielki Mistrz przysłał dwa miecze z dumném wyzwaniem, aż do tego pełnego uniesień wieczora, gdy hufce polskie uganiały się już tylko za rozbitkami wielkiéj przed chwilą armii krzyżackiéj. Kto się tego tutaj spodziewał, dozna może zawodu. Już zwycięstwo dokonane, już wiadoma wodzom śmierć Wielkiego Mistrza, resztki wojsk krzyżackich pierzchają daleko, ścigane przez rącze rycerstwa polskiego oddziały, główna masa wojsk polskich skupia się około wodzów na pobojowisku, zwołuje je trąba wojenna, niestrudzona po tylu w całym dniu wysiłkach, słońce skłania się ku zachodowi, różowem światłem oblewając ciała poległych i dogorywających. Czas spocząć po krwawym dniu, nikt jeszcze w ustach nic nie miał od świtu, odezwała się więc znowu trąba do pochodu, ruszają różnorodne hufce z wodzami na czele, wśród nich tłumy jeńców o bogatych rynsztunkach, wszystko posuwa się o ćwierć mili na północ, nad brzeg chłodzącego jeziora, by tutaj obóz rozłożyć.

Tysiące rąk zrywa się do rozbijania namiotów, tymczasem król strudzony i ochrypły wydawaniem bojowych rozkazów spoczął pod krzakiem malinowym z wiernym Zbigniewem Oleśnickim; opodal Witołd z tryumfem spogląda ku pobojowisku, jakby mówił: „Jam to uczynił, jakem wielki i dumny!“ Rozbito namioty, deszcz polał się rzęsisty;

wodzowie rozłożyli się po namiotach, słyszą krople ulewnego deszczu, spadające na płótno żaglowe, długo w noc okrzyki hufców z pogoni powracających z połowem jeńców usnąć im nie dają — wreszcie coraz ciszéj, wszystko strudzone w sen zapada...[1])

Nie śpi jednak Witołd; on po krwawym dniu, najpiękniejszym dniu swego życia czuwa i głęboko rozważa, jaki z dnia tego wypadnie pożytek? O wschodzie słońca o niczem nie myślał, jak, że w tym dniu zawre walka straszliwa, niczego nie pragnął jak zwycięstwa; i wśród boju nic innego w myśli postać mu nie mogło. Teraz widzi takie zwycięstwo, o jakiem rano nie zamarzył, tak straszną klęskę wrogów, że w tej postaci spadła nań niespodziewanie; czas było więc puścić myślom wodze, co teraz czynić należy.

O czem to marzył Witołd w dżdżystą noc lipcową po bitwie grunwaldzkiéj? Nie jałowa to rzecz, śledzić myśli tego genialnego bohatera, w którego ręku wobec słabości króla, wobec braku wybitniejszych postaci w radzie królewskiej, w téj ważnéj, brzemiennéj w następstwa chwili, spoczywały dalsze losy rozpoczętego tak świetnie pod Grunwaldem dzieła. Ale jakimże sposobem wnikniemy w tajniki rozmyślań Witołda. Sama intuicya tu nie wystarczy; metoda historyczna wskaże nam drogę do tego, jeśli rozważymy, co Witołd w dalszym ciągu wielkiéj wojny krzyżackiéj uczynił i dla czego działał tak, a nie inaczéj.

Oto kiedy nazajutrz po bitwie będzie chwila stósowna, żeby wobec przerażenia, które ogarnęło Krzyżaków, szybkim pochodem pod Malborg zmusić tę stolicę i główną twierdzę Zakonu do poddania się bez oporu, kiedy po zajęciu Malborga i inne twierdze poddałyby się w popłochu, wojska polskie i litewskie pozostaną jeszcze jakiś czas bezczynnie na pobojowisku i pozwolą Krzyżakom zorganizować

się na prędce, przygotować Malborg do rozpaczliwej obrony; a kto to sprawi? Witołd. Później dopiero, kiedy w Malborgu skupią się niedobitki krzyżackiego wojska, zaopatrzą, jak można, mury i fosy, rozpocznie się oblężenie.

Dziś jeszcze w zamku malborskim oglądamy komnatę, w której raz podczas oblężenia zebrały się przerzedzone resztki kapituły krzyżackiéj wraz z mężnym Henrykiem von Plauen, następcą poległego Mistrza. Gotyckie sklepienie komnaty opiera się na smukłym słupie w samym środku stojącym, a w ciemnym jej zakącie do dziś dnia pokazują kulę armatnią, która wpadłszy oknem, głęboko tam zagrzązła. Jeśli pociągnąć linię prostą od okna do tego miejsca, to linia ta o włos tylko omija ów słup na środku sali. Gdyby o włos tylko była zboczyła, runąłby słup a za nim zwaliłoby się całe sklepienie i pogrzebałoby było pod gruzami resztę starszyzny krzyżackiéj wraz z tym Henrykiem von Plauen, który w téj ciężkiéj dla Zakonu chwili był duszą bohaterskiego oporu. Byłby to właściwy epilog Grunwaldu, ze sklepieniem gotyckiéj komnaty Zakon byłby runął niepowrotnie w gruzy. Tak się nie stało, ale Henryk czuł dobrze grozę śmierci, ostro patrzącą Zakonowi w oczy, i pragnął ofiarami, o jakich niedawno żaden Krzyżak nie pomyślał, ratować od niechybnéj ruiny, co z ogólnéj klęski jeszcze dało się ocalić. Ofiaruje zatem takie warunki pokoju, o jakich 15 Lipca o świcie mało kto marzył z Polaków; wtedy pragnęli tylko wszyscy gorąco, żeby odeprzeć najezdców ziemi dobrzyńskiéj, a teraz Krzyżacy sami chcą odstąpić Pomorze, ziemię chełmińską i michałowską, dawne kraje polskie, gdzie jeszcze zawsze rozlegało się brzmienie polskiego języka, zrzekają się świeżo zabranéj Żmudzi, byle tylko ocalić swe panowanie w reszcie ziemi krzyżackiéj. Jagiełło odrzuca jednak te warunki, które Polska, ominąwszy stósowną chwilę, zdobyła sobie dopiero po tylu latach

tyloma wysiłkami nowemi, a kto na to wpłynął? Znów Witołd.

Tymczasem dąży na obronę Zakonu Mistrz Inflancki z posiłkami; Witołd wyrusza przeciw niemu, ale nie korzysta z niewątpliwéj przewagi, nie ściera go na miazgę, nie mierzy się z nim nawet, lecz rozpoczyna z nim układy tajne. Układami temi bałamuci tylko Jagiełłę, który dozwala Mistrzowi Inflanckiemu dostać się do Malborga, w złudnéj nadziei, że namowy jego skłonią Plauena do korzystniejszych dla Polski warunków pokoju. Wzmaga się przez to otucha u oblężonych, a przez Mistrza Inflanckiego, który po kilku dniach z Malborga ustąpił, rozsyła Plauen resztki obfitych skarbów Zakonu dowódcom krzyżackim na skuteczniejsze organizowanie oporu, werbowanie wojsk zaciężnych, utrzymanie ludu w uległości. Późniéj nie chcą już w Malborgu słyszeć o warunkach pokoju, które oblężeni niedawno sami ofiarowali. Oblężenie się przeciąga, słoty jesienne zaczynają trapić wojsko polskie i litewskie, w obozie wybuchają choroby. Wówczas Witołd pierwszy zatrąbił do odwrotu i pospieszył z swém wojskiem na Litwę, w ślad za nim poszli mazowieccy książęta, Jagiełło pozostał sam z uszczuplonemi hufcami polskiemi, nękanemi słotą, zniechęconemi długiém oblężeniem.

Zakon odetchnął, a Jagielle nic nie pozostało niebawem, jak zwinąć oblężenie, obsadzić nielicznemi załogami zdobyte zamki i z resztą wojska powrócić do Polski. W cztery zaś miesiące późniéj, gdy już niektóre twierdze, zdobyte przez Polaków, dostały się napowrót w moc Zakonu, gdy miały się rozpocząć układy o pokój, nie zabrakło znowu Witołda na pograniczu Polski i ziem krzyżackich. Pospieszył z Litwy, by pośrednicząc w pokojowém dziele, ułożyć najkorzystniejsze dla Zakonu warunki, warunki smutnego traktatu toruńskiego, w którym Polsce nic się nie dostało,

a Witołd Żmudź tylko odzyskał, i to jedynie do swéj i Jagiełły śmierci.[2]).

Że też nie wyjednał sobie przynajmniéj trwałego, stanowczego odstąpienia Żmudzi! O tę Żmudź świętą, o tę Żmudź wierną, którą Zakon przed dwunastu laty zagarnął i ciężko uciskał brzemieniem swych żelaznych rządów, wybuchły przecież pierwsze zatargi, z których wywiązała się „wielka wojna“. Tę Żmudź kochał Witołd, to była stara Kiejstuta dzielnica, bolał nad jej utratą i sam rozniecił w niéj groźne przeciw rządom Zakonu powstanie, gdy miał dość siły, żeby je poprzeć skutecznie. Na teraz jednak dość mu było, że ją wyrwał z paszczy Zakonu i do swego państwa przyłączył, a wiedział dobrze, że skoro Zakon się ostał, to jeszcze z nim nie zamknięty obrachunek, i jeszcze zdarzy się sposobność wymódz na nim późniéj trwałe odstąpienie Żmudzi. Tymczasem zaś pośrednictwo jego w układach toruńskich nie mogło Polsce być przykre, skoro i dla siebie nie wyjednał w sprawie Żmudzi zupełnie korzystnych warunków.

Dla czegóż jednak Witołd tak działał! Dla czegóż ta dłoń potężna, która pod Grunwaldem taki cios Krzyżakom zadała, sama tak gorliwie się krząta, by powstrzymać to dzieło zniszczenia? Czem wytłómaczyć tę tak dziwną na pozór sprzeczność?

Aby odpowiedzieć na te pytania, rozważmy tylko, czém był Witołd i do czego dążył, kiedy go „wielka wojna“ odwołała z ojczystéj Litwy na pola Grunwaldu.

Już dawno minęły, przebrzmiały i w zapomnieniu utonęły smutne koleje pełnéj zawodów Witołdowéj młodości, kiedy to syn Kiejstutów, z wiarą młodzieńczą w świat parząc, ufnością swoją niedoświadczoną ku Jagielle przywiódł do zguby ojca, siebie i całą rodzinę. Wymazał już dawno z pamięci piętno krzywd doznanych, zapomniał o krwi ro-

dziców swoich, którą się dłoń Jagiełły zbroczyła; u wstępu do życia jednak, oparzywszy skrzydła lotnego ducha swego w zetknięciu z niegodziwością zdrady, nauczył się jéj od przeciwników i doszedł w technice zdradzieckiéj polityki do prawdziwego wirtuozowstwa, gdy po ciężkich próbach znowu wydobył się na wierzch i do śmiałego lotu skrzydła rozwinął.

Zanim dopiął celu, o którym w chwili upadku ojca może nawet marzyć nie śmiał, kiedy w ciemnicy więziennéj oczekiwał losu starego Kiejstuta, zanim po powtórném pogodzeniu z Jagiełłą zasiadł na litewskim tronie wielkoksiążęcym, poczwórnéj musiał dopuścić się zdrady, a każda z nich pamiętna była i bezprzykładna, bo dwakroć zdradził Litwę, rzucając się w objęcia Zakonu i dwakroć wywiódł w pole Krzyżaków, tych mistrzów zdrady i podstępu. W niczém nie uwydatnia się tak jaskrawo ta giętkość sumienia, którą koleje losu wypielęgnowały, jak w rzeczach wiary i religii, gdzie odstępstwo, zawsze ohydne, tém większą w pojęciach ówczesnych napiętnowane było szkaradą. Z urodzenia bowiem poganin, ochrzczony katolikiem za pierwszego u Krzyżaków pobytu, po powrocie na Litwę został ruskiéj cerkwi wyznawcą, a w chwili chrztu Jagiełły znowu przeszedł w Krakowie na katolicyzm. Że zaś za każdą zmianą religii zmieniał imię zarazem, więc był po kolei Witołdem, Wigandem i Aleksandrem, jakby dla uwydatnienia tém jaskrawszego swéj kameleonowéj natury [3]).

Kłamstwem świat przejdzie, mówi stare przysłowie, ale powrócić nie można. Witołd jednak takim był mistrzem, że nawet ci sami, których już nieraz zdradził, łatwo chwytali się w zastawione sieci, przewidując może, co ich spotka w końcu, byle tylko doznać korzyści, których po związku z jego potęgą spodziewać się mogli. Potęgą był bowiem Witołd zawsze, z którą każdy liczyć się musiał, nietylko

później, kiedy już na Litwie panował, potęgą był nawet w czasie swego tułactwa, gdy ani piędzi ziemi nie mógł nazwać swoją, a pusty trzos napełniać musiał pożyczanym groszem.

Różne czynniki składały się na tę potęgę. Niemało ważył zapewne geniusz Witołda, na którym poznali się najpierw Krzyżacy, mistrze w znajomości ludzi. Ale sam geniusz nie byłby wystarczył, gdyby mu zabrakło środków do rozwinięcia swojej energii. A właśnie środkiem takim dzielnym, który jeden tylko Witołd miał na zawołanie, na którym wszystko budował, była popularność jego imienia, jedyna ale kosztowna spuścizna po Kiejstucie, ukochanym przez całą Litwę bohaterze. Dlatego garną go do siebie Krzyżacy, dlatego stara się go przejednać Jagiełło, choć zna giętkość sumienia w Witołdzie, a sam najlepiej to czuje, że po tylu krzywdach doznanych może w nim zawrzeć silne uczucie zemsty. Dlatego też Witołd w taką wzrasta potęgę, kiedy mogło się zdawać, że w najtrudniejszém był położeniu, bo zerwawszy z Jagiełłą (1390), oddaje się napowrót Krzyżakom, których przed sześciu laty zdradził był sromotnie. A właśnie wówczas Zakon przyjmuje go z radością i mniema, że stanął już u kresu swych marzeń, że groźną unią Polski z Litwą rozbije na zawsze, Litwę pod panowaniem Witołda lennem swojém uczyni a Polskę rozszarpie w kawały z innymi zawistnymi sąsiady [1]).

Że to nie były tak złudne marzenia, najlepszym dowodem postawa Jagiełły i te ofiary olbrzymie, które król polski ponieść musiał, byle znowu przejednać Witołda. Czuje Jagiełło, że go lada czém zadowolnić nie zdoła, jak za pierwszym razem przed kilku laty, więc wszystko oddaje niebezpiecznemu człowiekowi, czego mu tylko mogło się zachciewać i sadza go na tronie wielkoksiążęcym z krzywdą

własnéj krwi, z poniżeniem braci rodzonych, których jako książąt dzielnicowych poddaje pod zwierzchnictwo Witołda, rzucając mu ich na pastwę [5]).

Jeśli taką był Witołd potęgą na lat ośmnaście przed bitwą grunwaldzką, kiedy nic jeszcze nie miał, prócz tych dóbr idealnych, na których się moc jego wówczas opierała, to nie dziw, że tyle wola jego wśród „wielkiej wojny“ ważyła, po dwóch dziesiątkach lat usilnéj pracy nad utrwaleniem swojéj potęgi.

Ale czy to było kapryśnym wybrykiem téj woli potężnéj, że Witołd zachował pognębiony zakon krzyżacki od niechybnéj zagłady? Nie, był to tylko jeden z tych kroków jego genialnéj polityki, które wszystkie zmierzały do zachowania i wzmocnienia zdobytego stanowiska.

Gdy Witołd na tron wielko książęcy wstępował, była Litwa materyałem na wielką w przyszłości potęgę, pełnym olbrzymich zasobów siły, ale materyałem zupełnie jeszcze surowym, który dopiero pod dłonią nowego władcy rozmaite mógł przybrać kształty według pomysłów i planów przezeń wytkniętych. Dla geniuszu Witołda otwarło się rozległe i wdzięczne acz trudne pole działania. Już sam skład litewskiego państwa szczególny był i różnorodny i nie miał nic podobnego sobie w dziejach. Właściwa Litwa, siedziba łotewskiego szczepu, do niedawna pogańska, a świeżo na katolicyzm ochrzczona, ginęła w powodzi okalających ją na wschodzie i południu ziem ruskich, rozległych zdobyczy Gedymina i Olgierda, na których siedzieli książęta dzielnicowi z Gedyminowego rodu, lub gdzieniegdzie jeszcze drobne książątka rodzime, z ruskiéj krwi Rurykowiczów. Żywioł ruski, choć podbity, miał w państwie litewskiém nietylko liczebną ale i cywilizacyjną przewagę, a w stanowisku jego w obec właściwéj Litwy i tronu wielkoksiążęcego zaszedł był w ostatnich czasach zwrot ważny i w sku-

tkach swych nieobliczony. Ochoczo bowiem i łatwo garnęły się ziemie ruskie pod panowanie pogańskich zdobywców litewskich, widząc w ich potędze tarczę przeciw stokroć cięższemu naciskowi hordy tatarskiéj. Nie odpychało Rusi pogaństwo Litwy, zgrzybiałe i blizkie wewnętrznego rozkładu, bo książęta litewscy, panujący nad ruskiémi ziemiami, przejmowali się szybko ruskim wpływem, chrzcili się w wierze ruskiéj i torowali ruszczyznie drogę do rozwielmożnienia się w właściwéj Litwie [6]). Odkąd jednak wielki książę litewski został królem polskim i w Krakowie z braćmi kilkoma przyjął chrzest katolicki, odkąd Litwa sama, z pogaństwa na katolicyzm nawrócona, otrząsła się z wpływu ruskiego, rozwarła się nagle przepaść między dwiema różnorodnémi częściami państwa litewskiego. Łatwo było rządzić rozległém państwem Gedyminowi lub Olgierdowi przez zruszczonych kniaziów ze swego rodu, ale z chwilą wyniesienia Jagiełły na tron polski tradycye dawnéj praktyki już nie wystarczały, nowych dróg trzeba było szukać, i to zadanie przedewszystkiem czekało Witołda.

Siedm lat mijało od krakowskiego chrztu Jagiełły, kiedy Witołd obejmował rządy na Litwie, niepewny jednak i niejasny zgoła był stosunek obydwu państw, unią związanych. Jakże pojmowali tę unią polscy panowie, w których ręku ważyła się przyszłość królestwa, gdy przyszło powziąć postanowienie, czy Jagiełło ma zostać królem? Oto Jagiełło, ofiarując rękę Jadwidze, przyrzekał „wszystkie ziemie swojego państwa, litewskie i ruskie, przyłączyć na wieki do korony polskiego królestwa“ [7]). „Przyłączyć“, to niejasne i elastyczne pojęcie; w Krakowie mniemano niezawodnie, że ziemie litewskiego państwa takie zajmą stanowisko wobec polskiej korony, jak Ruś Czerwona, niedawno przez Kazimierza Wielkiego nabyta. Nie zdawano sobie może jasno sprawy z tego stosunku, ale w każdym razie nikt

nie myślał w Krakowie o równorzędności obydwu państw pod rządami jednego władcy. Jakoż na samym początku wszyscy książęta dzielnicowi litewscy złożyć musieli hołd wierności królewskiéj parze i polskiéj koronie, uznając jej zwierzchnictwo nad sobą. Również i brat Jagiełłów Skirgiełło, obejmując naczelne nad Litwą rządy, został „wiernym lennikiem“ polskiej korony [8]).

Inne od razu stanowisko zajął Witołd w r. 1392. Nie był już namiestnikiem królewskim, lecz wielkim księciem, jak niegdyś Olgierd lub Gedymin, a Jagielle pozostawił tylko czczy zresztą tytuł zwierzchniczego, najwyższego księcia. Przysiągł wprawdzie, że polskiéj korony nie opuści nigdy i walczyć będzie z jej nieprzyjaciołmi, ilekroć się zdarzy potrzeba. O hołdzie wierności jednak, o stosunku uległości i lennictwa nie było już wzmianki w układach, wskutek których syn Kiejstutów wstąpił na tron wielkoksiążęcy [9]).

Rozumiał to jednak dobrze, że po dawnemu Litwą rządzić już nie była pora. Na dzielnicach ruskich siedzieli kniaziowie z Gedyminowego rodu jak za dawnych czasów, na najznaczniejszych bracia rodzeni Jagiełły, rozdrażnieni pokrzywdzeniem krwi Olgierdowej, na Witołda zawzięci. A byli to jak przed laty książęta zruszczeni, cerkwi wschodniej wyznawcy gorliwi, lgnęła do nich więc Ruś, której rządy im powierzono i oni lgnęli do Rusi. W zawiści ku wielkiemu księciu katolikowi, zrażeni katolicyzmem Litwy, byleby się połączyli tylko i stanęli na czele ruskich żywiołów, a nie daliby Witołdowi długo panować.

Na nich więc najpierw gotuje Witołd zamach — to pierwszy krok jego rządów. Skirgielle, który mu z Wilna musiał ustąpić, przyrzeka Kijów, gdzie panował drugi brat Jagiełłów Włodzimierz, wróg niebezpieczny, bo Rusin zawzięty. Wyparłszy zaś Włodzimierza, który aż do Moskwy

się schronił, i Skirgiełły pozbył się łatwo po kilku miesiącach, dzięki usłużnemu czerńcowi, który kijowskiemu księciu w czas podał truciznę. Tymczasem i na innych przyszła kolej. Korybuta wygnał z Nowogrodu Siewierskiego, Swidrygiełłę z Witebska. Na opróżnionéj dzielnicy siewierskiéj osadził Teodora Lubartowicza, i usunąwszy go tak z ziemi wołyńskiej, przyłączył do swoich dzierżaw to ważne pogranicze, stykające się z Polską. I Podole wreszcie zagarnął, „tę ziemię obiecaną, mlekiem i miodem płynącą“, która przed laty czterdziestu na Tatarach zdobyta, pod rządami Koryatowiczów podniosła się już z ruiny i opustoszenia i słynąć poczęła bogactwem; ostatni książe podolski z rodu Koryatowiczów poszedł do Węgier na wygnanie, chroniąc się za górami przed groźną dłonią Witołda [10]). Nie dość to było w końcu synowi Kiejstuta, że ruscy kniaziowie smoleńscy z rodu Rurykowego od lat kilku shołdowani, uznawali nad sobą zwierzchnictwo Litwy; skoro się poczuł na siłach, wyparł ich także z ojcowskiej dzielnicy, zaznaczając wyraźnie zaborem Smoleńska, że zmierza do zjednoczenia wszystkich ziem ruskich pod swojém panowaniem [11]).

I wszystko to zdziałał Witołd w trzech pierwszych latach od wstąpienia na tron książęcy. Od źródeł Wołgi i Dźwiny rozciągały się jego dzierżawy w głąb naddniestrzańskich stepów, a z nikim nie dzielił panowania nad niemi, pozbywszy się jednym zamachem niebezpiecznych rywali, zawistnych książąt dzielnicowych. Pozostały tylko gnieniegdzie drobne książątka ruskie i litewskie, z rodu Ruryka i Gedymina, na Drucku, Ostrogu, Zasławiu, Pińsku, Nieświeżu itp., potulne i pokorne, płaszczące się przed potęgą Witołda, bo mało co nad możnych bojarów wznosiło się ich znaczenie. Wysługiwali się, jak mogli wielkiemu księciu, drżąc z obawy, aby lichych dzielnic nie postradać,

niemało było bowiem książąt z krwi Gedymina, którzy bez żadnego uposażenia przebywali na dworze Witołda [12]).

Czemże była w obec tej potęgi Polska, któréj wszystkie ziemie wygodnie byłyby się mogły zmieścić na trzeciej części obszaru Witołdowych dzierżaw, czemże był wobec wielkiego księcia sam Jagiełło, z imienia tylko jego zwierzchnik, na polskim tronie skrępowany wolą możnych panów, z których łaski otrzymał koronę? Jakże w ciągu tych lat kilku zmienił się stosunek polskiéj korony do Litwy! Przed laty dziesięciu niespełna wszystkie dzielnice rozdrobnionego państwa litewskiego słaniały się do stóp polskiego tronu i hołd składały polskiéj koronie, uznając jej zwierzchnictwo nad sobą. Teraz cały rozległy obszar tych wszystkich dzielnic, zjednoczony pod jedynowładczem panowaniem genialnego Kiejstutowicza, rozszerzony nowemi zaborami, górował potęgą nad polskiem królestwem; teraz nie było mowy o wierności lenniczéj, o wcieleniu ziem litewskich i ruskich do polskiéj korony. Jakąż korzyść widzieli polscy panowie w wyniesieniu Jagiełły na tron, okupionem ofiarą Jadwigi, zerwaniem jej ślubów z prawowitym małżonkiem? Tylko króla mieli neofitę, którego zawistni sąsiedzi czernili przed całym światem jako ukrytego poganina na hańbę polskiéj korony.

Mniejsza wreszcie o tę hańbę, i zawód można było przeboleć, byle tylko stanowisko Witołda nie zagrażało najżywotniejszym interesom politycznym państwa i kierującéj niem arystokracyi. Ale i o to nawet, o to przedewszystkiem troszczyć się wypadało. Panowie małopolscy, którzy stér rządów w ręku trzymali, wyszli byli przeważnie ze szkoły Kazimierza Wielkiego lub żyli tradycyami jego politycznych zamysłów. Nie zapominali, że wielki król bolesne straty na zachodzie północnym zamierzał powetować rozszerzeniem granic na wschodzie, że na to właśnie zawarł

z Krzyżakami pokój, aby swobodniéj na Rusi się rozwielmożnić. W tym kierunku polityki zasmakowali szczególnie, poznawszy dobrze w ciągu lat pięćdziesięciu, jak korzystném polem były ruskie zabory do szybkiego rozmnażania fortun możnowładczych, i ten wzgląd niezawodnie ważną rolę odegrał w osadzeniu Jagiełły na tronie. Pamiętali więc dobrze, że król Kazimierz nietylko zajął Ruś Czerwoną, ale przyłączył do niéj nadgraniczne powiaty Podola i w walkach z Lubartem część Wołynia zagarnął. Stąd przedewszystkiem urosły pretensye do Podola i Wołynia, stąd zaczęto uważać obie te ziemie za zdobycz Kazimierza, którą przywrócić należało Polsce [13]). Tymczasem przyszło na to patrzeć, jak Witołd powyrzucał wprawdzie z Podola i Wołynia książąt litewskich, ale w tym tylko celu, żeby oba te kraje błogosławione tém silniéj z swojem państwem związać. Mieli więc powód małopolscy panowie krzywo patrzeć na potęgę Witołda, razem z królową Jadwigą, dotkniętą tem boleśniej, że jej ofiara bohaterska, jej poświęcenie dla dobra Polski takim się opłaciły zawodem.

Możnaby sądzić, że Witołd mało dbał o to, co w Polsce o nim myślano, skoro zjednoczył w swym ręku taką potęgę, w obec której Polska niknęła, że mógł ostać się o własnych siłach, obejść się bez łączności z Polską i zerwać węzły unii, świeżo zawiązanej. Nie samym jednak rozmiarem stoją państwa, nie samą rozległością granic. Ogrom Witołdowej monarchii na kruchych jeszcze opierał się podstawach, jedyną dźwignią potęgi tego olbrzyma był geniusz wielkiego księcia. Był to typowy okaz wielkiego państwa wschodnich zdobywców, które wznosi się szybko i urasta w górę, jak gdyby czarodziejską siłą budowane, ale też za pierwszem silniejszem wstrząśnieniem runąć może i rozsypać się w gruzy, gdy od genialnego zdobywcy odwróci się szczęście. Wiele jeszcze pozostawało Witołdowi

do spełnienia, żeby temu państwu, olbrzymiemu na zewnątrz, przysporzyć zasobów siły wewnętrznéj, któreby surowemu materyałowi nadały trwałości i hartu, żeby barbarzyńską monarchię o typie oryentalnym zwrócić na tory państw cywilizowanych, żyjących tradycyą trwałego bytu, owocami długiego organicznego rozwoju. Wiedział zaś Witołd, gdzie tych sił zaczerpnąć, wiedział to z nauki nabytej w ciężkiej szkole życia, z dwukrotnego pobytu na dworze Mistrzów krzyżackich. Tam poznał typ zachodniego państwa, zagospodarowanego wzorowo, tam zetknął się z kwiatem rycerstwa i inteligencyi najbardziéj rozwiniętych narodów zachodniéj Europy, tam przejrzał i uczuł głęboko, jakie sił moralnych zasoby tkwiły w cywilizacyi zachodniego, katolickiego świata, bogatéj długowiekowym rozwojem. A pierwiastki tej cywilizacyi zaszczepiła już na Litwie Polska wprowadzeniem katolicyzmu, zasiała pierwsze jej ziarna, Polska więc była spichrzem, z którego Litwie długo jeszcze trzeba było pożyczki zaciągać dla dalszej tych pierwiastków uprawy, przez Polskę jedynie wiódł pomost na Zachód, z którym Witołdowi tak spieszno było się zespolić.

Nie lekceważył sobie zatem Witołd Polski, choć trzykroć mniejszej od swego państwa obszarów, i nieobojętném mu było, ścisły z nią związek utrzymać. Widział jednak jasno, że zamiary magnatów, rządzących Polską, godziły prosto w byt jego państwa, że między jego planami a polityką tych panów rozwierała się przepaść nie do wyrównania. Skoro więc tylko na Litwie pozbył się niebezpiecznych książąt dzielnicowych, wytknął sobie cel dalszy, a celem tym było złamać w Polsce potęgę swoich nieprzyjaciół i za jakąbądź cenę zdobyć sobie wpływ na wewnętrzne sprawy polskiego królestwa.

Najznaczniejsi wpływem i znaczeniem polscy panowie w dygnitarskiém kole utrzymali na tronie Jadwigę wśród

zamieszek po zgonie króla Ludwika a dając jej Jagiełłę za męża, opanowali wszechwładnie króla i królowę. Pomiędzy nimi jaśniał najświetniej ród Leliwitów, Melsztyńskich i Tarnowskich, zarówno tą zasługą wobec pary królewskiéj, jak i fortuną olbrzymią, któréj źródłem głównem były bogactwa, na Rusi zebrane. Głową tego rodu był najmożniejszy z małopolskich magnatów, Spytek z Melsztyna, pan trzech miast i wsi trzydziestu z górą, porozrzucanych po całéj Małopolsce, pan rozległéj Samborszczyzny na Rusi, którą go Jagiełło świeżo obdarzył. Spytek to głównie przed laty kilkunastu stanął na drodze księciu mazowieckiemu Ziemowitowi do polskiego tronu i słusznie powiedziano, że Spytkowi Polska zawdzięcza Jadwigę [14]). Nie dziw więc, że głos Spytka najwięcéj ważył w Polsce w pierwszych latach Jagiełły, więcéj jeszcze niż wówczas, kiedy możny pan małopolski rozrządzał tronem. Na Rusi wzrosła Melsztyńskich potęga, na Rusi ją sam Spytek w dwójnasób pomnożył, że zaś z rosnącém bogactwem idzie zwykle w parze pragnienie rozrostu fortuny, był więc przywódcą przeciwników Witołda, który kres położył rozszerzeniu polskich granic na Rusi. Przejednać zatém Spytka i z przywódcy wrogów uczynić go powolnym polityki swojéj organem, to było godne Witołda acz trudne zadanie, na które ofiar nie myślał szczędzić.

I w istocie dopiął Witołd celu. Posłużyła do tego niedawna zdobycz na Teodorze Koryatowiczu, owa „ziemia obiecana“ polskich magnatów, Podole. Wschodnią część Podola zachował sobie wielki książę, zachodnią naddniestrzańską otrzymał Spytek jako lenne, dziedziczne nadanie (1395) i zrównał się przez to z litewskimi książętami dzielnicowymi z krwi Gedyminowej, wzniósł się nawet nad nich wszystkich, gdyż pośród ówczesnych książąt druckich, zasławskich, ostrogskich, słuckich, nieświezkich żaden się mierzyć nie

mógł z księciem naddniestrzańskiego Podola [15]). W Polsce krzyk na to powstał, Spytek postradał względy królowej Jadwigi, odwrócili sic od niego liczni towarzysze w dygnitarskiem kole, interes polityczny i zazdrość osobista wzniecila w nich zawiść ku odstępcy, który do Witołdowego przeszedł obozu [16]). Tem pewniej za to mógł Witołd liczyć na możnego pana, który dość silną był potęgą, żeby stawić czoło królowej i przeciwnikom zawistnym. Wyniesienie Spytka nie pozbawiło go bowiem dostojeństw, które w Polsce piastował, książę Podola pozostał nadal wojewodą i starostą krakowskim, a przebywając przeważnie w Polsce, z Witołdem ściśle związany, mógł działać skutecznie na jego korzyść. I Jagiełło wreszcie, mając Spytka za sobą, mógł śmielszą przybrać postawę wobec królowej i innych magnatów, których jarzmo już ciężyć mu poczynało. Jakoż niebawem rozeszły się głuche wieści, że królowa Jadwiga, wierna orędowniczka dążności swych przyjaciół, Witołdowych przeciwników, popadła w niełaskę u króla [17]). A w ślad za tem poszła inna jeszcze, groźniejsza dla Polaków pogłoska, że Jagiełło, przez Witołda zupełnie zjednany, zamyśla u papieża wystarać się dla niego o królewską koronę [18]).

Był to dwunasty rok rządów Jagiełły, rok 1398, kiedy te różne krążyły nowiny. Witołd stał silnie, jak nigdy przedtém; w kole dygnitarskiem, grupującem się koło królowej Jadwigi, ciężkie panowały troski. Czas już był stanowczym krokiem oczyścić duszną atmosferę, przywrócić między Polską a Litwą dawny stosunek z przed laty dwunastu, lub przynajmniej Witołda przyprzeć do muru i przekonać się o jego istotnych zamysłach. Odezwała się zatem do niego królowa Jadwiga. Ziemie litewskie i ruskie swoją nazwała własnością, swojem wianem, które jej ofiarował Jagiełło przy ślubie, i zażądała z nich od Witołda trybutu [19]).

Tego było za wiele. Witołd cenił wysoko związek Litwy z Polską, ale zanadto był dumny, żeby ten drogi dla państwa swego klejnot takiem okupywać upokorzeniem, i to w chwili, kiedy mu wszystko się wiodło, kiedy coraz wyżej się wznosił ku szczytowi swych marzeń. Przyjął więc rzuconą rękawicę, zwołał książąt i bojarów Litwy i Rusi, pokazał im list królowej i zapytał śmiało, czy chcą Polsce hołdować, czy będą jej trybut płacili? Odezwali się na to, że nigdy ich przodkowie nie składali trybutu Polakom, i że Ruś i Litwa wolność starą zachowa.

W lot pośpieszył Witołd, żeby godną dać odpowiedź królowej, jeszcze przed rozmową z bojarami rozpocząwszy tajne z Zakonem układy. Groźnie bowiem zajątrzył się wówczas stosunek Polski do Krzyżaków, Zakon zagarnął ziemię dobrzyńską, wziąwszy ją w zastaw od księcia opolskiego, lennika polskiej korony, znów w głąb ziem polskich wpijali się Krzyżacy, na niczem pełzły wszelkie rokowania o zwrot dobrzyńskiej ziemi [20]). W tej zatem chwili, kiedy na horyzoncie coraz widoczniej ukazywało się widmo bliskiej wojny krzyżackiéj, Witołd zawiera ścisły sojusz z Zakonem, ciężką go okupując ofiarą. Przystaje na to, o co napróżno przez lat tyle domagał się Zakon, odstępuje mu Żmudź całą, właściwą swoję ojcowiznę, byle tylko zagrzebać wszelkie zatargi z Zakonem i wrogów Polski zostać sojusznikiem. Tak wśród wód Niemna, na salińskim ostrowie, stanął ów pamiętny sojusz 12 Października 1398 r. Żeby zaś pokazać wyraźnie, jakie było tego aktu znaczenie, bojarowie obecni na zjeździe pokojowym obwołali Witołda królem Litwy i Rusi. Kości były rzucone, unia zerwana [21]).

Nie spieszył się jednak Witołd z koronacya, wprzód inne trzeba było spełnić zamysły, bo gotował właśnie wielką na Tatarów wyprawę. Dwa wieki już blisko mijało, jak nad ziemiami ruskiemi zaciężyło jarzmo tatarskiej hordy

i ciężyć nie przestawało nad wschodem Rusi. Zgnieść więc hordę na miazgę, albo narzucić jej swego panowania jarzmo, rozpostrzeć państwa swego granicę po brzegi Morza Czarnego i w spuściźnie po hordzie ująć w swoje ręce zwierzchnictwo nad Moskwą, Twerem i resztą Rusi jeszcze niepodbitą — to było zadanie, godne nowego króla ruskiego. Jeśli zaś chodziło o godność królewską, o uroczyste dopełnienie aktu, dokonanego na salińskim ostrowie, to któż mógł się papieżowi, rozdawcy koron wydać godniejszym królewskiego tronu od potężnego pogromcy Tatarów. A Polska? Któż może zbadać, co się miało stać z Polską według zamysłów Witołda, skoro nad całym Wschodem zapanuje.

Cała zatem moc zbrojna Witołdowego państwa wyruszyła w roku następnym w stepy naddnieprzańskie, wszyscy kniaziowie litewscy i ruscy, podwładni wielkiemu księciu i najznaczniejszy w ich gronie, książę podolski Spytek z Melsztyna był w orszaku Witołda. W głębi stepów nadmorskich, na lewym brzegu Dniepru, nad Worsklą, stoczyła się krwawa bitwa dnia 12 Sierpnia 1399 i zakończyła się straszną klęską Witołda, zupełnem rozbiciem jego wojsk różnorodnych [22]).

Im śmielsze były Witołda plany, tem więcej go ten pogrom przygnębił. W przededniu bitwy mówił w odezwie do chana, że Bóg mu nad całym światem dał panowanie, w szybkiej ucieczce z nad Worskli nie wiedział może, czy się na Litwie utrzyma. Było to bowiem silne wstrząśnienie, jedno właśnie z tych wstrząśnień, wśród których zwykły walić się i przepadać państwa tego typu, jakiem było jeszcze wówczas państwo Witołdowe. Nie upadł wprawdzie Witołd, ale runął król Litwy i Rusi, akt przeszłoroczny na ostrowie salińskim poszedł w zapomnienie.

Jak silnego jednak wstrząśnienia doznało stanowisko Witołda, widać to jasno w następnych latach. Ledwie za-

schła krew na pobojowisku nad Worsklą, a Witołd powraca na stanowisko, jakie zajmował przed r. 1398; czując się zgnębionym i zachwianym, nietylko o zerwaniu z Polską nie myśli, ale i do wszelkich ustępstw staje się skłonniejszym. Niweczy zatem własne dzieło, które wzniósł dla zerwania z Polską, łamie sojusz z Zakonem, na Żmudzi podżega powstanie i niebawem znów na granicach walczy z Krzyżakami [23]). Na salińskim ostrowie unia była pogrzebaną, teraz sam Witołd ją odnawia, sam przykłada rękę do pierwszego uroczystego aktu unii, przyrzeka bronić wiecznie Polski przeciw wszystkim nieprzyjaciołom, króla, korony i obywateli królestwa nigdy nie opuścić. I przed tém się nawet nie wzdryga niedawny twórca chwilowej odrębności zupełnej litewskiego państwa, że do aktu unii włożono wyraźne postanowienie, jako po śmierci jego wszystkie ziemie litewskie powrócić mają do polskiej korony i ściśle się z nią połączyć [24]).

Najlepszą zaś illustracyą zachwianego stanowiska Witołda po bitwie na Worsklą jest dalszy przebieg sprawy podolskiej. Spytek bowiem poległ w tym krwawym boju, a Witołd nie zdołał temu przeszkodzić, że Jagiełło, litując się nad wygnanym bratem Świdrygiełłą, oddał naddniestrzańskie Podole temu wichrzycielowi, który silnie na ruskim opierając się żywiole, ze wszystkich potomków Gedymina najgroźniejszym dla wielkiego księcia był rywalem. Niedługo wprawdzie zabawił na Podolu Świdrygiełło, bo knując wrogie przeciw Witołdowi zamysły, po kilku miesiącach umknął do Krzyżaków, kiedy z nimi na dobre już toczyła się wojna. Wówczas jednak — i to właśnie było znakiem czasu — wcielono do Polski bogatą spuściznę po Spytku i Świdrygielle, w myśl polityki małopolskich magnatów, i polscy starostowie zajęli ziemię naddniestrzańską, posuwając granice Polski na wschód od kresów Rusi Czerwonej [25]).

Ale czy rzeczywiście ugiął się tak dumny syn Kiejstuta i oddany w następnych latach wyłącznie zaborczej polityce wobec Moskwy, Pskowa i Nowogrodu zarzucił zupełnie dawne zamysły? Nie, Witołd zwrócił się ku wschodowi Rusi, bo i tam ważne czekały go zadania, a tymczasem czekał, aż się chwila stosowna nadarzy, kiedy się wzmocni i znów ugruntuje straconą przewagę nad Polską. Odkąd zaś zabrakło Spytka z Melsztyna, ster rządu znów był w Polsce wyłącznie w ręku Witołdowych przeciwników, których antagonizm nie wygasł z wcieleniem zachodniej części Podola, bo nie o samo Podole chodziło im w stosunku Polski do Litwy. W grobie już spoczywała królowa Jadwiga, ale tradycye jej żyły w tem samem kole dygnitarskiem, które ją niegdyś pchnęło do śmiałego wyzwania Witołda, a w którem teraz rej wodził powiernik zmarłej Piotr Wysz, możny biskup krakowski, jeden z najwybitniejszych wielkiego księcia przeciwników.

Znosił to wszystko Witołd cierpliwie, znosił do czasu, Przewidywał wielką, straszną burzę, której wybuch już groził od dawna, czekał na wojnę krzyżacką, w której go Polska będzie potrzebować.

Teraz łatwo nam będzie pojąć myśl zasadniczą polityki jego po bitwie grunwaldzkiej. Wiedział Witołd, że nieraz jeszcze ostro przyjdzie mu się zetrzeć z polityką polskich magnatów, że będzie musiał żądać od nich ustępstw, a ustępstwa takie w drodze pokojowej, bez wojny otwartej i krwi rozlewu w takim razie sobie tylko wywalczy, jeśli go Polska nadal potrzebować będzie. Najlepiej zaś mogła Polska poznać, czem był dla niej Witołd, czem była Litwa dla niej, właśnie pod Grunwaldem. A więc zachować trzeba Zakon od zupełnej zagłady, aby zaczerpnął sił z domów swoich i komandorstw, porozrzucanych po Niemczech, i w krótkim czasie odrodził się z popiołów, utrzymać go nawet

w posiadaniu Pomorza i ziemi chełmińskiej, żeby nadal nie brakło przedmiotów do sporu i wojny, w której Polska znów będzie potrzebować Witołda, bo sama nie podoła Krzyżakom.

I rychło zebrał obfite plony z tego zasiewu. Rok po roku odtąd znaczy się doniosłemi faktami, w których Witołd utrwala swoją przewagę nad Polską silniej niż przed bitwą nad Worsklą. Ster polityki polskiej z pieczęcią kanclerską oddaje w ręce Jastrzębca, który jemu wszystko zawdzięczając, staje się powolnem jego zamysłów narzędziem; Wysz upada, zepchnięty na podrzędną stolicę poznańską, ustępuje Jastrzębcowi wpływowego biskupstwa krakowskiego, Podole nawet wraca do Litwy a unia horodelska na nowych podstawach opiera stosunek obu państw połączonych [26]).

Wiemy zatem, o czém rozmyślał Witołd w nocy po bitwie grunwaldzkiej. Czyli jednak z tych uwag nie uderzy nas jakiś ton fałszywy, który dotknie boleśnie tradycyi wypieszczonej i ukochanej od lat dziecięcych? Myśmy przywykli uważać unię za najświetniejszą kartę naszych dziejów, za wypadek, którym każdy naród szczycić się może przed światem, a tu pokazuje się, że ta unia w samym zawiązku takę zaporą stanęła w spełnieniu naszych najgorętszych życzeń, że nie dozwoliła nam zerwać dojrzałych owoców Grunwaldu. Czyż więc żałować tej unii? Nie, zaprawdę żałować jej nie będziemy. Już niech to samo nas z błędu wywiedzie, że bez tej unii, bez Litwy i bez Witołda, nie byłoby Grunwaldu. Cokolwiek nas unia kosztowała, choć tyle sił z jądra Polski na wschód odciągnęła, nie będziemy jej nigdy żałować, bo sąd historyi musi nam ją zaliczyć do największych naszych zasług dziejowych. Cokolwiek nas kosztowała unia, ziemia Witołdowa zapłaciła nam to sowicie, cywilizacyi naszej dała nowe siły, bez których nie bylibyśmy tem, czem jesteśmy, dała nam bohatera, który w stra-

sznej chwili uratował honor narodu, dała wieszcza, który podniósł i uzacnił nasze społeczeństwo. I dziś mogiła tego wodza, rękami narodu usypana, wznosi się nad tym samym Krakowem, który w owych czasach był ogniskiem wrogich Witołdowi zamysłów, dziś w tym samym Krakowie stanie pomnik tego wieszcza wdowim groszem całego narodu.

PRZYPISKI.

[1]) Długosz, Hist. Pol. IV. 64.

[2]) O oblężeniu Malborga Długosz, Hist. Pol. IV. 75 — 88. Caro nie uwzględnia (Geschichte Polens III. 326) wiadomości Długosza o warunkach pokoju, które Henryk von Plauen Jagielle ofiarował, powołując się w cytacie tylko na pismo Wielkiego Mistrza, w którem bynajmniéj nie ma zaprzeczenia téj wiadomości. Pismo to raczéj pośrednio potwierdza wiadomość Długosza, a przynajmniéj przemawia za jéj wiarygodnością. Dokumenta pokoju toruńskiego z 1. Lutego 1411 w Dogiela Cod. dipl. Polon. IV. 84 i Raczyńskiego Cod. dipl. Lithuan. 129. O zachowaniu się Witołda wobec układów toruńskich Długosz, Hist. Pol. IV. 118.

[3]) Ob. Prochaska, Codex diplomaticus Vitoldi Nr. 13, 15, Kron. Wiganda z Marburga. Scriptores rerum Prussicarum II. 628. Joh. von Posilge, tamże III. 308., Długosz, Hist. Pol. III. 460. Przechodząc na ruskie wyznanie otrzymał Witołd imię Aleksandra i nie zmienił go już, powracając do katolickiego kościoła w Krakowie r. 1386.

[4]) Ob. Joh. von Posilge l. c. 162, Codex diplomaticus Vitoldi Nr. 63, 64, 67, 98, 70. Por. Caro, Geschichte Polens III. 96 nast. i 120 nast.

[5]) Prochaska, Codex diplom. Vitoldi Nr. 92, Cod. epistol. saec. XV. Nr. 18, Ob. Caro, Gesch. Polens III. 111 nast.

[6]) Por. Stadnicki, Olgierd i Kiejstut. 117 nast. i 131 nast.

[7]) Dokument Jagiełły z 14. Sierpnia 1385, Codex epistolaris saec. XV, Nr. 3: Demum etiam Jagalo, saepedictus dux, promittit terras suas Lithuaniae et Russiae coronae regni Poloniae perpetuo *applicare*. Długosz, Hist. Pol. III. 460. Jagello (przy ślubie z Jadwigą) terras Lithuaniae, Samagittiae et Russiae, in quibus habebat naturali jure et acquisito dominium merum et mixtum, ditioni suae parentes, regno Poloniae perpetuo inscripsit, univit, invisceravit, adjunxit et incorporavit.

[8]) Dokument Skirgiełły z 18. Czerwca 1387, Prochaska, Codex dipl. Vitoldi Nr. 33, dokumenta innych książąt litewskich z lat 1386 i 1387, tamże Nr. 24, 27, 28, 29, 30, 37, 40, 43, 48 (ostatnie cztery z r. 1388).

[9]) Nie znamy dokumentu Witołda o układzie z r. 1392, zachowały się tylko dwa dokumenta żony Witołda Anny (Prochaska, Cod. diplom. Vitoldi Nr. 92, Cod. epist. saec. XV, Nr. 18) z 5. Sierpnia, w którym przyrzeka, że Witołd wypełni wszystkie warunki układu, et specialiter, quod idem dominus Alexander alias Witold, consors noster carissimus, regnum ac regni coronam Poloniae nunquam debet deserere, neque sui posteri, immo cum praefato domino Vladyslao rege stare ac pugnare contra ipsius adversarios ac emulos, quociens se locus obtulerit, perpetuis temporibus affuturis. O dokumencie Witołda, dziś zaginionym, znajduje się wzmianka w obydwóch dokumentach Anny. Tytułów najwyższego i wielkiego księcia nie przestrzegano z wszelką ścisłością, ob. jednak dla przykładu Cod. dipl. Vitoldi Nr. 115, 117, 125, Cod. epistol. Nr. 21 i inne.

[10]) Stadnicki, Bracia Władysława Jagiełły 45 nast., 116 n., 278 n., 307 nast., Stadnicki, Koryat Gedyminowicz i Koryatowicze w Rozpr. Wydz. filozof. Akademii Umiejętności w Krakowie, VII., 35 n., 49.

[11]) Caro, Geschichte Polens III. 199 (279).

[12]) Ob. Szajnocha, Jadwiga i Jagiełło III. 312 i 320 (I wyd.), gdzie według kronik ruskich wymienieni są niektórzy kniaziowie, którzy walcząc nad Worsklą pod wodzą Witołda, polegli w bitwie. Liczne przykłady książąt Gedyminowiców niewyposażonych podaje Stadnicki l. c.

[13]) Ob. Stadnicki, Koryat Gedyminowicz i Koryatowicze l. c. 5 nast.

[14]) Szajnocha, Jadwiga i Jagiełło II. 127 nast. Por. Turkawski, Spytko z Melsztyna, wojewoda krakowski, założyciel Sambora str. 40, gdzie wymienione są posiadłości Spytka z Melsztyna.

[15]) Dokument Jagiełły z 13. Czerwca 1395, Prochaska, Codex diplom. Vitoldi Nr. 115. Z dokumentu tego, świeżo wydanego, jako z najważniejszego źródła o osadzeniu Spytka na Podolu naddniestrzańskiém, przytaczamy następujące główne ustępy: castra nostra Camenecz, Smotricz, Czirwonigrod, Scala et Bacota in terra nostra Podoliae sita, cum eorum omnibus oppidis, civitatibus, munitionibus, suburbiis districtibus, villis.... et specialiter pleno jure ducali, quo ceteri nostri duces Lithuaniae et Russiae frui soliti sunt.... nihil prorsus juris seu dominii praeter infrascripta pro nobis aut pro nostris successoribus in eisdem castris reservando, dicto Spitheoni militi, suis liberis, heredibus et legitimis successoribus donatione perpetua et irrevocabili dedimus, donavimus itd. Districtus tamen Medzibosze, Bozske et Vinnicza cum ipsorum omnibus pertinentiis et juribus pro nobis et nostris successoribus totaliter reservamus; decernentes etiam et volentes, quod non obstante donatione huiusmodi, districtus Trebovliensis et Sczenca observentur circa jura ea, in quibus tempore felicis et eterne recordationis incliti Casimiri Regis Poloniae nostri praedecessoris et Ladislai ducis Oppoliensis alias tenutarii illarum partium observabantur. Ratione cujus donationis ipse Spytheo miles, sui liberi ac heredes ac successores legitimi, nobis et nostris successoribus, regibus Poloniae, pro tempore, prout alii nostri duces Lithuaniae et Russiae, dum requisitus vel requisiti fuerit vel fuerint, servire perpetuo eneantur. — Kronika litewska, wydana przez Daniłowicza 52: Tohda pan korol poczał prositi kniazia welikoho Witowta, rekuczi: miłyj brate, dał tobi Boh, dobył jesi podolskoj zemli, uczini mi tuju czest, daj mi podolskuju zemliu. Kniaź welik¡ Witowt dał podolskoj zemli połowinu koroliu, w dwatsiati tysiaczech, dał Kameneć, a Smotricz i Skału, a Czerwenij horo-

dok, a Bakatu. A na inych na wsiech podolskich ziemlach i horodech, kniaź weliki Witowt swoi starosty posażał, na Briastowli, i na Sokoci, i na Weniri. A korol tyje horody wo dwasiati tysiaczech panu Spytku zastawił. — Długosz, Hist. Pol. III. 519. Commendabili donatione narrata, reprehensibilem et perniciosam, cum sub eodem tempore acciderit, subnectemus. Precibus Spithconis de Melsthin palatini Cracoviensis Vladislaus Poloniae rex pervictus, terram notabilem, melle, lacte et pecore refertam, Podoliam, quam Casimirus secundus Poloniae optimus rex armis et ferro de Thartarorum potestate et manibus quaesierat, praefato Spithkoni palatino Cracoviensis inscriptione perpetua sed feudali, Hedvigi Poloniae regina praelatis quoque et baronibus regni nequicquam improbantibus et dissuadentibus, ea tamen conditione, ut ex illa regibus et regno Poloniae ut feudalis et vasallus assidua praestet officia donat. Quae quidem donatio Hedvigi reginae et toti consilio gravis, iujuriosa et onerosa, ab omnibus etiam odio et ludibrio habita est, propter quod durare non poterat, sed velut fumans stipula contrita periit, et praefata terra Podoliae cum omni dominio suo mero et mixto, proprietati Poloniae regni reddita est. Przez odszukanie przytoczonego powyżéj dokumentu potwierdziła się najzupełniéj wiadomość Długosza. Wytknąć jéj można jedynie tę niedokładność, że Długosz używa ogólnego wyrażenia *Podolia terra notabilis*, bez wzmianki wyraźnéj, że Spytek otrzymał tylko Podole naddniestrzańskie. Dość jednak przytoczyć na usprawiedliwienie Długosza, jak nieokreślone było w owym czasie geograficzne pojęcie Podola, jak powszechnie w Polsce *pars pro toto* była w modzie, jeśli o Podolu mówiono. Por. Stadnicki, Koryat i Koryatowicze l. c. 5 nast. Niejasna jest wzmianka kroniki litewskiéj o 20,000 (czego? groszy, jak chce Caro, Gesch. Polens III. 194, czy grzywien, czy kóp groszy praskich, jak sądzi Turkawski l. c. 47, czy też może florenów węgierskich?). Gdyby Jagiełło w téj sumie zagadkowéj zastawił rzeczywiście Podole naddniestrzańskie Spytkowi z Melsztyna, trudno byłoby jeszcze wytłómaczyć wiadomość Długosza, podaną pod r. 1403 (powinno być 1401, ob. Joh.

von Posilge l. c. 244). Hist. Pol. III. 554: Wladislaus Poloniae rex terram Podoliae, a relicta Spithconis de Melsthin et filiis suis Johanne et Spithcone, solutis ex pacto quinque marcarum latorum grossorum Bohemicalium millibus*) liberatam... Gdyby bowiem owa suma miała oznaczać 20,000 groszy (jakkolwiek tak nigdy nie liczono) równałaby się 416 $^1/_2$ grzywien (ob. Piekosiński, o moneeie i stopie menniczéj w Polsce w XIV i XV wieku str. 19), 20,000 kóp groszy = 25,000 grzywien, a 20,000 florenów węg. = 8,350 grzywien (ob. Piekosiński l. c. 234). Niepodobna jednak przypuścić, że Spytek otrzymał Podole naddniestrzańskie w drodze zastawu, skoro w dokumencie Jagiełły powyżéj przytoczonym nie ma o tém żadnéj wzmianki, a przeciwnie nadanie nazwane jest *donatio perpetua et irrevocabilis*. Jeśli więc Jagiełło wypłacił spadkobiercom Spytka sumę 5000 grzywien, uczynił to wskutek osobnego układu *(ex pacto)*, w którym spadkobiercy zrzekli się za tę sumę Podola naddniestrzańskiego, nadanego dziedzicznie Spytkowi. Z dokumentu Jagiełły wynika zaś jasno, że Spytek otrzymał Podole naddniestrzańskie *cum pleno jure ducali, quo ceteri duces Lithuaniae et Russiae frui soliti sunt*, i przyjął na się te same obowiązki, *prout alii duces Lithuaniae et Russiae*. Zrównany zatem został z innymi książętami udzielnymi, litewskimi i ruskimi, a wskutek tego zajął takie samo jak oni stanowisko w stosunku do Jagiełły i Witołda. Nic zaś dziwnego, że w nadaniu o Witołdzie nie ma żadnéj wzmianki, gdyż dokument wydaje Jagiełło, *Lithuaniae princeps supremus*. Zresztą dokument en wystawia kancelarya polska w Krakowie, której z pewnością nie zależało na wyraźném zawarowaniu praw Witołdowych.

[16]) O wzburzeniu ogólném wskutek nadania ziemi podolskiéj ob. ustęp Długosza, przytoczony w poprzedniéj uwadze. Z taką goryczą rzadko się Długosz wyraża, jestto wymownym

---

*) Połowę téj sumy, tj. 2000 kóp groszy czyli 2500 grzywien otrzymała Elżbieta wdowa po Spytku w Maju 1403, ob. Helcel. Starodawne prawa polskiego pomniki II. str. 149.

dowodem, jak wielkie było wzburzenie, skoro echo jego przez Długosza tak silnie się odzywa. Jeśli innego jeszcze potrzeba dowodu, dość przytoczyć, jakie stanowisko zajmowała arystokracya polska względem synów Spytka Melsztyńskiego, nie mogąc zapomnieć w drugiém pokoleniu sprawy podolskiéj i ostatnich lat Spytka. W ogóle wprawdzie takie uprzywilejowanie jednostek napotykało wielki opór w Polsce, w tym przypadku jednak rozgoryczenie właśnie z tego powodu doszło do tak wysokiego stopnia, że Spytek, pozyskany nadaniem Podola, przeszedł do Witołdowego obozu. Jestto rzecz jasna zupełnie, jeśli się w położeniu ogólném cokolwiek rozpatrzeć. Odtąd Spytek staje w rzędzie książąt litewskich i ruskich, podwładnych bezpośrednio Witołdowi, i to właśnie w chwili wzmagającéj się coraz bardziéj potęgi Witołda. Razem z innymi książętami litewskimi i ruskimi pospiesza też w r. 1399 na wyprawę tatarską pod wodzą Witołda, który właśnie — jak będzie o tém daléj — zerwał stanowczo z Polską. Z tém wszystkiem przygotowany jestem na to, że takie przedstawienie rzeczy nie znajdzie uznania niektórych naszych krytyków i historyków. Powiedzą zapewne z oburzeniem, że w źródłach nie ma żadnéj wzmianki, jakoby Witołd pozyskał był dla siebie Spytka, czego zaprzeczyć nie mogę, gdyż istotnie napróżnoby kto szukał jakiegoś textu łacińskiego, ruskiego lub niemieckiego, w któremby to było dosłownie powiedziane. Przecież już Turkawski (l. c. 48), uznaje całe opowiadanie Długosza co do Podola za przekręcone, zmyślone i fałszywe;“ co prawda, nie mógł się spodziewać, że w parę lat znajdzie się dokument, który je w głównéj treści najzupełniéj potwierdzi. Autor ten nie wątpi, że oburzenie przeciw Spytkowi z powodu sprawy podolskiéj jest „bajką, skomponowaną przez Długosza“, Caro zaś ciężkich razów doznaje od niego za przypuszczczenie o dwóch partyach politycznych, ścierających się w sprawie Podola na radzie królewskiéj. Piękna to bowiem sposobność, zdobyć sobie wawrzyny bystrego krytycyzmu, jeśli kto wykaże Długoszowi fałsze wierutne i bajki, a za jednym zamachem poturbuje „profesora wrocławskiego uniwersytetu“. Mojém zdaniem Car

zbliżał się wielce do prawdy, domyślając się dwóch prądów przeciwnych, które się na dworze królewskim ścierały, nie dostrzegł tego jednak, że reprezantantem prądu przychylnego Witołdowi był niezawodnie w ostatnich swych latach Spytek Melsztyński.

[17]) List Wielkiego Mistrza do Mistrza Niemieckiego, Voigt, diplom. Pruss. VI. 64.

[18]) Instrukcya dla posła krzyżackiego na dwór książąt niemieckich, tamże 66.

[19]) Joh. von Posilge l. c. 219. Item in desin czitten hatte dy konigynne von Polan geschrebin eynen briff an Wyttowde, und screib yn erin liben bruder und bat yn, das her ym sulde lassin gedechtig sin, wie der irluchte furste, ir herre, der koning von Polan, ir dy lant czu Russin und Littowen bescheydin hatte in der morgingabe und gegebin uff dy czit, als sy yn genomen hettė czu eyme herren; und bat yn, das her tete als ir lieber bruder und getruwer, das her ir nemeliche czinse nemelicher landen beschide, die ir jerlichin wordin gegebin und vorguldin.

[20]) Ob. Caro, Geschichte Polens III. 127 nast.

[21]) Dokumenta traktatu z 12 Października 1398. Bunge, Livl. Urkundenb. IV. Nr. 1478. 1479. Joh. von Posilge l. c. 219 w dalszym ciągu ustępu, przytoczonego w uw. 19: Do Wytowd die brife hatte losin lesen, do lis her dy bestin der lande von Russin und von Littowin vor sich komen und frogete sie, ab sie weldin undirtenig sin den Polan und yn czins gebin alle jerlichin. Do sprochin sie gemeynlich, sie weren fry gewesin und ir eldern, und hetten den Polan keynen czins gegebin; sie weldin yn ouch nu nicht gebin, und weldin blibin by irre irsten fryheit, dorynne sy weren. Des hatte Wyttowt eynen frede heymelich begriffen alreit mit dem marschalke und deme grosskompthur und etlichen gebitigern, die nuwlich dovor by ym worin gewest czu Garthen, und was entlichin usgesprochin und vorscrebin, das der frede czu ewigen tagen sulde blibin czwusschin den landin und des ordens. Und hatte eynen andern tag ufgenomen mit dem meister uf sente Michelis

tag, so sulde man dy sachin brengen czu enden, und die briffe von beydirsyt denne czu vorsegeln und vormachin. Und do sagete Wytowd den bayoren von dem frede und der vorbindunge. . . . Das behagete yn allen wol, und man wil, das der briff der konyginne von Polan, in deme sy czinszhaftig machin welde die Russin und Littowin den Polan, die groste sache sy, das sich Wytowt czu dem ordin weder hat geworfen und vorsunet. Tamże str. 224. po opisie zjazdu pokojowego na salińskim ostrowie: Und uff die czit worfin die Littowin und Ruszin Wytowten eynen koning uf czu Littowen und czu Russin, das vor ny gehort was.

[22]) Por. Caro, Geschichte Polens III. 201 nast.

[23]) Tamże 207 nast.

[24]) Dokument unii z r. 1401 ob. Prochaska, Cod. dipl. Vitoldi Nr. 234, Muczkowski i Rzyszczewski, Cod. diplom. Poloniae I. Nr. 272.

[25]) Ob. Stadnicki, Koryat i Koryatowicze, l. c. 70.

[26]) Ob. poniżéj szkic p. t. Unia z Czechami rozdz. III.

DŁUGOSZ.

I.

Rodzina Długosza. — Młodość. — Służba na dworze biskupim. — Praca w archiwum katedralném. — Szkoła polityczna na dworze Zbigniewa Oleśnickiego. — Humanizm. — Stosunek Długosza do humanizmu [1]).

W zamku brzeźnickim, w ziemi wieluńskiéj, urodził się r. 1415 burgrabiemu syn, któremu na chrzcie ojcowskie imię nadano. Stary Długosz w rycerskiém rzemiośle zasłużył się królowi Jagielle; niedawno pod Grunwaldem dał dzielne męstwa swego dowody i niedługo też potém z burgrabiego brzeźnickiego postąpił na starostę grodowego w Nowém mieście Korczynie. Chociaż mu jednak wskutek tego wypadło opuścić rodzinne strony, nie wyzuł się z włości, które z oszczędności zebranych na urzędzie w ziemi wieluńskiej

---

[1]) Przed obchodem 400-letniej rocznicy zgonu Długosza; zobowiązałem się redakcyi Tygodnika illustrowanego napisać popularny szkic historyczny o życiu i działalności piśmienniczéj Długosza. Od dłuższego zaś czasu pracowałem wspólnie z kolegą moim prof. Bobrzyńskim nad obszerną monografią o Długoszu, p. t. „Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie“, któréj druk właśnie obecnie jest na ukończeniu. Szkic

poskupywał. Sprzedał był wprawdzie dziedziczne gniazda swojej rodziny tuż pod samym Wieluniem, ale nabył zato Popów, Przedmoście, Parzymiechy i Prusiecko, folwarki położone bliżej zamku brzeźnickiego, których mu w czasie burgrabstwa łatwiej było stamtąd doglądać. Z czasem i inne podobne jeszcze nabytki zaokrągliły fortunę starosty, który z ubogiego szlachetki, zasługami i oszczędnością doszedł w końcu do średniéj, lecz dość pokaźnéj zamożności. Wspomagał go w tém bez wątpienia brat rodzony Bartłomiej, na chlebie duchownym dorabiający się majątku. Był-to bowiem kapelan królewski, który, otrzymawszy w rodzinnych stronach plebanią kłobucką, jednę z najlepszych w ziemi wieluńskiéj parafij, znaczną całej rodziny stał się podporą Trzeba zaś było Długoszom gorliwie krzątać się około fortuny mozolnie uzbieranéj, bo starosta korczyński dwunastu doczekał się synów, prócz dwóch, którzy wcześnie umarli. Wszystkim dwunastu tożsamo tradycyjne imię dostało się w udziele. Nasz historyk był po śmierci dwóch starszych drugim z rzędu i dziewięciu młodszych jeszcze miał braci.

Z takiego gniazda wyszedł nasz najznakomitszy XV wieku pisarz. Liczne rodzeństwo, przykład stryja i wątłe zdrowie, a przytém gorliwa chęć chłopca do nauki, wpłynęły na to, że go już wcześnie do stanu duchownego przeznaczono. Pierwsze nauki pobierał w szkółkach parafiialnych, a wyuczywszy się katechizmu, czytania, pisania i początków

---

niniejszy jest zatem niejako streszczeniem głównych rezultatów obszerniejszej monografii, której rozdziały traktujące o zawodzie publicznym Długosza i o dziejopisarskiéj jego pracy są przeważnie napisane, z wyjątkiem niektórych tylko ustępów. Dla tego też w szkicu niniejszym nie dołączam zgoła aparatu naukowego, odsyłając czytelnika, pragnącego z tym przedmiotem się bliżej zapoznać, do obszerniejszéj monografii.

łaciny, obeznany praktycznie z obrzędami kościelnemi, udał się w trzynastym roku życia do Krakowa, pod dozorem najętego w tym celu magistra. Tu miał zaczerpnąć u mistrzów akademii wyższéj nauki, w obec wymagań ówczesnych niezbędnéj dla każdego, kto w zawodzie duchownym chleba miał szukać. Od dłuższego już czasu miały uniwersytety pierwszy głos w sprawach kościelnych, niedawno na soborze konstancyjskim święciły tryumf swego wpływu, a z szeregu uczonych mistrzów i doktorów wychodziło przeważnie nowe pokolenie najwyższych dostojników kościoła. Nie mogło téż być inaczéj, skoro najżywotniejszą sprawą owéj epoki, sprawą, która cały świat chrześcijański zajmowała, była reforma kościoła, z inicyatywy uniwersytetów podjęta, a trudno było komukolwiek głos w niej zabrać, kto sobie nie przyswoił tajników akademickiéj uczoności i z dyplomem uniwersyteckim nie otrzymał prawa obywatelstwa w gronie uczonego świata.

Aby jednak przekroczyć podwoje, po za któremi uczoność teologiczna i kanonistyczna panowanie swoje rozpościerała, wprzód trzeba było przejść stopień przygotowawczy szermierki dyalektycznéj, wyćwiczyć się w filozofii, jak ją scholastycy ówcześni wykładali, przyswoić sobie pewien zasób wiadomości, w zakres ogólnego wykształcenia ówczesnego wchodzących. Ku temu celowi służył na uniwersytetach wydział filozoficzny, na który trzynastoletni Długosz w r. 1428 się zapisał. Nauki, które tu pobierał, spełniały niejako w obec właściwéj owego czasu uczoności zadanie dzisiejszego gimnazyum. Nie przekroczył jednak Długosz tego stopnia przygotowawczego, nie dano mu było przestąpić progów, za któremi dopiero wyższym studyom teologii lub prawa kanonicznego mógł się oddawać; rychło przyszło młodzieńcowi ugiąć się przed żelazną koniecznością i przerwać naukę na uniwersytecie. Umarła mu matka; ojciec,

wszedłszy w powtórne związki małżeńskie, nie mógł go na uniwersytecie utrzymać i siedemnastoletni młodzieniec, po trzyletniéj nauce, żadnych, najniższych nawet stopni naukowych nie osiągnąwszy, musiał oglądać się za kawałkiem chleba, pozbawiony z domu wszelkiej pomocy. Udało mu się wreszcie wejść na dwór krakowskiego biskupa Zbigniewa Oleśnickiego, w czém mu ojciec dopomógł, rad, że w ten sposób, obarczony liczną rodziną, pozbył się troski o syna, który odtąd własną pracą zaczął się przez świat przebijać.

Jakkolwiek tak rychło przyszło mu przerwać nauki, wyniósł z nich tyle wykształcenia, że mógł się na coś przydać w biskupiéj kancelaryi, do któréj go jako notaryusza przyjęto. Rzecz jasna, że nie od razu otwarło mu się w téj służbie szérsze pole działania. Biskup krakowski w ogóle, a zwłaszcza Oleśnicki, był wówczas pierwszorzędną potęgą polityczną w kraju. Pierwszy dygnitarz kościelny po arcybiskupie gnieźnieńskim, pod względem politycznym nierównie większego zażywał odeń znaczenia, choćby tylko dla tego, że punkt ciężkości spraw publicznych spoczywał w Małopolsce, a mianowicie w arystokracyi rodowéj i urzędniczéj małopolskich województw. Oleśnicki zwłaszcza rychło wydźwignął się do znaczenia przywódcy téj arystokracyi, w któréj ręku, w obec słabości starego króla, właściwy stér rządu się znajdował. Kancelarya biskupa krakowskiego była zatém jedném z najważniejszych ognisk politycznych w państwie, o nią ocierały się wszystkie najżywotniejsze sprawy. Ale młodzieniec siedemnastoletni, który wprost z ławy szkolnéj wszedł do kancelaryi biskupiéj, niewiele miał z niemi na razie do czynienia; jego używano do innych czynności. Biskup krakowski był jedną z pierwszych potęg materyalnych w kraju, olbrzymie jego posiadłości dorównywały obszarem niejednemu księstwu niemieckiemu, niemała więc część służby biskupiéj zajęta była

administracyą tego majątku. Do tych-to zatém czynności używano przeważnie młodego Długosza, który w nich niebawem odznaczył się nietylko gorliwą, niezmordowaną pracowitością, ale i nieocenionym również zmysłem praktycznym. Na jego barki włożył wkrótce biskup cały ciężar zarządu swych posiadłości. Spotkał się tu Długosz z wieloma zawikłanemi sprawami, w których pomyślném rozwiązaniu zdolności administracyjne młodego notaryusza biskupiego świetną przebyły próbę. Aby wyjść z labiryntu, który niedbalstwo poprzednich zarządców i włodarzy w majątku biskupim pozostawiło, ułożył dokładny inwentarz, spisując w r. 1440 wszystkie zamki, miasta wsie, dziesięciny, dochody i prawa biskupiego stołu. Udało mu się przywrócić niektóre prawa przedawnione, które wskutek opieszałości poszły w zapomnienie, i w całéj administracyi biskupiego majątku, w znaczném podniesieniu dochodów widać było niebawem błogie skutki zabiegliwéj i sprężystéj pracy Długosza. Niedziw więc, że w ciągu kilku lat służby na biskupim dworze, młody sekretarz zaskarbił sobie szczególną łaskę Oleśnickiego i rychło zaczął zbierać jéj owoce, jako świetnéj karyery zadatek. Już w r. 1434 otrzymał, wskutek rezygnacyi starego swego stryja Bartłomieja, bogatą parafią kłobucką, a we dwa lata późniéj został kanonikiem krakowskim, choć dopiero w r. 1440 przyjął święcenia kapłańskie; niebawem dostała mu się nadto kantorya w kolegiacie wiślickiéj, z któréj szybko na kustodyą postąpił.

Miał Długosz wówczas właśnie lat trzydzieści. Gdyby kto w owéj chwili, w r. 1444, o niego się zapytał, ze wszystkiego, coby powiedzieć byli mogli najbliżsi znajomi i przyjaciele Długosza, nikt nie zdołałby odgadnąć, że potomność uczci w nim najznakomitszego owéj epoki polskiego pisarza. Znano go dobrze w Krakowskiem i Sandomierskiem, gdzie tylko leżały dobra biskupie, które często objeżdżał;

wiedziano o nim może w rodzinném gnieździe, w ziemi wieuńskiéj, ale gdzieindziéj mało kto o nim jeszcze słyszał. To młody ksiądz — powiedzianoby o nim zapewne — który się jeszcze z czasem wzbić może wysoko, skoro w tym wieku już tylu intratnych prebend się dosłużył; to prawa ręka biskupa, jeśli w dobrach biskupiego stołu jakieś ulepszenia należy zaprowadzić, jeśli gdzie nowego włodarza lub dzierżawcy potrzeba jeśli z dochodów biskupich kościół jakiś postawić, odbudować lub pobożną jaką fundacyą ustanowić przyjdzie. To ulubieniec biskupa, który mu zabiegami swojemi cały majątek wzorowo uporządkował, człowiek wypróbowanéj wierności, prawy, zręczny i praktyczny, który i w ważniejszych sprawach, nietylko w interesesach majątkowych, zawsze ma dobrą myśl i zdrową radę w pogotowiu. Ale o tém, żeby to miał być człowiek uczony, nikomu się nie marzyło. Miał Oleśnicki na swom dworze uczonych, nie brakło ich też w gronie kapituły krakowskiéj; byli to doktorowie i mistrze akademii, biegli w dysputach i piórze, gotowi na zawołanie wystosować pełen erudycyi traktat przeciw herezyi husyckiéj, albo o wyższości soboru nad papieżem — mężowie sławni, których imiona przed laty w Konstancyi, lub niedawno na bazylejskim soborze, z ust do ust sobie podawano. Ocierali się też o dwór krakowskiego biskupa innego kroju uczeni, pierwsi w Polsce szermierze humanizmu, wytworną, cycerońską władający łaciną, fanatyczni wielbiciele zabytków klasycznéj starożytności, troskliwie pod niebem włoskiem z pyłu średniowiecznego odgrzebywanych. Ale w jedném i w drugiém gronie napróżno szukalibyśmy Długosza, który, rychło przerwawszy nauki, wcześnie w zawiłéj administracyi majątku biskupiego pogrążony, ze czcią głęboką na uczonych ówczesnych spoglądał, nie mając prawa do nich się zaliczyć.

Dzisiaj tymczasem imiona uczonych teologów i kanonistów spółczesnych Długoszowi znane są tylko erudytom, pisma ich pyłem przypruszone spoczywają nietykane między manuskryptami biblioteki Jagiellońskiéj, utwory humanistów ówczesnych także do dziejów literatury tylko należą: Długoszowe zaś dzieła znajdują się w ręku każdego historyka, setki autorów dzisiejszych rozczytują się w nich nieustannie, a cztérechsetną rocznicę jego śmierci obchodzi nauka polska uroczystém świętem. I właśnie stwierdzić to godzi się, że głównie nieprzyjaznym okolicznościom, które siedemnastoletniego żaka zmusiły odbiedz dalszych nauk w akademii krakowskiéj, zawdzięczamy Długosza historyka, chlubę i koronę naszego dziejopisarstwa średniowiecznego. Dyplomowany bowiem uczony owego czasu, który w akademii nauki ukończył i doktora stopień osiągnął, pisał to, co w oczach świata naukowego téj epoki wyłącznie na miano nauki zasługiwało — traktaty o zawisłościach teologicznych, lub subtelnych zagadnieniach scholastyki — ale nie byłby się zniżył do pracy dziejopisarskiéj. Suche notaty rocznikarskie spisywać, było rzeczą nieuczonych mnichów; o skreślaniu pamiętnikowego obrazu spółczesnych wydarzeń mało kto myślał, a do Syzyfowego zadania, jakiem w ówczesnych stosunkach było ujęcie całokształtu dziejów narodowych, nikt nie był zdolnym i tylko szczególne okoliczności tak się złożyły, że właśnie Długosz dorósł do tego zadania.

Śmiało rzec można, że w czasach owych nikt nic miał, ani téż mieć nie mógł dokładniejszego wyobrażenia o dziejach narodowych. Żywa jeszcze tradycya sięgała w czasy króla Ludwika i w ostatnie dziesiątki lat rządów Kazimierza Wielkiego, ale już dzieje Łokietka zaszły były w pamięci ówczesnego pokolenia ciemną pomroką. Jedyne zaś dzieło, z którego o historyi narodu można było zaczerpnąć jakichś wiadomości, popularna i ogólnie rozpowsze-

chniona kronika Kadłubkowa, urywa się na pierwszych latach XIII wieku; alfą i omegą wszelkich wiadomości o pierwszych wiekach dziejów narodowych był zatém Kadłubek, a następne czasy, łączące treść jego kroniki z epoką, która jeszcze żyła w pamięci Długoszowego pokolenia, były dlań zagadką niedocieczoną.

Z temi to ciemnemi i niedostępnemi dla niczyjego oka czasami zapoznał się Długosz w toku swych zajęć sekretarskich na dworze biskupim, zmuszony do tego zrazu praktycznym celem swych czynności. Najważniejsze bowiem akta i przywileje, w których mu się przyszło rozpatrzeć dla uporządkowania majątkowych stosunków biskupstwa, z téj właśnie datują się epoki. Skoro zaś w téj pracy mozolnéj, bez naukowego celu podjętéj, doszedł do wyjątkowéj w swych czasach znajomości ogólnego zrębu dziejów zapomnianego dawno okresu, niedziw że każda sucha zapiska rocznikarska, którą w poszukiwaniach swoich napotkał, inném niż dla kogokolwiek ze spółczesnych zabłysła mu światłem. Tak więc praca archiwalna w skarbcu przywilejów katedry krakowskiéj, praca o któréj nikt w owych czasach nie myślał, jedna z gałęzi rozlicznych czynności Długosza w służbie biskupiéj, stała się dla niego szkołą historyczną, tém cenniejszą, że nikt wówczas z umysłu takiéj szkoły nie odbywał. A skoro już raz młody sekretarz biskupi wdrożył się mimowoli w badania dziejowe, rozciekawiony zdobyczami, które mu widokrąg wiedzy tak niespodziewanie rozszerzyły, nie poprzestawał na przetrząsaniu obfitych zasobów archiwalnych krakowskiéj katedry, ale rozmiłowawszy się w pomnikach starych czasów, zbierał je skrzętnie, gdzie mu tylko do tego nadarzyła się sposobność.

Niedość jednak było zapoznać się z tajemnicami badań źródłowych; Długosz był obok tego, jak mało kto w jego czasach, przysposobiony do zrozumienia wątku dziejów, któ-

rych treść wskutek pracy archiwalnéj stała się dlań przystępną. Dopóki bowiem historyi nie traktowano jako naukę, w czasach, kiedy szczupłe tylko grono najwyższych dostojników państwa zajmowało się sprawami publicznémi, ten jedynie mógł mieć jakieś wyobrażenie o ich istocie i toku, o tém wszystkiém, co treść dziejów politycznych stanowi, komu daném było żyć w atmosferze, otaczającéj nieliczne kółko tych osób wybranych.

Napróżnoby też kto szukał głębszego zrozumienia spraw publicznych u mistrzów ówczesnéj nauki, bo erudyci, zasklepieni w subtelnościach scholastyki, pozostawali w oddaleniu od ognisk, w których skupiało się życie polityczne narodu. Najznakomitszém zaś ogniskiem życia publicznego był w Polsce bezwątpienia dwór Oleśnickiego, i to właśnie w czasie, kiedy Długosz w pierwszych kilkunastu latach swéj służby sekretarskiéj z młodzieńca na męża dojrzewał. Wpływ biskupa krakowskiego, już w ostatnich latach Jagiełły górujący nad wszystkiem, pod panowaniem małoletniego Warneńczyka łamiąc zwycięsko rozliczne przeszkody i pogromem najzawistniejszych nieprzyjaciół torując sobie drogę do władzy, w swoje ręce uchwycił rządy całego państwa. Sekretarz biskupi, jakkolwiek do spraw administracyjnych i ekonomicznych używany, musiał ocierać się o najważniejsze sprawy publiczne, które się na dworze jego protektora rozstrzygały; odkąd zasługami swojemi zaskarbił sobie łaskę Oleśnickiego, odkąd był jego nieodstępnym towarzyszem i powiernikiem, wtajemniczył się zarazem w politykę swego mistrza i obeznał się praktycznie z techniką spraw publicznych, dla nielicznego tylko kółka wybranych wówczas dostępną. Szkoła polityczna na dworze Oleśnickiego była dla Długosza drugim stopniem przygotowawczym do dziejopisarskiego zawodu, bo w jego czasie tylko z własnego doświadczenia mógł to historyk zaczerpnąć, co dziś w prze-

ważnéj części zastępuje teorya i powszechna jawność publicznego życia.

Tak to ów blizki stosunek z największym człowiekiem, jakiego Polska wówczas posiadała, uprzątnął Długoszowi z drogi główne trudności, które go w pracy około dziejów narodowych czekały. I dziwić się też wcale nie można, że ulubieniec biskupa, który w częstych z nim rozmowach dawał nieraz dowody swych rzadkich, wyjątkowych wiadomości o przeszłości państwa i narodu, wydał się mistrzowi swemu powołanym do spełnienia zadania, którém sobie później taki trwały pomnik postawił. Zachęcał go do tego biskup przy każdéj sposobności, a Długosz, zamiłowany w pomnikach przeszłości, gotów był jąć się téj pracy z żelazną wytrwałością, która go na każdym kroku cechowała; odstraszał się tylko brakiem uzdolnienia i wykształcenia literackiego. Obcując na dworze Oleśnickiego z uczonymi, z erudytami akademii, z gładkimi humanistami, tymi zwiastunami nowéj epoki, czuł to dobrze, że ani nauki nie posiadał, ani tak jak drudzy wdzięcznym stylem i wytworną łaciną nie umiał władać. Ale właśnie poczucie tych niedostatków było dlań drogą do zaradzenia złemu. W stosunkach z humanistami poznał wzór, do którego wznieść się było mu trudno, ale zmierzał do niego wszystkiemi siłami, wczytując się gorliwie w klasycznych autorów, kształcąc sobie na nich smak literacki i w stylu historycznym nabierając wprawy.

Białe to były jeszcze kruki w Polsce te rękopisy klasyków łacińskich, od niedawna z zapomnienia odgrzebywane; jeśli gdzie jednak z niemi można było się skotkać, to właśnie na dworze Oleśnickiego, który do siebie pierwszych szermierzy humanizmu przynęcał. Zasmakowawszy zaś w téj lekturze, nie zaniedbywał Długosz żadnéj sposobności, by podczas swych trzykrotnych podróży po Włoszech zaopa-

trywać się w te rzadkie na ziemi rodziméj skarby. Nie szczędził grosza na zakupno manuskryptów, a gdzie nie mógł ich nabyć, starał się o odpisy, gromadził je skrzętnie i zwoził do kraju; tak i „Tytusa Liwiusza“, nieznanego dotychczas w Polsce, który mu w przyszłości miał posłużyć za wzór i przewodnika w pracy dziejopisarskiéj, udało mu się zdobyć, dzięki stosunkom, jakie go z kółkami humanistycznémi za granicą łączyły.

Z tém wszystkiém nigdy nie został Długosz prawdziwym humanistą; nie przyswoił sobie kierunku pojęć i wyobrażeń, któremi tchnęła wskrzeszona starożytność klasyczna. Zanadto silnie zrósł się był ze światem średniowiecznym, głęboko wierzący katolik, jakim był z tradycyi domowéj, zahartowanéj pobytem na dworze Oleśnickiego, nie mógł się przejąć duchem pogańskim starożytności. Z zajęciem zwiedzał klasyczne pomniki wiecznego miasta, ale nie wzniósł się na ich widok do entuzyazmu, którym prawdziwi humaniści na wskróś byli przejęci. Natomiast kiedy z Rzymu do Ziemi Świętéj pośpieszył, na widok miejsc uświęconych stopą Zbawiciela, dał dowód czém pozostał, wołając w uniesieniu z psalmistą: „Teraz wypuść sługę Twojego, Panie!“. Ten wysoki nastrój uczuć religijnych, pod którego wpływem serce mu się krajało, gdy mu przyszło rozstawać się z pamiątkami Betlehemu i Jerozolimy, obcy był zupełnie kierunkowi myśli, panującemu w kółkach prawdziwych humanistów.

Nie mamy jednak powodu tego żałować, że Długosz pozostał w pośrodku pomiędzy gruntem średniowiecznym, a czystym humanizmem XV wieku. Że otarł się o humanistów i uległ poniekąd ich wpływowi, to mu bezwątpienia w późniejszym zawodzie dziejopisarskim niepospolite oddało usługi: zapoznał się ze znakomitemi wzorami sztuki historycznéj, nauczył się pisać, rozszerzył mu się widokrąg pojęć

i wyobrażeń. W wytworności stylu, w sztuce delikatnego cieniowania myśli, w artystyczném ugrupowaniu przedmiotu pozostał daleko po za mistrzami słowa, głośnymi w ówczesnych kółkach humanistycznych; ich sól atycka, dowcip i sarkazm, którym taką korzenną zaprawę utworom swoim nadawać mieli, nie wywarł nań żadnego wpływu. Ale łatwo to nam będzie przeboleć, bo jeśli który z ówczesnych humanistów tknął się pracy dziejopisarskiéj, czy to był Kallimach, czy Bonfinius, który w Węgrzech podobnego Długoszowi jął się zadania, czy nawet taki mistrz, jak Eneasz Sylwiusz, zawsze w ich dziełach spotykamy się z typową płytkością i pobieżnością badania, właściwą pisarzom, dla których treść historyczna przedmiotu miała tylko wartość materyału, obchodzącego ich o tyle, o ile w opracowaniu mieli sposobności do popisu zaletami zewnętrznéj formy. Giętki ich, wrażliwy umysł tworzył rzeczy piękne, lekkie, niewymagające długiego czasu i mozolnego trudu; do pracy tego zakroju, jakiem było zadanie Długosza, żaden z nich nie był zdolny. Do pracy takiéj potrzeba było poświęcenia, które tylko w gorącéj miłości ojczyzny mogło mieć podnietę, a humanista prawdziwy, rozkochany w starożytności, ze czcią bałwochwalczą dla świata klasycznego łącząc pogardę dla „barbarzyństwa“ własnego narodu, z natury rzeczy musiał być kosmopolitą.

Dzięki rozlicznym węzłom, które Długosza z dawnym światem łączyły, humanizm tém go tylko zbogacił, co mu do spełnienia jego zadań było niezbędnie potrzebne; przygotowaniem literackiém dopełnił trzeciego warunku w dziejopisarskim zawodzie. Kształcąc się na wzorach klasycznych, oswajał się Długosz coraz bardziéj z myślą wystąpienia w szranki pisarskiego zawodu; wreszcie po śmierci Oleśnickiego, pomny życzeń swego mistrza, które tylekroć z ust jego słyszał, przystąpił do olbrzymiej pracy, rozpoczynając

równocześnie układać z przysposobionych dawniej materyałów pierwsze i ostatnie księgi swego dzieła, początek dziejów narodowych i obraz czasów współczesnych, od bitwy grunwaldzkiéj.

Stanowisko, jakie w pracy téj zajął, było wiernem odzwierciedleniem kierunku politycznego, którym się przejął na dworze Zbigniewa, w który wierzył, jak w dogmat, głęboką czcią dla mistrza swego przenikniony. Ale w ciągu lat dwudziestu pięciu, które pracy swojéj poświęcił, wplątał go los w wir publicznego życia; wśród doznanych na tem polu doświadczeń, zapatrywania się jego w niejednym względzie znacznym uległy zmianom, a pod ich wpływem i sąd historyczny dziejopisa przez różne fazy przechodził.

Tak więc życie publiczne było drugim, wyższym kursem szkoły politycznéj, któréj stopień piérwszy Długosz przebył na dworze Oleśnickiego, było ostatnim ważnym czynnikiem w jego zawodzie dziejopisarskim i z tego głównie względu warto się z niém bliżéj zapoznać.

II.

Szkoła życia publicznego. — Misya po kapelusz kardynalski. — Poselstwo do Węgier. — Opozycya. — Długosz wobec sporu o biskupstwo krakowskie. — Zwrot w stanowisku Długosza.

Dorósłszy na dworze Oleśnickiego, zbliżywszy się w codziennem, najpoufniejszém życiu do wielkiego biskupa, któremu wszystko na świecie zawdzięczał, przejął się Długosz tak głęboko całym systemem jego zasad, przekonań i dążności, że przyswoił je sobie i swoją duchową uczynił własnością, jak gdyby były dogmatami wiary, których gorącym był wyznawcą, jako gorliwy kapłan i katolik. Od piérwszych lat swego pobytu na dworze biskupim przywykł

mistrza swego widzieć u steru rządu i władzy, zwłaszcza za Warneńczyka i podczas trzyletniego bezkrólewia po klęsce warneńskiej. W nieprzyjaciołach i przeciwnikach politycznych Zbigniewa przyzwyczaił się upatrywać warchołów, podkopujących powagę rządu z niecnych, osobistych pobudek, i przyznać trzeba w istocie że w całym okresie największéj potęgi Oleśnickiego trudno dopatrzeć się we wszelkich objawach opozycyi jakiéjkolwiek myśli dodatniéj, jakiegokolwiek odrębnego, a jeśli nie równéj, to choćby przybliżonéj miary, programu politycznego. To téż kiedy w r. 1447 Kazimierz Jagiellończyk tron objął i od samego początku na całéj linii bojowéj wystąpił stanowczo do walki z systemem polityki Zbigniewowéj, dziwić się nie można, że i Długosz, ze wszystkimi adeptami krakowskiego biskupa, uważał króla za niedojrzałego warchoła i w przekonaniach swych politycznych na wskróś opozycyjne względem tronu zajął stanowisko. W tym zaś czasie przyszło mu w usługach biskupa stawiać piérwsze kroki w zawodzie publicznym.

W sporze stolicy apostolskiéj z soborem bazylejskim, Oleśnicki, hołdując panującéj wówczas zasadzie wyższości soboru nad papieżem, był jéj żarliwym rzecznikiem i obrońcą. Kiedy sobór złożył z godności Eugeniusza IV i obrał Filipa V papieżem, biskup krakowski, przez obydwóch papapieży zaszczycony purpurą kardynalską, przyjął ją z rąk soborowego papieża i całego swego wpływu w tym celu używał, aby kościół polski stanął po jego stronie; wbrew jego zapatrywaniu się przeważyły głosy umiarkowańszego w episkopacie polskim stronnictwa, wskutek czego oświadczono się za neutralnością. Tymczasem, po długiéj walce, następca Eugeniusza Mikołaj V zwyciężył i kiedy Kazimierz Jagiellończyk na tron polski wstępował, wszyscy już niemal monarchowie chrześcijańscy uznali go papieżem. Chwycił się i Kazimierz bez zwłoki téj sposobności, która mu od razu

nad Oleśnickim dawała przewagę, i pośpieszył złożyć obediencyą Mikołajowi. Głównem więc staraniem Zbigniewa było zmazać winę względem kuryi i utrzymać się w posiadaniu kapelusza kardynalskiego, którym wzgardził przed laty, kiedy go Eugeniusz IV purpurą obdarzył. Trudna to była sprawa, i w Rzymie snać z niedowierzaniem nań spoglądano, z Polski zaś, a zwłaszcza z dworu królewskiego, najrozmaitszemi intrygami krzyżowano jego usiłowania. Ani dwa poselstwa do Rzymu wyprawione, ani listy, któremi Zbigniew papieża i kardynałów zarzucał, żadnego nie odniosły skutku. Po całorocznych wreszcie usiłowaniach bezskutecznych wysłał do Rzymu pod koniec r. 1448 trzeciego posła, a ciężar téj trudnéj misyi tym razem spadł na Długosza.

Szczęście sprzyjało nowemu posłowi: skoro przybył do Rzymu, zastał tam właśnie w toku sprawę ostatecznego pojednania z Feliksem V i jego najwybitniejszymi zwolennikami; gdy więc rokowania o tyle postąpiły, że zgoda przyszła do skutku, a Feliksowi i jego kardynałom dostało się miejsce w kollegium kardynalskiém zwycięskiego papieża, nie było powodu odmawiać uznania godności Zbigniewa. W jesieni zatém 1449 r. pośpieszył Długosz do swego mistrza z upragnionym kapeluszem, i załatwiwszy pomyślnie sprawę, nad którą tak długo bez skutku pracowano, urósł przez to témbardziéj w jego łasce i przyjaźni.

Niebawem spotkał go nowy dowód zaufania. W Węgrzech bowiem zawrzała właśnie wojna domowa między Janem Hunyadym, gubernatorem królestwa, a Giskrą, niegdyś dowódcą najemnych rot czeskich w służbie austryackiego domu, awanturniczym kondotierem, który ze swojém żołnierstwem groźną stał się dla gubernatora militarną potęgą. Wojna toczyła się na granicach polskiego Spiżu, co wobec pretensyj węgierskich do téj ziemi niemałém groziło Polsce

niebezpieczeństwem, témbardziéj, że starosta spiski Mikołaj Komorowski czynnie był w te zatargi wmieszany. Od Warneńczyka zaś czasów jeszcze miał Oleśnicki ziemię spiską w zastawie, a Komorowski z jego ramienia był na starostwie osadzony, jemu więc przedewszystkiém wojna węgierska nieobliczonemi groziła stratami. Król bawił na Litwie i w ogóle sprawą spiską nie miał ochoty zająć się gorliwie, ze względu na Zbigniewa, nic mu przeto nie pozostawało, jak z własnéj inicyatywy postarać się o zażegnanie burzy. Skoro więc tylko Długosz z Rzymu powrócił, wypadło mu natychmiast jechać do Węgier, z misyą pojednawczą. Właśnie zaś Giskra i Hunyady gotowali się do stanowczéj rozprawy, a rozdrażnienie po obu stronach było tak wielkie, że na dworze Oleśnickiego i w kole jego przyjaciół znikła już wszelka nadzieja pokojowego załatwienia sprawy. I tym razem jednak powiodło się Długoszowi: wbrew wszelkim oczekiwaniom, przywiózł swemu mistrzowi akt rozejmu, wzywający go zarazem na pośrednika, w celu zawarcia stałego pokoju. Radość to była dla Zbigniewa wielka, nietylko bowiem niebezpieczeństwa ustąpiły, które go taką napawały obawą, ale zarazem i wobec papieża mógł się tém szczycić, że zażegnaniem groźnéj dla Hunyadego burzy dopomógł mu do skierowania wszystkich sił przeciw potędze tureckiéj, uderzającéj o przedmurza węgierskiego królestwa.

Obie te misye dyplomatyczne Długosza, u progu publicznego zawodu tak pomyślnym uwieńczone skutkiem, ważną w życiu jego stanowią chwilę. Co bowiem w oczach Oleśnickiego i jego stronnictwa wielką było zasługą, to u dworu królewskiego za złe musiało mu być poczytaném. Król działał bowiem przeciw kardynalskiéj godności Zbigniewa i usiłowania piérwszych dwóch jego poselstw wniwecz obrócił, a Długosz przywiózł Oleśnickiemu kapelusz. Nie znosił tego król, żeby wszechwładny jeszcze niedawno

biskup krakowski po za jego plecami prowadził politykę i wyprawiał poselstwa dyplomatyczne, więc także misya węgierska Długosza i jéj powodzenie były solą w oku Kazimierzowi. Tak więc sekretarz Zbigniewa w samym początku swego publicznego zawodu wybitne od razu zajął miejsce w opozycyi i szczególną niełaskę króla ściągnął na siebie. Wypadki najbliższych lat dolały jeszcze oliwy do ognia i rozdrażniły w Długoszu nieprzyjazne królowi uczucia. Walka króla z kardynałem wchodziła bowiem z każdym rokiem i każdym miesiącem w coraz zawziętszą i namiętniejszą fazę; wkońcu doszło do tego, że stronnictwo Oleśnickiego głośno zaczęło mówić o detronizacyi, a Długosz gorąco téj myśli przyklaskiwał. W całym tym czasie jednak sekretarzowania swemu mistrzowi nie odgrywał, Długosz osobiście czynnéj roli w sprawach publicznych; raz tylko miał sposobność ostro wystąpić, wysłany do króla z żądaniem wcielenia ziemi łuckiéj do Polski, ale téż wtedy odezwał się tak gorąco i stanowczo, że Kazimierz pewnie nie zapomniał długo tego spotkania.

Wśród téj walki, któréj ostatki przygłuszyła wrzawa wielkiéj wojny z Zakonem krzyżackim, zmarł Oleśnicki 1 Kwietnia 1455 r. W piérwszéj chwili po zgonie mistrza traci Długosz zupełnie równowagę. Dotychczas dość mu było tak myśléć, tak rzeczy pojmować, jak do tego z góry, z ust uwielbionych, popęd otrzymał; po śmierci kardynała przekonania jego siłą bezwładności toczą się jeszcze jakiś czas w tym samym co przez tyle lat poprzednich kierunku, z czasem jednak słabnie coraz bardziéj siła dawnego popchnięcia, a szablony przekonań, nabytych na dworze Oleśnickiego, zaczynają mu już nie wystarczać wśród nowych zdarzeń i stosunków, tém bardziéj, że praktyczna natura Długosza nie mogła się niemi bezwzględnie krępować, odkąd zmartwiały ze śmiercią swego twórcy.

Z następcą Zbigniewa na stolicy biskupiéj, z podkaclerzym Tomaszem Strzępińskim, łączyły Długosza dobre stosunki, gdyż i on był i w znacznéj części pozostał adeptem tego samego kierunku; wciągnięty przez podkanclerzego, zaczął więc w następnych latach brać udział legalny w posługach publicznych. Ale Strzępiński, to nie Oleśnicki. Długosz, straciwszy kierunek, daremnie oglądał się za kimś, coby mu choć wczęści zmarłego kardynała zastąpił. Z całego rodu Zbigniewa najbardziéj go ku sobie pociągał brat stryjeczny kardynała, Jakób z Sienna, proboszcz kapituły krakowskiéj, człowiek odlany zupełnie z formy wielkiego swojego krewniaka; w nim upatrywał Długosz spadkobiercę idei swego mistrza. Oddawna łączyła ich przyjaźń; teraz Sienieński, tocząc się sam w kierunku, w którym go popchnął kardynał, w ruchu tym i Długosza przez czas jakiś utrzymywał, dopóki się nie pokazało, że i on nie był Zbigniewem, że nadzieje, które w nim przyjaciel pokładał, były przedwczesne i przesadne. Stosunek z Sienieńskim wiedzie jednak Długosza w kilka lat po śmierci Oleśnickiego do katastrofy, która w życiu jego jednę z najważniejszych chwil stanowi. Pod wpływem prześladowania w czasie kościelno-politycznéj walki po śmierci Strzępińskiego, dosięga szczytu okres opozycyjny w życiu publiczném Długosza; w ciągu téj walki jednak następuje przesilenie, po którém sąd jego o sprawach publicznych znacznie od dawnego odstępuje stanowiska.

Kazimierz Jagiellończyk dążył z niezłomną energią do obsadzenia stolic biskupich powolnymi zamysłom swym ludźmi. Ciężkie doświadczenia, zebrane w walce z opozycyą, na któréj czele stał Oleśnicki, były dla króla dostateczną w tym względzie podnietą. Była to zresztą jedyna droga do zapewnienia przewagi programowi politycznemu króla wśród możnowładztwa, którego warstwę najprzedniejszą episkopat stanowił. Podczas wojny pruskiej, wyniszczającej materyal-

ne zasoby skarbu, stanęło nadto opodatkowanie duchowieństwa w rzędzie najważniejszych kwestyj polityki spółczesnéj, a wobec tego powolność episkopatu była ze stanowiska praktycznego tém konieczniejszą, ponieważ reprezentanci hierarhicznych dążności kościoła, epigonowie Zbigniewowego programu, opiérali się stanowczo pociąganiu duchowieństwa do wspólnych na rzecz skarbu ciężarów. Stąd przyszło po śmierci Strzępińskiego (w r. 1460) w sprawie obsadzenia opróżnionéj stolicy biskupiéj krakowskiéj do wybuchu walki kościelno-politycznéj.

Król przeznaczył na biskupstwo krakowskie Jana Gruszczyńskiego, najwybitniejszego w duchowieństwie polskiém zwolennika polityki królewskiéj, którego przed kilku laty, wbrew postanowieniu stolicy apostolskiéj, wyniósł był na biskupstwo kujawskie i na niém zdołał utrzymać. Kapituła krakowska natomiast, pragnąc ochronić się od takiego zwierzchnika, a zarazem ocalić zasadę wolnéj elekcyi, wybrała biskupem podkanclerzego Jana Lutkowica z Brzezia, o którym przypuszczano, że miłym będzie królowi kandydatem. Tymczasem papież Pius II zamianował biskupem krakowskim Zbigniewowego synowca, Jakóba z Sienna.

Długosz z zasad swych, z tradycyi po Oleśnickim odziedziczonéj, był gorącym zwolennikiem wolnéj elekcyi kapituł, i przed laty, za czasów soboru bazylejskiego, byłby się bezwątpienia zżymał na „prowizyą“ papieską, krępującą swobodny wybór jakiejkolwiek kapituły. Ale z czasem otrząsnął się Długosz znacznie z dawnych mrzonek soborowéj epoki i w r. 1460 nie myślał o utrzymaniu elekta kapituły krakowskiéj, témbardziéj, że nie czuł do niego zgoła sympatyi; w charakterze jego nie widział rękojmii błogiéj według swego mniemania przyszłości dla Zbigniewowéj stolicy. Natomiast w nominacie papieskim przywykł był oddawna wielkie pokładać nadzieje; z Sienieńskim miał w jego prze-

konaniu Zbigniew odżyć na tronie biskupim w Krakowie, odkąd więc przyszła do Polski bulla papieska, przeznaczająca Sienieńskiego na biskupstwo, nie wahał się Długosz, po czyjéj miał stanąć stronie. Skoro zaś powziął raz niezłomne postanowienie, nic go nie mogło sprowadzić z obranéj drogi, żadne klęski ani prześladowania złamać go nie zdołały, dopóki nie ustąpił sam biskup, w którym Długosz upatrywał materyał na Zbigniewa.

Ciężkie nastały czasy dla Długosza. Kiedy cała niemal kapituła, uląkłszy się gniewu królewskiego, zajęła dwuznaczne, co najwięcej wyczekujące stanowisko, na drobną garstkę siedmiu tylko kanoników, którzy wytrwale bronili sprawy Jakóba Sienieńskiego, spadło prześladowanie rozdrażnionego Jagiellończyka. Wraz z Sienieńskim spotkała ich kara bannicyi, starostowie zabrali im dobra kościelne i dochody z dziesięcin, Długosza i kilku innych kapłanów przemocą wydalono z Krakowa i pod okiem samego króla, kiedy w Grudniu 1461 przybył do stolicy, złupiono mu dom na ulicy Kanoniczéj. Król był tak rozgniewany, iż odzywał się głośno, że Długosz na cięższy jeszcze los zasłużył. Wygnany i pozbawiony wszelkich dochodów, schronił się Długosz wraz z Sienieńskim w Melsztynie u Jana Melsztyńskiego, którego nawet najsurowsze rozkazy królewskie nie zdołały skłonić do odmówienia gościnności bannitom.

Tymczasem toczyły się bezowocne rokowania ze stolicą apostolską o usunięcie Sienieńskiego. Pod koniec 1462 r. przybył wreszcie do Polski legat papieski, Hieronim arcybiskup kreteński, wysłany dla pośrednictwa w wojnie z Zakonem i załagodzenia sporu kościelnego. Między królem a legatem przyszło do ostrego starcia w sprawie krakowskiego biskupstwa. Kazimierz powiedział stanowczo, że raczéj koronę straci, niżliby miał ustąpić. Legat był szczerym przyjacielem Zakonu, a pragnąc zjednać sobie przychylność króla

dla misyi swéj pojednawczéj, skłonił się w końcu do ustępstwa w sprawie kościelnéj. Tak więc w Styczniu 1463 r. na sejmie piotrkowskim Sienieński złożył w ręce legata biskupstwo krakowskie, które od papieża otrzymał, i król postawił na swojém, bo biskupem krakowskim został Jan Gruszczyński, a kujawskim w jego miejsce Jan z Brzezia. Wtedy to dopiero nieliczni zwolennicy Sienieńskiego, którzy do końca przy nim wytrwali, otrzymali amnestyą, wtedy i Długosz zajął napowrót swe miejsce w gronie kapituły krakowskiéj i wiślickiéj.

Król zwyciężył, zupełniejszego zwycięstwa nie można było sobie wyobrazić; pokonani bannici żadnym nawet pozorem kompromisu nie mogli się pocieszać, a takie zwycięstwo wywarło na Długoszu głębokie wrażenie. Pamiętał on to dobrze z czasów, kiedy jako dorastający młodzian zaczął służyć na dworze biskupim, jak wówczas zgrzybiały Jagiełło korzył się przed Zbigniewem, lub dawał się biskupowi krakowskiemu wodzić na pasku. Teraz dopiero pojął, że czasy zupełnie się zmieniły, tak jak to i Sieneński i inni znaczniejsi od niego również pojmowali. Cóż wreszcie — myślał — stało się z tymi wszystkimi, którzy wraz z nim i z Sienieńskim w téj saméj szkole życia wzrośli, którym myśl Oleśnickiego była gwiazdą przewodnią? Jedni, starsi, byli już w grobie, inni dawniéj już to zrozumieli, co on po tylu przejściach dopiero zaczął pojmować. Najlepszym tego dowodem było stanowisko większości kapituły krakowskiéj, wobec całego sporu; a nawet z téj garstki, która zdobyła się na odwagę, by stawić opór, któż wytrwał do końca? on z bratem i Dymitr Sienieński, najbliższy krewny biskupa. Długosz wszystko uczynił, co mu przekonanie kazało, nie miał sobie nic do wyrzucenia; ale przeciw wodzie niepodobna było dalej płynąć. Inna natura, bardziéj doktrynerska, zgryźliwsza, byłaby się może od wszystkiego usunęła i w ja-

kiém zaciszu klasztorném szukała schronienia; Długosz jednak był zbyt praktyczną naturą, żeby mógł być bezczynnym; zbyt silne węzły łączyły całą jego istotę ze wszystkiem, co dotychczas zdziałał, aby mógł się od tego oderwać; zbyt gorąco wreszcie kochał ojczyznę, żeby mógł nie przyłożyć tam ręki, gdzie go było potrzeba, nie pogodzić się z tém choć trochę, że się czasy zmieniły.

Stanowczość króla zresztą, choć na nią tak sarkał, choć go tak boleśnie dotknęła, wywarła nań głębokie wrażenie. Pokonany, zbliża się do zwycięscy więcéj niż kiedykolwiek przedtém, nie z interesu, gdyż przed nim się nie ugiął, ale z konieczności psychologicznéj, imponującém wrażeniem pociągnięty. I będzie się zbliżał coraz bardziéj, dopóki nie dojdzie do tego punktu kulminacyjnego, kiedy wejdzie z dworem w ścisły, urzędowy stosunek. Niepodobna mu już teraz zostać regalistą w właściwém tego słowa znaczeniu, w rodzaju Jana Gruszczyńskiego. Zanadto cała istota jego zrosła się z dawną tradycyą, a zamało miał rzutkości sądu i poglądu, żeby do nowego kierunku nietylko się zastosował, ale stał się jego szermierzem. Nie będzie więc przykładał ręki do polityki kościelnéj króla, ale będzie ją tolerował; nie będzie żarliwym zwolennikiem jego postępowania z Litwą, ale też i sarkać na niego nie będzie. Zresztą i to rzecz ważna, że program Oleśnickiego mógł Długosz zrozumieć dokładnie, mógł się wżyć w niego, będąc przez lat tyle sekretarzem biskupa, wtajemniczony w jego myśli i ich genezę. Programu zaś królewskiego nie mógł objąć w całości i niejedna rzecz w nim zawarta pozostała dlań zawsze niejasną, gdyż nawet wczasie najściślejszego z dworem stosunku majestat monarszy zawsze go trzymał w pewnéj odległości od króla.

Jeśli zaś ta odległość była mniejsza, niż w stosunku do wielu innych, zawdzięczał to Długosz właśnie tym cięż-

kim dwom latom sporu kościelnego. Absolutna natura Jagiellończyka nie znosiła oporu, a napotkawszy go w takim stopniu, jak w owym sporze, posuwała się nawet do takiéj, jak wówczas, bezwzględności; ale stałość i stanowczość w oporze, siła charakteru i odwaga cywilna, były to przymioty, któremi król sam się odznaczał i które też w innych, nawet w najżarliwszych przeciwnikach, cenił wysoko. Tém się tłumaczy ten nierzadki w dziejach Jagiellończyka objaw, że ci właśnie, którzy go szarpią na sejmie obelżywemi nawet słowami, jeśli z nimi zgoda możliwa, jeśli ich zgnieść nie potrzeba, a pojednać się z nimi warto, stają niebawem w rzędzie ulubieńców królewskich. Tę drogę przeszedł z innymi Długosz. Te przymioty, które król tak cenił, a któremi Długosz świetnie w czasie sporu kościelnego zajaśniał, zjednały mu szacunek i sympatyą Jagiellończyka. Tu początek jego dworskiéj karyery.

III.

Usługi dyplomatyczne podczas wojny krzyżackiéj. — Myśli o Śląsku. — Stanowisko na dworze królewskim. — Poselstwo do Czech. — Arcybiskupstwo praskie. — Ostatnie posługi dyplomatyczne.

Usługi dyplomatyczne, do których się Długoszowi odtąd często nadarzała sposobność, zbliżały go coraz bardziéj do króla. Już przed sporem kościelnym, w pierwszych latach po śmierci Oleśnickiego, przyszło mu po kilkakroć brać udział w poselstwach królewskich: w r. 1457 w trudnéj sprawie wykupna zamków krzyżackich z rąk najemnych żołnierzy Zakonu, w dwa lata późniéj, podczas bezowocnych rokowań o pokój w Toruniu, i w r. 1460 w układach z królem czeskim Jerzym z Podjebradu. Wówczas kiedy to je-

szcze Długosz pod świeżém wrażeniém walki Zbigniewa z królem stronił od dworu, wciągnął go zapewne Strzępiński, jako podkanclerzy, do tych pierwszych legalnych usług publicznych. Zalecała go do tego zręczność w negocyacyach, któréj dowodem były dawniejsze jego misye dyplomatyczne w służbie Zbigniewa; w układach bowiem o wykupno zamków mało kto mógł być tak pożytecznym, jak sekretarz Oleśnickiego, znany z obrotności w sprawach finansowych, a rokowania z Zakonem i Czechami wymagały znajomości dziejów, z któréj zaczerpnąć należało wywodów do uzasadnienia prawnego stanowiska korony wobec ziem krzyżackich, lub pretensyj dynastyi Jagiellońskiéj do królestwa czeskiego. W każdéj zatém z tych spraw zawiłych oddał Długosz niepospolite usługi i niedziw téż, że odkąd spór kościelny zakończył się na sejmie piotrkowskim, w ostatnich latach wojny z Zakonem, nieustannie powoływano niedawnego bannitę do udziału w misyach dyplomatycznych.

W r. 1464 przyszło znów do rokowań o pokój za pośrednictwem miast hanzeatyckich. W ostatnich dniach Czerwca zjechało na zjazd ugodowy do Torunia liczne, z najznakomitszych dygnitarzy korony złożone poselstwo, któremu do pomocy dodano fachową komisyą, dla umiejętnéj obrony słuszności sprawy polskiéj. Do téj komisyi należeli trzéj kanonicy: Jan Dąbrówka doktor teologii, Jakób z Szadka *doctor decretorum* i Długosz. Dąbrówka, znany komentator kroniki mistrza Wincentego, dyplomowany erudyt, biegły zwłaszcza w scholastycznych elukubracyach o pierwotnych, bajecznych dziejach narodu, miał zapewne, wespół z Długoszem, dostarczyć potrzebnego do tych wywodów materyału historycznego, a Jakób z Szadka, jako kanonista, powołany był do sformułowania uczonego materyału, w sposób odpowiedni wymaganiom ówczesnéj jurysprudencyi.

Polscy uczeni sumiennie zabrali się do dzieła. Już po rozpoczęciu układów, doszła ich ciekawa wiadomość, że w bibliotece jakiegoś klasztoru gdańskiego znajduje się cenna kronika, która na jednéj stronicy ma tekst niemiecki, na drugiéj łaciński; natychmiast więc udali się za pośrednictwem obecnych na zjeździe rajców do senatu gdańskiego, żeby im tę kronikę wraz z przywilejami klasztoru pelplińskiego jak najspieszniéj przysłano. Wśród tych studyów zapoznał się Długosz z najważniejszemi źródłami do historyi Prus, z kronikami Jeroschina i Wiganda, a nie mogąc sobie tak łatwo dać rady z językiem niemieckim, wyszukał jakiegoś księdza z Geismaru, który mu je naprędce przetłumaczył na język łaciński.

Owocem tych studyów był obszerny memoryał historyczny, na 15 artykułów rozłożony, który Jakób z Szadka dla objaśnienia nieobeznanych z temi sprawami Hanzeatów 3 Lipca 1464 roku w ratuszu toruńskim odczytał. Celem tego memoryału było dowieść praw Polski nietylko do Pomorza, ziemi chełmińskiéj i michałowskiéj, ale i do Prus właściwych. Niedziw więc, że wywody odnoszące się do ziem pruskich pod względem historycznym w niejednym punkcie chromają, wówczas bowiem nie stać było krytyki historycznéj na coś lepszego; również i dysertacya o panowaniu Lecha nad wybrzeżem Baltyku, do któréj zapewne przyłożyła się głównie erudycya Dąbrówki, nie była dla współczesnych takim jak dla nas dziwolągiem. Zresztą memoryał polskich uczonych, odznaczający się jasnością i zręcznem ugrupowaniem głównych argumentów, niemało przyniósł autorom zaszczytu, a wobec Hanzeatów, dla których głównie był przeznaczony, dopiął niezawodnie celu. Na replikę krzyżackiego posła, Josta biskupa oeselskiego, który złośliwie zastrzegł się na samym początku, że praw Zakonu nie będzie wywodził od wypędzenia Adama z raju, odpowiedzieli

„polscy doktorowie“ uroczystém odparciem jego zarzutu i mieli to przynajmniéj zadosyćuczynienie, że w uczonéj dyspucie, którą układy się rozpoczęły, oni wypowiedzieli ostatnie słowo.

Ta dysputa była jednak niezbędném wprawdzie według zwyczajów ówczesnéj dyplomacyi, ale akademiczném tylko zagajeniem właściwych rokowań, w nich zaś nie prawa historyczne miały rozstrzygać, lecz ten wzgląd jedynie, która strona po dziesięcioletnich wysileniach do większych będzie musiała skłonić się ustępstw. Zakon, jakkolwiek do ostatniéj już prawie rozpaczy przywiedziony, tyle miał jeszcze gasnącéj siły, że wyroku śmierci, który mu Polska w warunkach pokoju podawała, nie chciał podpisać, a tak te układy spełzły na niczém.

Rozwiedliśmy się szérzéj nad tym szczegółem, który jasno charakteryzuje jeden kierunek usług dyplomatycznych Długosza. Nietylko jednak wyjątkową swą znajomością dziejów służył kustosz wiślicki sprawie publicznéj; używano go również do rozmaitych misyj, czyto wśród następnych kilkakrotnych rokowań o pokój, czy dla zawarcia chwilowego rozejmu, czy téż w poselstwach do miast i stanów pruskich, tak że całe prawie ostatnie trzy lata wojny z Zakonem na tych usługach przepędził. Dowody niepospolitéj zręczności w negocyacyi dyplomatycznéj zjednywały mu coraz bardziéj zaufanie króla; jakoż w misyach tych nie widzimy go już, jak dawniéj, ukrytego wśród licznego poselstwa, w cieniu dostojniejszych towarzyszy; po największéj części krzątał się Długosz w tych latach sam, jako komisarz królewski, bez niczyjéj pomocy, i dobrze snać wywiązywał się z tego zadania, skoro mu je tak często powierzano. Nie zabrakło go téż w Toruniu podczas ostatecznych rokowań o pokój wieczysty w r. 1466; napatrzywszy się dosyta wojnie trzynastoletniéj, należał wówczas do gorliwych zwolenników

stronnictwa pokojowego, w czém zgadzał się zupełnie z królem, który również zrzekł się był planu zagłady Krzyżaków i poprzestając na korzystnych warunkach, gorąco pragnął pokoju. Gorliwie zatém krzątał się Długosz nad złamaniem oporu nieprzejednanych, z wytężeniem wszystkich sił pracował w komisyi traktatowéj, do któréj znów wraz z Jakóbem z Szadka należał, i kiedy wreszcie stanął pamiętny pokój wieczysty, mało kto pewnie tak się z niego radował, jak Długosz, mało kto z tak głębokiém uczuciem przyłączył głos swój do uroczystego Te Deum, które dnia 19 Października 1464 r. w Maryackim kościele zabrzmiało. Zakon, ocaliwszy niespełna połowę tylko ziem swoich, został lennikiem króla Polskiego; Pomorze, ziemia chełmińska i michałowska, wraz z Malborgiem, Elblągiem i Warmią powróciły pod polskie panowanie. Radując się z tego, powiada Długosz: „Szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał się odzyskania za łaską Bożą Śląska, ziemi lubuskiéj i słupskiéj, w których są trzy biskupstwa przez Bolesława Chrobrego i ojca jego Mieczysława założone, t. j. wrocławskie, lubuskie i kamieńskie; z radością zstępowałbym do grobu i słodszy miałbym w nim odpoczynek.“

Gorąca miłość ojczyzny, jedna z głównych sprężyn całéj istoty Długosza, i erudycya historyczna składały się na to marzenie. O Pomorzu słupskiém i ziemi lubuskiéj mógł wówczas marzyć tylko erudyt, bo w całéj Polsce dawno już była wygasła tradycya łączności z temi ziemiami były to mrzonki i westchnienia akademiczne. Ale inna rzecz ze Śląskiem. Jeśli myśl o odzyskaniu Szlązka nazwiemy również marzeniem, to w każdym razie było to marzenie polityczne, którego początek, prócz dwóch powyższych czynników, tkwił przedewszystkiém w owym przez całe życie Długosza tak ważnym pierwiastku, w tradycyi polityki Oleśnickiego. Od piérwszych lat pobytu na dworze Zbigniewa

słyszał Długosz często o pierwszéj, wówczas jeszcze niedawnéj akcyi politycznéj swego mistrza, kiedy w r. 1422, wobec zbudowanych już podwalin unii czeskiéj i przymierza z Husytami, Oleśnicki postawił program przeciwny, katolicki program sojuszu z Zygmuntem Luksemburskim, a celem jego było odzyskanie Śląska. I późniéj, kiedy już na dworze Zbigniewowym zwolna zaprawiać się zaczął do spraw publicznych, nieraz ta myśl odzywała się w programie politycznym Oleśnickiego, choćby jako plan powolnéj aneksyi drobnych księstw śląskich na rzecz Polski, plan, do którego urzeczywistnienia Długosz w usługach biskupa, mianowicie w sprawie zakupna siewierskiego księstwa, czynną ręką przykładał. Jakże nie miała się ta myśl obudzić w Długoszu w téj podniosłéj chwili, kiedy Pomorze, równie jak Śląsk za Kazimierza Wielkiego, od Polski oddzielone, do niéj teraz wracało, w téj zwłaszcza chwili, kiedy w Czechach, tak jak za młodych lat jego, znowu wojna religijna wybuchła, kiedy zdawało się, że to nowego peryodu uśpionych wojen husyckich początek, kiedy wreszcie królowi polskiemu gwałtownie nasuwała się potrzeba czynnéj interwencyi w sprawie czeskiéj. Skoro więc ta potrzeba powołała niebawem Długosza do nowych posług dyplomatycznych, niedziw że myśl o odzyskaniu Śląska stała mu się w nich gwiazdą przewodniz.

Zanim mu jednak do dalszych misyj dyplomatycznych nadarzyła się sposobność, spotkał go zaszczyt, który był właśnie owocem ściślejszego zbliżenia się do króla w ostatnich latach wojny i najwymowniejszym zaufania królewskiego dowodem: Kazimierz zamianował go w r. 1467 nauczycielem swych synów. Łatwo mógł wprawdzie znaleść jakiegoś głośnego, dyplomowanego uczonego, któryby skwapliwie podjął się kierunku wychowania królewiczów; ale dbały o dobro synów i o dobro kraju Jagiellończyk rozu-

miał to dobrze, że tych, którzy kiedyś rządzić mają, nie należy kierować na uczonych, że źle jest nawet wprzęgać ich rozwijające się pojęcia w pedantyczne formułki scholastycznéj mądrości, lub rozpajać ich umysł kosmopolitycznym narkotykiem jednostronnego humanizmu.

Jeśli wreszcie młodzi królewicze potrzebowali w tym kierunku czegoś więcéj, niźli na to stać było Długosza, to wystarczały lekcye magistra Welsa, lub słynnego Kallimacha, którzy pod kierunkiem Długosza również w téj szkole nadwornéj pracowali. A w Długoszu, prócz wypróbowanéj poczciwości i religijności, która w prowadzeniu moralném jego wychowańców dawała dostateczną rękojmię, prócz siły charakteru, który Jagiellończyk nadewszystko poważał, cenił król głównie ten jego zdrowy rozsądek, który miał wychowanie królewiczów ustrzedz od niepotrzebnych zboczeń, ten nieoszacowany zmysł praktyczny, który, jeśli się da przelać w kogo, każdemu niezawodnie, a zwłaszcza przyszłemu monarsze, szczęście przyniesie, tę gorącą miłość ojczyzny, tę jedyną, wyjątkową znajomość jéj dziejów, te wszystkie jedném słowem zalety, których razem u nikogo ze współczesnych nie mógł Kazimierz znaleźć.

Długosz pojmował dobrze trudność i doniosłość zadania, którém go król zaszczycał, i długo podobno się wahał, zanim przystał na żądanie królewskie. Ale odkąd powziął to postanowienie, z właściwą sobie gorliwością musiał jąć się pracy na téj niwie; można ten wniosek wysnuć z jego charakteru, z jego całéj istoty, i nie potrzeba do tego ogólnikowych zapewnień współczesnego biografa. Zajęcia pedagogiczne nie były dla niego zresztą wcale nową rzeczą; nie był wprawdzie nigdy nauczycielem publicznym, nie posiadając stopnia akademickiego, ale w prowadzeniu młodych chłopców więcéj niezawodnie miał wprawy, niż najgłośniejsi profesorowie akademii krakowskiéj, gdyż obarczony liczną

rodziną, którą ojciec wcześnie odumarł, zajmował się gorliwie losem dziesięciu młodszych braci.

Odtąd więc znacznie zmienia się sposób życia Długosza. Jeśli go poselstwa dyplomatyczne, sprawy kapituły lub ważne interesa osobiste nie odwołują na czas jakiś od dostojnych wychowańców, bawi z nimi przeważnie w Krakowie, ale również to w Tyńcu, to w zamku niepołomickim, podczas gdy król, najczęściéj razem z królową, po Koronie i po Litwie cały rok zwykle podróżuje, rzadko zjeżdżając się z synami.

Jakim był Długosz w gronie swych wychowańców, o tém, niestety, niewiele można powiedzieć. Jedyne ślady z przebiegu całéj ich edukacyi pozostały w kilku wzmiankach o ich oratorskich występach, z powodu przyjazdu legata papieskiego, lub którego z biskupów. W każdym razie zapewne ważną rolę w nauce odgrywały opowiadania Długosza o przodkach królewskich pacholąt, o poprzednikach ojca, których groby w krakowskiéj katedrze oglądali, i pewnie nikt z królów polskich nie znał tak dobrze przeszłości narodu i państwa, nad którémi panował, jak wychowańcy naszego historyka, Olbracht, Aleksander i Zygmunt.

Zajęcia nauczycielskie nie oderwały jednak Długosza od usług dyplomatycznych. Niebawem po przyjęciu obowiązków mistrza królewiczów, wypadło mu w Październiku 1467 jechać do Czech w poselstwie. Tam wrzała walka między królem Jerzym, a ligą baronów katolickich i sprzymierzonemi z nią miastami śląskiemi, a papież głosił krucyatę na kacerskiego króla czeskiego. Król Kazimierz był jakby w oblężeniu: i Jerzy zapytywał go kategorycznie, czy myśli mu dochować zaprzysiężonego przymierza, i liga katolicka nalegała coraz natarczywiej, by zerwał z „kacerzem“, a sam przyjął czeską koronę, agenci zaś papiescy popierali gorąco te nalegania. Zdarzała się chwila stosowna do urzeczywist-

nienia pretensyj, jakie dom Jagielloński miał do czeskiéj korony; interes dynastyczny Kazimierza schodził się tu z interesem katolicyzmu i stolicy apostolskiéj. Ale podnieść sztandar przez papieża podany, stanąć na czele krucyaty zwołanéj przez niego, było to samo, co ciągnąć rydwan polityki papieskiéj i cofnąć się z drogi dotychczasowéj polityki kościelnéj, na któréj już Kazimierz tak świetne wywalczył sobie zwycięstwo; krok taki byłby musiał pozostawić po sobie ważne następstwa w wewnętrznych sprawach państwa i wpłynąć na stanowisko tronu w obec duchowieństwa krajowego. Nie mógł więc król przyjąć nęcących propozycyj papieskich. Cóż było zatém czynić? Usunąć się od wszystkiego, zachować bezduszną i bezczynną neutralność w sprawie tak żywotnéj dla interesów państwa i dynastyi, byłoby niezawodnie rzeczą najwygodniejszą, ale niezgodną z honorem Polski i domu Jagiellońskiego. Jedna tylko droga pozostawała Kazimierzowi. I Jerzy, pomny ścisłego przymierza przed kilku laty zawartego, objawiał względem niego zupełne zaufanie, i liga katolicka nie mogła dać dowodów większéj ufności, jak domagając się tak natarczywie, żeby przyjął czeską koronę. Należało więc wyzyskać to zaufanie obu stron walczących, narzucić się na rozjemcę w swoje ręce pochwycić ster sprawy czeskiéj, a zobowiązawszy względem siebie obydwie strony, tak nią pokierować, żeby z niej wydobyć największą korzyść dla pretensyj swego domu, dla Jagiellońskiéj sukcesyi. W tym celu wyprawił król do Czech poselstwo, złożone z wojewody kaliskiego, Stanisława Ostroroga, podskarbiego koronnego Jana z Dębna i Długosza.

Chętnie podjął się Długosz tego poselstwa, gdyż w sprawie czeskiéj jaśniał mu cel jego pięknych marzeń o odzyskaniu Śląska. Nienawidził wprawdzie króla Jerzego, którego świat katolicki okrzyczał husytą, który, jak to wów-

czas tylekroć powtarzano, z ojca kacerza zrodzony, z piersi kacerskiéj mléko wyssawszy, na to tylko przez czas jakiś chował rogi zdradziecko, by je późniéj tém groźniéj pokazać. To uczucie wiodło go do obozu legata papieskiego, który domagał się wypowiedzenia wojny Jerzemu, a z którym Długosz w ścisłej żył przyjaźni. Widział jednak, że plan legata nie prowadził do urzeczywistnienia jego marzeń politycznych. Za tym planem szła wojna i w najlepszym razie korona czeska na głowie Kazimierza lub którego z królewiczów; na odzyskanie Śląska i wcielenie do Polski nie było w nim miejsca. Inna rzecz z planem królewskim miał on dla Długosza tym razem tę wartość, że w jego ramach wszystko można było pomieścić; zmierzał bowiem do tego, żeby obie strony przyjęły pośrednictwo Kazimierza, a za tém pośrednictwem szły układy, targi, i najrozmaitsze kombinacye były możliwe, w których możeby się udało i Śląsk wytargować.

Cztéry miesiące prawie przepędzili polscy posłowie w Czechach i na Śląsku, to z dworem praskim, to znów z rokoszanami prowadząc rokowania; najważniejszą chwilą téj misyi były układy z ligą na zjeździe, który się odbył w Wrocławiu w Grudniu 1467 r. Usiłowania ich spełzły na niczém, katolicy czescy chcieli mieć Jagiellończyka królem, ale nie pośrednikiem. Jedynym owocem starań poselstwa polskiego był krótki rozejm między Jerzym a ligą. Celem jego było wyjednać zgodę obustronną na pośrednictwo Kazimierza, rozejm zaś miał być tylko środkiem do utorowania drogi pośrednictwu. Tymczasem stanęło zawieszenie broni, korzystne dla nieprzyjaciół Kazimierzowego sprzymierzeńca, wszelkie nadzieje pośrednictwa zawiodły, a liga, zniechęcona postępowaniem Jagiellończyka, zaczęła myśleć o nowym kandydacie do tronu i niebawem też wdała się w rokowania z królem węgierskim, Maciejem Korwinem.

Któż w téj porażce zawinił? Wszelkie usiłowania posłów rozbiły się o opór ligi; powstaje więc pytanie, czy tylko dla braku zręczności dyplomatycznéj, energii i stanowczości nie zdołano tego oporu przełamać, czy też usposobienie zjazdu wrocławskiego było rzeczywiście takie, że żadna siła nie byłaby go mogła zmienić? Posłom polskim nasuwały się przedewszystkiem dwa środki: wmówić w opierających się, że pośrednictwo Kazimierza ma ostatecznie prowadzić do zwycięstwa Jagiellońskiéj kandydatury, lub przybraniem groźnéj, stanowczéj postawy wywrzeć nacisk na ligę. Co prawda, i jednym i drugim środkiem trudno było się posługiwać, gdyż wysłańcy papiescy, którzy ster moralny całéj ligi dzierżyli, każdą myśl kompromisu z wyklętym królem czeskim odpychali jako herezyą. Długosz zwłaszcza był w bardzo trudném i drażliwém położeniu. Jako ksiądz, z przekonania własnego i tradycyi, któréj nie chciał się sprzeniewierzyć, nie mógł odmówić słuszności wywodom legatów papieskich, jeśli odrzucali w zasadzie jako herezyą wszelką myśl zbliżenia się do wyklętego króla. Nalegać na przywódców ligi, żeby przyjęli pośrednictwo Kazimierza, które w każdym razie prowadzić miało do zgody z Jerzym, było zatém również herezyą. To pewna, że na zjeździe wrocławskim Długosz z całego poselstwa polskiego najmniej stanowczości okazywał. Czy jednak stąd wynikły jakie zatargi w łonie polskiego poselstwa, które łatwo mogły paraliżować jego misyą dyplomatyczną, czy wpływ Długosza był tak znaczny, iż mógł swych towarzyszy od większéj stanowczości powstrzymać, to są pytania, których nigdy prawdopodobnie nie będziemy mogli rozstrzygnąć, jakkolwiek dzieje zewnętrzne tego poselstwa są nam dokładnie znane. I to trudno osądzić, o ile bliskie stosunki z legatem papieskim, do których Długosza ciągnęły uczucia i przekonania, wpłynęły niekorzystnie na skutek misyi naszych

posłów w Wrocławiu. Jeśli jednak liga z rozmów z posłami wnosiła, „że król Kazimierz po tém, co oni w Czechach widzieli i słyszeli, łatwiéj może da się nakłonić do przyjęcia jéj życzeń“, był to bezwątpienia ze względu na cel poselstwa niemały błąd dyplomatyczny, którego wina w przeważnéj części spada na Długosza.

Dość że król Kazimierz tak samo zapatrywał się na dzieje tego poselstwa. Kiedy mu bowiem w trzy miesiące późniéj jeszcze raz przyszło popróbować akcyi rozjemczéj w Czechach, wyprawiając nowe poselstwo, powołał do niego Ostroroga, powołał Dębińskiego, ale w miejsce Długosza trzecim posłem mianował Mikołaja Skopa, kasztelana oświęcimskiego. Długosz sam pisze, że „nie godziło mu się podjąć tego poselstwa“. Nie pomylimy się nawet podobno, jeśli udziałowi Długosza w poselstwie z r. 1469 przypiszemy głębszy wpływ na dalszą jego karyerę dyplomatyczną. Odtąd spotykamy go wprawdzie nieraz w usługach publicznych, na wielkich międzynarodowych zjazdach, kongresach, w najznamienitszych poselstwach, do których należenie można sobie za zaszczyt poczytywać, ale zawsze właśnie w poselstwach tak licznych i w towarzystwie tak wybitnych osób, że w ich cieniu nie mógł już rozwinąć samodzielniejszéj akcyi politycznéj. Tém łatwiéj to pojąć, że stanowisko Długosza w obec dalszego rozwoju kwestyi czeskiéj z każdą chwilą stawało się coraz trudniejszém. W ciągu kilku lat swego ochmistrzowstwa, przywiązał się Długosz gorąco do swych wychowańców, a tymczasem interes królewiczów, interes dynastyi Jagiellońskiego domu, sprzeciwiał się stanowczo interesom katolicyzmu, których sztandar dzierżył w swéj dłoni wróg i rywal Jagiellonów, król węgierski Maciej Korwin. Ochmistrz królewiczów walczył tu w Długoszu z gorliwym kapłanem, Oleśnickiego niegdyś adeptem, a nigdy ta walka nie była tak ciężką, jak w r. 1471,

kiedy na tron czeski wstępował najstarszy z Długoszowych wychowańców, Władysław, któremu stary ochmistrz towarzyszył w podróży koronacyjnéj do Pragi. Doczekać się tego musiał Długosz, że własny jego uczeń przyjął koronę z rąk „kacerzy“, występując w szranki przeciw koronowanemu przez legatów papieskich królowi, i on sam stanął na starość u stopni tronu, nad którym klątwa papieska zawisła, króry przed kilku tygodniami jeszcze zajmował „najprzewrotniejszy z heretyków“, Jerzy z Podjebradu.

Młody król czeski pragnął w trudnych kolejach losu, jakie go czekały, zatrzymać mistrza swego przy sobie, i ofiarował mu godność arcypiskupa praskiego, czemu z ochotą przyklasnęli panowie czescy, zwłaszcza nieliczni katoliccy baronowie Jagiellońskiéj partyi, dbali o pogodzenie religijnych stronnictw i ustalenie rozstrojonych stosunków w krajach czeskiéj korony.

Ale Długoszowi niełatwo było przystać na te nalegania zaszczytne. Sprawa arcybiskupstwa praskiego była niesłychanie drażliwa. Jeszcze bowiem w układach z soborem bazylejskim zastrzegli byli sobie utrakwiści dla jednego z najwybitniejszych swych przywódzców, dla głośnego już wówczas i późniéj wsławionego Rokiczany, nominacyą na arcybiskupstwo praskie. Późniéj wśród sporów soboru bazylejskiego z papieżem, poszło w odwłokę wykonanie tego punktu układów, a za czasów Jerzego, w epoce najlepszych nawet jego stosunków ze stolicą apostolską, pozostała nominacya Rokiczany w zawieszeniu. Od wojen husyckich zatém, od pół wieku prawie, była stolica arcybiskupia w Pradze opróżniona; ostatni arcybiskup Konrad przeszedł był jawnie do husytów, ten zaś, którego późniéj w czasie kompromisu na tę godność wyznaczono, dawny husyta, następnie z Kościołem pojednany, umarł okrzyczany przez opinią świata katolickiego już nie za kacerza, ale za here-

zyarchę. Kapituła praska była w największém rozprzężeniu, zwłaszcza od czasu ostatniéj wojny religijnéj; kanonicy, powolni rozkazom legata papieskiego, trzymali z Maciejem Korwinem. Dwóch ich tylko zostało w Pradze, dla strzeżenia relikwij w kościele katedralnym; wszyscy inni, umknąwszy z ojczyzny, kordonem interdyktu od Kościoła odciętéj, tułali się po Niemczech, burząc książąt Rzeszy przeciw młodemu Jagiellończykowi. Skoro Władysław koronę czeską z rąk utrakwistów otrzymał, arcybiskup przezeń mianowany nie mógł mieć nadziei, żeby go papież potwierdził, a tak, zmuszony do jawnego buntu przeciw stolicy apostolskiéj, łatwo zostałby sam w opinii katolików herezyarchą. W każdym razie nie mógłby był utrakwizmu uważać za herezyą, musiałby dozwalać komunii pod obydwiema postaciami, co w obec stanowiska, jakie Kościół zajął względem téj doktryny, sprzeciwiało się najświętszym przekonaniom Długosza. Gdyby nawet zresztą wszystko jeszcze z czasem pomyślnie się ułożyło, to na ileż przykrości i niebezpieczeństw naraziłby się tymczasem, ileż trudności w najlepszym razie później go jeszcze czekało! Pominąwszy to wszystko wreszcie, zanadto dobrym był Długosz Polakiem, żeby mu tak łatwo było porzucić na zawsze ojczyznę. Odmówił więc stanowczo naleganiom młodego króla, może nawet, jak to współczesny biograf jego głosi, ubrał odpowiedź w formę warunku, że tylko w takim razie przyjmie godność arcybiskupią, jeśli Czesi do zupełnéj jedności z Kościołem powrócą. Rad z zaszczytu, jakim w każdym razie było to wezwanie, w Październiku 1471 r., po trzymiesięcznym pobycie w Czechach, przybył z powrotem do Krakowa.

Wśród długiéj, przewlekłéj wojny z Maciejem Korwinem, która w skutek wstąpienia Władysława Jagiellończyka na tron czeski wybuchła, raz tylko zdarzyła się Długoszowi

sposobność rozwinięcia samodzielniejszéj akcyi dyplomatycznéj, kiedy nie w gronie liczniejszego poselstwa, jak zwykle w ostatnich czasach, ale sam miał powierzone sobie prowadzenie rokowań. Było to w roku 1478; silnie wiał już zewsząd wiatr pokojowy i pewna była nadzieja, że na podstawie ułożonych preliminaryów przyjdzie niebawem do ostatecznych układów między Maciejem, a domem Jagiellońskim. Ale Maciéj pragnął w ostatniéj jeszcze chwili wywrzeć nacisk na Kazimierza, żeby dogodniejsze dla siebie wytargować warunki pokoju i w tym celu nie przestawał kokietować z biskupem warmińskim Tungenem, który już od lat kilku był w wojnie z Polską i od niedawna podburzył był w. mistrza krzyżackiego do zaczepnych kroków przeciw zwierzchniemu panu. Rozdmuchując zatém zarzewie wojny pruskiéj, odzywał się równocześnie, że chętnie podjąłby się pośrednictwa między królem Kazimierzem a Tungenem i krzyżakami.

Wypadło więc zawiązać z nim rokowania w tym celu i misya ta dostała się Długoszowi, któremu do pomocy dodano jakiegoś nieznanego szlachetkę, Stanisława Marszałkowicza. Zanim przyszło do rozpoczęcia układów, Maciej zawarł był już pokój z Władysławem Jagiellończykiem (30 Września) i nie potrzebował zgoła Tungena ani Krzyżaków, a w ich wyłącznie interesie nie miał z pewnością ochoty do wojny z Polską, zwłaszcza w obec grożącéj mu nieustannie walki z Turkami. Ale dlaczegóż nie miał dopomódz niewinnym środkiem swym sprzymierzeńcom, skoro go to nic nie kosztowało? Odpowiedział zatém, że „nie zna takich środków, żeby króla Kazimierza z Tungenem i Mistrzem pogodzić“, zaprzeczał jawnie swym dawniejszym, niejasnym napomknieniom, a równocześnie postarał się o to, że posłów polskich doszła ubocznie potworna wieść o olbrzymiéj armii węgierskiéj, która niebawem w pięciu punktach

miała granice polskie przekroczyć. Usłyszawszy to, Długosz przeraził się niesłychanie i z właściwą sobie gorliwością rozpoczął rokowania z Maciejem. Dnia 21 Listopada stanął nareszcie układ, według wyrażenia samego Długosza „nie tak zaszczytny, jak konieczny“; posłowie polscy zgodzili się na rozejm z Tungenem i Krzyżakami do 2 Lutego, rozejm, dla nieprzyjaciół, którzy bez pomocy Macieja nie mieli żadnych widoków powodzenia, w każdym razie bardzo korzystny. A ciężkie były warunki tego rozejmu: Kazimierz miał bowiem cofnąć wojska polskie z Warmii, wydać twierdze, które mu się same poddały i tylko w tych pozostawić załogi, które oddawna zajmował.

Mimo to z zadowoleniem powracał Długosz z téj ostatniéj swojej misyi dyplomatycznéj, sądząc że „za pomocą Boską udało mu się stłumić sześć pożarów i sześć najstraszniejszych wojen zażegnać“, jak o tem sam po powrocie z Węgier pisze. Tém bardziéj ubodło go zatém przyjęcie, jakiego doznał po powrocie na dwór królewski. „Nietyle jeszcze — mówi — krzywił się sam król, jak panowie rada, którzy nas ostro za to łajali, żeśmy przyjęli te warunki rozejmu, a nie chciano na to zważać, że dla wyczerpania skarbu królewskiego niepodobna było dłużej wojny pruskiéj prowadzić“.

W ogóle nie nadawał się Długosz do misyj tego rodzaju i dziwić się téż nie można, że mimo tak częstego udziału w poselstwach, nie dosłużył się wyższego w zawodzie dyplomatycznym stanowiska. Nieoceniony jego zmysł praktyczny, wypróbowany na tylu polach, a wcześnie zaprawiony do rokowań dyplomatycznych, oddawał nieraz sprawie publicznéj niepospolite usługi; jeśli miał z góry wskazany cel, do którego należało zmierzać, a od którego niewolno było odstąpić, zręcznością swoją w technice negocyacyjnéj prześcigał innych i gorliwością niestrudzoną

niejednéj rzeczy dokonał, gdzieby innym ręce opadły. Niemniej zasłużył się na polu dyplomacyi wyjątkową swą erudycyą historyczną, tak cenną i niezbędną w prawnopolitycznych wywodach, czy to z Krzyżakami o odzyskanie zabranych ziem polskich, czy z królem Maciejem o prawa dynastyczne domu Jagiellońskiego do czeskiéj korony toczyły się układy. Ale musiał mieć kogoś nad sobą, ktoby krokami jego kierował, ktoby sił jego i zdolności używał we właściwym kierunku, powierzając mu za każdym razem do załatwienia takie tylko sprawy, w których istotnie z pożytkiem mógł działać. Gdzie mu jednak pozostawiono większą swobodę działania, tam nie w swoim czując się żywiole, tak jak w ostatniem poselstwie do Macieja Korwina, pomimo najlepszych chęci i najusilniejszych zabiegów, nie zdołał sprostać zadaniu.

Mówi wprawdzie współczesny biograf Długosza, że mu w ciągu długoletniego zawodu publicznego ofiarowano pieczęć podkanclerską, ale godzi się wątpić, czy wzmianka ta, tak ogólnie wypowiedziona, zasługuje na wiarę. Może był kiedy taki projekt, trudno jednak przypuścić, żeby król miał zgodzić się istotnie na złożenie urzędu podkanclerskiego w ręce Długosza, tém bardziéj, że w kilku wypadkach, zwłaszcza w r. 1467 i 1478, miał powód być niezadowolonym z jego usług dyplomatycznych. Niebrak nawet wskazówek, że Długosza na starość bolało systematyczne pomijanie przy kilku sposobnościach wywyższenia, jakie się wówczas zdarzały. Wielką wprawdzie wyrządzilibyśmy mu krzywdę, posądzając go o jakiekolwiek karyerowiczowskie zabiegi; ale dziwić się nie można, że po tylu usługach, oddanych państwu i królowi, czuł się w podeszłych swych latach dotkniętym, skoro go bezustannie omijała godność, która na jego stanowisku musiała być celem szlachetnéj ambicyi każdego kapłana — godność biskupia. Dość przy-

pomnieć, że właśnie w czasie, kiedy Długosz z najstarszym swym wychowańcem pospieszył do Pragi na koronacyą, zawakowało biskupstwo krakowskie. Z powrotem jednak z Czech zastał już obsadzoną stolicę Zbigniewa; król wyniósł był na nią młodszego jego kolegę, Jana Rzeszowskiego, a Długosza obdarzyła wówczas łaska królewska tylko nową kanonią w kapitule gnieźnieńskiéj. I w następnych latach po kilkakroć zdarzały się wakanse rozmaitych stolic biskupich; wstępowali na nie również młodsi i mniej zasłużeni, ale postępowaniem swojem dający rękojmię, że król, który, jak wiadomo, na obsadzanie biskupstw tak baczną zwracał uwagę, doczeka się w nich swéj polityki narzędzi. Długosz zaś był wprawdzie ochmistrzem królewiczów, zaskarbił sobie oddawna względy króla i zaufanie, jednak zawsze jeszcze miał niezależną naturę, zawsze za wiele trącił tradycyami Oleśnickiego, żeby Kazimierzowi mógł się wydawać pożądanym kandydatem do infuły. Bolało go to bez wątpienia i z tego zapewne źródła wypłynęła owa zgryźliwość, która nim w ostatnich zawładnęła latach, a któréj jaskrawe dowody znajdujemy na ostatnich kartach jego historyi, gdzie tylko o królu i rządzie ówczesnym mówić mu wypadnie. Nie jest to już bynajmniéj opozycya zasadnicza, jak za czasów Oleśnickiego, bo z luźnych uwag, porozrzucanych w tych latach Długoszowéj historyi, niepodobnaby złożyć jakiego odrębnego od polityki królewskiéj programu, rzadko nawet wysnuwa się z nich jakaś myśl dodatnia. Zresztą nietylko królowi dostaje się tutaj nagana; źle wychodzi na tém usposobieniu historyka całe społeczeństwo, gorzéj jego przywódcy, dygnitarze i biskupi; w opisie nieszczęsnéj wyprawy śląskiéj z r. 1474, na którą Długosz zwłaszcza całą żółć swoję wylewa, znajduje się nawet szczególna uwaga, że dziwnym zbiegiem okoliczności tylu księży było wówczas przy królu. Słowem jest to przeważnie zrzędzenie

rozdrażnionego i zgryzionego starca, bez głębszego planu i jasnéj myśli dodatniéj; ale powodem tego zrzędzenia musiał być jakiś niesmak, jakieś zniechęcenie, w którém stosunek Długosza do króla znacznie się oziębił, skoro główne pociski téj drażliwości godzą w osobę monarchy.

Jeśli głównem źródłem tego usposobienia był słuszny zresztą żal o infułę, to w r. 1479 spełnił się cel uzasadnionéj ambicyi Długosza. Wówczas to wyznaczył go król na wakujące arcybiskupstwo lwowskie. Jakby więc dla zadośćuczynienia za doznane zawody, miał stary ochmistrz królewiczów, z przeskoczeniem biskupiéj godności, wstąpić wprost na stolicę metropolitalną, co prawda, pod względem politycznym mniéj mającą znaczenia od niejednego biskupstwa. Nie dano mu jednak było doczekać się bulli z potwierdzeniem papieskiem. Jeszcze nie tak stary, bo sześćdziesiąty piąty rok życia dopiero kończył, a w pracy niestrudzony, jak tego dowodzi koniec jego historyi, w ostatnich prawie chwilach pisany, umarł Długosz 19 Maja 1480 r.

Poważnie postępował orszak pogrzebowy za trumną nominata-arcybiskupa lwowskiego, od domu Długoszowego pod zamkiem krakowskim, na Kazimierz, do kościoła na Skałce; tam bowiem pragnął spocząć, w miejscu zroszoném krwią patrona Polski, pod okiem zakonników św. Pawła, do których osadzenia przy tym kościele czynną przyłożył rękę. Tłumy ludzi przyłączyły się do tego pochodu, bo prawie od pół wieku cały Kraków znał i poważał dostojnego prałata, który tę ostatnią drogę odbywał. Za trumną postępowali jego uczniowie, synowie królewscy; roiło się od licznie zebranego duchowieństwa; cały uniwersytet któremu zmarły tyle dobrego świadczył, wystąpił w pełni na pogrzebie swego ucznia, profesorowie, mistrze, doktorowie wszystkich wydziałów i niezliczona moc biednych żaków, wyglądających tak samo, jak Długosz przed laty pięćdzie-

sięciu. Ale też kiedy te tłumy, rozchodząc się z pogrzebu, przez Kazimierz i Grodzką ulicę wracały do domu, co chwila wzrok przechodzących padał na wymowne pomniki niestrudzonéj pracy i szlachetnych zabiegów zmarłego i rzadko pewnie po jakim pogrzebie tyle dobrego mówiono o nieboszczyku, jak w tym dniu majowym, w którym zwłoki Długosza na Skałce spoczęły.

Jako męża publicznego znali go bowiem tylko nieliczni wybrańcy, do czynnego udziału w sprawach państwa powołani, mało kto mógł go już wówczas jako historyka ocenić, ale jako wzór kapłana, dbałego o chwałę Bożą i tkliwego na cierpienia ludzkie, znali go wszyscy, którzy patrzyli na żywot jego, pobożnemi fundacyami wypełniony, Próżnoby szukać kogoś w owym czasie u nas, między najbogatszymi nawet, coby w tym względzie z Długoszem mógł się porównać. Znaczne dochody intratnych prebend, które w kapitule krakowskiéj, wiślickiéj, sandomierskiéj i kieleckiéj posiadał, służyły głównie ku tym celom. Dobrym był gospodarzem i jak w służbie Zbigniewa porządną administracyą podniósł znacznie dochody biskupiego stołu, tak i w dobrach, należących do swoich prebend, umiał gospodarować, a poprzestając sam na tém tylko, czego nie zbędnie potrzebował, wszystkich dochodów używał na pobożne fundacye. W dobrach kapitulnych pobudował kilka kościołów, inne podniósł z upadku. Czuł to dobrze, że wyższe duchowieństwo, zajęte sprawami publicznémi, zaniedbuje częstokroć obowiązków kapłańskich, więc w niestrudzonéj pieczy o utrzymanie w należnéj świetności służby kościoła, fundował, pomnażał i uposażał kolegia duchowne, wyłącznie chwale Bożéj oddane, mansyonarzy, psałterzystów i wikaryuszy kanonicznych. Widząc, że w dawnych zakonach zapanowało rozprzężenie i zwolnienie pierwotnéj surowości, ukochał młodzieńczy w owych czasach i młodocianéj jeszcze

gorliwości pełny zakon Paulinów, osadził go przy zaniedbanym kościele na Skałce i mimo rozlicznych trudności, które trzeba było pokonać, dokazał tego, że miejsce, męczeństwem św. Stanisława uświęcone, stało się nowym chwały Bożéj przybytkiem. I o ludziach także pamiętał, o biednéj uczącéj się młodzieży, pozbawionéj środków utrzymania, do któréj sam przed laty należał, a pamięci téj wymowny dał dowód w ustanowieniu nowéj bursy kanonistów i w uposażeniu innych burs przy krakowskiéj akademii.

IV.

Stanowisko Długosza w piśmiennictwie. — Pomniejsze pisma. — Liber beneficiorum. — Historya polska. — Liwiusz wzorem. — Zbieranie źródeł. — Tendencya. — Współczesne dziejopisarstwo.

Czynny i pracowity był żywot Długosza. Na licznych i rozległych polach dano mu było pracować, a którekolwiek z nich przejrzymy, wszędzie widać żelazną, niestrudzoną jego energią, łamiącą wysoko nieraz nastrzępione zapory, o które wielu innych wytrwałość byłaby się rozbiła; wszędzie widać nieskończoną jego skrzętność mrówczą i zabiegliwość. Takim był też Długosz i w politycznym zawodzie, jak o tém żywy udział jego w sprawach publicznych świadczy. Odkąd dojrzał na męża i odkąd go losy na pole życia publicznego rzuciły, mało było spraw najżywotniejszych dla państwa i narodu, do którychby swéj spracowanéj, a zawsze do czynu chętnéj dłoni nie przyłożył. Ale z tém wszystkiém był Długosz od początku i do ostatnich dni swoich pozostał w kampanii życia publicznego szeregowcem, jednym z tych dzielnych szeregowców, którzy nieraz nawet bez świetnego dowództwa wiodą do zwycięstwa wojsko i okry-

wają je wawrzynami, ale na wodza nigdy nie dorósł. W machinie spółczesnych dziejów narodu poruszał się szybko i nieustannie w rzędzie tych drobnych kółek, od których należytego funkcyonowania wiele zależy w właściwém spełnianiu zadań machiny, ale nie był jedném z tych kół wielkich, które mnóstwo jéj części składowych w ruch wprawiają i obrotom ich nadają kierunek. Żywot publiczny Długosza nie wywarł głębszego, stanowczego wpływu na dzieje spółczesne narodu i sam przez się, jako jeden tylko skromny łan na ich rozległym obszarze, nie zdołałby żywszego obudzić zajęcia; ale jeśli go uważamy za jeden z węgłów, podpierających ten poważny gmach niespożytéj trwałości, który po pracy Długosza na wieczne czasy pozostał pamiątką, za jeden z pierwiastków jego literackiego, dziejopisarskiego zawodu, to nie możemy mu odmówić wielkiéj, godnéj bliższego zbadania doniosłości.

U spółczesnych wprawdzie więcéj uwagi zwracał na się Długosz swojemi misyami dyplomatycznemi, swém stanowiskiem nauczycielskiém na dworze i fundacyami swojemi, pochłaniającemi tyle pieniędzy skrzętnie zaoszczędzonych, niżli swą działalnością literacką, któréj owoce w późniejszych dopiéro czasach wyjść miały narodowi na pożytek. Główne zresztą, pomnikowe dzieło, nad którém Długosz do ostatnich dni swoich pracował, nietylko za życia jego nie było znane, ale i po śmierci autora przez dwa wieki przeszło ukrywało się w rękopismach, nierozpowszechnione drukiem i mało komu dostępne. Za życia Długosza pomniejsze tylko pisma jego opuszczały cichą pracownię ochmistrza królewiczów, dostając się w rękopisach do rąk osób, którym je autor dedykował, i nielicznego kółka ich znajomych, żądnych czytania. Najwięcéj rozpowszechnienia doznały spółcześnie dwie prace Długosza, nawpół historycznéj, nawpół budująco-religijnéj treści, dwa żywoty świętych polskich,

św. Stanisława i św. Kingi, oparte na dawniejszych biografiach, ale mało ściśle historycznego materyału zawierające. Osobną grupę wśród pomniejszych pism Długosza stanowi cykl monografij biskupstw polskich, czyli katalogi biskupów wrocławskich, kujawskich, poznańskich, krakowskich, płockich i arcybiskupów gnieźnieńskich. Są to prace przygotowawcze do głównego dzieła, zredagowane ostatecznie jako odrębne pisma, przeważnie w ostatnich latach Długosza, a dedykowane biskupom, z którymi go bliższe łączyły stosunki. Do rzędu tych prac przygotowawczych zaliczyć także należy heraldyczną rozprawę o herbach szlachty polskiéj, zawierającą krótkie, ale ciekawe, bo z życia wzięte i na rozległéj znajomości ludzi oparte charakterystyki szlachty każdego herbu. Tu należy także poniekąd opis chorągwi krzyżackich, głównie na polu bitwy grunwaldzkiéj zdobytych i w katedrze krakowskiéj na pamiątkę zwycięstwa złożonych, ozdobiony dokładnemi wizerunkami, które Długosz, dbały o zachowanie pamięci tych trofeów, późniéj istotnie zębem czasu zniszczonych, jakiemuś malarzowi kazał odmalować.

Najznaczniejsze miejsce, obok głównego dzieła Długosza, zajmuje jego słynna „Księga uposażeń dyecezyi krakowskiéj“ (Liber beneficiorum dioecesis cracoviensis), owoc niestrudzonéj, benedyktyńskiéj zaiste pracowitości, w cztérech sporych foliantach złożony. Właściwym celem tego dzieła, było dokładne zestawienie całego majątku kościelnego, uposażenia i dochodów wszystkich kościołów i beneficyów krakowskiéj dyecezyi. Był to więc dalszy ciąg téj pracy, któréj podwalinę postawił był Długosz jeszcze w pierwszych latach pobytu na dworze Oleśnickiego, w owym inwentarzu posiadłości biskupich w celach praktycznych ułożonym, który niestety zaginął z niepowetowaną szkodą dla znajomości Polski XV. wieku. Pod skrzętną ręką Długosza stał

się ów „Liber beneficiorum“ znakomitym geograficzno-statystycznym obrazem dyecezyi krakowskiéj w jego epoce, nieocenioném do poznania wewnętrznych, zwłaszcza ekonomicznych stosunków ówczesnéj Polski źródłem, jakiemu równego żadna literatura spółczesna Długoszowi wykazać nie zdoła. Nietylko duchowne posiadłości są w tém dziele dokładnie opisane; skoro bowiem dziesięciny ze wszelkich dóbr królewskich, szlacheckich i z chłopskich gruntów stanowiły jedno z najważniejszych źródeł dochodów kościelnych, każda więc najmniejsza nawet wioska ówczesna doczekała się w pracy Długoszowéj starannego opisu. Znać też w tém dziele, że wyszło z pod pióra najznakomitszego naszego średnich wieków historyka, kiedy już w pracy nad dziejami narodu nagromadził obfity skarb niedostępnych komu innemu historycznych wiadomości, które jako cenne przyczynki do lokalnéj historyi w opisach rozmaitych miejscowości znajdujemy. Nie jest to zresztą jedyny owoc rzadkich na owe czasy geograficznych studyów Długosza, w pierwszéj bowiem księdze jego historyi mamy również dość obszerny, a wielce ciekawy zarys geografii fizycznéj i topografii całego obszaru ziem polskich.

Historya polska Długosza, owoc niestrudzonéj, dwudziestopięcioletniéj, a czynnym udziałem w życiu publiczném, różnorodnemi zatrudnieniami z powodu rozlicznych fundacyj i tylu innemi zajęciami literackiemi przerywanéj pracy, składa się z dwunastu ksiąg, z których dwie ostatnie, rozmiarem swym dorównywające dziesięciu innym, opowiadają dzieje spółczesne autorowi, od wielkiéj wojny krzyżackiéj 1410 r. począwszy. Te dwie różne dzieła swego części, historyą dawną i spółczesną, rozpoczął Długosz równocześnie i długo nad niemi w jednym czasie pracował, dopóki kończąc część pierwszą, nie dosięgnął początku drugiéj, która tymczasem olbrzymie już rozmiary przybrała. Często jednak

przeglądał rozliczne, dawno już zapisane seksterny swego dzieła, przerabiał je nieraz z gruntu, znajdując coraz to nowe materyały, licznemi dodatkami zbogacał, i jak sam to mówi w zakończeniu, „rzadka była karta w téj księdze, na któréjbym, postrzegłszy błąd, nie wymazał go z pisma i po i po sześć, po siedem razy nie poprawiał takich omyłek“. Zwolna więc rósł ten olbrzym Długoszowego dzieła, nieustannie przekształcając się i doskonaląc; ale nim autor przystąpił do niego, nim pierwszą do budowy położył cegiełkę, cały plan i rozkład przedmiotu dokładnie był obmyślany i z góry ułożony, jak tego podział materyi na dwanaście ksiąg dowodzi.

Niepodobna sobie dziś zdać sprawy z trudności, jakie spotykał autor XV wieku, piszący dzieje nietknięte jeszcze piórem, a chcący się liczyć z wymogami literackiemi jego czasów, bez wzorów i bez żadnego na tem ciernistem polu godnego poprzednika. Boć ze starych kronikarzy wzoru sobie brać nie mógł, sam czując dobrze ich niedostatki, owiany pierwszym prądem powiewu nowszéj epoki. Jakoż szukał go u starożytnych pisarzy i znalazł w Liwiuszu; prototypem doskonałości literackiéj wydawał mu się ów „Titus Livius“, o którego przysłanie gorąco prosił humanistę Marcina z Przemyśla, dowiedziawszy się po ostatniéj włoskiéj podróży, że uczony biskup węgierski, u którego Marcin bawił, tę nieznaną w Polsce rzadkość posiadał. Nie znał zatém Długosz jeszcze Liwiusza w r. 1450, lecz niebawem, zapewne w skutek téj prośby, musiał go otrzymać, skoro w przedmowie do swego dzieła, napisanéj wkrótce po śmierci Zbigniewa Oleśnickiego (1455), kładzie go na piérwszém miejscu pomiędzy najznakomitszymi historykami starożytności, nie mając dlań dość słów uwielbienia. Poznawszy go zatém właśnie w tym czasie, kiedy ostatecznie uległ namowom Oleśnickiego i przystąpił do pracy nad olbrzymiém swém dziełem, niedziw, że w Li-

wiuszu upatrywał przedewszystkiem wzór godny naśladowania. Znał wprawdzie także Sallustyusza i z niego przypominał sobie losy Katyliny, przyrównywając je do dziejów Zbigniewa, brata Krzywoustego; dzieła Sallustyusza mogły mu jednak conajwięcéj służyć za godny naśladowania wzór stylu i sztuki historycznéj, ale jako monografie, nie były dla niego tém, co Liwiusz. Dekady Liwiusza pociągnęły go ku sobie najbardziéj, jako dzieło rodzajem przedmiotu pokrewne jego własnemu wielkiemu przedsięwzięciu; w nich widział świetny przykład, jak należało urzeczywistnić cel własnych marzeń, by „do obecnych dziejów dawniejsze przyłączyć i razem z nich utworzyć księgę całkowitéj historyi narodu.“ Odkąd wreszcie, otarłszy się o humanistów, przejął się głęboką czcią dla zabytków klasycznéj literatury, tém goręcéj garnął się do tego wzoru, skoro go według spółczesnéj opinii humanistów, uważał za najświetniejszy pomnik starożytnego dziejopisarstwa, za perłę sztuki krasomówczéj i wytwornego pisania. Jakkolwiek zresztą tak wielka przepaść dzieliła rzymskiego historyka od polskiego kapłana z XV wieku, główne zasady historyozoficznego poglądu Liwiusza przemawiały sympatycznie do systemu uczuć i przekonań Długosza. Głęboka, aż do przesądu dochodząca wiara klasycznego autora, który wszelkie wydarzenia dziejowe uważa za zewnętrzny objaw rządów bóstwa na ziemi, zastosowana do kamertonu wyobrażeń chrześcijańskich, odpowiadała zupełnie historyozoficznemu stanowisku naszego pisarza. Te wszystkie względy złożyły się na to, że Długosz, powodując się właściwą humanistycznéj epoce czcią dla autorów klasycznych, nie marzył o tém nawet, żeby w jakimkolwiek kierunku wzór swój prześcignąć, ale pod każdym względem, w układzie, w rozłożeniu przedmiotu, w modelowaniu opowieści, w stylu wreszcie — o ile go na to stać było — starał się zbliżyć do Liwiusza. Nie wiodło

go to jednak bynajmniéj do tak niewolniczego naśladownictwa, żeby miał się powstrzymać w ogólnym planie swego dzieła od wprowadzenia rozmaitych modyfikacyj, które, ze względu na swój przedmiot uważał za potrzebne, jakkolwiek w tym względzie Liwiusz nie mógł mu za wzór służyć. Tu należy mianowicie ścisłe przestrzeganie schematu annalistycznego w obrębie owych ksiąg dwunastu, z których się dzieło Długoszowe składa, jak niemniéj skrzętne zapisywanie wiadomości z dziejów ościennych narodów, oraz z dziejów papiestwa i cesarstwa, jako téj osi głównéj, około któréj, według pojęć średniowiecznych, obracała się historya powszechna.

Nie mógł mieć wprawdzie Długosz wyobrażenia o technice rzemieślniczéj dzieła Liwiuszowego, o właściwym mu sposobie korzystania ze źródeł, ale mimo to, w skutek zamiaru zbliżenia się do swego wzoru, w tym względzie właśnie najmniej może od niego się oddalił. Przyznać mu to można, że w niezmordowanéj gorliwości około zebrania i skrzętnego wyzyskania wszystkich materyałów źródłowych, do których tylko dotrzeć mu się udało, historyk nasz o wiele wzór swój starożytny przewyższył. Nikt ze spółczesnych i wogóle przez długie czasy nikt w literaturze europejskiéj Długoszowi w tém nie dorównał; zaledwie późniejsi historyografowie kościoła, mianowicie Baronius i Raynald, mogą z nim współzawodniczyć. Nic téż o téj niestrudzonéj skrzętności Długosza nie świadczy tak wymownie, jak najnowsze wyniki poszukiwań na polu naszéj historyografii średniowiecznéj; co tylko bowiem z jéj pomników udało się dziś w mozolnych poszukiwaniach wydobyć z zapomnienia, to wszystko, bez wyjątku prawie, było Długoszowi znane i weszło w skład jego olbrzymiéj pracy. — I wątpić téż dla tego nie można, że było mu również dane korzystać z niejednego pomnika, który późniéj niepowrotnie

zaginął, lub może kiedyś w przyszłości szczęśliwym trafem wydobyty będzie z ukrycia; stąd pierwsze księgi jego dzieła, mimo wszelkich swych niedostatków, nietylko będą niepospolitym pomnikiem literackim, ale zawsze zachowają wartość nieoszacowanéj kopalni wiadomości, które, dzięki niestrudzonéj pracy autora, z zaginięciem pierwotnych źródeł, w niém tylko do naszych ostały się czasów. „Dawniejszych bowiem wieków sprawy — mówi Długosz — na cudzych opiérać przyszło świadectwach, co więc po kościołach, archiwach i różnych miejscach było rozproszone, starałem się pozbierać i w jaki sposób mi się udało, związawszy, wciągnąłem do tego dzieła“.

W sposobie korzystania z tych źródeł, objawia się jednak u Długosza, jak powiedzieliśmy, niemało podobieństwa z Liwiuszem. Wynika to z natury rzeczy. Pragnąc modelować opowiadanie dziejowe w sposób barwny i ożywiony, na wzór Liwiusza, a rozporządzając w znacznéj części (w piérwszych dziesięciu księgach) równie szczupłym zasobem skąpych, małomównych, suchych i bezbarwnych zapisek, uplatał z nich opowiadanie historyczne w podobny sposób jak Liwiusz, za pomocą licznych, po największéj części dość niewinnych ubarwień i amplifikacyj, które nawet bez wielkiéj bystrości krytycznéj łatwo rozpoznać od ustępów, polegających istotnie na źródłach zaginionych. Wobec dzisiejszego stanowiska nauki, postępowanie takie uchodziłoby za ciężkie przewinienie wobec prawdy dziejowéj; naiwność badania historycznego, zarówno za Liwiusza, jak i Długosza czasów, uważała je jednak za obowiązek wobec wymagań sztuki dziejopisarskiéj, którym w inny sposób nie umiała zadośćuczynić. „Długa osnowa dziejów — mówi Długosz — zbyt treściwie i oschle odprawiona, staje się niesmaczną i czytelnikowi żadnéj nie sprawia przyjemności, jeżeli jéj starannemi opisy nadobnie nie roztoczysz i nie

objaśnisz". Otóż właśnie do tych „starannych, ozdobnych opisów", służyły dodatki, czerpane wyłącznie z wyobraźni autora. Po największéj części dodatki te są zupełnie dowolne i wynikają z właściwego ówczesnemu dziejopisarstwu przekonania, że gdzie źródła nie dopisują, należy szkielet ich opowiadania wypełnić szczegółami, których z natury rzeczy łatwo się domyśleć. Niekiedy jednak są to kombinacye skąpych świadectw źródłowych, zbliżone już do hipotezy w dzisiejszéj metodzie konstrukcyi historycznéj, które tém tylko od niéj się różnią, że niéma w nich téj umiejętnéj ścisłości, cechującéj dzisiejsze stanowisko nauki, nie ma uzasadnienia krytycznego, tego jedynego probierza wartości kombinacyj. Często zdarzają się u Długosza kombinacye zupełnie dowolne, nieraz jednak można to na chlubę jego pracy dziejopisarskiéj, stwierdzić, że i my dzisiaj, rozporządzając w niejednym wypadku tym samym zasobem skąpych, małomównych świadectw źródłowych, dochodzimy niezależnie od Długosza do tych samych kombinacyj. Praktyczny trzeźwy jego rozsądek nieraz szczęśliwie się wywiązywał z zadań krytyki historycznéj, idąc w opowiadaniu przeważnie za głównemi, najbliższemi opisanych wydarzeń źródłami; w rozwikłaniu zaś trudności krytycznych widać przynajmniéj u niego rzadkie na owe czasy usiłowania racyonalnéj krytyki. „Przy niezgodności pisarzy — odzywa się w przedmowie — których często mię gorszyła nierozwaga i opieszałość, trzymałem się w podaniach i wątpliwościach tego, ku czemu pociągało myśl moję większe do prawdy podobieństwo, powaga pisarzy lub powszechniejsze mniemanie... Gdy zaś historykowi przystoi prawdę nad wszystko przekładać, usunąłem na bok i odrzuciłem niektóre podania, do kronik i roczników polskich niewłaściwie przymięszane, które obudzaćby mogły niedowierzanie powszechne, zdają się trącić baśniami i podobniejsze są do marzeń poetyckich,

niźli do historycznych powieści, aby naczynie czyste nie kalało się mętem i według dawnego przysłowia nie marnował się oléj i praca. Boć nawet i w dawniejszych czasach powaga dziejowych opowiadaczy nie mogła tych rzeczy, jako oczywiście zmyślonych, obronić przed sądem ludzi wytrawnych i dobrze dziejów świadomych. O innych zaś, chociaż zdają się prawdziwemi albo podobnemi przynajmniéj do prawdziwych, nie śmiałbym z taką twierdzić stanowczością, iżbym za nie ręczył głową i żeby je kładziono na wagę mojego sumienia, już to z téj przyczyny, że dziejów dawnością zakrytych, nie godzi się objaśniać własnemi domysłami, już dla tego, że rzeczy, które mam opowiadać, zbyt wiekami odległe i pomroką czasu są zaćmione, tak, iż trudno osądzić, czy je za prawdziwe przyjąć, czy odrzucić należy".

Czém jest prawda w pisaniu dziejów, o tém ma Długosz głębokie przeświadczenie; w przedmowie jasno wyznaje, że historyk „ma bardziéj starać się o prawdę, aniżeli o piękne pozory, że mu przystoi prawdę nad wszystko przekładać, że zatyka uszy na złudny śpiew Syren, żeby prawdy i czystości dziejów nie skazić ani zawiścią, ani przychylnością, ani żadnemi względami, w opisaniu tych zwłaszcza rzeczy, na które zdarzył mu los własnemi patrzyć oczyma". Ale jak w dawniejszych dziejach, mimo najusilniejszych starań, nie mógł częstokroć dotrzeć do prawdy, a dodatkami swojemi i amplifikacyami mimowoli z nią częstokroć się mijał, tak w opisie spółczesnych wydarzeń niezawsze umiał być głuchym na ów „złudny śpiew Syren", którego według słów swoich tak chciał się wystrzegać. Jakoż niepodobna zaprzeczyć, że Długosz był tendencyjnym pisarzem. Skoro wreszcie pisał o dziejach współczesnych, w których sam brał tak czynny udział, skoro kreślił przebieg spraw, na który sam z bijącém sercem spoglądał, koleje zasad i idei, za które sam walczył i cierpiał: to wymagać od niego, żeby

nie był tendencyjnym, byłoby nie liczyć się z naturą ludzką i żądać od niéj za wiele. Nie myślimy tu już o bezwzględnéj sądu historycznego bezstronności, któréj w ogóle od dziejopisarza, a nie dopiéro od historyka dziejów współczesnych, niepodobna wymagać; mówimy tylko o tendencyjném kreśleniu samych wydarzeń, o układaniu historyi według wskazówek, które autorowi podawał jego sąd historyczny. Jeśli kto, tak jak Długosz, pisał historyą nietylko dla pożytku, ale i „ku większéj chwale ojczyzny“, to trudno mu było zawsze z prawdą w zgodzie pozostać, gdy miał pisać o czemś, co według zapatrywań jego nie chwałę, ale hańbę ojczyźnie przynosiło. Skoro fakt taki zaszedł, a on nań patrzyć musiał własnemi oczyma, serce mu się krwawiło i gotów byłby pewnie wielkie ponieść ofiary, żeby to, co się stało, odstać się mogło; ale trudno mu było przeboleć, żeby zdarzenia takie w całéj nagości i jaskrawości przekazać czasom potomnym. Jeśli pisał o dziejach tego męża, który mu był przez czas tak długi ideałem, mistrzem, ojcem prawie i wszystkiém na świecie, to z zapałem wszystko na wierzch wydobywał, co mogło posłużyć „ku większéj chwale“ jego dobroczyńcy, a wolał to zasłonić, na co sam chętnie byłby rzucił zasłonę, wolał w cieniu ukryć lub zaledwie dotknąć tego wszystkiego, coby mogło uwydatnić zasługi przeciwników Zbigniewa, z którymi sam walczył i których razem z nim nienawidził.

Krzywdą jednak byłoby dla Długosza, gdyby kto sądził, że on wszystko, co tylko ojczyźnie lub jego stronnictwu nie przynosiło chwały, starannie zasłaniał i tendencyjnie przekręcał. Bolała go klęska chojnicka, głębokim żalem przejmowała go kampania śląska r. 1474, wstyd i oburzenie ogarniały go na myśl o przekupstwie dygnitarzy polskich, na które tak głośno narzeka, ale o tém wszystkiém pisząc, z prawdą się nie rozminął. Były jednak w systemie

jego uczuć i przekonań niektóre tak drażliwe struny, że gdy o nie fakt jakiś potrącił, musiały wydać dźwięk fałszywy i gdy przyszło mu pisać o takich zdarzeniach, z których według jego przekonania na ojczyźnie wieczna pozostawała hańba, nie mógł tego przenieść na sobie, żeby prawdę nagą powiedzieć. W dwojaki sposób radził sobie w takim razie. Piérwszym, mniéj szkodliwym, było proste przemilczanie takich zdarzeń i objawów, metoda, któréj często się chwytał, a która obraz dziejów współczesnych, przezeń skreślony, w niejednym względzie wykrzywia i fałszywy mu nadaje koloryt. I tak mało n. p. widać w nim opozycyi przeciw duchowieństwu, która się wówczas w społeczeństwie szlacheckiém jaskrawo nieraz objawiała; dość téż wspomnieć, że i husytyzmu, który w pewnych chwilach tak groźnie rozpościerał się w Polsce, nie znać prawie zgoła. Polityka rządu, sprzyjająca husytom, osłoniona jest tak starannie, jak gdyby o niéj nigdy na seryo nie pomyślano. Również polityka Kazimierza Jagiellończyka wobec Jerzego z Podjebradu w czasie wojny religijnéj w Czechach, właśnie w skutek téj metody przemilczania, wystawiona jest w fałszywém świetle.

Nie tu jednak kończy się tendencyjne układanie historyi u Długosza; zdrożniejszém nierównie od metody przemilczania było oczywiste, a jaskrawe niekiedy przekręcanie faktów, których prawdziwy przebieg z wszelką pewnością znał zupełnie dokładnie. Co prawda, przyznać należy, że wypadki takie wyjątkowo tylko się zdarzają, i to pewna, że fałsz taki, sam przez się zdrożny, wynika u niego z pobudek moralnych, którym niepodobna odmówić pewnéj sympatyi. Zawsze téż łatwo sobie w takim razie zdać sprawę z psychologicznego procesu, z tych pobudek moralnych, które taki fałsz na świat wydały. Skupić zatém należy krytyczną ostrożność przy rozbiorze takich ustępów, w których pisaniu tego rodzaju pobudki mogły działać. Czerpiąc wskazówki

z doświadczenia, w krytycznym rozbiorze jego pism zebranego, można wykryć i takie wykrzywienia prawdy, które w historyi Długoszowéj spowodowała owa metoda przemilczania, wyżéj wspomniona, w ten sposób zaś usunie się z niéj w części przynajmniéj i ów jednostronny koloryt w obrazie współczesnych dziejów. Ale do tego wszystkiego potrzeba jasno zdawać sobie sprawę z owych pobudek moralnych, które u Długosza tych zboczeń były przyczyną, a w tym względzie tylko dokładna znajomość jego publicznego żywota i zapatrywań na sprawy współczesne, tylko ścisłe zbadanie stanowiska, jakie względem nich zajmował, dostarczyć może potrzebnych wskazówek. Różne bowiem — jak wiadomo — fazy przechodził nasz historyk w swém życiu publiczném, co wyraźnie uwidoczniło się w jego obrazie dziejów współczesnych, na sposób pamiętnika kreślonym.

Wszystkie te niedostatki i zboczenia są zresztą wspólne całemu ówczesnemu dziejopisarstwu, wynikają bowiem z właściwego owemu wiekowi stanowiska metody i sztuki historycznéj, a wśród spółczesnych dziejopisarzy jest Długosz w każdym razie w całéj literaturze europejskiéj jedyném w swoim rodzaju zjawiskiem. W niestrudzonéj gorliwości około zebrania i spożytkowania wszystkich źródeł nikt ze spółczesnych, nikt z późniejszych przez długi czas mu nie dorównał, metoda zaś jego pracy historycznéj i zalety konstrukcyi ukażą nam się dopiero w całéj swéj względnéj świetności, jeśli jego dzieło porównamy z pracami Bonfiniusa, lub nawet takiego potentata literackiego owego czasu, jakim był Eneasz Sylwiusz Piccolomini. Staranne modelowanie opowieści, z troskliwém wykończeniem szczegółów nietylko jako materyał, ale i pod względem literackim, o wiele wyżéj stoi od téj historyografii humanistycznéj, prześlizgującéj się lekkomyślnie po powierzchni wypadków, z których treścią bez wielkiego trudu udawało jej się za-

znajomić. Współczesnéj zaś historyografii niemieckiéj ani metodą, ani formą nie mierzyć się z Długoszem; już sam horyzont jéj, wskutek lokalnego lub co najwięcéj terytoryalnego charakteru jéj pomników, nie dozwala ich z dziełem naszego historyka porównywać.

Pod koniec XV wieku i na początku XVI rozkwita wprawdzie we Francyi i we Włoszech dziejopisarstwo pamiętnikowe, którego reprezentanci — dość tu wspomnieć Comines'a, Guicciardiniego i Machiavella — jaśnieją takim pierwszorzędnym talentem w konstrukcyi historycznéj, tak subtelném i pełném precyzyi przeniknięciem istoty opisywanych wydarzeń i stosunków, że współczesne dzieje Długosza, innéj jeszcze epoki, innych prądów duchownych dziecięcia, pod tym względem z nimi mierzyć się nie mogą. Tylko prawdomówność Długosza, choć ją tak ostréj poddaliśmy krytyce, nic nie ucierpi wskutek porównania z temi arcydziełami pamiętnikowéj literatury historycznéj, a wszystkie niedostatki, któreśmy z całą surowością wytknęli, ukażą się dopiero wtedy we właściwém świetle, jako wspólne cechy ówczesnego dziejopisarstwa. Tendencya zaś Długosza i wszelkie zboczenia, z niéj wynikające, wydadzą nam się prawie gołębią niewinnością, jeśli dzieło jego porównamy z pomnikami spółczesnéj lub prawie spółczesnéj historyografii soborowéj, z pracami takiego Jana z Segowii, lub Teodoryka z Nieheim. Przyjmijmy tendencyą jako „złe konieczne“, jako wynik naturalny jego politycznego stanowiska, bo zaprawdę, tém możemy się pocieszyć, że gdyby nie był odgrywał téj roli politycznéj, nie byłby mógł w owych czasach zgoła dorosnąć do wysokości historyka i albo nic nie byłby napisał, albo też taki tylko szkielet annalistyczny, iż praca jego, choć na wskróś tendencyą przesiąknięta, ma stokroć większe prawo do naszéj wdzięczności.

Jeśli wreszcie ogrom dzieła Długoszowego rozważymy w całości, to napróżno w literaturze powszechnéj XV wieku szukalibyśmy pomnika, któryby obok niego mógł stanąć; żaden naród nie doczekał się swéj historyi, téj co dzieje Długosza miary.

UNIA Z CZECHAMI.

I.

Prace z zakresu dziejów polskich XV wieku. — Rozprawa p. Prochaski. — Reakcya przeciw poglądom p. Caro. — Charakterystyka stanowiska p. Caro, zwłaszcza wobec kwestyi polsko-husyckiéj. — Tło stosunków wewnętrznych. — Partya kancelaryjna i Teutonofile. — Charakterystyka zapatrywań p. Prochaski. — Cel niniejszéj rozprawy.

Na żadném polu piśmiennictwa naszego nie możemy się pocieszać tak ożywionym ruchem i tak znacznym postępem w ciągu kilku lat ostatnich, jak w dziedzinie historyi. Ustępują wprawdzie ciągle i prawie już zupełnie ustąpili z pola starzy, wysłużeni wodzowie, do niedawna jedyni u nas prawie reprezentanci ruchu dziejopisarskiego, którzy tém cięższe mieli w trudniejszych okolicznościach do spełnienia zadanie, że byli wodzami bez żołnierza, że w ciągu całego zawodu brak im było pomocy sił młodszych. U schyłku dni swoich z zadowoleniem patrzeć mogli na liczny a skrzętnie ruszający się zastęp nowych pracowników, którzy, w innych warunkach rozpoczynając zawód, z innéj doń gleby czerpiąc soki żywotne, nie szczędzą trudu, by pracę nad dziejami naszemi postawić na równi z tém, co za granicą na polu historyi zdziałano już lub obecnie się

działa. Jeślibyśmy przejrzeli nasze publikacye historyczne i wydawnictwa źródłowe z kilku lat ostatnich, to spostrzeglibyśmy, że najobfitsza może grupa odnosi się do dziejów wieku XV; nie od rzeczy byłoby nawet, rozpatrzeć się bliżej w tej grupie, ocenić postęp, który historya nasza XV wieku téj wiązance nowych prac zawdzięcza i zdać sobie sprawę zarazem, co do dokładniejszego zgłębienia tój epoki uczynić jeszcze wypada. To żywe zajęcie się wiekiem XV uważać zaś możemy również za objaw pocieszający, za objaw widoczny, że historya przestaje być u nas zamiłowaniem w starożytnościach narodowych bez głębszego celu, a wznosi się na godny jej piedestał nauki, któréj ostatecznym celem rozwiązać bez uprzedzeń uczuciowych to najwyższe dla nas zagadnienie: czém byliśmy istotnie i co nas przywiodło do tego, czém dziś jesteśmy.

Wiek XV był dla całéj Europy chwilą przełomu ze stosunków średniowiecznych, zużytych i przez to naturalnym biegiem rzeczy na zagładę przeznaczonych, ku nowemu, przebojem torującemu sobie drogę porządkowi rzeczy. I dla Polski była to chwila stanowcza, w któréj się miało rozstrzygnąć, czy równie jak jej starsze rodzeństwo w rodzinie państw europejskich zdoła przekształcić się w państwo nowożytne, posiadające w swym ustroju odpowiedniejsze warunki do spełnienia zadań państwa na wewnątrz i na zewnątrz. Inne były w Polsce niż na Zachodzie podstawy ustroju społecznego i państwowego, z innymi czynnikami miała tu do czynienia idea państwowa, by wywalczyć sobie zwycięstwo, alo tę samę próbę ogniową musiała przejść Polska, co i inne narody w téj epoce. Uległ téż ustrój wewnętrzny Polski zasadniczemu przeobrażeniu; był to wynik procesu dziejowego, który długo w XVI wiek się przeciągnął i jnż wówczas naprzód rozstrzygnął o losach państwa i narodu. Mało kto zaprzeczyłby dzisiaj, że to

właśnie wadliwość tego ustroju przywiodła Polskę do upadku; poznać zatém jak najdokładniéj przebieg tego przeobrażenia wewnętrznego w XV i XVI wieku, zdać sobie jasno sprawę z czynników, które nie dozwoliły Polsce rozwiązać pomyślniéj tego zadania, to bez wątpienia pierwsze i najważniejsze u nas zadanie pracy historycznéj.

Do rzędu ważniejszych zadań z tego zakresu należy bez wątpienia sprawa stanowiska Polski w obec Husytyzmu. Nie to stanowi o ważności tej sprawy, że przez lat kilkanaście kwestya Husytyzmu jest osią główną dziejów zewnętrznéj polityki środkowéj i wschodniéj Europy i przez cały ten czas również na zewnętrzną politykę Polski przeważny wpływ wywiera. W Husytyzmie tkwi tyle pełnych znaczenia pierwiastków religijnéj, politycznéj i społecznéj natury, że stanowisko, jakie Polska, będąc wówczas właśnie zaledwie u progu wewnętrznego przeobrażenia, w obec sprawy Husytyzmu zajmowała, nie mogło pozostać bez wpływu na jego kierunek i koleje. Właśnie unia z Litwą, w saméj jeszcze kolébce, wprowadza Polskę na widownię ciężkich zadań dziejowych, których brzemię stało się jéj głównym hamulcem w pracach wewnętrznych, wytworzyła ów trudny, niepewny jeszcze i wątpliwy stosunek do pobratymczych, słowiańskich, lecz obcych kierunkiem cywilizacyi i wyznaniem żywiołów; Husytyzm zaś podniósł wysoko sztandar słowiański i w imię sympatyj słowiańskich podawał Polsce rękę, odzywając się do uczuć bratnich, które mącił znów ton fałszywy, wydobywający się z kwestyi religijnéj. Źródłem Husytyzmu, hasłem jego była wojna, wypowiedziana ówczesnym stosunkom kościelnym, a w Polsce, jak we wszystkich państwach, w których owo przeobrażenie wewnętrzne dokonać się miało, na czele spełnić się mających zadań stało uregulowanie stosunku między kościołem i państwem. Jakież wreszcie teorye polityczne, od najskraj-

niejszych do najbardziéj zachowawczych walczyły w łonie samego Husytyzmu, dotykając blizko wszystkich tych żywotnych kwestyj, które z przeobrażeniem średniowiecznego państwa w nowożytne jak najściśléj się łączyły.

Historya Husytyzmu w ostatnich dopiero czasach doczekała się dokładniejszego wyjaśnienia. Po obszernéj pracy Palackiego, która, na nieznanych po największéj części źródłach oparta, po raz pierwszy ten ważny dziejów czeskich epizod w właściwém przedstawiła świetle, wyszły niebawem na jaw ukryte dotychczas źródła, które dozwalają samodzielnie zgłębić dzieje Husytyzmu i wyniki badań, lub niektóre zapatrywania czeskiego historyka sprostować. Ostra polemika Palackiego z Höflerem nie mało przyczyniła się, jak każde rozważanie ważnéj kwestyi z sprzecznych stanowisk, do ustalenia sądu historycznego o Husytyzmie a kilka cennych monografij podało w ostatnich latach ważne przyczynki do dokładniejszego w szczegółach poznania sprawy husyckiéj. Czas więc był, żeby na tle wyjaśnionych wszechstronnie dziejów Husytyzmu rozpatrzéć się w roli, jaką w obec niego odegrała Polska.

Zadania tego podjął się Prochaska, autor kilku prac monograficznych, które wszystkie odnoszą się do początków Jagiellońskiej epoki. Obszerna praca jego umieszczona w VII i VIII tomie Rozpraw Akademii Umiejętności*) zajmuje się tą sprawą w pierwszym jéj okresie, t. j. do odwołania synowca Witołdowego z Czech. Wszelkie uznanie należy się autorowi, że przystąpił do pracy tak ważnéj i trudnéj zarazem, nie kusząc się, jak to niejeden czyni, o przedmiot

*) Dr. Antoni Prochaska: Polska a Czechy w czasach hussyckich aż do odwołania Korybuta z Czech. Rozprawy Wydz. hist. filoz. Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom VII. 147—283. Tom VIII. 11—193.

ponętny, który bez wielkiego trudu sporą książkę zapełni, ale do głębszego zrozumienia naszych dziejów niczém przyczynić się nie zdoła. Poprzednie już, pomniejsze rozprawy p. Prochaski i szkoła, z któréj wyszedł, dawały pewną rękojmię, że i ta nowa praca, tak poważnie pojęta, pod względem sumiennego wyzyskania obfitych źródeł i literatury w niczém nie ustąpi cennym monografiom o Husytyzmie, które w ostatnich latach niemiecka literatura wydała. Faktyczną stronę rokowań o czeską koronę z Gedyminowicami i stosunków dyplomatycznych Polski z Zygmuntem i Zakonem przedstawia autor dokładnie, a treściwém szkicowaniem czeskich stosunków i przebiegu wypadków w Czechach jasno motywuje każdy krok Czechów względem Polski, odrębne stanowisko każdego stronnictwa husyckiego w obec myśli łączności z Gedyminowicami. Z tém wszystkiém nie możemy się zgodzić na ogólny wynik pracy p. Prochaski a różniąc się z nim stanowczo w pojmowaniu stanowiska polityki polskiéj w obec Husytyzmu, poczuwamy się do obowiązku, odmienne zapatrywanie pokrótce wyłuszczyć i uzasadnić.

Zapatrywania p. Prochaski na politykę polską w obec Czech, charakterystyka stanowiska głównych osób działających w téj sprawie są zupełnie oryginalne, różnią się znacznie od zapatrywań wszystkich niemal pisarzy, którzy w dziełach o epoce husytyzmu stosunków polskich dotykali, przedewszystkiem jednak w zasadniczéj są sprzeczności z poglądem niemieckiego historyka, który niedawno w III tomie swéj historyi polskiéj stosunek Polski do Husytyzmu opracował, znanego i u nas w szerszych kołach Jakóba Caro.

Wiele mówiono u nas i pisano o tendencyjności tego autora, o widocznéj nieprzychylności, z jaką dzieje polskie traktuje, a jeśli w tych głosach było nie mało urażonéj

miłości własnéj narodowéj, jeśli ich ton, chcąc być sprawiedliwym, należałoby sprowadzić do właściwszéj miary, to w każdym razie nawet najobojętniejszy a bezstronny sędzia przyznać musi, że Caro z niemieckiego stanowiska z głęboką niechęcią na wszystko patrzy, co polskie. Gorycz tego usposobienia podsyca w nim przedmiot znacznéj części téj epoki, którą dotychczas opracowywał, walka, i to walka zwycięska, Polski z Zakonem Niemieckim. Nadto Szajnocha, który mu (w II i III tomie jego historyi) służył za przewodnika, barwném, jaskrawém, lecz niekiedy do namiętności posuwającém się traktowaniem przedmiotu ze stanowiska polskiego, wywoływał w nim naturalną reakcyą. Każde zwycięstwo Polski, moralne czy orężem odniesione, każdą chwilę prawdziwie podniosłą w jéj dziejach przedstawia Caro z mrożącym chłodem, z nietajoną niechęcią, z pewną nawet boleścią wewnętrzną; w każdą stronę ujemną, gdzie ją tylko odkryje, godzi z całą amunicyą swéj dosadnéj, korzennéj dykcyi, z werwą, która obojętnemu nawet zupełnie sędziemu może nieraz wydać się zbyteczną. Jeśli zaś przyjdzie mu zdać sprawę o czém, co bezwzględnie uznania i hołdu wymaga, stara się to przypisać wyłącznie zasłudze wyjątkowéj jakiéjś, z pod ogólnéj klątwy wyjętéj postaci, byle tylko stąd blask nie padł na społeczeństwo, byle chluba nie stała się udziałem narodu. Przyznać należy, że ten zawistny sposób traktowania przedmiotu najbardziéj razi w tomie II, pierwszéj pracy obszerniejszéj Dra Caro, najmniéj zaś w ostatnim IV, który z całego dzieła niezawodnie najwięcéj celuje znamionami niepospolitego talentu. Tom III, w którym się między innemi mieści opracowanie stosunku Polski do Husytyzmu, zajmuje pod obydwoma względami pomiędzy pierwszym a ostatnim pośrednie stanowisko.

Owa głęboka niechęć ku wszystkiemu, co polskie, jaskrawo występuje także w przedstawieniu stosunków Polski z Husytyzmem. Z niemieckiego stanowiska nie sympatyzuje Caro w ogóle z Husytyzmem, strona jego narodowa, słowiańska, nie może w nim wzbudzać entuzyazmu; Husytyzm jest jednak najwybitniejszym w średnich wiekach objawem walki swobody myśli „z pętami, które jéj kościół nakładał“, jest rewolucyą przeciw kościołowi i hierarchii, a Caro zbyt znów gorącą żywi niechęć ku katolicyzmowi, by w obec tego nie uważać Husytyzmu za dążność, któréj zaszczytu nawet w skromnéj dozie Polsce ówczesnéj przyznać nie należy. Dziwnym trafem schodzi się zatém w tym punkcie tendencya niemieckiego historyka z tendencyą Długosza, nad którą Caro w ogóle tak ścisłą rozciąga kontrolę. Długosz bowiem, najzawziętszą zawiścią pałając ku Husytyzmowi, wszelkie zbliżenie się do heretyków uważając za hańbę, radby usunąć najmniejszy nawet cień tej plamy z imienia polskiego, a winę jakiéjkolwiek myśli o łączności z Czechami zwala wyłącznie na obce barki.

Według Długosza jest zatém Polska w całym tym okresie jak najściśléj prawowierną, zaraza Husytyzmu do niéj się nie wdziera, jawni zwolennicy Husytyzmu, jak Melsztyński lub Zbąski, o których zamilczéć niepodobna, są tylko wyjątkami, wzbudzającemi ogólną odrazę w opinii publicznéj; jeśli polityka polska przyjaźnie ku Czechom się skłania, to tylko jest zręczny manewr dla przestraszenia Zygmunta, a zresztą jeśli kto z nimi kokietuje, to tylko Witołd. Caro uważa poziom umysłowy społeczeństwa polskiego za tak niski, że reformatorskie dążności Husytyzmu nie mogły go opanować, w uniwersytecie krakowskim widzi godne politowania narzędzie hierarchii i nie dziwi się, że akademia Jagiellońska nie podniosła sztandaru walki z kościołem, mając to tylko dla niéj usprawiedliwienie, że

była jeszcze na to za młodą; Witold jest według niego również jedyną dźwignią wszelkich przyjaznych kroków względem Czechów, a co więcéj już od samego początku polskie stronnictwo wśród Husytów nie o Jagielle myśli, lecz wszystkich oczy wyłącznie są wytężone ku temu „słowiańskiemu herosowi Litwy“.

Co do stanowiska Witolda, to właśnie ocenienie jego będzie jednym z głównych celów niniejszych uwag. Tu tylko tyle nadmienić wypada, że Caro, uważając Kiejstutowica za jedyną sprężynę przyjaznéj husytyzmowi polityki, a w Polsce, w jéj sferach decydujących widząc zaporę, o którą rozbił się program polityczny Witolda, w ocenieniu czynników, które w téj sprawie w łonie społeczeństwa polskiego główną odgrywały rolę, do dziwnych dochodzi niekonsekwencyj. Rządząca w Polsce partya, przeciwna Witołdowi, grupuje się około kancelaryi królewskiéj. Duszą tego stronnictwa jest Zbigniew Oleśnicki, w czasach zaś, kiedy Zbigniew Oleśnicki nie wywiera jeszcze wybitniejszego wpływu na sprawy publiczne, upatruje Caro przywódcę tego stronnictwa w urzędowym naczelniku kancelaryi, w kanclerzu Wojciechu Jastrzębcu, nie usiłując bynajmniéj wytłómaczyć, dla czego Jastrzębiec na dalszy plan się usuwa, odkąd Oleśnicki wypływa na szerszą widownię. Zbigniew nie był nigdy kanclerzem ani podkanclerzym, w młodych latach tylko piastował urząd sekretarza i protonotaryusza kancelaryi królewskiéj; w braku urzędowego stanowiska stwierdza zatém Caro tylko przeważny moralny wpływ jego na kancelaryą, w czém mu dopomaga jeden źle zrozumiany ustęp z listu Długosza [1]). Oleśnicki i cała partya kancelaryjna odznaczają się przedewszystkiém dwiema cechami charakterystycznemi: zaciekłym patryotyzmem polskim, a więc zarazem zawiścią ku Niemcom, i ultramontanizmem. W myśl dzisiejszéj ulu-

bionéj w Niemczech teoryi politycznéj, identyfikującéj te dwa pojęcia, stwarza Caro w Oleśnickim typ takiego Polaka, ultramontana wieku XV i skierowuje na niego wszystkie pociski wyjątkowéj zawiści. Pod wpływem tego usposobienia, w przesadnéj gorliwości, by na Zbigniewie i całéj „kancelaryi“ uczciwéj nitki nie zostawić, niezrównanéj śmiałości kombinacyą wynajduje nową cechę, charakteryzującą to całe grono: brak głównych podstaw zdrowia moralnego. Jednym z węzłów sympatycznych, który wiąże tych ludzi i pociąga ku nim zmysłową naturę starego króla, jest lubieżność, zgnilizna moralna, kryjąca się w sukience duchownéj, pod płaszczem świętobliwego a patryotycznego namaszczenia [2]).

Odpierając stanowczo w interesie prawdy tę fikcyą, która mąci tylko zdrowy sąd o charakterze i stanowisku tak potężnéj, jak Oleśnicki, postaci, zaznaczamy tu tylko pytania, na które w dalszym ciągu tych uwag przyjdzię nam odpowiedzieć, a które starczą za probierz całéj teoryi niemieckiego historyka. Nasuwa się mianowicie pytanie, stanowiące oś główną całéj teoryi „kancelaryjnéj“, czy można identyfikować stanowisko polityczne Jastrzębca i Oleśnickiego, czy przenoszenie pojęcia ultramontanizmu w stosunki polskie XV wieku nie jest anachronizmem, a wreszcie, jeśli można w owéj epoce mówić o dążnościach analogicznych kierunkowi ultramontańskiemu, czy Oleśnicki istotnie tym dążnościom hołdował?

Jakakolwiek na te pytania wypadnie odpowiedź, to pewna, że w czasie, kiedy kwestya husycka zaczęła wchodzić w zakres spraw politycznych Polski, Oleśnicki reprezentował już pewien wybitny program polityczny i wznosił się na stanowisko przywódcy potężnego stronnictwa. I to pewna, że obraz ówczesnych dziejów Polski, pióra Długosza, sekretarza Oleśnickiego, z którego przeważnie czerpać

musimy wiadomości, jest pismem tendencyjném, ze stanowiska tego stronnictwa skreślonem.

Z zupełną też słusznością twierdzi Caro, że Długosz w całym okresie wpływowego znaczenia Oleśnickiego stronnictwo jego identyfikuje z narodem; opozycyą, wszelkie zapatrywanie przeciwne o ile możności ignoruje, a w chwilach niedającego się już ignorować wybuchu opozycyjnych dążności, piętnuje tego rodzaju wybuchy jako objawy złéj woli, jeśli nie szaleństwa jednostek. Ktokolwiek głębiéj wpatrzy się w tę epokę, przyzna niezawodnie, że obraz skreślony przez Długosza jest jednostronny, że partya, któréj Oleśnicki przywodził, nie obejmowała całego narodu, że opozycya przeciw programowi Oleśnickiego istniała, a co najwięcéj, brakowało jéj téj karności i organizacyi, co w obozie przeciwnym, brakowało jéj ludzi téj miary, co Olcśnicki. Z tém wszystkiém Caro szukając tego stronnictwa, którego w Długoszu nie można wygrzebać, wpada na kombinacye zupełnie dowolne i wikła się w sprzecznościach, których w żaden sposób niepodobna pogodzić. Uważając bowiem niezupełnie słusznie zawiść ku Niemcom, ku „teutonizmowi“ za główny sztandar programu Oleśnickiego, sądzi, że hasłem partyi przeciwnéj musiała być przychylność względem niemiecczyzny i Krzyżaków, a urojone to stronnictwo zwie teutonofilskiém *(die Teutonisierenden)*. Za wskazówkę ku temu starczy mu stanowisko książąt mazowieckich, którzy, będąc w każdym razie po za obrębem społeczeństwa polskiego we właściwém tego słowa znaczeniu, w myśl polityki dbałéj o niezależność od korony polskiéj, kokietują niekiedy z Krzyżakami. Również i pewne przychylne dla Zakonu kroki królowéj Elżbiety, nieznaczne zresztą wcale, nie mogą uchodzić za objaw „teutonofilstwa“ w społeczeństwie polskiém, tém bardziéj, że ta królowa, narajona Jagielle przez siostrę, Annę Mazowiecką, spełnia

właśnie misyą agentki mazowieckiego dworu. Trudno zaś pojąć racyą bytu tego teutonofilskiego usposobienia, które Caro w znaczną część polskiego społeczeństwa wmawia. Platoniczne uczucia względem teutonizmu nie były zupełnie zgodne z duchem czasu, a jeśli szło o Zakon Niemiecki, tę przednią straż niemieckiego świata, z którą Polska w politycznych stosunkach prawie wyłącznie miała do czynienia, to pewnie w żadnym punkcie uczucia całego narodu nie były tak zgodne, jak w nienawiści ku Krzyżakom, w gorącém pragnieniu odzyskania ziem polskich, przez Zakon zabranych. Otwarte, śmiałe wystąpienie w tym kierunku było przecież wypróbowanym środkiem, by podnieść się w opinii publicznéj, pozyskać poparcie ogólne i popularność w całym narodzie. Mogła tylko panować różnica zdań co do polityki względem Zakonu w danéj chwili, wojna lub odwlekanie wojny na razie, to były jedyne hasła, o które można było się spierać w drugim i trzecim dziesiątku XV wieku. Nawet pomiędzy luźnemi jednostkami nie możemy się dopatrzéć prawdziwych Tautonofilów, a jeśli jeszcze za życia Jagiełły nie brak było takich, którzyby chcieli byli ujrzéć na tronie Piasta z książąt mazowieckich, to z pewnością nie dla wspólnych uczuć teutonofilskich, nie z przyjaźni dla Zakonu. Skoro jednak opozycya składa się z Teutonofilów, a przyjaciele Husytyzmu, których Caro ze społeczeństwa polskiego w każdym razie zupełnie usunąć nie może, w obec „ultramontańskich“ dążności i wrogiéj Husytom polityki Oleśnickiego, także do opozycyi należeć muszą, łatwo pojąć, jak dziwna w skutek téj teoryi w obozie opozycyjnym powstaje mięszanina. Gdy więc świat niemiecki przez lat kilkanaście krwawe zapasy stacza z Husytami, gdy główną pobudką łączności Czechów z Polską musiała być myśl wspólnéj walki z „teutonizmem“ jako wrogiem Słowiańszczyzny, w Polsce każe Caro Teutonofilom i Husytofilom w przykładnéj zgo-

dzie wspólnemi siłami z Oleśnickim wojnę prowadzić. Tyle o Teutonofilach, którzy również mącić mogą sąd o stanowisku społeczeństwa polskiego w obec Husytyzmu, których zatém naprzód wypadało nam z drogi uprzątnąć.

Wszystkie te teorye, na tak sztucznych kombinacyach oparte, skrzywiają tylko skreślony przez p. Caro obraz stosunku Polski do Czech w czasach husyckich, w niejednym ważnym punkcie zbliżający się, zdaniem naszém, do prawdy. Musieliśmy go tu naszkicować w najogólniejszych zarysach wraz z tłem, na którém jest nakreślony, gdyż przeciw niemu to, jak wspomniano, zwraca się stanowczo główny wynik pracy p. Prochaski. Mimo to autor nasz prawie nigdzie nie dotyka tego tła, któremu Caro tyle pracy w swéj dziele poświęcił, odpierając tylko ogólnie to twierdzenie, jakoby społeczeństwu polskiemu XV wieku można cechę ultramontańską przyznawać. Kwestyi stronnictw, podziału na obozy nie poruszył wcale p. Prochaska, co zresztą w ścisłym jest związku z jednym z głównych pracy jego niedostatków. Trudno bowiem wiedzieć, czy autor usiłował nawet zdać sobie sprawę z wewnętrznych stosunków Polski owego czasu. Nie widzimy tu zgoła osób wpływających na kierunek polityki, nie rozpoznajemy sprzecznych interesów, które w obec tak ważnéj, o przyszłości państwa stanowiącéj sprawy ścierać się musiały, król wraz z Witołdem prowadzą politykę wyłącznie z własnéj inicyatywy, zasięgając wskazówek moralnych w zgodném i jednolitém usposobieniu ludności, a do ogólnéj harmonii dostraja się chór uchwał sejmu, tego nieokreślonego niczém zgromadzenia parlamentarnego, z którego składu, istoty i kompetencyi autor również sprawy sobie nie zdaje. Nie potrzeba nawet znać głębiéj wewnętrznego Polski ówczesnéj ustroju, by z uzasadnioném niedowierzaniem spoglądać na tak bezkrwisty obraz idealnéj, lecz abstrakcyjnéj harmonii, a łatwy

stąd wniosek, że rozpoznanie wewnętrznych czynników, które na zewnętrzną politykę Polski wpływały, na téj podstawie oparte, w niejednym ważnym względzie zaprowadzić musiało autora na manowce.

W jednym tylko, bez wątpienia bardzo ważnym punkcie stara się p. Prochaska z uznauia godną skrzętnością zbadać usposobienie polskiego społeczeństwa, gromadząc i zestawiając wszystko, co na sympatyą Polaków do pobratymczych sąsiadów, do nauki ich reformatora, jakiekolwiek światło może rzucić. W tym celu wyzyskuje zwłaszcza stanowisko Husa jako rektora kolegium polskiego w Pradze, którego doniosłości dotychczas należycie nie oceniono; stosunki Jagiełły z Husem i Hieronimem, postępowanie posłów polskich na soborze konstancyjskim i wdzięczność, którą im Hus za to okazywał; wreszcie świadectwo Abrahama z Goszczyc o powszechnej sympatyi, jakiéj sprawa czeska w Polsce w r. 1421 doznawała. Rozróżniając w roli dziejowéj Husa i w całym Husytyzmie dwa odrębne pierwiastki, narodowy (raczéj plemienny) i religijny, sądzi autor, że pierwszy tylko pierwiastek obudził w Polsce ogólnie echo głębokiéj sympatyi, drugi natomiast zupełnie gruntu odpowiedniego nie znalazł. Nie zaprzeczając bynajmniéj, że wspólny antagonizm ku niemiecczyznie był istotnie silnym czynnikiem w nawiązaniu sympatycznych węzłów pomiędzy obydwoma narodami słowiańskiemi, zaznaczamy tu tylko, co poniżéj będziemy się starali uzasadnić, iż zdaniem naszém p. Prochaska przecenia potęgę pierwiastku plemiennego w jego oddziaływaniu na społeczeństwo polskie, a za mało wpływu religijnemu pierwiastkowi przyznaje.

Skoro zdaniem autora powszechna sympatya ku Czechom tak głęboko tkwiła w społeczeństwie polskiém, polityka przyjazna Husytyzmowi, którą Jagiełło i Witołd

podejmują, zasługuje w ścisłéj konsekwencyi na nazwę „polityki narodowéj.“ Autor zwie ją nadto kilkakrotnie z naciskiem polityką humanitarną, uważając za drugi jéj główny motyw ogólnie ludzką, uczuciową pobudkę wspomagania sąsiedniego, ze wszech stron zagładą zagrożonego narodu; przypomina to cokolwiek tę tak ulubioną do niedawna teoryą, szukającą w każdym kroku polityki polskiéj, w każdym jéj jaskrawym błędzie znamion nieznanéj w dyplomacyi, uczuciowéj wyższości moralnéj. „Jakież podziwienie,“ mówi autor, „wzbudza ona w badaczu, jak dziwnie i pięknie odbija od ducha polityki Zachodu, od groźnych burz, wiszących nad Słowian narodem, nad Czechami? Zaiste w zdumienie wprawi nas porównanie téj humanitarnéj polityki Polski z drapieżną i nieludzką polityką niemiecczyzny i Zachodu!“

Zgodnie zatém z uczuciami narodu podnoszą Jagiełło i Witołd sztandar téj „narodowéj i humanitarnéj polityki;“ w obec pierwszych poselstw czeskich, ofiarujących Jagielle koronę, temporyzują tylko dla tego, żeby się przekonać, czy głos ten jest głosem ogólnym w Czechach, czy stronnictwo polskie będzie miało dość siły do przeprowadzenia swych zamysłów, a następnie, jakkolwiek stosunki czeskie nie wyjaśniają się tak bardzo na korzyść polskiéj kandydatury, obmyślają „zawikłaną intrygę polityczną“, pod któréj zasłoną ma dopiéro nastąpić czynna interwencya. Pomysł téj intrygi dyktuje im „głęboka rozwaga“, „ostrożność“ w obec rozwścieklonego na Czechów świata niemieckiego, w obec dotkniętéj srodze religijną stroną rewolucyi czeskiéj papiestwa. Pozornie zrzeka się Jagiełło ofiarowanéj korony, ale na to tylko, żeby ją przyjął Witołd, mniéj potrzebując się oglądać na Niemcy i papieża; cały Zachód miał być w ten sposób oszukany a Polska, wolna od podejrzeń o sprzyjanie Husytom, miała pokryjomu tém skute-

czniéj wspierać Witołda w interwencyi na korzyść Czechów. Nie może autor stwierdzić, iż ta „zawiła intryga“ dopięła celu, gdyż niebawem w całym świecie oskarżają Polskę o sprzyjanie kacerzom. To zniewala Jagiełłę i Witołda do jeszcze większéj ostrożności; przygotowując wysłanie Korybuta z posiłkami do Czech w celu wspierania Husytów przeciw Niemcom a zarazem nawrócenia do katolicyzmu, uciekają się zarazem do negocyacyj dyplomatycznych z Zygmuntem i papieżem, żeby odwrócić od pobratymczego narodu oręż wypraw krzyżowych i misyą Korybuta katolickim jéj celem usprawiedliwić. Religijna bowiem strona rewolucyi czeskiéj nie tylko w społeczeństwie polskiém nie znalazła, według p. Prochaski, odpowiedniego gruntu, ale i obydwaj Gedyminowice zajmowali względem niéj odporne stanowisko, tylko w takim razie gotowi los swych państw z losem Czech połączyć, jeśli Czesi powrócą na łono kościoła.

Charakteryzując w ten sposób stanowisko Jagiełły i Witołda, nie widzi autor w niém zasadniczego błędu politycznego, nie wytyka im wcale, że jeśli wobec wybuchu rewolucyi czeskiéj żądali od Husytów, żeby przestali być Husytami, wymagali rzeczy niemożliwych i w zasadniczym punkcie oddawali się zgubnym w polityce złudzeniom. P. Prochaska jeden ma tylko wyrzut dla Jagiełły, „a z nim“ i dla narodu: „Polska nie działa z Czechami otwarcie.“ „Zważywszy atoli,“ dodaje. że Polska wiedziała, iż jedno tylko stronnictwo czeskie zbliżało się do niéj ze szczerém sercem, że wiele stronnictw było albo wcale obojętnych, albo téż wrogo przeciw Polsce usposobionych, że inni znowu napowrót do Zygmunta Luksemburczyka przystępowali; zważywszy daléj, jakiém okiem patrzałby cały Zachód Europy, gdyby Polska z odkrytą przyłbicą wystąpiła za sprawę czeską a przeciw Zygmuntowi, na jakie niebezpieczeństwa narazićby się mogła, starając się ład i porządek tam zapro-

wadzić, gdzie największy nieład i anarchia panowały; gdy te i inne okoliczności, w pośród jakich Polska zostawała, uwzględnimy, musimy przynajmniéj usprawiedliwić, jeśli nie zapełnie z zarzutów oczyścić tę tajną politykę Polski i jéj króla. „Niegodzi się bowiem zapominać, że Polska sama była podówczas zagrożoną, i to co chwila, od teutońskiego zakonu Krzyżaków.“

Jeśli więc tylko ten jeden, tak niewinny zresztą, zarzut można zrobić polityce Jagiełły i Witołda, w ten sposób przez p. Prochaskę pojętéj, to obaczmyż, jakie jéj wyniki? Oto Korybut, wysłany do Czech z nieliczną siłą zbrojną, nie tylko, że nie nawraca Husytów do katolicyzmu, nie dokonywa pacyfikacyi kraju, ale pomimo znacznych ustępstw w rzeczach wiary, mając za sobą tylko najumiarkowańszéj frakcyi poparcie, upada po kilku miesiącach mimo energii i niezaprzeczonych zdoluości, a tém samém interwencyą polską w obec świata i w obec Czechów kompromituje. P. Prochaska tłómaczy to wojną z Zakonem, która (w tymże r. 1422), odciągając w inną stronę wszelkie siły zbrojne Polski i Litwy, nie pozwoliła Gedyminowicom użyczyć Korybutowi dostatecznego poparcia. Równie jednak zawikłanie się Polski w sprawę czeską stało się główną zaporą w pomyślném rozprawieniu się z Krzyżakami, a tak owa „narodowa i humanitarna polityka“ przyniosła Polsce w Czechach moralną porażkę, w stosunku z Zakonem pozbawiła ją niewątpliwych korzyści, słowem, skończyła się zupełném fiasco, zmuszając Jagiełłę i Witołda do odwrotu. To samo wystarczyłoby do wytłómaczenia, dla czego tutaj kończy się husytofilska polityka, dla czego odtąd nastaje w Polsce reakcya; p. Prochaska uzasadnia to jeszcze stosunkami dyplomatycznemi z końca 1422 i początku 1423 r., mianowicie awanturniczym projektem podziału Polski, który Gedyminowice odwrócili postrachem o sojuszu z Turkami i Tatarami, poczém Zygmunt,

porzuciwszy zbyt śmiałe projekta, zawarł z nimi sojusz w Kezmarku.

Taki sąd wydalibyśmy o polityce polskiéj w obec Husytyzmu, gdybyśmy pojmowalijéj istotę i przebieg wydarzeń zgodnie z pracą p. Prochaski, a zmysł polityczny obydwu Gedyminowiców w bardzo niekorzystném przedstawiłby nam się świetle. Mimowolnie jednak nasuwa się pytanie, czy rzeczywiście Witold i Jagiełło są „jedną duszą we dwóch ciałach“, jak to p. Prochaska kilkakrotnie z naciskiem powtarza. Tak mniéj więcéj mówi papież w swych listach, na które się p. Prochaska kilkakrotnie powołuje, ale nam to za dowód jeszcze nie starczy. Zaznaczyć tu musimy jako drugi, zdaniem naszém, błąd kardynalny téj tak cennéj zresztą pracy, że autor nie zdaje sobie należycie sprawy z tak odrębnych indywidualności Jagiełły i Witołda, nie uznaje tego zgoła, że jeśli Jagiełło działał zgodnie we wszystkiém z Witołdem, to był przez niego zupełnie zawojowany. Ktoby tę książkę przeczytał, mógłby sądzić, że to byli idealni bracia, widziałby w obydwóch uosobiony wyskok zacności i uczuć szlachetnych, ale nie dostrzegłby nawet cienia wyższości Kiejstutowica nad Jagiełłą. Taka niwelacya intelektualna tych dwóch postaci jest pomysłem w każdym razie nowym, jest może reakcyą przeciw poglądowi, który Caro w swém dziele tak silnie wycieniował, ale reakcyą, śmiało rzec możem, zupełnie nieszczęśliwą, która również przyczyniła się głównie do skrzywienia całego obrazu, tak pracowicie przez p. Prochaskę skreślonego.

Na tém kończymy krytyczne uwagi. Zaznaczywszy główne, według naszego zdania, niedostatki téj pracy, postaramy się z jéj pomocą tęż samę rzecz w ogólnym szkicu tak przedstawić, jak nam ją też same źródła odsłaniają.

II.

Stosunek społeczeństwa polskiego do dwóch głównych pierwiastków Husytyzmu: plemiennego i religijnego.— Polska a Czechy.— Język. — Odrębność indywidualna obu narodów jako wynik ich dziejowego rozwoju od XI do XV w. — Walka pierwiastku słowiańskiego i niemieckiego w Czechach — reakcya słowiańska. — Poczucie współplemienności słowiańskiéj w Polsce. — Pierwiastek dogmatyczny i kościelno-polityczny w Husytyzmie. — Stosunek Polski do pierwszego pierwiastku. — Stanowisko kościoła polskiego na początku XV wieku. — Opozycya szlachty przeciw dążnościom kościoła. — Kwestye sporne: dziesięciny, jurysdykcya kościelna, cytacye przed sąd papieski, zatargi w życiu codziennem. — Próby organizacyi szlachty przeciw duchowieństwu. — Bogactwo duchowieństwa a ubóstwo szlachty. — Wpływ Husytyzmu na szlachtę — na Panów — na króla.

Pierwszém zadaniem naszém będzie rozpoznać dokładnie, o ile dwa odrębne pierwiastki Husytyzmu, plemienny i religijny, mogły interes Polski związać ze sprawą narodu czeskiego w rozpaczliwéj jego walce o wiarę i narodowość. Pierwiastek socyalny bowiem, który w ciągu wojen husyckich tak ważną rolę odegrał, nie tkwił w zasadniczéj podstawie Husytyzmu, lecz przymięszał się doń jako nieunikniony wykwit rewolucyi.

W każdém zbliżeniu się Husytów do Polski obydwie strony kładą wyraźnie nacisk na poczucie współplemienności na wspólny język słowiański, *linguagium slavonicum*. Język czeski był wówczas bez wątpienia o wiele więcéj niż dzisiaj zbliżony do polskiego, a jeśli i dziś Polak łatwiéj nierównie rozumié Czecha niż chłop bawarski Meklemburczyka, to w wieku XV pod względem językowym również o wiele snadniéj mogli Husyci pobratymców z nad Wisły i Warty

uważać za rodaków, niż Niemiec osiadły na stokach alpejskich, Niemca z nizin nadreńskich. Czeski język, nierównie wykształceńszy w owéj epoce i zdawna już nad polską mową wyższością rozwijającego się piśmiennictwa narodowego górujący, miał nad polskim językiem stanowczą przewagę i w każdém bliższém zetknięciu się wywierał nań wpływ niezaprzeczony; w XVI wieku nawet było to, jak wiadomo, w Polsce rzeczą dobrego tonu, choćby jak łamaną mówić czeszczyzną.

Z tém wszystkiém, kiedy w r. 1410 Wacław czeski miał wydać wyrok w sporze Polski z Zakonem, Polacy nie chcieli go słuchać ani w niemieckim, ani w czeskim tekście, odpowiadając, że po czesku nie rozumieją. „Więc król Wacław rzecze: Oba te języki podobne są do siebie i Polak Czecha łatwo zrozumié. Na co oni: nie są wcale podobne, Miłościwy królu, wszak w czeskim języku siedlak znaczy rolnika i wiejskiego osadnika, w polskim zaś znaczy mistrza siodlarstwa, to jest tego, który siodła robi.“ Przytaczamy dosłownie tę anegdotę z Długosza [3]), na świeżéj jeszcze tradycyi polegającą, jako ciekawą wskazówkę, że pomimo tyrad o „*linguagium slavonicum*“, któremi w razie potrzeby tak hojnie szafowano, pomimo podobieństwa obu języków, miano w Polsce jasne poczucie ich odrębności. Język był tu zresztą uboczną rzeczą, ale posłowie polscy, którym szło o honor narodowy, zdawali sobie w téj chwili jasno sprawę z odrębności indywidualnéj polskiego i czeskiego narodu.

Mimo różnic językowych, mimo śmiesznych nieporozumień, o jakich przytoczona anegdota wspomina, łatwiéj było Polakom oswoić się z brzmieniem czeskiego języka, niżli z wybitnie odrębną indywidualnością narodu czeskiego. Dzisiaj ta kwestya zupełnie inaczéj się przedstawia i dla tego należy się nad nią głębiéj zastanowić, by ją dokładnie zrozumieć. Język, dopóki nie otrzymał namaszczenia kapłań-

skiego w piśmiennictwie, dopóki był takim, jak w Polsce XV wieku prostakiem, nie wzniósł się jeszcze do znaczenia tego najdroższego skarbu narodowego, jakim jest dzisiaj, a różnice językowe tego rodzaju, jakie Czechy od Polski dzieliły, nie mogły być tak silną zaporą w połączeniu się obydwu narodów, jak byłyby nią później; język czeski byłby musiał wziąć przewagę nad polskim, zniżyć go do poziomu ludowego narzecza, a wznieść się do znaczenia języka piśmiennego. Tém samém jednak język nie mógł być dość silnym czynnikiem, by wypełnić przepaść niezmierzoną, która istniała między odrębną indywidualnością narodową Czech i Polski. Czechy bowiem, pomimo owego *„linguagium slavonicum“*, były w wieku XV indywidualnością narodową, stokroć bardziéj pokrewną wrogiemu sobie światowi niemieckiemu i całéj Zachodniéj Europie, niżeli Polsce i Słowiańszczyźnie.

Długo opierał się słowiański duch narodu czeskiego przywdzianiu téj obcéj szaty, kilka razy zrywał się, by ją stargać, lecz nieubłagana logika faktów dziejowych zakuła go w tę średniowieczną feudalną zbroję tak silnie, że przylegla do narodu czeskiego zupełnie. Cała pierwsza doba dziejów czeskich jest nieustanną walką pomiędzy kierunkiem słowiańskim a ugięciem się przed potęgą niemieckiego świata. W walce téj jeden tylko widzimy pewnik, że jeśli kierunek słowiański miał zwyciężyć, mogło to dokonać się tylko w połączeniu Polski z Czechami, które o tyle łatwiéj niż w czasach późniejszych urzeczywistnić się mogło na wspólnym gruncie słowiańskim w dobie dziecięcéj obydwu narodów. Dążył do tego geniusz naszego Chrobrego, podbojem Polski pragnął myśl tę wcielić czeski Brzetysław, za późno już porwał się do tego dyplomatycznemi środkami syn jego. A kiedykolwiek myśl ta zabłyśnie, zawsze w ślad za nią idą usiłowania ku rozbudzeniu pozostałych z ruiny moraw-

skiego państwa resztek obrządku i kościoła słowiańskiego, które pomimo tylu burz i przeciwności tak długo jeszcze tleją pod narzuconym popiołem, świadcząc o niespożytéj swéj żywotności, domagając się napróżno, by ich za dźwignię bytu narodowego użyto. W walce z tym kierunkiem świat niemiecki pragnie zagłady Czech, pragnie zgotować im ten los, jakiego słowiańskie księstwo Korutanów doznało, wcielone w budowę państwa niemieckiego. Już wszystko skłania się ku temu za Jaromira i Oldrzycha czasów, ale reakcya słowiańska Brzetysława, pomimo doznanéj klęski, wywalcza Czechom w łonie państwa niemieckiego takie przynajmniéj stanowisko, które je od losu Korutanów na zawsze zabezpiecza. Czechy pozostają słowiańskim organizmem państwowym, ale stają się zarazem ogniwem w feudalnym łańcuchu państwa niemieckiego; władcy Czech, żegnając się na zawsze z marzeniami Brzetysława, muszą poprzestać na stanowisku książąt niemieckich, lecz jako najprzedniejsi w całéj ich rzeczy.

Tym kompromisem kończy się w XI wieku walka kierunku słowiańskiego z dążnościami Niemiec. Wyjątkowe zupełnie w całym świecie słowiańskim stanowisko Czech w państwie niemieckiém wytyka odrębny zupełnie kierunek całemu rozwojowi indywidualności narodowéj. Czuje to dobrze nasz mistrz Wincenty, który pała taką zawiścią ku Czechom; czytając jego kronikę, widzi się jasno, że to już dwa wieki mijały od czasów Chrobrego, że pomiędzy indywidualnością polskiego a czeskiego narodu rozwarła się przepaść szeroka. A dwa wieki następne miały tę przepaść jeszcze znacznie zagłębić i rozszerzyć. Wiek XIII bowiem wyciąga dopiéro w całéj pełni konsekwencye z tego stosunku, jaki między Czechami a państwem niemieckiém ustalił się był u schyłku dni Brzetysława, epoka Luksemburska tego dopełnia. Jeśli tylko między książętami czeskimi zda-

rzył się umysł wyższy, zdolny do pracy nad przyszłością państwa, to mógł budować tylko na tym gruncie, na którym założone były fundamenta państwa czeskiego, musiał dążyć do podniesienia stanowiska swego w państwie niemieckiém, a tém samém ścieśniał tylko węzły, które Czechy z niém łączyły. Tę rolę dziejową odgrywają w wieku XIII Ottokarowie. Wywalczają państwu czeskiemu godność królestwa, przeważny wpływ wywierają na cały tok wewnętrznych dziejów niemieckiego państwa i młodą koronę czeską nieznanym jéj dotychczas otaczają blaskiem; ale zawikławszy się tak głęboko w sprawy niemieckie, nie tylko sami się niemczą, ale zawsze gotowemu do zalewu Słowiańszczyzny żywiołowi niemieckiemu otwiérają na oścież swego państwa wrota. Co więcéj nie tylko z niezrównaną troskliwością pielęgnują w Czechach wzrost żywiołu niemieckiego, ale pragnąc zrównać Czechy z Niemcami, systematycznie, z góry obmyślanym planem obalają stare instytucye słowiańskie, podkopują w podstawach słowiański ustrój społeczny i polityczny. Niebawem w gruzach już leży dawny ustrój żupowy, sądownictwo i przewód sądowy, ten pełen wpływu na charakter narodu czynnik, na niemiecką przekształca się modłę, a z wyginięciem narodowéj dynastyi, pod rządami niemieckiego rodu, który i w Niemczech królewskie dzierży berło, duch niemiecki coraz głębiéj przenika całą istotę czeskiego państwa i społeczeństwa. Feudalizm, do którego już zdawna garnęło się rycerstwo, zwycięża teraz ostatecznie i zrównywa społeczne stosunki Czech z Niemcami, z całym Zachodem, słowiańska podstawa ustroju społecznego do reszty znika. Coraz więcéj przybywa Niemców, którzy w przeobrażonych po niemiecku Czechach zupełnie czują się jak w domu; niemiecki język wdziera się do rodzin czeskich, kraj cały przybiéra zwolna postać okazu etnograficznego o mięszanéj ludności. Nad Wisłą zaś wówczas brzmi rzewna

piosnka o owym niemieckim wójcie z Krakowa, który się przeciw królowi Łokietkowi zbuntował, a w jéj zwrotkach boleją Polacy nad losem pobratymczych Czechów, których Niemcy oszukali i z ojcowizny wypierają.

Ale i w Czechach obudza się, choć niewcześnie, reakcya słowiańska, niedość świadoma swych celów, by bronić od upadku zacierającą się słowiańską cechę ustroju państwa i społeczeństwa, ale dość silna, by w podrażnionéj miłości własnéj narodu miotać się na wszystko, co niemieckie. Pierwszy odgłos tych namiętnych, wrogich niemieczczyźnie pogróżek dochodzi nas z Dalemilowej kroniki, w pierwszéj połowie XIV wieku spisanéj, z łona szlachty czeskiéj. Późniéj, w ożywionéj na polu handlu i przemysłu atmosferze za rządów Karola IV rozpoczyna się walka ekonomiczna o byt; narodowe mieszczaństwo współzawodniczy z potężnym, jak u siebie rozwielmożnionym żywiołem napływowym, antagonizm rasowy się wzmaga, a pod jego wpływem coraz żywszy ruch obudza się w pielęgnowaniu narodowego języka, w usiłowaniach literackich na gruncie narodowym, które opierają się i o uniwersytet świeżo założony, o tak kosmopolityczną z natury instytucyą. Z dawna nagromadzony materyał palny musiał rychléj czy późniéj przywieść do wybuchu, potrzeba było tylko iskry zapalnéj, która nasunęła się w kwestyi religijnéj. Hus roztlił tę iskrę, wypowiadając zarazem niemieczczyźnie i kościołowi wojnę. Ziarno nowatorstwa religijnego, na obcym uszczkniętego gruncie, przyjmuje się w okresie wielkiéj schizmy, wśród ogólnego niezadowolenia z ówczesnych stosunków kościelnych tém łatwiéj, ponieważ je zasiewa ta ręka, która, odważnie sztandar narodowy podniósłszy, z tryumfem „niemieckie nacye“ z uniwersytetu praskiego wyparła. Pierwiastek narodowy i religijny zespalają się i przenikają wzajemnie; nigdy nowatorstwo religijne nie byłoby zdołało w XV w. tak szybko całego na-

rodu ogarnąć, gdyby z niém nie łączyło się hasło reakcyi słowiańskiéj, nigdy ruch narodowy nie byłby doszedł do téj potęgi, gdyby go nie podsycał fanatyzm religijnego namaszczenia. Czego wreszcie jeszcze nie dopięła propaganda Husa, tego dopełnia śmierć jego na stosie; aureola męczeńska bohatéra narodowego nastraja fanatyzm religijny i sponiewierane uczucie miłości własnéj narodu do najwyższego tonu, rzuca całe Czechy przeciw ostatniemu Luksemburczykowi, który ich apostoła na stos wyprawił, który akt wstąpienia na tron czeski łuną nowego stosu oświecił. Gdy go stronnicy staréj dynastyi na tron śmiercią brata opróżniony powoływali, powiedział Zygmunt z urąganiem, żeby Prażanie na jego przyjęcie wyłom w murach miasta uczynili; te słowa szyderskie, rzucone w oczy poselstwu, stanęły na zawsze murem między nim a narodem i najumiarkowańszém nawet, z wyjątkiem zagorzałych katolików, stronnictwem. Zygmunta Czesi na tron przyjąć nie mogli, a stanąwszy przed tą ostatecznością, że z królem niemieckim rozpaczliwy bój mieli stoczyć, sądzą, że nadeszła chwila, w któréj stargają węzły, łączące ich z państwem niemieckiém i słowiańską zbudują sobie przyszłość.

Cały świat niemiecki, w którego żelaznym uścisku dotąd spoczywali, porywa się na nich z ogniem i żelazem, a głos papieża całe chrześciaństwo powołuje do walki z czeskiém kacerstwem. Ktokolwiek w Czechach trzeźwiéj na świat spogląda, pojmuje to dobrze, że czeski naród sam téj walce nie podoła, że jeśli nie ma opuścić sztandaru słowiańskiego i ze światem niemieckim zamknąć ma obrachunek, musi oprzéć się na narodzie sąsiednim, narodzie słowiańskim, tym samym, z którym przed czterema wiekami trzeba mu było się zespolić, by nie zaplątać się w sidłach niemieckiego świata. Tylko że Polska w ciągu tego czasu, który Czechy w łonie niemieckiego państwa przepędziły, po tylu burzach

i zmiennych kolejach była teraz najpotężniejszém na wschodzie Europy państwem, i jak u Czechów pragnących tego zespolenia, tą właśnie potęgą tém większe wzbudzała nadzieje, tak też sama dla siebie nie potrzebowała już łączności z Czechami. Już sam Hus i druh jego Hieronim ku Polsce tęskne zwracają oczy, w chwili wybuchu rewolucyi czeskiéj wszystkie żywioły, około dodatniéj jakiéjś myśli politycznéj się grupujące, ku niéj wyciągają błagalne ramiona i wołają o pomoc. Wszystko zawisło od tego, czy Polska w imię uczuć słowiańskich tego głosu usłucha.

Powracamy zatém do pytania, czy mogła groza położenia czeskiego narodu obudzić w Polsce w imię uczuć słowiańskich zapał tak ogólny, tak gorący, jak tego była potrzeba, by podać Czechom w uniesieniu zapału pomocną rękę w rozpaczliwéj walce. Język, jego podobne brzmienie, nie wystarczały do tego, a pomiędzy indywidualnością narodową Czech i Polski istniała przepaść głęboka Czechy feudalne, z ustrojem niemieckim, takie, jakiemi je trzywiekowy stosunek polityczny do Niemiec uczynił, musiały być dla społeczeństwa polskiego obcemi. Na indywidualność polskiego narodu, jakim był w wieku XV, złożył się także skrzyżowanie pierwiastku rodzimego, słowiańskiego, z czynnikami cywilizacyjnemi, płynącemi z Zachodu. Lecz Polska nie zakuta w tę zbroję obcą, do któréj Czechy wrosły, w ciągu czterech wieków rozwinęła samodzielnie indywidualność narodową, oryginalną zupełnie i odrębną od feudalnego świata zachodniego, którego Czechy były ogniwem. Nikt może, lub mało kto zdawał sobie z tego sprawę w wieku XV, ale każdy Polak czuł to dobrze, że Czechy są dla niego mimo podobieństwa języka obcym narodem. Jeśli zatém w imię słowiańskich uczuć do niego przemawiano, było to dla polskiego ucha brzmieniem niezrozumiałém.

To pewna bowiem, że nie tak łatwo się obudzi poczucie współplemienności, któreby ciepłem i siłą przekonania parło do czynu. Mogą do niego wznieść się wyższe jednostki, które ze stanowiska głębokiéj rachuby politycznéj podejmą myśl łączności pobratymczych narodów, lecz trzeba czasu, trzeba propagandy, trzeba wreszcie wspólnego interesu politycznego, któryby się domagał téj łączności, żeby uczucia pobratymczéj sympatyi przeszły w krew i soki narodu i zdołały w nim zapał obudzić. Nieraz wprawdzie mówiono, iż tu właśnie był wspólny interes polityczny łącznikiem między Polską a Czechami, że wspólny antagonizm ku Niemcom mógł obydwa narody najsilniéj zespolić. Zważmyż jednak, jak różne było w tym względzie położenie Czech i Polski, jak różny tam i tutaj stopień tego antagonizmu. W Polsce nienawidzono Niemców jako Krzyżaków, każdemu serce biło goręcéj na myśl odwetu krzywd dwuwiekowych, na myśl odzyskania ziem zagarniętych. Zakon krzyżacki groźnym jednak nie był dla Polski od czasu bitwy grunwaldzkiéj, walka z nim nie była jak w Czechach wojna z Niemcami walką o byt, a z saméj zawiści ku Krzyżakom, choćby jak najgłębszéj, trudno było, biorąc Czechy pod płaszcz swéj opieki, z całym światem niemieckim do boju występować. Nienawiść ku Niemcom, jako owoc wojen krzyżackich, mogła wzbudzać w Polsce pewne sympatye ku Czechom, również z Niemcami walczącym, mogła być pewnym punktem styeznym pomiędzy obydwoma narodami, ale nie zdołała rozdmuchać tego zapału dla sprawy pobratymców, tego gorącego poczucia współplemienności, któreby się czynem pragnęło objawić. Z tém wszystkiém nic dziwnego, że skoro Czesi odzywają się w imię uczuć słowiańskich, i dyplomacya polska, w chwilach zbliżenia się do nich, odpowiadając na te odezwy w ten sam ton uderza; że w danéj chwili, pod wpływem różnych, które w téj sprawie działały, czyn-

ników niejeden odzywa się głos w Polsce za „unią z braćmi Czechami.“ Sięgnijmy głębiéj, a łatwo się przekonamy, że jeśli sprawa czeska doznawała w Polsce pewnych sympatyj, to nie sam wzgląd na *linguagium slavonicum*, który na to nie wystarczał, był tego przyczyną.

To wiedzie nas wprost do rozbioru drugiego pytania, jakiego przyjęcia mogła w Polsce doznać religijna strona Husytyzmu.

Niebojętną będzie rzeczą, posłuchać w tym względzie głosu jednego z najwyższych dostojników ówczesnego kościoła polskiego. W chwili, kiedy Husytyzm zaledwie zaczął być uznawanym ogólnie za jawną herezyą, w r. 1413 zapewniał Wojciech Jastrzębiec, późniejszy prymas, wówczas biskup krakowski, że w Polsce nie znajdzie nauka czeskiego reformatora odpowiedniego gruntu[4]). Jastrzębiec nie mylił się istotnie, jeśli myślał o dogmatycznéj stronie téj nauki. W Husytyzmie bowiem i Wiklefizmie, jak w każdém niemal odszczepieństwie, odróżniać należy pierwiastek dogmatyczny i kościelno-polityczny. Pierwszy pierwiastek oddziaływa zrazu na szczupłe tylko kółko wybranych, zamyka się w sferze rozpraw i dysput akademickich, dopóki wraz z drugim, przezeń drogę sobie torując, nie wniknie do społeczeństwa i nie porwie go za sobą. Otóż pierwiastek dogmatyczny rzeczywiście nie mógł w Polsce zdobyć sobie wpływu. Uniwersytet krakowski, jedyne ognisko, które dogmatyczna strona Husytyzmu mogła bliżéj obchodzić, zachował w obec niéj ściśle odporne stanowisko, a jeśli stąd Caro na uniwersytecie i społeczeństwie polskiém dopatruje się piętna godnéj politowania niższości umysłowéj, to zarzut ten spotkać powinien wszystkie uniwersytety współczesne i cały Zachód europejski. Nigdzie bowiem nie rozwijał się wówczas ruch reformacyjny téj miary co Husytyzm, a właśnie Czechy i tylko Czechy były ku temu właściwym gruntem.

Czechy miały w końcu XIV i w początku XV wieku stolicę w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, stolicę ze wszystkiemi cechami jéj centralizacyjnego znaczenia, jaką może nie był nawet jeszcze wówczas Paryż dla Francyi, jakiéj żaden inny kraj nie posiadał. Dzięki usiłowaniom Karola IV około podniesienia ulubionéj rezydencyi, Praga stała się tak potężném ogniskiem wszelkich politycznych, materyalnych i umysłowych interesów całego państwa czeskiego, a zwłaszcza Czech właściwych, że każdy ruch, który Pragę ogarnął, opanowywał zarazem całe Czechy. Klejnotem zaś, którem się Praga przed całym światem szczyciła, był uniwersytet, ta sławna szkoła, która tak olbrzymi napływ uczniów ze wszech stron ściągała i w bezpośredniém zetknięciu z ludnością tak potężny wywierała wpływ na nią a przez nią, na naród cały. Kilkanaście tysięcy scholarów osiadłych wśród ludności miejskiéj, obudzało w niéj żywy udział dla tych kwestyj spornych, któremi się uniwersytet zajmował, tém bardziéj, że pomiędzy scholarami było wiele osób, praktycznemu życiu oddanych, które dla obfitych przywilejów akademii zaciągały się do szeregów uczniów uniwersyteckich. Gdy do tego dołączyła się jeszcze bezpośrednia działalność Husa z kazalnicy, szybko zasady religijne Husytyzmu przyjęły się na przygotowanym już do tego gruncie ludności stołecznéj, a przez rozgałęzione jéj stosunki z całém społeczeństwem czeskiem, lotem błyskawicy wniknęły we wszystkie jego warstwy. Jeżeli wolno użyć tego porównania, to istotnie jak rewolucyi francuskiéj bez Paryża, tak Husytyzmu bez Pragi niepodobna sobie wyobrazić.

Polska nie posiadała stolicy, Kraków miał znaczenie głównego miasta, ale jako miasto w ustroju społecznym Polski był najmniéj wpływowym czynnikiem. Decentralizacya była właśnie wybitną cechą ustroju politycznego Polski, każ-

da ziemia stanowiła odrębną całość, a w braku centralnego ogniska, którego wpływ rozciągałby się na cały naród, działalność dogmatycznego czynnika w każdym ruchu reformacyjnym nie miała utartéj do rozpościerania się drogi. Jednostki mogły się przejmować dogmatyczną stroną nauki czeskiego reformatora, ale téż wpływ jéj kończył się na pozyskiwaniu jednostek.

Jeżeli jednak Jastrzębiec mniemał, że Husytyzm jako rewolucya przeciw ówczesnemu ustrojowi kościoła i materyalnéj potędze duchowieństwa nie znajdzie w Polsce przyjaznego“ gruntu, to zdanie takie dowodziłoby co najmniéj nie dość czujnéj żarliwości krakowskiego biskupa. Poszukajmyż odpowiedzi na to pytanie w stanowisku ówczesnego kościoła polskiego, w usposobieniu, jakie w społeczeństwie polskiém względem niego panowało.

Początek wieku XV był dla kościoła polskiego okresem stanowczéj przewagi. Potęga jego nie doszła była jeszcze do szczytu, ale tém samém nie dosięgała tego punktu, po za którym musiała nastąpić reakcya. Jeszcze nie chwycił był kościół stanowczo steru państwa, ale wpływał potężnie na jego rządy; nie był jeszcze rządem, ale miał w nim udział przeważny, związawszy ściśle z swym interesem większość możnowładztwa, w którego ręku rząd spoczywał. W dalszém następstwie tego stanowiska, nieuniknioném było starcie się kościoła z państwem, jeśli ustrój Polski nie miał przybrać cechy stanowczo teokratycznéj. W czasie wybuchu wojen husyckich była jeszcze ta chwila daleką, wprzód miał wyjść z łona kościoła polskiego potężny przywódca, który jeszcze wyżéj podniósł jego znaczenie i na czas pewien istotnie w imię interesów kościoła państwem zawładnął. Zanim jednak zaświtała ta chwila najwyższéj kościoła polskiego potęgi, zanim przyszło do tego, że państwo musiało przeciw niéj *veto* założyć, oddawna w spó-

łeczeństwie szlacheckiém nurtowały przeciwne téj przewadze kościoła dążności, które zbyt ważną wobec naszéj kwestyi odgrywają rolę, byśmy im nie mieli głębszéj uwagi poświęcić. Dążności te nie wznoszą się zrazu do stanowiska programu politycznego, do znaczenia głębiéj pojętéj teoryi o stosunku państwa do kościoła; na to było jeszcze ówczesne społeczeństwo szlacheckie zbyt młode i niedojrzałe. Stać je było jednak na tyle prostego rozumu i zmysłu praktycznego, by wobec dążności duchowieństwa, skierowanych ku naruszeniu materyalnych szlachty interesów, w codziennem życiu najbliżéj ją obchodzących, zająć obronne stanowisko i upierać się przy niém wszelkiemi siłami.

Do punktów spornych należały przedewszystkiém dziesięciny. Płacenie dziesięcin, „które," jak mówią statuta kościelne, „Bóg rozkazał składać sobie na znak najwyższego panowania nad światem i na pomnożenie swéj chwały lub utrzymanie swych sług przeznaczył," uważane było ogólnie za obowiązek powszechny, z którego nikt wyłamywać się nie mógł. Szlachta jednak używała w Polsce od czasów niepamiętnych przywileju „dziesięciny swobodnéj." Wolno było mianowicie każdemu szlachcicowi przeznaczać dowolnie dziesięcinę dla tego kościoła, który mu się podobał, przez co danina obowiązkowa traciła poniekąd wstrętny zawsze dla szlachty polskiéj charakter przymusu a równała się niejako dobrowolnéj, pobożnéj ofierze, któréj wysokość tylko nie ulegała dowolności. Również nie potrzebował szlachcic odwozić dziesięciny kościołowi, dla którego ją przeznaczał, jak do tego chłopi byli obowiązani, lecz sam właściciel dziesięciny musiał się po nią zgłosić. Nie można zaprzeczyć, że oba te przywileje, a szczególnie pierwszy, były dla kościoła bardzo niedogodne. Dowolność w składaniu tak ważnéj pozycyi w dochodach duchowieństwa, jak dziesięciny z posiadłości szlacheckich, utrudniała stałe uregulowanie

stosunków majątkowych hierarchii kościelnéj, które przecież stanowiły jednę z głównych podstaw jéj stanowiska społecznego [5]). Zniesienie dziesięciny swobodnéj, zrównanie obowiązków szlachty z obowiązkami chłopów i mieszczaństwa, to zatém cel, do którego kościół polski wszystkiemi dąży siłami, to pierwsze źródło jego zatargów ze szlachtą. Jakoż w zasadzie uważa kościół dziesięcinę swobodną za rzecz anormalną, na którą w danéj chwili jeszcze zezwala, domaga się jednak głośno jéj zniesienia, a niebawem ogłosi upieranie się przy niéj za grzech śmiertelny. Tymczasem zwolna stara się zachwiać podstawą przywileju szlacheckiego. Jeśli szlachcic na swéj roli kmiecia na czynszu osadzi, odmawia mu kościół prawa dziesięciny swobodnéj, gdyż kmieć powinien tam płacić dziesięciny, gdzie mu władza kościelna wskaże. Jeśli jednak szlachcic kmiecia z jego gospodarstwa wyruguje i przyłączy je do swego folwarku, musi z ról pierwotnie kmiecych temu opłacać dziesięcinę, komu ją przedtém kmiecie składali. A był to właśnie czas, w którym szlachta rugowaniem kmieci zakładała dopiero większe folwarczne gospodarstwa, łatwo się więc zdarzać mogło, że większa część szlacheckiego folwarku składała się z takich ról, kmiecego pochodzenia. Z oburzeniem patrzyła szlachta na to prastarych swych przywilejów naruszenie; „gdy według prawa natury,“ mawiała, „szlachectwo ma źródło w wolności, to nawzajem i wolność z szlachectwa wynika.“ Na zjazdach szlacheckich postanawiano: „żeby każdy szlachcic królestwa polskiego dziesięciny z ról własnych, własném ziarnem zasianych, tam składał, gdzie mu się podoba. Jeśli go zaś o to jaka duchowna osoba, jakiéjkolwiekby była godności, przed sąd powoła, to on nie inném prawem, jak prawem ziemskiém i to na wielkim wiecu sądowym bronić się będzie. Jeśli zaś dostojnik duchowny, niezadowolony wyrokiem sądu ziemskiego, postara się o to,

żeby na szlachcica klątwę rzucono, wtedy szlachcic ma przed sąd ziemski zapozwać sędziego duchownego, który nań klątwę rzucił, i prawem ziemskiém zaskarzyć go o zgwałcenie naszych praw i statutów. A jeśli go sąd skarze, to pokrzywdzony na jego dobrach lub tego, kto go sędzią ustanowił drogą prawną dochodzić będzie krzywd swoich“ [6]).

Takie postanowienia szlachty, uchwalane na zjazdach prywatnych ku wspólnéj przeciw dążnościom duchowieństwa obronie, były w zasadniczéj sprzeczności z kardynalnemi pojęciami prawa kanonicznego o kompetencyi sądownictwa świeckiego. Kościół zabraniał bowiem stanowczo sądom świeckim wkraczać we wszelkie sprawy osobiste duchownych, pociągając je wyłącznie przed forum kościelne. Ktokolwiek z osób świeckich powołał duchownego przed sąd ziemski, równie jak sędzia, który wytoczoną w ten sposób sprawę przyjął, tém samém ściągał na siebie klątwę. Szlachta nie zaprzeczała w ogóle duchowieństwu prawa odpowiadania przed swoim sądem, a uznając, „iż słuszna to i z rozsądkiem rzecz zgodna, by każdy swego właściwego prawa używał,“ zgadzała się na to, „żeby każdy, świecki w jakichkolwiek sprawach o długi i wszelkie umowy pozywał duchownego nie przed inny sąd jak duchowny, z wyjątkiem spraw o dziedzictwo, które do naszego prawa ziemskiego należą“ [7]). Natomiast jednak domagała się szlachta, „żeby duchowni w wszelakich sprawach, wielkich czy małych, nie pozywali szlachcica przed forum duchowne, ale tylko przed sąd ziemski, któremu jest podległy;“ tylko sprawy małżeńskie, zabójstwo, okaleczenie lub pobicie duchownego, miały należeć bezwzględnie do kompetencyi sądów duchownych. Szlachta przekraczała zatém sama określoną przez się kompetencyą sądu ziemskiego, jeżeli do niego pociągała skargi w sprawach o dziesięciny, a duchowieństwo, zaprzeczając sądom ziemskim prawa mięszania się w sprawy duchownych,

uciekało się w sporach ze szlachtą, ku tém większemu jéj rozdrażnieniu, do swoich sądów.

I tu często przedmiotem sporów były dziesięciny. Przypatrzmyż się przykładowi, który nam rzecz całą dokładniéj objaśni. We wsi Jurczycach szeroko rozrodziło się gniazdo dziedzica, na początku XV wieku siedziało na niéj aż siedmiu drobnej szlachty, Beniek, Franek, Rafał, Andrzéj, Jacuś, Kusz i Wacław. Oni i ich przodkowie zdawna płacili dziesięcinę klasztorowi tynieckiemu, opat twierdził, że dawniéj niż od sześćdziesięciu lat, słowem, od czasu, jakiego nikt nie zapamięta. W r. 1404 zmówili się jednak wszyscy i odmówili klasztorowi dziesięciny, a czy ją oddali innemu kościołowi, jak im to według przywileju szlacheckiego było wolno, o tém już trudno się dowiedzieć. Mścisław, opat tyniecki, zanadto dbał o dochody klasztoru, żeby im to miał płazem puścić, a z tradycyi był konwent jego do prawowania się tak skory, że nawet w sądzie kuryi papieskiéj stosy papieru w jego sprawach zapisano. Wniósł więc opat skargę przed sąd duchowny oficyała krakowskiego, żądając, żeby mu prócz prawa do dziesięcin z ról szlacheckich w Jurczycach, prócz 14 grzywien za dziesięciny z roku poprzedzającego i prócz kosztu procesu, jeszcze 100 grzywien kary za tak „jawną krzywdę“ przyznano. Otoż z wyjątkiem tego ostatniego żądania, które samemu sądowi oficyalskiemu wydało się niedość uzasadnioném, otrzymał opat wyrok zupełnie pomyślny, zniewalający szlachtę jurczycką wbrew starym przywilejom do płacenia dziesięcin klasztorowi tynieckiemu [8]).

Sprawy takie, jeśli w nich o ważniejszą rzecz chodziło, wytaczano przed kuryą rzymską. Dość przypomnieć sobie, jakim był dwór papieski za czasów wielkiéj schizmy zachodniej, by pojąć, z jaką skwapliwością jęły się ówczesne sądy papieskie rozsądzania takich spraw spornych w obec

wysokich opłat sądowych. Sprawa dostawała się komukolwiek z licznych audytorów kuryi; był to zwykle Włoch, późniéj, kiedy schizma ustała, Hiszpan lub Francuz, w każdym razie człowiek, który zaledwie coś słyszał o istnieniu Polski, a o stosunkach polskich zgoła nie miał wyobrażenia. Audytor wystosowywał cytacyą, którą posyłano do Polski, dla doręczenia pozwanemu lub ogłoszenia w kościele [9]). Najczęściéj trzeba było poprzestać na tym drugim środku, gdyż szlachcic, któremu cytacyą przed sąd duchowny doręczono, nie rzadko porywał się do pięści, jeśli nie do korda. Statuta kościelne boleją nad tém, że są tak „okrutni i niegodni ludzie,“ którzy wysłańców sądu duchownego nie tylko shańbią zelżywemi słowami, ale i batami osmagają, do więzienia wtrącą lub, ze wszystkiego obdarłszy, do domu puszczają“. „Są i tacy,“ mówią statuta, „do których dla znanej srogości nie ma przystępu, albo też, skoro w zamkach mieszkają, w żaden sposób doręczyć im cytacyi nie można;“ w takim zatém wypadku ogłoszano ją w parafialnym kościele pozwanego, jeśli do niego bezpiecznie było się dostać, jeśli nie, to w dwóch pobliskich kościołach i w katedrze [10]). Bądź co bądź, w jakikolwiek sposób cytacya obwieszczoną została, czy ją pozwany szlachcic do rąk otrzymał i zwiastuna niemiłéj wieści guzem obdarzył, czy też o niéj skądinnąd się dowiedział, w każdym razie nie pomyślał nawet o tém, żeby w sześćdziesiątym dniu, jak tego cytacya wymagała, stawić się w Rzymie „lub gdziekolwiek wówczas papież bawić będzie“ i sprawę swoję przed wyznaczonym w tym celu bronić audytorem. Odbył się zatem termin bez niego, stanął na nim tylko zastępca sądowy strony duchownéj, który wytoczywszy proces przebywał u dworu papieskiego, zapadła kontumacya, a audytor papieski wydał wyrok na korzyść powoda. Chodziło już tylko o egzekucyą. Nic zapewne nie było dla kościoła tak pożądaném, jak za-

pewnić wyrokom sądów duchownych u władz świeckich egzekucyą; dążyło do tego też polskie duchowieństwo, ale zdołało cel ten osiągnąć dopiero później, choć więcéj na papierze niż w praktyce. Tymczasem jednak klątwa kościelna spełniała swoje zadanie. Klątwa audytora papieskiego spadała na szlachcica, który w ten sposób przegrał sprawę, klątwa, którą on sam tylko lub papież mógł zdjąć z wyklętego, jeśli żądaniom pozywającej strony duchownej zadość uczyni; całe duchowieństwo dyecezyi obowiązane było we wszystkich kościołach klątwę ogłosić. Cóż miał uczynić wyklęty? Nikomu pod karą klątwy nie wolno było mieć z nim stosunków; gdziekolwiek przebywał, gdzie się pojawił, na to miejsce tém samém zapadał interdykt, ustawała tam służba boża. Zużył się był już wprawdzie cokolwiek ten środek i z całą ścisłością trudno było przestrzegać przepisów kanonicznych co do postępowania z wyklętymi i zachowywania interdyktu. W każdym razie zależało to jednak od sprężystości i żarliwości duchowieństwa, a bądź co bądź, ostrze klątwy kościelnej nie stępiało jeszcze do tego stopnia, by nie zmusić dotkniętego nią do upokorzenia się, lub co najmniej do zawarcia ugody, któraby się stronie duchownej korzystną wydała.

Łatwo pojąć, jak zżymała się szlachta na takie prowadzenie procesów. „Wielkie szkody i krzywdy," wołano na zjazdach szlacheckich, „spadają na mieszkańców królestwa z częstych a licznych cytacyj, które ich przed trybunał kuryi rzymskiej lub z jej polecenia po za granice państwa pozywają. Chcąc temu złemu zapobiedz, postanawiamy, żeby nikt z obywateli królestwa polskiego, świecki czy duchowny, jakąkolwiekby godność piastował, nie poważał się ani szlachty, ani osób duchownych po za granicami państwa pozywać. Kto to uczyni, jeśli jest posesyonatem, wszelkie

posiadłości jego, duchowne czyli też dziedziczne, bez zwłoki mu zabierzemy i oddamy je pozwanemu. Jeśliby zaś nie był posesyonatem, ma być z państwa wygnany. Gdyby go zaś ten, kogo on pozwał, lub ktokolwiek inny zdołał pojmać, może go uwięzić i jak długo zechce trzymać w więzieniu, lub uczynić z nim, co mu się podoba. Jeśli wreszcie jaki prałat królestwa lub sędzia przezeń delegowany, albo jakiéjkolwiek godności osoba duchowna, w skutek takiéj cytacyi lub komisyi papieskiéj, rzuci klątwę na kogo, mają mu być zabrane dobra kościelne i dziedziczne na rzecz skarbu królewskiego“ [11]).

Tak radziła uciśniona sądami audytorów papieskich szlachta na swych zjazdach, ale nie mając w ówczesnym ustroju państwa właściwego, powołanego do tego organu, któryby jéj wolę zdołał w czyn zamienić, nie mogła dla tych uchwał wyjednać sankcyi ustawodawczéj. Uchwały takie są tylko ciekawym objawem jéj usposobienia, dowodzą jasno, do jakiego stopnia dochodzić musiało rozdrażnienie, jeśli, dla wywarcia tém większego nacisku na duchowieństwo, domagano się konfiskaty posiadłości kościelnych, należących do beneficium tej osoby duchownéj, któraby sprawę sporną przed trybunał kuryi zaniosła. Cytacye takie zaś nie ustawały, skoro się na nie ciągle użalają, a na skargi szlachty odpowiada duchowieństwo tylko: „biskup nie wydaje nigdy cytacyj pozywających za granice królestwa, ani nawet za granice dyecezyi, czyni to tylko papież, którego władzy my nie możemy ukrócić.“ [12])

Nie na każdego spadały swém brzemieniem cytacye kuryi papieskiej, ale jeśli kto miał w rodzie choćby dalekiego krewniaka, którego takie nieszczęście spotkało, to pewnie uczuł stąd głęboką do duchowieństwa urazę, której sam do śmierci nie zapomniał, którą dzieciom w spuściźnie zostawił; w społeczeństwie szlacheckiém, związaném silnym

węzłem wspólności rodowéj, każda krzywda wyrządzona szlachcicowi rozlegała się donośném echem w szerokich kołach. Wszyscy jednak niemal w drobnych sprawach codziennego życia mieli jakiś powód do zatargów z duchowieństwem, jedni tylko, potulniejsi, łatwiéj ustępowali, drudzy, bardziéj rogatego ducha, nikomu, choćby księdzu biskupowi nawet, nie puszczali płazem urazy. Chociaż kto nawet w sprawie dziesięcin nie zdawał sobie jasno sprawy z groźnych przywiłejom szlacheckim dążności kościoła, to w corocznéj praktyce, przy wybieraniu dziesięcin, łatwo mógł zadrzéć z „osobą duchowną.“ Co rok, wśród żniw i po żniwach przyjeżdżali tak zwani „decymatorowie,“ włodarze prałatów i innych osób duchownych, którym się we wsi dziesięciny należały, dla odebrania ich od szlachty, dla wyłączenia dziesięciny snopowéj na polach kmiecych. Rzecz jasna, że nie mogło się obejść przy tém bez różnych nadużyć i szykan, sam szlachcic łatwiéj sobie jeszcze dał radę, ale kmiecie oddani byli na łaskę włódarzy, a krzywda wyrządzona kmieciom spadała w części także i na pana. Nieraz nie zadawalniali się włódarze wytyczeniem dziesiątego snopa na każdym łanie z osobna, ale wybierali cały komput z ról lepszych, które dorodniéj zrodziły, zabierając jednym większą część plonu a zostawiając innym dobytek nietknięty. To znów przybywali nie w czasie, tymczasem kmiecie zbiérać z pola nie mogli, nadeszły słoty, zboże na pniu zrosło i wraz z dziesiątym snopem cały plon roczny zmarniał; nie miał wtedy i ksiądz wielkiej pociechy z takiéj dziesięciny, ale biedni kmiecie na głód byli skazani, a pan nie miał skąd ściągnąć należnych danin. Ale nie same dziesięciny były w codziennem życiu tém jabłkiem niezgody, najspokojniejszy ziemianin, nie szukający zaczepki z kościołem, wchodził z nim często niechcący w zatargi. Jeśli miał bowiem proces z sąsiadem i wygrał go w sądzie ziemskim, nieraz

zły sąsiad poszukał w familii lub między przyjaciołmi księdza i odstąpił mu sprawę, a ten jako ksiądz powlókł ją przed forum duchowne, gdzie wytaczał się proces na nowo, grożący szlachcicowi, który go już był wygrał, jeśli nie obaleniem wyroku sądu ziemskiego, to w każdym razie nowemi kłopotami [13]). Słuszne gniewy szlachty wzmagały się jeszcze bardziéj, jeśli sądownictwo duchowne, które jéj tyle dokuczało, nie dawało dostatecznego zadośćuczynienia za jawne krzywdy, przez duchownych zrządzone. Nieraz zdarzyło się, że szlachcic przychwycił księdza na gorącym uczynku, na cudzołostwie, kradzieży lub innéj zbrodni: nie mógł sam sobie sprawiedliwości wymierzyć, gdyż nie wolno mu było targnąć się na osobę duchowną, nie mógł księdza zaskarzyć przed sąd grodzki, lecz musiał udać się do sądu duchownego, gdzie często winnego, bez przesłuchania poszkodowanego, natychmiast lub po trzech dniach na wolność wypuszczano. W gniewie odgrażała się szlachta, że w takich razach będzie szukać odwetu na posiadłościach sędziów duchownych [14]).

Nic jéj nie pomagały projekta statutów, na zjazdach prywatnych uchwalane, które pozostały projektami i jako takie utonęły w zapomnieniu. Kościół posiadał znakomitą organizacyą, która jego siłę stanowiła; szlachta w rozproszeniu, w braku jakiegokolwiek silniejszego punktu oparcia, projektami statutów lub odosobnionym oporem pokrzywdzonéj jednostki nic przeciw niemu zdziałać nie mogła. Pojmowała jednak szlachta, że i jéj potrzeba organizacyi, że tylko solidarność i wzajemne wspieranie się może nadużyciom duchowieństwa tamę położyć i zachwianą na korzyść kościoła równowagę społeczną przywrócić. „Zważywszy zatém," mówi akt zjazdu szlacheckiego, „jak wielki i niesłychany ucisk my i ludzie nasi i wszyscy królestwa polskiego mieszkańcy od osób duchownych znosimy," zebrała

się szlachta wielkopolska 16 Października r. 1407 w Piotrkowie i zawiązała rodzaj konfederacyi ku wspólnéj obronie, którą w kołach duchownych nazwano „konspiracyą panów świeckich przeciw duchowieństwu.“ Rozumiała szlachta, że to właśnie zmienne koleje kilku ostatnich dziesiątek lat zachwiały stanowczo równowagą stanów, którą jeszcze „przesławny, świętéj pamięci“ król Kazimierz umiał utrzymać, postanowiono zatém zachować ten stan rzeczy, jaki utworzyły układy Kazimierza Wielkiego z arcybiskupem Jarosławem i biskupem krakowskim Bodzantą. „Gdyby kto jednak,“ zobowiązano się pod przysięgą, „chciał nam krzywdę czynić i gwałcić prawa nasze, bronić ich będziemy życiem i mieniem, jak nam cześć i wiara miła. Ku straży tych starych praw, przywilejów i zwyczajów, każda ziemia ma wybrać czterech z swego grona, do których wszyscy przez duchowieństwo pokrzywdzeni będą się uciekać i za radą tych czterech panów bronić się będą przeciw krzywdom i uciskowi duchowieństwa. Ktoby zaś z nami się łączyć i wspierać nas nie chciał, tego ze społeczności królestwa wypchniemy i spustoszymy mu dobra“ [15]). Był to zatém dokładnie obmyślany projekt organizacyi szlachty przeciw duchowieństwu; czy go wykonano, czy przyszło do ustanowienia tych trybunów szlacheckich, trudno wykazać; choćby to jednak był tylko projekt, na który się powszechnie zgadzano, to w każdym razie jest ciekawą ilustracyą ówczesnego usposobienia szlachty.

Zważmy jednę rzecz jeszcze. Duchowieństwo, które szlachtę uciska i dla uregulowania swoich dochodów, przywileje jéj łamie, posiada największe w kraju dobra, opływa w dostatki, bogaceniem swych krewniaków wytwarza nowe, potężne rody magnackie. Szlachta zaledwie wyżyć może z roli ojcowskiéj, która jéj niedawno jeszcze wystarczała. Kilka ostatnich lat dziesiątek wzmogło niesłychanie po-

trzeby społeczeństwa szlacheckiego, téj zwłaszcza warstwy jego pośredniej, któréj daleko było do bogactwa magnatów, a która jednak górowała nad drobną, ubogą szlachtą. Coraz więcéj rozszerzał się wśród niéj polor rycerskiego zachodu. Niejeden wyjeżdżał z kraju i w stronach dalekich, na świetnych dworach królewskich i książęcych, rycerskie zbierał wawrzyny, niejeden z niespokojnym królem Zygmuntem po całym włóczył się świecie, lub nawet pod gorącém niebem hiszpańskiém z Maurami ścierał kopie. Kiedy przybył do kraju, wszyscy bracia i swaty pragnęli mu dorównać w polorze, w świetności strojów i rynsztunku, i jakże zresztą nie mieli dbać o to, kiedy i na zamku krakowskim coraz częściéj herold królewski otrębywał turnieje, na których trzeba było zabłyszczeć, i zmierzywszy się z jakim rycerzem z nad Renu lub Dunaju, nie tylko siłą ramienia z siodła go wysadzić, ale i bogactwem rynsztunku przewyższyć. Nie starczył na to dochód z ojcowskiego dziedzictwa, ale byli w Krakowie lub Poznanin żydkowie usłużni, u których zawsze potrzebny grosz się znalazł; o oddaniu trudno pomyśléć, lichwa zjadała majątek, a kiedy do boju z Krzyżakami zabrzmiała trąba wojenna, trzeba było jednak wyruszyć dostatnio, by się Niemiec z polskiego rycerza nie naśmiewał. Wielkie wyprawy wojenne zrujnowały do reszty szlachtę, niszczyły do szczętu i tę drobną brać szlachecką, która zanadto była ubogą, by ją mógł zbytek zrujnować. Cóż dziwnego, że szlachta, służbą wojenną wyniszczona, długami nękana, pretensyami duchowieństwa uciśniona i drażniona nieustannie, zawistném okiem spoglądała na jego dostatki i bogactwo [16]).

Wśród takich w Polsce stosunków, występuje w sąsiednich Czechach Hus z swoją nauką. Kiedy szlachta w konfederacyach szuka obrony swych materyalnych interesów przeciw uroszczeniom duchowieństwa, głosi Hus jawnie i

otwarcie, że kościół wrócić winien do pierwotnych urządzeń, duchowieństwo do apostolskiego ubóstwa; za pierwszém gwałtowniejszém podniesieniem się fal Husytyzmu, wcielają się te zasady w czyn, a bogate dobra kościelne padają ich ofiarą. Kiedy szlachta wyrokami audytorów papieskich nękana surowemi ustawami pragnie sądownictwu kuryi tamę położyć, odzywa się w Pradze reformator czeski, że nigdy Piotr św. nie był głową kościoła, a więc i następca jego nią nie jest, że papież to „patron Antychrysta.“ Czyż nie mógł w obec tego Husytyzm, mimo obojętności dla dogmatycznéj jego strony w usposobieniu szlachty polskiéj, znaleść przyjaznego echa? Dla wielu wprawdzie, którzy z duchowieństwem żyli w zatargach, był tradycyjny duch pobożności obronną tarczą przeciw wrogim kościołowi zasadom. Ale w znacznéj części społeczeństwa szlacheckiego był niezawodnie w chwilach roznamiętnienia dobrze przygotowany, przychylny grunt dla posiewu zasad husyckich; już podczas soboru konstancyjskiego głośno było o tém w świecie, że nauka Husa zjednała sobie w Polsce liczne grono tajnych zwolenników [17]). Trzeba było wytężonéj czujności duchowieństwa, któraby silnym kordonem Polskę od Czechów oddzieliła, żeby ten zasiew nie padł na grunt przygotowany i nie ogarnął przychylnie usposobionéj szlachty.

Jakiekolwiek jednak przypisywalibyśmy znaczenie temu usposobieniu szlachty, nie był to w obec polityki, którą Polska względem Husytyzmu podejmie, czynnik decydujący. Nie w jéj ręku rząd się znajdował, społeczność szlachecka wywierała nań jeszcze wpływ bardzo podrzędny, dzierżyła go silna dłoń możnowładztwa duchownego i świeckiego. Pierwsze zaś, z natury rzeczy Husytyzmowi wrogie, umiało interes kościoła zespolić z interesem przeważnej części panów świeckich. Wprawdzie dążności kościoła, zwrócone przeciw materyalnym interesom i przywilejom szlachty, do-

tykały zarazem i panów świeckich, ale polityka duchowieństwa oszczędzała te sfery magnackie, na których poparciu jego stanowisko w państwie polegało. Z tych sfer rekrutował się zastęp kościelnych dygnitarzy, a jeśli ich szeregi pomnożyły się jakim przybytkiem z warstw niższych, to prałat, który z uboższéj wyszedł szlachty, uposażeniem swéj rodziny niebawem ją wyniósł do rzędu rodów magnackich, a tém samém w pierwszéj przynajmniéj generacyi tém silniéj związał parweniuszów z interesem duchowieństwa. Stąd zatém, z tych sfer, własnym interesem zespolonych z kościołem, wychodzili i świeccy państwa dygnitarze, którzy w radzie królewskiéj o losach jego rozstrzygali. Wprawdzie i wśród możnowładztwa świeckiego zabłąkał się niekiedy objaw opozycyi przeciw kościołowi, ale kto się w ten sposób zamanifestował, tego skrzętnie odsuwano jako owcę parszywą od dostojeństw i udziału w rządzie; wszak ci Melsztyńscy i Zbąscy, którzy później jawnie sztandar Husytyzmu podnieśli, to byli właśnie „patrycyuszowskich rodów potomkowie, którzy ojcowskich nie dosięgli dostojeństw“ [18]). W saméj radzie koronnéj, w samém dygnitarskiém kole zdarzało się spotykać panów, którzy w obronie materyalnych interesów stanu szlacheckiego łączyli się z pokrzywdzoną szlachtą przeciw duchowieństwu; już w owym akcie zjazdu piotrkowskiego czytamy o „wojewodach, kasztelanach i dygnitarzach.“ Na ich to właśnie synach mściła się ręka rządzącego systemu, a jeśli ich samych z rządu wyprzeć nie mogła, to w każdym razie miała jeszcze dość siły, by wpływ ich w radzie koronnéj neutralizować.

Jakże wreszcie miał zachować się ten, około którego zbiérała ta rada koronna. Jagiełło, przed wstąpieniem na tron polski z duszy poganin, zewnętrznie na wpół wschodniéj wiary wyznawca, czuł to dobrze, że w gronie monarchów europejskich i we własném państwie, którego korona

tak niespodziewanie na głowę mu spadła, był parweniuszem. Był to istotnie parweniusz w całém tego wyrazu znaczeniu, a małżeństwem z dziedziczką arystokratycznego rodu wszedł w sfery towarzyskie, do których się nie urodził. Nie miał dość uzdolnienia i energii ducha, by ze sfery, z któréj wyszedł, wnieść na nowe stanowisko pewien zasób właściwego jéj, zdrowego a oryginalnego pierwiastku, lecz dał się zupełnie opanować przez krzywiącą się nieustannie na mezalians żonę, która, usiłując go nastroić do tonu, w jéj sferze panującego, każdy porywku samodzielności, nieunikniona przymieszką naturalnéj rubaszności trącący, karciła surowo jako wstrętne jéj przywyknienie z obmierzłego, dawnego stanu małżonka. Rolę téj żony kapryśnéj odgrywała z początku rzeczywista małżonka Jagiełły Jadwiga, z nią zaś i po jéj śmierci, przez cały czas rządów Olgierdowica, to ściśle zespolone możnowładztwo polskie, duchowne i świeckie, które go na tron powołało. Neofita, katechizowany gorliwie przez Jadwigę i polskich prałatów, przejął się głęboką czcią dla nowéj wiary, a pogańskie przesądy, wzbudzające w prostym umyśle dziecinną trwogę przed straszliwym gniewem bożym, były w ręku duchowieństwa wybornym biczem na ujeżdżonego, lecz narowiącego się czasami konia, wypróbowanym środkiem, po którego użyciu tém większa następowała pokora. Niemogło jednak obejść się bez objawów „takiego znarowienia,“ litewska natura Olgierdowica porywała się niekiedy do zrzucenia tego jarzma, którego ciężar mu dolegał, choć je zwykle cierpliwie znosił. W r. 1427 pisze o nim rocznikarz franciszkański, wystawiwszy mu wprzód pochlebne świadectwo uczciwości i „trzeźwości.“ „W tém jedném ten król ciężko błądził, że naruszał przywileje kościoła, wymagając od arcybiskupa, biskupów i opatów utrzymania dworu w czasie przejażdżek po kraju, niejednemu klasztorowi kazał sobie przez trzy albo cztery dni, a biskupom przez tydzień lub

nieraz nawet przez dwa tygodnie dostarczać wszelkich potrzebnych żywności, zwykł zaś był mieć w swym orszaku do dwóch tysięcy koni i jeźdźców, przez co mnóstwo siana i owsa klasztorom wydzierał i na ogromne je narażał wydatki, a nikt nie śmiał mu się sprzeciwiać. Prałaci zaś w obawie, żeby król nie popadł w herezyą Husytów, znosili tę krzywdę i dostarczali mu żywności w czasie przejazdu, a król, jeszcze i tém niezadowolony, zostawiał nieraz klasztorom po dziesięć lub dwanaście koni z dwoma parobkami do wyżywienia, surowo nakazując pod utratą łaski monarszéj, żeby je należycie owsem i sianem wypasano. Wielki to ucisk i niewola kościoła, a przeciw temu przecież w prawie kanoniczném zastrzeżono, żeby żaden książę świecki nawet kłoska jednego nie poważył się żądać od klasztoru, bo co samemu Bogu poświęcone, nie ma powracać ludziom na użytek. Król Władysław zaś mawiał zawsze opatom: Jeśli mi nie dasz tego, co mieć pożądam, zabiorę ci wszystkie dobra twojego klasztoru; tak jak gdyby mówił: moje są wszystkie dobra klasztorne i kościelne w mojém państwie a nie wasze“ [19]).

Tak gwarzył w celi klasztornéj mnich franciszkański, niepomny tego, że za każde takie słowo surowo króla odważni biskupi karcili. Wiedzieli jednak ci panowie duchowni, że król w porywie gniewu, długiém znoszeniem jarzma znękany, mógł zasmakować w naukach, które w Czechach głoszono. I on o dogmatycznéj stronie Husytyzmu nie mógł mieć wyobrażenia, sporów o predestynacyą i transsubstancyacyą pewno nie pojmował, ale na wiadomość o tém, co się w Czechach działo z tymi prałatami, którzy go na każdym kroku strofowali, nieraz mu także przychodził fałszywy apetyt. Nie dziw więc, że gdy Hus wystosował do niego memoryał o nadużyciach duchowieństwa, mogło to zabrzmieć mile w uchu Jagiełły, że gdy Hieronim z Pragi przybył na

dwór krakowski, i to jak rycerz buńczucznie, to znów jak apostoł w księżej szacie występował, po kilku dniach pobytu takiego narobił zamieszania, „że póki pamięci ludzkiéj o czémś podobném nie słyszano“ [20]). Bardzo to zatém możliwe, że gdy posłowie polscy na sobór konstancyjski wyjeżdżali, Jagiełło świeckim przynajmniéj członkom poselstwa dał tajną jakąś wskazówkę, żeby nie postępowali zanadto ostro z czeskim reformatorem [21]). I tu więc był grunt dla posiewu Husytyzmu nie zupełnie nieprzygotowany, i tu potrzeba było wytężonéj czujności duchowieństwa, energicznego używania wypróbowanego bicza, którym „narowy“ Jagiełły poskromiano.

Nie król jednak miał w ręku ster rządu, nie sami magnaci nawą państwa kierowali, Polskę łączył świeży węzeł z Litwą, a tam władał Witołd, którego stanowisko wobec każdéj sprawy ważniejszéj nieobojętny wywierało wpływ na kierunek polityki polskiéj. Zaczekajmyż zatem, aż nadejdzie z Czech pierwsza ku wspólnemu z Polską działaniu odezwa, a przekonamy się, co powiedzą na to panowie rady koronnéj, co powié Witołd i co król będzie musiał uczynić. Tutaj mieliśmy się tylko przekonać, jaki grunt mógł w téj chwili stanowczéj znaleść w Polsce Husytyzm. Przekonaliśmy się, że strona jego plemienna nie zdołała obudzić w społeczeństwie polskiém dość silnego echa, by wzniecić w imię uczuć słowiańskich zapał ogólny, któryby sam parł do czynu, że co najwięcéj mogły się obudzić pewne sympatye, które dopiero przy współdziałaniu innych, silniejszych czynników byłyby może zdołały pewną rolę odegrać. Widzieliśmy, że dogmatyczny pierwiastek husyckiéj nauki nie miał dobrego przewodnika, któryby go w społeczeństwie polskiém rozprowadził, a stąd szybkie rozszerzenie się Husytyzmu, gdyby nawet grunt był ku temu przysposobiony, było rzeczą tak trudną. Ale stwierdziliśmy zarazem, że stosunki

między społecznością szlachecką a duchowieństwem grunt ten oddawna dobrze przysposobiły, i że odgłos trąby bojowéj, wzywający z Czech do walki z duchowieństwem, rozległ się w społeczności szlacheckiéj donośném echem, stłumione już brzmienie obudził wśród możnowładztwa a w sercu królewskiém odezwał się dźwiękiem przychylnym.

III.

Poselstwo Wernera z Rankowa. — Prażanie w obec Polski. — Położenie polityczne Polski, wyrok wrocławski. — Jastrzębiec. — Jego stanowisko polityczne. — Kanclerz filarem polityki Witołda. — Witołd. — Jego zadanie. — Jego cel i program polityczny. — Stosunek do Polski i do Zachodu. — Unia kościelna. — Witołd zbliża się do Zygmunta Luxemburskiego. — Polityka polska pod wpływem Witołda. — Katastrofa r. 1420. — Stanowisko Jastrzębca zachwiane. — Zjazd łęczycki. — Jastrzębiec utrzymuje się na urzędzie kanclerskim.

W końcu Kwietnia r. 1420 przekradał się z Czech do Polski Werner z Rankowa, wysłaniec panów czeskich, dla wybadania Jagiełły, czy przyjmie czeską koronę. Najprzedniejszymi wśród tego panów czeskich grona, które, wysyłając Wernera, w obec konieczności zerwania z domem Luxemburskim podjęło myśl łączności politycznej z Polską, byli Czeniek z Wartenberga i Ulryk z Rosenberga. Wówczas już hufce Zygmunta, wsparte pomocą krucyaty, zwołanéj przeciw czeskim kacerzom, przekraczały granicę Czech; w téj chwili groźnéj skrajne ludowe żywioły z podwojoną zawziętością rzucają się na kościoły, podkładają ogień pod mury klasztorów, a żywioł najbardziéj konserwatywny, bolejąc nad tém rozpasaniem, usiłuje ocalić skołataną nawę ojczyzny rzuceniem kotwicy do Polski. W prze-

dedniu jednak walki, w obec rozdziału stronnictw husyckich trudno było zwołać stany i myśl łączności z Polską w téj chwili formalnym wyborem Jagiełły uwieńczyć. Panowie czescy musieli na własną odpowiedzialność podjąć cały ciężar inicyatywy, zachowując sobie na przyszłość dokonanie tego dzieła, jeśli z Polski pomyślna nadejdzie odpowiedź.

Werner z Rankowa otrzymał taką tylko odpowiedź, jaką król mógł dać, zagadnięty niespodziewanie, w nieobecności dygnitarzy, za których zdaniem iść musiał. Odwleczono odpowiedź, w rzeczy tak nowéj a ważnéj, aż do przybycia zapowiadanego uroczystego poselstwa czeskiego, któreby przywiozło wiadomość o formalnym, zgodnym wyborze Jagiełły wraz z warunkami dokładnie określonemi. Odpowiedź taka nie była niczém i miała tylko to znaczenie, że nie równała się stanowczemu odrzuceniu korony. Panom czeskim jednak, których położenie wymagało szybkiego działania, nie mogła taka odpowiedź wystarczyć. Pod grozą krucyaty, rzucającéj się na Czechy, i skrajnych, rewolucyjnych dążności żywiołu ludowego, nie znalazłszy w danéj chwili w Polsce pewnego punktu oparcia, zączynają niebawem tłumnie przechodzić na stronę Zygmunta. Pierwsze hasło daje sam Czeniek z Wartenberga, oddając zamek hradczański Luxemburczykowi jeszcze przed powrotem Wernera, choć może już na pierwszą wieść o bezskuteczném jego poselstwie. Dłużéj czekają inni panowie czescy, którzy wraz z nim pierwsi rozpoczęli rokowanie z Jagiełłą, lecz za kilka zaledwie tygodni i oni stają przy Zygmuncie. Wzmacnia się tém jego stanowisko, i pomimo niepomyślnego oblężenia Pragi, pomimo dotkliwéj klęski pod Witkową górą, przywdziewa Zygmunt na zamku hradczańskim koronę św. Wacława.

Po tém odstępstwie panów czeskich, jedynym czynnikiem, który mógł ująć ster rewolucyi i pchnąć ją w kie-

runku jakiejś dodatniéj myśli politycznéj, była Praga. Stolica państwa, kolebka tych dążności, które w naturalnym rozwoju wypadków musiały doprowadzić do rewolucyi, idąc za moralném przewodnictwem uniwersytetu, reprezentuje od téj chwili zachowawczy żywioł w Husytyzmie; łączy się wprawdzie z Taborytami, ze stronnictwem ludowém ku wspólnéj przeciw najezdcom obronie, ale dokłada wszelkich starań, żeby pohamować jego skrajne dążności, a siłą przewagi moralnéj stając na czele całego ruchu husyckiego, usiłuje zwrócić go na jednę drogę, na któréj byt państwa, honor narodowy i religijną stronę Husytyzmu, umiarkowanie pojętą, można było ocalić. Nie dziw więc, że myśl łączności z Polską, którą panowie czescy wraz ze sztandarem Husytyzmu rzucić byli zniewoleni, staje się programem politycznym Prażan. Zanim jeszcze wojska oblężnicze odstąpiły z pod murów Pragi, równocześnie z koronacyą Zygmunta zapada w Pradze uchwała, żeby ofiarować koronę czeską Jagielle, a nawet Żyżka, stary wódz Taborytów przywiesza pieczęć swoją u aktu téj uchwały, co jasno dowodzi ówczesnéj przewagi moralnéj Prażan nad żywiołami skrajnemi, w myśl republikańskich dążności przeciwnemi idei monarchicznéj [22]).

W Polsce tymczasem zrazu oczekiwano zapowiedzianego poselstwa, późniéj zaś niezawodnie coraz mniéj myślano o sprawie czeskiéj, skoro nieustannie mnożyły się wieści, że ci właśnie panowie, z których łona wyszło pierwsze poselstwo, tłumnie przechodzą na stronę Zygmunta. Ogólna uwaga zajęta była zresztą w Polsce sprawą, która najbliżéj obchodziła najżywotniejsze interesa polityczne państwa, a wpływając nadto stanowczo na przyszłość osób, stojących dotychczas u steru rządu, do ogólnego roznamiętnienia politycznego dorzucała iskrę głębokiéj i szeroko rozgałęzionéj zawiści prywatnéj. W pierwszych dniach bowiem

tego pełnego wydarzeń roku, 6 Stycznia 1420 wydał był Zygmunt w Wrocławiu ów słynny wyrok w sporze Polski z Zakonem Niemieckim, a ogólne oburzenie, w całéj Polsce tym wyrokiem wzbudzone, skierowało się także przeciw głównemu kierownikowi zewnętrznéj polityki państwa, przeciw kanclerzowi królestwa Jastrzębcowi.

Zawód był tém boleśniejszy, im większe nadzieje w wyroku Zygmunta pokładano. Dziesięć bowiem lat mijało właśnie od bitwy grunwaldzkiéj, w ciągu których Polska sięgała po owoc świetnego zwycięstwa, niezerwany wtedy, gdy była pora ku temu. Cały ten lat dziesiątek pełen był dusznéj atmosfery wojennéj, która raz otwartą wojną wybuchła, drugi raz wyprowadziła polskie i krzyżackie hufce do nowéj walki, a tylko usilne starania rozjemczéj akcyi dyplomatycznéj zdołały wówczas groźną burzę zażegnać. Było to w r. 1419. Cały Zakon, wycieńczony i słaby, drżał przed zbliżającemi się wojskami Polski i Litwy, domagając się sądu rozjemczego stolicy apostolskiéj. Rząd polski nie ufał jednak w sprawie krzyżackiéj Marcinowi V, a jeśli pod naciskiem dyplomacyi gotów był oddać jakiemukolwiek pośrednictwu rozwikłanie zawiłego węzła sporów z Zakonem, to w owéj chwili tylko Zygmunta chciał mieć pośrednikiem. Przez cały ten lat dziesiątek cechuje bowiem politykę króla rzymskiego znaczne zbliżenie się do Polski; Zygmunt kokietując z Jagiełłą i Witołdem, narzucał się na pośrednika, by od Zakonu wyłudzać łapówki, a widząc w r. 1419, w obec gotującéj się wojny, że Krzyżacy na jego sąd rozjemczy nie chcą się zgodzić, przyrzekał nawet Polsce pomoc zbrojną. Skoro więc wojska polskie już u granic Prus stanęły, a legaci papiescy, popierając otwarcie Zakon, żadnego porozumienia nie zdołali przywieść do skutku, tylko pośrednictwo Zygmunta mogło jeszcze wojnę zażegnać. Wielki Mistrz uległ, przyjmując sąd rozjemczy króla rzym-

skiego, a Jagiełło za cenę domniemanych korzyści tego sądu poniósł wielką ofiarę, rozpuszczając zgromadzone wojska, pomimo znacznych kosztów, których przygotowana wyprawa skarbowi przysporzyła. Kiedy zaś chwila wydania wyroku się zbliżała, Zygmunt gotował się na walną przeciw Czechom wyprawę, a potrzebując przedewszystkiem poparcia przychylnych Zakonowi książąt Rzeszy, musiał tym względom poświęcić dobry z Polską stosunek. Jeśli jednak zważymy, jakich korzyści zrzekła się Polska, przyjmując jego sąd rozjemczy, nie dziwić się rozczarowaniu, nie dziwić się téj rozpaczy, któréj Jagiełło i Witołd na wieść o wyroku wrocławskim ulegli. Wyrok Zygmunta ustalał bowiem stan rzeczy, utworzony traktatem toruńskim z r. 1411, przyznając tylko Polsce wynagrodzenie pieniężne za wykroczenie Zakonu przeciw traktatowi a odrzucał bezwzględnie wszelkie żądania, z któremi Polska od tego czasu występowała, a na które w części nawet Krzyżacy godzili się w chwilach groźnego nacisku [23]).

Bądź co bądź, jasną było rzeczą, że polityka zewnętrzna Polski doznała ciężkiéj porażki, któréj winę przedewszystkiém przypisywano Jastrzębcowi. Stanowisko kanclerza, które w ostatnich czasach, za rządów zwłaszcza Jagiełły, wzniosło się było do nieznanéj przedtém wysokości, czyniło go istotnie w znacznéj części odpowiedzialnym za niepowodzenia polityki zewnętrznéj. Tutaj ważną rolę odgrywała nadto głęboka, nieprzejednana zawiść względem Jastrzębca, w rozległych kołach społeczności szlacheckiéj zdawna zakorzeniona. Stanowisko Jastrzębca było zatém zachwiane, a w najbliższym czasie miało się rozstrzygnąć czy kanclerz zdoła się utrzymać, czy upadłszy sromotnie, komu innemu będzie musiał miejsca ustąpić. W obec kwestyi husyckiéj, która przedewszystkiém była rzeczą polityki zewnętrznéj, miała zatém sprawa kanclerza niepoślednie zna-

czenie, a stąd nad nią, jak w ogóle nad stanowiskiem politycznem Jastrzębca należy nam się bliżéj zastanowić.

Jastrzębiec należał do tych wyjątkowych w ówczesnéj, możnowładczéj Polsce ludzi, którzy, z ubogiéj wyszedłszy szlachty, własnemi siłami przez świat się przebijając, dosięgli najwyższych dostojeństw w kościele i państwie. Tak mało mamy niestety wskazówek do uchwycenia charakterystyki najwybitniejszych nawet postaci z dziejów naszych owego czasu, że szukać ich musimy wyłącznie w luźnych nie dość wyrazistych rysach, przedstawiających się na tle niejasnéj często ogólnéj sytuacyi, musimy je zdobywać kombinacyami, opartemi zwykle tylko na rachunku prawdopodobieństwa. Jeśli jednak rozważymy okoliczności, wśród których Jastrzębiec wzniósł się do najwyższych w państwie stanowisk, zdamy sobie sprawę z jego postępowania, a nie zapomnimy o tém, jaki jedyny trwały pomnik po sobie zostawił, to prosty stąd wypadnie wniosek, że główną sprężyną w całéj jego roli dziejowéj była namiętna żądza karyery [21]). Dla człowieka, który z ubogiéj szlachty wyszedłszy, pragnął wspiąć się wysoko, jedyną drogą do karyery był stan duchowny. Jastrzębiec nie kusił się jednak o to, by w charakterze duchownym, gorliwym udziałem w ogólnych sprawach kościoła dojść do wybitnego w kościele stanowiska. Ambicya tego rodzaju byłaby go zapędziła w szeregi tego stronnictwa, które bolejąc nad smutnym losem kościoła w epoce wielkiéj schizmy zachodniéj, domagało się zjednoczenia a następnie reformy kościoła. Jastrzębiec jest dość obojętnym widzem w obec wszelkich usiłowań na polu unii i reformy; nie garnąc się do tych, którzy w Pizie i w Konstancyi tryumf swój święcą, a pomny stosunków, jakie go w czasie wyniesienia na biskupstwo poznańskie z „rzymskiém“ papiestwem łączyły, pozostaje snać na tém „zacofaném“ stanowisku nawet w czasie soboru pizańskiego

skoro go wówczas jeszcze Grzegorz XII legatem mianuje [25]). Czynny udział w ogólnych sprawach kościoła mógł być co najwięcéj niepewną jeszcze drogą do stanowiska w kościele; do bezpośrednich, materyalnych korzyści najpewniéj jednak wiodło stanowisko polityczne w państwie, do którego za szczebel miały właśnie posłużyć dostojeństwa kościelne, a Jastrzębiec czuł w sobie niepospolite uzdolnienie do odegrania politycznéj roli. Wzrósłszy w znaczenie w radzie królewskiéj jako biskup poznański w ciągu pierwszego dziesiątka XV wieku, niebawem po „wielkiéj wojnie“ krzyżackiéj wzbija się w górę i mianowany kanclerzem, staje u steru rządu. Nasuwa się pytanie, czemu to zawdzięczał Jastrzębiec? Parweniusz, zdawałoby się, nie mógł mieć tak silnego poparcia w gronie tych „patrycyuszów“, których opiece Jagiełło ulegał. Gdzież więc znalazł ten niezbędny w jego położeniu punkt oparcia?

Jastrzębiec oparł się na przeciwnym biegunie. Wpływ panów polskich równoważył się bowiem w Jagielle, zwłaszcza od czasów wielkiéj wojny, z przeważnym wpływem, który nań wywierał Witołd. W niektórych punktach schodziły się do pewnego przynajmniéj stopnia zamiary Witołda z dążnościami znacznéj części panów polskich i w takim razie współdziałanie tych dwóch najpotężniejszych czynników wytykało polityce państwa pewny, niezmienny kierunek, niwecząc wszelkie uboczne wpływy, które przeciw nim oddziaływać mogły. Często jednakże zasadnicza myśl programu politycznego Witołda była w stanowczéj sprzeczności z interesami możnowładztwa polskiego, a stąd Kiejstutowic dla zrównoważenia przeciwnego wpływu dbać musiał o to, by na najważniejszych stanowiskach w Polsce utrzymać ludzi przychylnych sobie i wspólnym interesem ich ze sobą związać. To więc zbliżyło Jastrzębca do Witołda. Łączył ich wspólny interes; Witołd pojmował, że Jastrzębiec może

mu być potrzebnym jako dygnitarz niepospolitych bezwątpienia zdolności a pełen ambicyi; biskup poznański, wiedziony żądzą karyery, potrzebował poparcia Witołda i spokojny był o przyszłość, skoro ją oparł na téj potężnéj dźwigni. Tym sposobem związał ze sobą wszystkich przyjaciół Witołda w Polsce, stanął na czele jego partyi i dopóki się na stanowisku kanclerza utrzymał, miał tę wielką zasługę, że nie dopuszczał zerwania solidarności między Witołdem a rządem polskim [26]).

Czémże zaś był Witołd, dokąd zmierzała jego myśl polityczna?

Ciężkie zaprawdę zadanie składał na swe barki syn Kiejstuta, przyjmując rządy Litwy. Olbrzymia budowa litewskiego państwa, pomimo ogromu swego w samych fundamentach i w głównych ścianach zagrożona ruiną, wsparta świeżo na sąsiednim gmachu Polski, wymagała umiejętnéj ręki genialnego architekty, by ostać się w nowych swego istnienia kolejach i sprostać swemu zadaniu. Niedość tu było choćby z największą energią zaprawiać w tym gmachu cegłą groźne wyłomy, któremi wdzierały się w głąb jego komnat wichry i zamiecie, wstrząsając całą budową w posadach. Genialny architekt pojmował to dobrze, że chroniąc jedną ręką powierzony swéj pieczy gmach od burz, które nad nim szalały, drugą jąć się musiał zasadniczego odbudowania niejednolitych ścian litewskiego państwa, pod jednym dachem z Polską połączonych.

Najgroźniéj wisiały nad Litwą zaborcze dążności Krzyżaków, które ją w imię wspólnéj obrony do łączności państwowéj z Polską przywiodły. W pierwszéj jednak chwili słabemi tylko siłami strzedz było można tego wyłomu i nie dozwalając mu się powiększać, należało wystawienie potężnéj w tém miejscu baszty odłożyć do stosowniejszéj pory, kiedy wzmocnione siły wewnętrzne państwa i bezpieczne

zaopatrzenie innych stron jego dozwolą na ostateczny z Krzyżakami obrachunek. Do tego zaś potrzeba było zająć się gorąco głównemi, żywotnemi zadaniami państwa na wschodzie. W tamtą stronę ciągnęła je jego istota, gdyż Litwa, to już raz przyznać należy, była firmą litewskiego państwa a treścią jego i istotą — Ruś. Po ciężkich czasach rozbicia i niewoli Rusi, po smutnych następstwach napadów tatarskich, przeważna część ziem ruskich na zachodzie weszła drogą podboju w skład litewskiego państwa. Ale nieubłaganém prawem historycznego rozwoju ludzkości, iż żywioł cywilizowany musi wziąć górę nad barbarzyństwem, zaborcza Litwa uległa podbitéj, wyższéj moralnie a nadto silniejszéj liczebnie Rusi; zruszczyła się dynastya i właściwa, etnograficzna Litwa była na drodze zruszczenia, a w obcém Wilnie utworzyło się zachodnie ognisko rozbitéj Rusi, kiedy na wschodzie Moskwa była drugiém ogniskiem. Rok 1386 stanął tymczasem zaporą w dalszym rozwoju tego dziejowego procesu; skoro władzca litewskiego państwa został królem katolickiéj, z Zachodem europejskim związanéj Polski, Litwa etnograficzna wyrwała się z objęć Rusi a chrystyanizacya katolicka usunęła z Wilna ów punkt ciężkości, który się tam dla Rusi zachodniéj utworzył.

Widoczną było rzeczą, że w obec tego wzmagać się będzie musiała siła atrakcyjna wschodniego ziem ruskich ogniska, Moskwy. Najbliższém zatém zadaniem było powściągnąć tę siłę, która w dalszym pomyślnym rozwoju miała jako główny, z góry wskazany cel: rozbicie litewskiego państwa. Przez poskromienie hordy tatarskiéj, głównego całéj Rusi wroga, otacza się aureolą bohatera narodowego i blaskiem swego imienia zastępuje litewskiemu państwu choć w części, choć na razie, ten ubytek siły atrakcyjnéj względem Rusi, który katolicka chrystyanizacya właściwéj Litwy spowodowała. Władca Moskwy, związany węzłem powi o-

wactwa z Witołdem, po wcieleniu Smoleńska do Litwy, widząc granice litewskiego państwa aż prawie pod mury swéj stolicy rozpostarte, ugiął się i przez czas jakiś przynajmniéj, przygnieciony przewagą Witołda, nie mógł być niebezpiecznym. Pozostawały Nowogród i Psków, te dwie wielkie rzeczypospolite handlowe, w których należało neutralizować wpływ Moskwy, torując sobie drogę do ich zagarnięcia. Lat kilkanaście wystarczyło Witołdowi do tego, że tak silnie stanął na wschodzie i póki przyświecał Litwie blask jego imienia, nie miał się czego obawiać od Moskwy. Teraz więc przyszedł czas, by się z Zakonem rozprawić. Olbrzymia potęga, którą Witołd zdołał w owéj chwili stanowczéj wraz z Polską rozwinąć, zgniotła Krzyżaków na miazgę pod Grunwaldem i przywiodła Zakon do takiéj ruiny, że aż sam Witołd musiał rękę wyciągnąć, by powstrzymać to dzieło zniszczenia. Za jego to bowiem stało się głównie sprawą, że Polska w „wielkiéj wojnie“ nie zgniotła Zakonu, a nawet nie odebrała ziem przed wiekiem zagarniętych. Stanowcza zagłada Zakonu byłaby Polskę podniosła do takiéj potęgi, że jéj Witołd dla swych widoków nie mógł dopuścić; niekorzystny natomiast dla niéj traktat toruński był zadatkiem nowych, nieustannych wojen, w których Polska będzie potrzebować Witołda, a tém samém w niejednym punkcie, gdzie się ścierały ich interesa, będzie zmuszoną mu ustąpić [27]).

Witołd cenił wysoko łączność polityczną Litwy z Polską, widząc w Polsce nietylko źródło sił odpornych przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, ale przedewszystkiem łącznik z Zachodem, do którego państwo jego przez Polskę dopiero miało wstęp otwarty. Bez Polski, mówi słusznie historyk niemiecki, stał Witołd w oczach Zachodu na równi z chanami tatarskimi, którzy się przed nim korzyli [28]). Ale nie o opinią Zachodu tu tylko chodziło. Litewski po-

tentat wschodni lgnął do zachodnio-europejskiéj cywilizacyi; w młodych latach, na wygnaniu w ziemi krzyżackiéj, w zetknięciu z kwiatem rycerstwa zachodniego, które pod sztandary Zakonu śpieszyło, otarł się syn Kiejstuta o świat zachodni, a nauczywszy się to cenić, czego ojczyźnie jego nie dostawało, pragnął zbliżyć się ze swém państwem do Zachodu i pełną dłonią czerpać z jego obfitych zasobów cywilizacyjnych. Rad więc ścieśniał węzły łączące Litwę z Polską, gdyż przez nią ojczyznę swą zbliżał o sto mil do Zachodu, wprowadzał ją w bezpośrednią styczność z głównemi jego ogniskami. Inaczéj jednak on sobie tę unią wyobrażał, a inaczéj polscy panowie i stąd wyradzała się nieunikniona sprzeczność interesów, w obec któréj dążności Witołda ścierały się nieraz ostro z dążnościami polskich dygnitarzy.

Polacy pragnęli bowiem unią wyzyskać wyłącznie na korzyść Polski i dla swych prywatnych interesów materyalnych. Nie pojmowali a w każdym razie nie chcieli uznawać litewskiego państwa w tém znaczeniu, jakie mu nadali Gedymin i jego synowie, a w jakiém nietylko utrzymać, ale i rozszerzyć pragnął je Witołd. Według ich zapatrywania, „Jagiełło, wstąpiwszy na tron polski, dla dobra wiary chrześciańskiéj i ziem swych litewskich, oddał je wraz z krajami im podległemi królestwu polskiemu na własność, wcielił je do niego i z niém połączył“ [29]). Z tém wszystkiém zanadto liczono się ze stosunkami, żeby Litwę za prowincyę polską uważać, przyznawano jéj na razie chętnie odrębność polityczną, nadając jéj zarazem polskie instytucye, które wraz z katolicyzmem miały dokonać niwelacyi litewskich stosunków z polskiemi i utorować drogę zlaniu się obydwóch państw w jedną całość; tymczasem Litwa, świeżo nawrócona i z pierwiastkowych stosunków wyrwana, pod protektoratem moralnéj przewagi Polski, miała jéj służyć jako od-

rębne, ale ściśle zespolone z nią państwo do podtrzymania i rozszerzenia jéj państwowéj potęgi na zewnątrz.

Wszelki jednak przywilej odrębności, wszelkie swobody z zaprowadzenia polskich instytucyj wynikające, dostawały się tylko właściwéj, katolickiéj Litwie; pierwiastek ruski, który przy wschodniéj wierze pozostał, miał być według tego programu od nich odsunięty, ziemie ruskie zamyślano traktować jako kraj podbity. Program ten ostatecznie sformułował się dopiero w czasach następnych, ale już od samego początku objawiało się w Polsce gorące pragnienie, żeby granice polskie posunąć daleko w głąb ruskich ziem Litwy, z Polską się stykających, to miał być najpierwszy, pożądany owoc unii litewskiéj. Kiedy Jagiełło na tron polski wstępował, już pół wieku mijało od zaboru Rusi Czerwonéj, wówczas właśnie po krótkiém oderwaniu na nowo ją wcielono do państwa polskiego. W ciągu zaś tego pół wieku powstały na rozległym obszarze żyznych ziem czerwonoruskich złotodajne latifundia panów małopolskich, główne źródło ich bogactwa a zarazem ważny czynnik w utrwaleniu się ich stanowiska w państwie. Nie dziw więc, że uśmiechała im się myśl przyłączenia żyzniejszych jeszcze ziem ruskich, na wschód z Rusią Czerwoną graniczących, Podola, Ukrainy, że i Wołyń, tradycyą dziejową związany z Rusią halicką, zagarnąć pragnęli. Sarkali wprawdzie na to, że Podole naddniestrzańskie dostało się Spytkowi z Melsztyna [30]), dalsze jednak losy téj ziemi obiecanéj wypadły już zupełnie po ich myśli, skoro po wczesnéj śmierci Spytka, po krótkich rządach Świdrygiełły, Jagiełło oddał zamki podolskie polskim starostom, a pod ich opieką otworzyło się na bujnéj ziemi naddniestrzańskiéj obfite pole kolonizacyi polskiéj i wzbogacania się małopolskich magnatów.

Nie tak pojmował unią Witołd, który dbając o jéj utrzymanie, nie myślał swéj ojczyzny czynić Polski służe-

bnicą, ani ziem ruskich rzucać na pastwę polskim magnatom. Na wschód mając wytężone oko, o nowych marząc na wschodzie zaborach, nie chciał syn Kiejstuta ani piędzi ziemi litewskiego państwa na zachodnich jego kresach ustąpić na korzyść Polski. Nie dozwalał mu tego honor narodowy, nie dozwalały względy polityczne, gdyż w ten sposób byłby się dopuścił jawnéj zdrady w obec ruskiego w państwie swém pierwiastku i zwichnął do szczętu stanowisko swe na Rusi. Jakoż skoro tylko wzrósł w siły, skoro po tryumfie grunwaldzkim innemi mógł do Jagiełły i panów polskich odzywać się słowy, ostro wystąpił z żądaniem zwrotu naddniestrzańskiego Podola, a jakiém brzemieniem ciężył wówczas głos jego na szali, najlepiéj to dowodzi, że Jagiełło, wbrew tak żywotnym panów polskich interesom, oddać mu musiał Podole [31]).

Był to najdrażliwszy, gdyż bezpośrednio z kwestyami praktycznemi łączący się punkt, na którym ostro ścierał się program Witołda z dążnościami polskiego możnowładztwa. Ale nie tu kończyła się sprzeczność tych interesów. Tylekroć wspominaliśmy, że Witołd inaczéj zupełnie niż polscy panowie unią pojmował, czas więc zaznaczyć, dokąd według tego wszystkiego, co się w tym względzie da zebrać, program jego zmierzał.

Nie dość to powiedzieć, że Witołd nie chciał oddać Litwy w służbę Polski. Jego ideałem było tak pokierować nawą państw zjednoczonych, żeby z nich utworzyć olbrzymią, polsko-litewską, a jeśli właściwy wyraz podłożymy, polsko-ruską, słowiańską monarchią. Trudno wybadać tajniki jego planów, ale to w każdym razie rzecz pewna, że w tem państwie wymarzoném nie byłby mógł pozostać ogniskiem Kraków, lecz położeniem geograficzném i łącznością interesów z wschodniemi państwa dzierżawami mogło niém być tylko Wilno. Punkt ciężkości téj monarchii byłby musiał

ustalić się na Litwie, ale na Litwie takiéj, jaką miéć ją pragnął Witołd, z pogańskiéj niedawno chrześciańską, przesiąkniętą wpływem Zachodu i wyniesioną przezeń do wyżyny cywilizacyjnéj zachodniego świata. Pojmował to jednak dobrze, że w drodze do tego celu stał mu żywioł ruski i kościół wschodni. Zanadto trzeźwo na świat spoglądał, żeby mógł myśleć o propagandzie katolickiej w ziemiach ruskich, gwałtownemi środkami prowadzonéj, o ujarzmieniu pierwiastku ruskiego. Przyjmując wprawdzie zasady unii horodelskiéj, zgodził się na pokrzywdzenie żywiołu ruskiego, na odsunięcie wyznawców greckiéj wiary od wszelkich przywilejów, ale to w planach jego miał być niezawodnie tylko środek chwilowy, stan przejściowy dla wzmocnienia zaszczepiającego się dopiéro w właściwéj Litwie pierwiastku zachodnio-europejskiego i katolicyzmu. Lekceważyć pierwiastku ruskiego nie mógł, gdyż w nim, w jego zespoleniu się z polskim pierwiastkiem widział przyszłość wymarzonéj monarchii. Cóż mu zatém pozostawało? Jedyną kotwicą zbawienia dla myśli jego przewodniéj mogła być tylko unia kościelna, jako środek wyrównania téj przepaści, która oba zespolić się mające pierwiastki dzieliła. Jeśli to była mrzonka, to usprawiedliwia ją ówczesne położenie obydwu kościołów. Wśród wielkiéj schizmy zachodniéj, wśród ciągłego domagania się reformy kościelnéj, do któréj po soborze pizańskim najbliższy sobór miał przystąpić, nawet na Zachodzie, w sferach niezwiązanych z tą sprawą bezpośrednim interesem, obudzało się pragnienie unii z kościołem wschodnim na podstawie wspólnéj reformy. Z samego ogniska wschodniego kościoła, z zagrożonego najazdem tureckim Konstantynopola, szły na Zachód poselstwa, odzywające się z gotowością zawarcia unii, by uzyskać poparcie zachodniej Europy przeciw wspólnemu wrogowi chrześciaństwa. Jeśli kiedy, to wówczas myśl unii kościelnéj miała najwię-

ksze widoki powodzenia. Jakże więc nie miał uchwycić się téj myśli Witołd, skoro unia kościelna, zdawało się, jednym zamachem obaliłaby zaporę, dzielącą te dwa słowiańskie pierwiastki, w jego monarchii zespolić się mające, torowałaby wpływowi cywilizacyjnemu Zachodu otwartą drogę aż do najdalszych na wschodzie państwa jego kresów i wymarzony przez genialnego władcę Litwy ideał ze sfery mrzonek przenosić zdawała się w rzeczywistość. Na gruncie unii kościelnéj stawał w myśli Witołda wspaniały gmach olbrzymiego państwa słowiańskiego, które przejmując się szybko dobroczynnym wpływem cywilizacyjnym Zachodu, rychło w marzeniach jego miało mu dorównać, aby następnie przewyższyć cały rozdrobniony świat zachodni niezrównaném bogactwem ziemi i pomyślnemi warunkami dalszego rozwoju [32]).

Unia kościelna była zatém celem, który w obec mającego się zebrać nowego soboru przyświecał Witołdowi jako niezbędny warunek urzeczywistnienia tych wielkich planów. Rzecz jasna, że do tego trzeba mu było zbliżyć się do tych sfer na Zachodzie, które w zwołaniu przyszłego soboru i w kierowaniu jego obradami miały wziąć inicyatywę. Niepodobna było szukać zetknięcia się z reprezentantami nauki kościelnéj, którzy w téj epoce wywalczyli sobie w najżywotniejszych sprawach kościoła głos decydujący; z dalekiéj Litwy trudno było dostrzedz ten czynnik i ocenić, trudniéj z nim się porozumiéć. Najłatwiejsza droga wiodła do porozumienia się z dwiema teoretycznemi głowami zachodniego chrześciaństwa, z papieżem i cesarzem; znaczenie ich zarówno wprawdzie było upadło, ale i papież i cesarz w każdym razie na przyszłym soborze ważną musieli odegrać rolę, a wreszcie jeśli przez kogo, to przez nich jedynie można było zająć reprezentantów kościoła zachodniego, na soborze zebrać się mających, sprawą unii

kościelnéj. Tylko że z papieżem trudno było traktować, stanowisko Jana XXIII bardzo chwiejne było jeszcze i niepewne, Grzegorz XII i Benedykt XIII nie ustępowali mimo anatematów pizańskich, i w ogóle bardzo prawdopodobną wydawało się rzeczą, że przyszły sobór dla ostatecznego pokonania upiora schizmy, wszystkich trzech papieży obali. Pozostawał tylko cesarz, a więc z dwóch reprezentantów władzy cesarskiéj w obec niedołęstwa i podkopanego zdawna stanowiska Wacława, tylko Zygmunt, który niedawno królem rzymskim obrany, dla utrwalenia swéj powagi gorliwie garnął się do spraw kościoła i do przyszłego soboru. Do niego więc należało się zbliżyć, z nim musiał Witołd ściślejsze zawiązać stosunki, jeśli pragnął kwestyą unii kościelnéj z pomyślnym skutkiem na porządku dziennym przyszłego soboru postawić.

W tej jednak właśnie chwili stał Zygmunt w rzędzie jawnych wrogów Polski i Litwy. Kiedy Jagiełło i Witołd gotowali się pod Grunwaldem do stanowczéj rozprawy z Zakonem, Zygmunt, sprzymierzeniec Krzyżaków, groził napadem na Polskę ze strony Węgier; po tryumfie grunwaldzkim, po pokoju toruńskim, najbliższém zadaniem było z nim także w podobny sposób zamknąć obrachunek. Jakoż przez cały rok 1411 i początek następnego roku trwają bardzo naprężone z Zygmuntem stosunki, co chwila wybuchem otwartéj wojny grożące, dwór polski zbliża się do wrogich Luxemburczykowi austryackich książąt z linii Leopoldyńskiéj i spowinowaca się z nimi wydaniem siostrzenicy Witołdowéj, mazowieckiéj Cymbarki, za Ernesta Żelaznego; nawet z Wenecyą toczą się układy o sojusz przeciw Zygmuntowi. Panowie polscy gorąco tego pragną, by przytrzéć Luxemburczykowi rogów, gdyż im wiadomo, że Zygmunt wchodząc z Zakonem w konszachty, myśli oderwać od Polski bogatą Ruś Czerwoną, do któréj korona węgierska

zdawna sobie rościła pretensye. Wśród tego wszystkiego toczą się z Węgrami układy o pokój, a że w nich przyszło do preliminarzy, na których podstawie niebawem stanął ścisły sojusz, czyż nie nasuwa się domysł, że to się stało za wpływem Witołda. Gdy bowiem w jesieni r. 1411 zbliżała się chwila zjazdu szramowickiego, na którym panowie polscy z poselstwem węgierskiém mieli rozpocząć rokowania o pokój, Witołd wybrał się także „na zjazd do Węgier“, mając w orszaku katolickiego biskupa wileńskiego i dziesięciu innych, a więc wschodniego kościoła biskupów[33]). Ten szczególny orszak jest najlepszym komentarzem do téj zagadkowéj podróży, o któréj przebiegu nie możemy się nic więcéj dowiedzieć; jeśli cała sytuacya usprawiedliwiałaby ten domysł, że Witołdowi w zbliżeniu się do Zygmunta chodziło o sprawę unii kościelnéj, to asystencya biskupów wschodniéj cerkwi posłuży do tém pewniejszego tych domysłów poparcia. Nie wiadomo, czy Witołd dotarł w téj podróży aż do Zygmunta, czy też go nieufność panów polskich w pół drogi wstrzymała, to tylko pewna, że ów biskup wileński, który z nim z Litwy wyruszył, wraz z Giedygołdem, zarządcą świéżo nabytego Podola, brali w układach szramowickich udział w imieniu swego pana i niezawodnie niemało się przyczynili do pomyślnego ułożenia preliminarzy. I to pewna, że niebawem rozpoczął Zygmunt za pośrednictwem poselstwa, w tajne instrukcye zaopatrzonego, jakieś „machinacye“ i konszachty z Witołdem, których słabe tylko echo do nas doszło, ale które bez wątpienia niemało wpłynęły na stanowisko Jagiełły w obec Zygmunta w roku następnym[34]). Zygmunt bowiem niemniéj pożądał pokoju z Polską, pragnąc być bezpiecznym z téj strony, by swobodnie ująć w swe ręce węzeł wielkiéj kwestyi kościelnéj, która wymagała zupełnego odwrócenia uwagi na Zachód. Skoro więc w Marcu 1412 r. na kongresie w Lu-

bowli zawarto wreszcie ów ścisły sojusz z Zygmuntem, który na kilka lat następnych wytknął kierunek zewnętrznéj polityce Polski, skorośmy stwierdzili, że w tém zbliżeniu się do Luxemburczyka Witołd miał najbliższy, żywotny interes, że sam na téj drodze pierwszy krok zrobił i w chwili, kiedy jeszcze na dworze polskim ważyła się kwestya przymierza lub wojny, tajne układy z Zygmuntem prowadził: możemy śmiało to uważać za rzecz pewną, że ów sojusz i oparta na nim w latach następnych polityka przychylna Zygmuntowi była dziełem Witołda.

Żeby więc w chwili stanowczéj zwrócić politykę Polski na te tory i daléj ją na nich utrzymać, potrzebował Witołd na urzędzie kanclerskim w Polsce człowieka, któryby szedł za jego myśli wskazówką. Jakoż właśnie w tym roku, w którym Witołd pod świeżém wrażeniem „wielkiéj wojny“ tak silne zająć zdołał stanowisko, że nawet wbrew najżywotniejszym panów polskich interesom odzyskał utracone Podole i wbrew tylu przeciwnym wpływom przywiódł do skutku sojusz z Zygmuntem, w tym samym roku otrzymał pieczęć kanclerską Jastrzębiec, a pierwszym aktem ważniejszym, na którym nowy kanclerz pieczęć przycisnął, był właśnie dokument przymierza lubowelskiego [35]). Jeśli następnie, przez cały czas przeważnego wpływu Witołda na politykę Polski Jastrzębiec utrzymuje się na tém stanowisku, mamy dość powodów, by go za kreaturę Witołda uważać. To zaś wytłómaczy nam jeden jeszcze fakt zagadkowy, który zaszedł w tym samym, pełnym wydarzeń roku i na całą przyszłość Jastrzębca wywarł wpływ przeważny. W kilka właśnie miesięcy po pokoju toruńskim zmarł Mikołaj Kurowski, arcybiskup gnieźnieński, a kapituła następcą jego obrała Jastrzębca. Król jednak wbrew żądaniom kapituły osadził na stolicy gnieźnieńskiéj podkanclerzego Mikołaja Trąbę, arcybiskupa halickiego, dla Jastrzębca inne

zachowując miejsce. W następnym bowiem roku strąca Jagiełło Piotra Wysza ze stolicy biskupiéj w Krakowie, starego powiernika i przyjaciela królowéj Jadwigi, usuwa go jako starca zniedołężniałego i przenosi na biskupstwo poznańskie, a następcą jego mianuje Jastrzębca [36]). Ten akt samowoli, który w rozległych kołach najnamiętniejsze wzbudził oburzenie, ten w dziejach polskich krok jedyny i bezprzykładny, tém się tylko da wytłómaczyć, że po za słabym Jagiełłą działał Witołd, któremu niemało na tém rozporządzeniu mogło zależeć. Czy usunięcie Trąby z urzędu podkanclerzego miało jakie głębsze polityczne znaczenie, o tém trudno sądzić, ale to pewna, że Witołd nie mógł Jastrzębcowi życzyć arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, skoro go sobie na organ swéj polityki obrał, gdyż pieczęci kanclerskiéj z godnością prymasa niepodobna było połączyć. Odkąd wreszcie punkt ciężkości Polski przeniósł się był stanowczo do Małopolski i Krakowa, stanowisko biskupa krakowskiego miało tak wybitne znaczenie polityczne, że Witołd, łącząc je wraz z pieczęcią kanclerską w ręku Jastrzębca, stwarzał mu dopiero grunt silny i pewny, na którym mógł z powodzeniem dla niego działać. Jastrzębiec zaś, mając w skutek tego aktu samowoli, który go wyniósł na biskupstwo krakowskie, nieprzejednanych wrogów we wszystkich krewnych i przyjaciołach starego Wysza, potrzebował tém bardziéj poparcia Witołda i tém więcéj był od niego zależny.

Jako organ polityki Witołda kieruje zatém Jastrzębiec w latach następnych dyplomacyą polską, pozostaje w kraju na straży interesów litewskiego księcia, gdy inni polscy biskupi na sobór do Konstancyi spieszą, z Zygmuntem bez przerwy jak najściślejsze utrzymuje stosunki i tym traktem ubitym doprowadza Polskę do niespodziewanéj katastrofy, do wrocławskiego wyroku. I Witołd wtedy spostrzegł, że

się omylił, a ogólne oburzenie na kierownika téj polityki, któréj wyrok wrocławski zawdzięczano, groziło mu upadkiem tego, kto u steru polityki polskiéj w jego interesie działał. Od losu więc, jaki teraz spotkać miał Jastrzębca, zawisłém było zarazem, czy w téj ważnéj chwili, w któréj w obec sprawy husyckiéj nowa dla dziejów Polski mogła się rozpocząć epoka, wraz z kanclerzem zdoła się utrzymać wpływ Witołda na ster polskiéj polityki zewnętrznéj.

Sprawa Jastrzębca wytoczyła się w Lipcu 1420 r. na zjeździe łęczyckim, który również miał powziąć uchwałę o kwestyi czeskiéj. W całéj rozległéj paranteli zmarłego Wysza panował wielki ruch, wszyscy zjeżdżali się tłumnie do Łęczycy, by patrzéć na upokorzenie kanclerza i zaspokoić od dawna żywioną żądzę zemsty. Spodziewali się tego tém bardziéj, że i król od pewnego czasu srodze był na Jastrzębca zagniewany. Na usilne bowiem prośby dogorywającéj królowéj, Elżbiety Pileckiéj, postanowił słaby Jagiełło nadać jéj synowi, Janowi z Pilczy, tytuł hrabiowski i z rozległych dóbr jego w okolicy Jarosławia wraz z przyległemi posiadłościami okolicznéj szlachty utworzyć udzielne hrabstwo jako lenno polskiéj korony. Już wygotowano w tym celu dyplom królewski, ale Jastrzębiec oparł się stanowczo i nie dał się skłonić do przyłożenia kanclerskiéj pieczęci. Nigdy nie był kanclerz przyjacielem królowéj Elżbiety, w zasadzie bez wątpienia sprzeciwiał się takim bezprzykładnym w dziejach korony polskiéj przywilejom, a nadto w chwili, gdy stanowisko jego było tak zachwiane, nie chciał współdziałaniem w tym niepopularnym akcie narażać sobie magnatów i szlachty, która tak wyjątkowém uprzywilejowaniem Pileckiego srodze byłaby się uczuła dotkniętą. Mimo to jednak nieprzyjaciele Jastrzębca, którzy niezawodnie w razie wydania przywileju najgłośniejszy byliby krzyk podnieśli, nie omieszkali korzystać ze sposobno-

ści, by rozjątrzać gniew króla, oporem kanclerza spowodowany [37]). Skończyło się wreszcie na tém, że w imieniu króla, w imieniu „pokrzywdzonéj polityką Jastrzębca korony polskiéj“ postanowiono mu na zjeździe łęczyckim proces wytoczyć. Rolę oskarzycieli przyjęli trzej podkomorzowie, krakowski Piotr Szafraniec z Pieskowéj Skały, sandomierski Bartosz z Charbinowic i łęczycki Wojciech Malski. Dwaj pierwsi z dawna spoglądali z zawiścią na kanclerza i jego politykę; Szafraniec miał rozległe włości na Podolu i sam był niegdyś starostą naddniestrzańskiéj ziemi; pan Bartosz zaś, krewniak Piotra z Charbinowic, ostatniego podolskiego starosty, także garnął się do tych, którzy utraty Podola przeboleć nie mogli. Wszyscy panowie, którzy w ciągu kilku lat ostatnich, w obec podtrzymywanéj przez Jastrzębca przewagi Witołda, nadaremnie silili się zrównoważyć wpływ litewskiego księcia, z niecierpliwością wyczekiwali chwili zemsty i zadośćuczynienia.

Z upoważnienia trzech oskarzycieli, lecz w imieniu króla i państwa, odczytał wielkorządca krakowski Klemens Wątróbka akt oskarżenia. „Tego na cię żałujemy od króla i ode wszéj korony pospólstwa“, były słowa tego aktu, „gdyż król jechał do Koszyc sejmować się z królem węgierskim z Sanoka, tegdy wszytcy panowie, którzyż byli tamo, przykazali rzekąc: aczby król węgierski którego zapisu żądał od naszego króla, abyście go niejedną stroną nieczynili przez wiedzenia panów wojewod a najmę (przynajmniéj) krakowskiego i sandomierskiego. Tuś ty jechał i odpisał jeś czterdzieści tysiąc kóp, coś je krzyżewnicy dawali na wojnie w Brodnicy, i inne granice królestwa, jakożeś nie miał uczynić i uszkodziłeś króla i wszytkę koronę pospólstwa“ [38]).

Ten akt oskarżenia, zarówno pód względem historycznym, jak i językowym ciekawy, dzieli się na dwie części.

Pierwsza część zawierała zarzut formalny, że Jastrzębiec przekroczył zakres władzy kanclerskiéj, tak jak go system rządów możnowładczych pojmował. Trudno zaprawdę spotkać się z równie charakterystyczną illustracyą tego systemu. Panowie, widać stąd jasno, mają pretensye do wszechwładnego opanowywania polityki zewnętrznéj, żadnego ważniejszego w niéj kroku nie chcą dopuścić bez przyzwolenia „panów wojewód“, a nie mogąc sami na kongresie koszyckim czuwać nad układami, wyznaczają ze swego grona dwóch zaufanych, Jana Tarnowskiego i Mikołaja Michałowskiego na stróżów króla i kanclerza z prawem założenia *veto* przeciw postanowieniom, którychby nie chcieli dopuścić. Znać tu dobrze, z jakiém niedowierzaniem wielka część magnatów spoglądała na ówczesny kierunek polityki polskiéj, oparty na ściśłém przymierzu z Zygmuntem. Trudno nam odsłonić mgłę, która w braku obfitszych wskazówek źródłowych i w skutek niejasnego przedstawienia rzeczy u Długosza zakrywa ugrupowanie stronnictw ówczesnych, tu jednak mamy niejakie wskazówki po temu, skoro w Tarnowskim, Michałowskim i oskarżycielach łęczyckich dopatrzéć się możemy wybitnych przeciwników polityki kanclerskiéj, gdy tymczasem Zbigniewa z Brzezia marszałka kor. i Wielkopolanina Janusza z Tuliszkowa, kasztelana kaliskiego [39]), których po wyroku wrocławskim jako współwinnych wraz z Jastrzębcem oskarżano, zaliczyć należy do jego przyjaciół politycznych. Widać również, co mimo potęgi magnatów i pretensyj ich do wszechwładztwa mógł zdziałać kanclerz za dni Jagiełły, jeżeli zdołał pomimo tak czujnéj kontroli prowadzić politykę na swoję rękę, łatwo stąd pojąć, jak Witołd musiał dbać o to, by na tém stanowisku organ swéj polityki utrzymać.

Tém większa jednak odpowiedzialność ciężyła w skutek tego na Jastrzębcu. Jakoż druga część aktu oskarżenia

zmierza wprost do tego, że kanclerz źle poprowadził politykę, nie wyzyskał korzyści, które same się nastręczały, i odpowiadać ma za szkody, które państwo przezeń poniosło. Biorąc za podstawę warunki pokoju, które przygnębiony Zakon w r. 1414 podczas „wojny głodowéj“ sam ofiarował, porównywa je oskarżenie z wyrokiem wrocławskim, jako rezultatem polityki kanclerza i wysnuwa stąd wniosek, że dzięki téj polityce Polska traci ziemię chełmińską, michałowską i 40.000 kóp groszy, gdyż wszystko to mogła posiąść przed sześciu laty [40]).

Dawno tłumiona zawziętość osobistych nieprzyjaciół i przeciwników politycznych Jastrzębca wybucha teraz z całą namiętnością; na czele krewniaków Wysza gardłuje zaciekle mąż synowicy zmarłego biskupa, Bartosz Włodkowicz z Wierzchosławic, przeciw upadającemu kanclerzowi, rozruch powstaje w sali sejmowéj, a magnaci, przewodniczący sądowi, opuszczają ją wśród ogólnego zamięszania. Na wieść o tém zrywa się brać szlachecka, z niecierpliwością wyczekująca w mieście, co panowie na zamku orzekną, wszyscy pędem biegną do wrót zamkowych, z pomocą dla swego stronnictwa, wrogowie i przyjaciele kanclerza. Na zamku popłoch, król umyka do swoich komnat, pod opiekę jego majestatu chronią się przy nim wylękli magnaci, na widok dążącéj ku zamkowi szlachty zamykają bramy, podnoszą mosty zwodzone. Tylko ta ostrożność, zapewnia nas pisarz współczesny, zapobiegła groźnemu krwi rozlewowi.

Ten exces ratuje Jastrzębca. Przeciwnicy kanclerza, skompromitowani skandalem, którego stali się przyczyną, przegrywają sprawę. Trudno wejrzéć w zakulisowe tych wypadków dzieje, ale to pewna, że pomiędzy panami, którzy w ogólnem zamięszaniu schronili się do komnat królewskich, rychło przyszło do porozumienia, sam Tarnowski wszelkich starań dokładał, żeby króla z kanclerzem pogo-

dzić. Skoro jednak skargę wytoczono w imieniu króla, niepodobna było pominąć jéj milczeniem, a Jastrzębiec nie mógł utrzymać się na urzędzie kanclerskim bez urzędowego uniewinnienia. Trudno zaś było w obec nieułagodzonego jeszcze wzburzenia umysłów prowadzić proces w ten sposób, jak go rozpoczęto. Nasunął się zatém nowy, praktyczny sposób załatwienia drażliwéj sprawy. Mikołaj Trąba powołał jako prymas sprawę biskupa krakowskiego przed forum duchowne, a przyzwawszy do asystencyi dwóch obecnych biskupów, poznańskiego i wrocławskiego, wraz z kilkoma doktorami teologii i prawa kanonicznego, kazał obwinionemu złożyć przysięgę według roty tak ułożonéj, że Jastrzębiec, omijając główne punkta aktu oskarżenia, mógł ją sumiennie zaprzysiądz. „To co mi dali winę panowie od króla i od korony pospólstwa“, brzmi ta rota przysięgi, „tegom wszego od pirwego do pośledniego praw, a inako tego zapisa albo kompromissam nie wydał, jedno jakom ji z minuty przed królem czedł*) i oprawił. Tako mi Bóg pomoży, matka Boża, święty krzyż i święca“. Nie odpierał zatém bynajmniéj właściwych zarzutów zawartych w akcie oskarżenia, a stwierdzał tylko po prostu przysięgą, że nie oszukał króla i nie wydał pod pieczęcią kanclerską innego aktu, tylko taki, na jaki król się był zgodził. Jest to stanowisko wprost przeciwne zapatrywaniu panów na kompetencyą korony w zakresie polityki zewnętrznéj, przyznające królowi wyłącznie decyzyą w jéj sprawach. Kto godził się na to stanowisko, ten musiał przyznać, że Jastrzębiec nie przekroczył zakresu władzy kanclerskiéj, skoro z woli króla wydał ów akt kompromisu. Pomijano tu zupełnie tę kwestyą, z czyjéj inicyatywy sąd rozjemczy w sprawie z Zakonem dostał się w ręce Zygmunta: Jastrzębiec zapewniał

*) Czytał.

tylko, że „z dobrą wiarą i z czystych pobudek“ udzielał królowi rad swoich „dla dobra państwa i korony“ [41]). To wystarczyło prymasowi do wydania wyroku uniewinniającego; Jastrzębiec utrzymał się, a król, który po niedawnéj śmierci Elżbiety coraz bardziéj w gniewie ostygał, łatwo się z nim pogodził. Nie mogło wprawdzie zajście łęczyckie przeminąć bez wpływu na stanowisko kanclerza, osłabiał je już sam nieszczęśliwy rezultat jego tyloletniéj polityki, ale bądź co bądź ster spraw zewnętrznych państwa w jego ręku pozostał.

Po burzach, spowodowanych sprawą Jastrzębca, zajął się zjazd łęczycki kwestyą czeską. Według Długosza, jedynego w tym względzie źródła, „uchwalono zgodnymi głosami, aby król z przyczyny odszczepieństwa w wierze, którém się znaczna liczba Czechów pokalała, i wszczynających się ustawicznie w ich kraju rozruchów, niemniéj z uwagi, że Czesi mieli w Zygmuncie, królu rzymskim i węgierskim, własnego króla i pana i z innych wielu powodów, nie przyjmował korony czeskiéj; na pozór jednak aby okazał chęć powolną, a posłom z Czech przybyć mającym wyraźnéj nie dawał odpowiedzi, a to dla tego, iżby Zygmunt król rzymski i węgierski, najgroźniejszy podówczas Polski nieprzyjaciel, niepokojony ciągłą obawą, nie targał się tak zuchwale na wyrządzanie krzywd i zniewag królestwu polskiemu“ [42]). Czy taka uchwała istotnie wówczas zapadła, trudno to w braku innych źródeł rozstrzygnąć, to tylko pewna, że program, którego Długosz był ślepym zwolennikiem, taki właśnie kierunek polityce polskiéj wytknąć zamierzał. Program ten wówczas był jeszcze w zawiązku, a twórcę jego w następnych dopiéro latach właśnie sprawa Husycka na szerszą widownię wyniosła. W każdym jednak razie uchwała, którą zjazd łęczycki powziął, nie miała bezpośredniego praktycznego znaczenia i nie mogła nawet

obudzać żywszego zajęcia, skoro to w Polsce wiadomém już być musiało, że ci panowie czescy, z których inicyatywy wyszły propozycye Wernera z Rankowa, w ostatnich właśnie czasach przeszli byli do obozu Zygmunta. Tylko jako wskazówka na przyszłość mogły postanowienia zjazdu łęczyckiego zaważyć na szali, gdyż w tym samym czasie, kiedy w Polsce toczyły się te obrady, w Pradze zapadła owa pamiętna, wspomniana już uchwała, żeby Jagiełłę na tron czeski uroczyście zawezwać. Ani Prażanie jednak o uchwałach łęczyckich, ani panowie polscy o zamiarach Prażan wiedzieć nie mogli.

Była to tylko pierwsza przygrywka do kwestyi czesko-polskiéj, która w następnych dopiéro miesiącach rozwinąć się miała. Odkąd Prażanie, jako właściwi przywódcy rewolucyi czeskiéj, myśl łączności z Polską podjęli, od téj chwili dopiéro otwarła się droga do poważnych rokowań, a Polska musiała powziąć postanowienie, czy zechce się związać z Czechami, czy ich życzenia odrzuci. Najbliższa przyszłość miała rozstrzygnąć, czy Polska poprzestanie na unii z państwem litewskiém, czy jeszcze i Czechy przyjmie w swoje objęcia. Była to kwestya dla obu zjednoczonych państw zarówno żywotna, a myśl „unii z Czechami“ musiała jako nowy czynnik wejść w sferę marzeń i zamysłów politycznych Witołda. Skoro tylko kwestya czesko-polska na otwarte morze polityki wypłynęła, jasną było rzeczą, że jeśli kto, to Witołd jéj ster uchwyci; łatwo nam więc ocenić, jaką doniosłość dla niéj miał zjazd łęczycki, skoro na urzędzie kanclerskim utrzymał Jastrzębca.

IV.

Poselstwo Hinka z Kolsztynu. — Zjazd niepołomicki r. 1420. — Drugie poselstwo Prażan. Witołd. — Unia z Czechami w obec programu politycznego Witołda. — Husytyzm i kościół wschodni. — Unia kościelna. — Witołd przyjmuje koronę czeską. — Zygmunt i Niemcy. — Jagiełło. — Zjazd lubelski r. 1421. — Stanowisko kościoła polskiego w obec Husytyzmu. — Statuta Trąby. — Zbigniew Oleśnicki. — Jego program polityczny. — Poselstwo Oleśnickiego i Tarnowskiego do Zygmunta. — Projekt Zygmunta. — Przelotne zwycięstwo Oleśnickiego. — Sprawa raciborska. — Poselstwo Zawiszy Czarnego. — Małżeństwo króla. — Zwycięstwo Witołda.

Lipcowe uchwały praskie rychło owoc wydały. Zaledwie zjazd łęczycki się ukończył, a król przybył do Wolborza, stanął przed nim Hynek z Kolsztynu, poseł czeski, ofiarując mu w imieniu narodu czeskiego koronę św. Wacława. W myśl uchwał zjazdu łęczyckiego należało mu dać odpowiedź wymijającą ze względu na stanowisko polityczne Zygmunta. Jagiełło odpowiedział, że „w rzeczy tak ważnéj i zawiłéj nie może nic postanowić bez naradzenia się z Witołdem, postara się zatém o to, by z nim odbyć zjazd w téj sprawie“. Nie można zaprzeczyć, że to był najłatwiejszy sposób odwleczenia stanowczéj odpowiedzi, jeśli jednak zważymy, że król właśnie pogodził się z Jastrzębcem, w wysunięciu Witołda dostrzeżemy rękę kanclerza. Jakoż Hynek nie wziął wcale odpowiedzi królewskiéj za prostą wymówkę, lecz pospieszył bez zwłoki na Litwę do Witołda.

W trzy miesiące późniéj odbył się w Niepołomicach jesienny zjazd dygnitarzy. Zjechali się tu na św. Marcin panowie świeccy i prałaci, przybył i król po dłuższym po-

bycie w Sandomierskiém, w Lubelskiém i na Rusi. Według Długosza otrzymało tu poselstwo czeskie stanowczą odpowiedź, że król woli poprzestać na polskiéj koronie a nie ma zamiaru sięgać po Czechy, herezyą skalane. Trudno w to jednak uwierzyć, skoro król nie odbył do tego czasu zapowiedzianéj narady z Witołdem, trudniéj jeszcze z tem pogodzić, że Czesi niezrażeni tą odpowiedzią, wyprawiają doń niebawem potém nowe, solenne poselstwo. Wątpliwa to zresztą rzecz jeszcze, która w obecnym stanie źródeł nie da się rozstrzygnąć, czy w ogóle poselstwo czeskie stawiło się na tym zjeździe [43]).

Nie ma jednak powodu nie wierzyć opowieści Długosza o toku narad, które się na zjeździe świętomarcińskim toczyły. Potwierdzono tu uchwałę łęczycką, biskupi nadto silną mieli przewagę, żeby mogli dopuścić połączenia Polski „z kacerskiém królestwem“ a w gronie panów świeckich zbyt szczupły był zastęp tych magnatów, którzy Husytom sprzyjali, nie było zresztą jeszcze nikogo, ktoby z energią podniósł sztandar łączności z Czechami i część przynajmniéj rady królewskiéj zdołał za sobą pociągnąć. Nęcące korzyści polityczne ustępowały na bok w obec interesów kościoła, z któremi znaczna część panów świeckich ściśle była związana, a jeśli w narodzie, w społeczności szlacheckiéj nie brak było sympatyi dla Husytów, to odgłos jéj słabo się odzywał w dygnitarskiém kole.

Dziwném zrządzeniem losu i tym razem, kiedy w Niepołomicach zjazd się odbywał, w Pradze toczyły się ważne narady. Właśnie powrócił był tam Hynek od Witołda, a przybył jeszcze na czas, żeby brać udział w walnéj bitwie pod Wyszehradem w dzień Wszystkich Świętych, w tym krwawym Zygmunta pogromie [44]). Klęska Luxemburczyka podniosła jeszcze powagę partyi umiarkowanéj, która w tym tryumfie główną miała zasługę; była więc

chwila stosowna, żeby to zwycięstwo moralne i materyalne uwieńczyć przyspieszeniem układów z Jagiełłą. Trudno odgadnąć, jakie wrażenie wywarła w Pradze relacya poselska Hynka, dość, że 14 Listopada postanowiono wysłać do Polski nowe, uroczyste poselstwo, złożone z kilku znamienitszych reprezentantów szlachty Husyckiéj i mieszczaństwa praskiego, pod przewodem Hynka z Kolsztyna. Równocześnie zatwierdzają umiarkowani utrakwiści przewagę swą uchwałami, które zmierzały do ukrócenia nieograniczonéj wolności w „głoszeniu słowa bożego“ i skrajnym doktrynom tamę miały położyć; wybrano komisyą z czterech magistrów złożoną, któréj zadaniem miała być ścisła cenzura w zakresie wszelkich nowych tez religijnych. Te uchwały musiały obudzić reakcyą wśród republikańskich i fanatycznych Taborytów: przyszło do groźnych zamieszek, Taboryci weszli do Pragi, a dysputy teologiczne, w których utrakwiści dla tém silniejszego zaznaczenia swego konserwatyzmu reformatorskiego, wykazali Taborytom w ich naukach 76 błędów heretyckich, nie mogły się przyczynić do wyrównania przepaści, dzielącéj obydwa obozy Husytyzmu. Utrzymała się jednak przewaga Prażan, zatargi te i zamieszki opóźniły tylko wysłanie uchwalonego poselstwa, które dopiéro w dzień Bożego Narodzenia 1420 r. mogło do Polski wyruszyć [45]).

Jagiełło przepędzał zimę na Litwie, w gościnie u Witołda; tam więc, na zamek worański podążyli czescy posłowie. Mimowoli nasuwa się domysł, że to stało się według planu z góry ułożonego poprzedniéj jesieni między Witołdem a Hynkiem. Stanowczą odpowiedź miał dać król aż po naradzie z Witołdem; cóż mogło być zatém dogodniejszą rzeczą dla Witołda, jak że poselstwo czeskie zgłosiło się po odpowiedź w téj chwili, kiedy Jagiełło u niego bawił i więcéj niż w Polsce jego wpływowi ulegał, kiedy łatwiéj

było przeciwne wpływy zneutralizować, a w ostatecznym razie śmiałym zwrotem całéj kwestyi czesko-polskiéj nowy zupełnie nadać kierunek.

Pierwsze już wieści bowiem o czeskich poselstwach obudzić musiały w Witołdzie gorącą sympatyą dla sprawy husyckiéj, tém gorętszą, że powiew przyjaznych uczuć czeskiego narodu rozżarzył w nim iskrę geniuszu, popiołem ciężkich zawodów przysypaną, i rozniecił z niéj w bujny płomień dawne marzenia i zamysły. Być może, że pierwszém uczuciem, które Witołda wówczas ogarnęło, była namiętna radość, że teraz przyszła chwila zemsty na Zygmuncie. Za ów „ryk boleści“, za owe „łez potoki“ [46]), które Kiejstutowic przelał na wieść o wyroku wrocławskim, wydrzéć teraz Zygmuntowi dziedziczną przodków koronę! Tak sromotnie wpaść w łapkę Luxemburczyka, tak wywieść się w pole, to dla Witołda było hańbą, która mu pewnie nie tylko téj nocy nie dała przespać, w któréj złowrogi zwiastun przybył z wieścią o wyroku wrocławskim. Natura tak dumna i gwałtowna łatwo wyszuka dla myśli, która namiętnéj żądzy zemsty ma dogodzić, odpowiednie miejsce w rozległym systemie swych marzeń i dążności politycznych, łatwo ją z celem życia swego pogodzi. Tutaj była to rzecz z natury swéj tém łatwiejsza, że kwestya czeska sama narzucała się na nowe ogniwo w łańcuchu dawnych jego zamysłów. Ująć ją zatém, silnie wpleść w ten łańcuch i skrępować nim rzeczywistość, to był w téj chwili cel pragnień Witołda.

Unia z Czechami wprowadza w system wymarzonego państwa Witołdowego nowy czynnik etnograficzny, z krwi i kości słowiański, który reakcyą przeciw niemczyźnie podnosi potęgę uczuć słowiańskich do nieznanéj dotychczas wysokości i w imię tych uczuć pragnie zbratania się ze słowiańskiemi żywiołami Polski i Litwy. Jeśli ojczyzna

Witołdowa przez unią z Polską zbliżyła się o sto mil do Zachodu, to związek z Czechami posuwał ją w tym kierunku o drugą mil setkę, w głąb samych Niemiec; przyszłe wielkie państwo słowiańskie stawało jedną stopą w samym środku Europy. Jeśli indywidualność czeskiego narodu, przesiąknięta na wskroś zachodnim wpływem niemieckiego świata, wytwarzała ową przepaść pomiędzy Polską a Czechami, to w programie politycznym Witołda była właśnie tym pożądanym, silniejszym niż Polska, czynnikiem cywilizacyi zachodniéj, który na cały obszar wymarzonego państwa, na wschodnią zwłaszcza jego połać, ożywczy wpływ miał rozlewać. Przyjąwszy wreszcie Czechy w system tego państwa, można było zamarzyć o stanowczéj przewadze nad Polską, którąby Czechy i Litwa w swoje ramiona ujęły.

Jakkolwiek bowiem Ruś litewska i Czechy, w głąb Niemiec usunięte, mogły się wydawać przeciwnemi biegunami słowiańskiego świata, to nie brak było jednak ważnych względów, które je wzajemnie zbliżały do siebie i zdolne były obudzić u jednéj i u drugiéj strony gorącą chęć ściślejszego zespolenia.

Przedewszystkiém nasuwa się tu ten wzgląd, który prałatów polskich tak odstręczał od czeskiego narodu, który w każdym razie utrudniał unią z Czechami, lecz w stosunku z Litwą, a zwłaszcza z Rusią litewską, mógł stać się owym węzłem sympatycznym, zbliżającym oba narody. Zarówno Husytyzm jak i kościół wschodni były w oczach katolickiego świata herezyą, a to było owym punktem stycznym, który je zbliżał do siebie pomimo tak znacznéj przepaści, jaka je dzieliła. Witołd dobrze pamiętał Hieronima z Pragi, tego bohatera i męczennika Husytyzmu, który przed siedmiu laty bawił u niego w gościnie. Zdążali wówczas razem do Witebska, z miasta na spotkanie książęcego orszaku wy-

ruszyły procesye obu wyznań, z katedry ruskie duchowieństwo, z klasztoru dominikańskiego katolicy. Hieronim natychmiast wmięszał się pomiędzy Rusinów, oddawał cześć ich relikwiom, głośno się odzywał, że „ich wiara jest prawdziwa“, a nawet, jak późniéj w Konstancyi twierdzono, nakłaniał Witołda, żeby porzuciwszy katolicyzm, do wschodniego kościoła przystąpił. Karcił go za to biskup wileński, ale druch Husa nie lękał się i w obec niego bronić wyższości wschodniego kościoła [47]). Wiedział wprawdzie Witołd, że Hieronima spalono na soborze, ale tém bardziéj musiała mu się teraz błąkać w wyobraźni postać męczennika Husytyzmu a obrońcy wschodniego kościoła. W ostatnich czasach komunia pod obiema postaciami, ta charakterystyczna cecha wschodniego rytuału, stała się głównym artykułem wiary, sztandarem i hasłem Husytów, a bardziéj jeszcze łudzącym punktem stycznym pomiędzy Husytyzmem i wschodnią cerkwią było prawo obywatelstwa języka narodowego w liturgii. Czuł to Witołd, że wschodnie wyznanie Rusi litewskiéj było tak silną zaporą w urzeczywistnieniu jego planów, w zespoleniu ruskiego pierwiastku z katolicką Polską i zachodnią cywilizacyą, a właśnie Husytyzm czeski, który w wyższym stopniu niż Polska był reprezentantem Zachodu, pod względem religijnym tak niespodziewanie zbliżał się do wschodniego kościoła.

Z tém wszystkiém zawiodłoby nas to na manowce, gdybyśmy sądzili, że Witołd zamalgamowaniem Husytyzmu z kościołem wschodnim zamierzał zdławić polski katolicyzm i dla wymarzonego swego państwa zbudować odrębny, narodowy fundament religijny. Byłaby to mglista, niepolityczna fantazya, któréj nie godzi się podsuwać Witołdowi, skoro żadne wyraźne skazówki nas do tego nie upoważniają. Przeciwnie, unia kościelna była zawsze jeszcze dla zamysłów Witołda jedyną kotwicą zbawienia, tylko że teraz, w nowéj

ich fazie, musiała prócz kościoła wschodniego i Husytyzm objąć.

Na pozór było to utrudnieniem i tak już ciężkiego zadania a los Husa i Husytyzmu na soborze konstancyjskim i krucyaty przeciw Czechom smutny horoskop stawiały planom unii kościelnéj, skoro jéj sprawa miała wejść w jakikolwiek związek ze sprawą husycką.

Witołd przewidywał jednak, że zacięta walka Husytyzmu z katolicyzmem zakończyć się musi kompromisem, mógł mylić się co do czasu, który jeszcze walka zabierze, ale przyszłość dowiodła, że w rzeczy saméj się nie omylił. Nikt zaś tak nie nadawał się na pośredników w téj sprawie jak Witołd i Jagiełło. Zasługi w nawróceniu Litwy i Żmudzi dodawały naleganiom ich powagi w obec kościoła i kuryi papieskiéj, a niebezpieczeństwo, że w razie oporu sami staną po stronie Husytyzmu i katolicką zdawna Polskę wraz z nowemi nabytkami na wschodzie rzucą w jego objęcia, mogło wywierać groźny nacisk, któryby nieugiętość kościoła pokonał. Husytyzm zresztą, wyzywając świat katolicki do walki, przypominał mu groźnie źródło, z którego wyszedł, nawoływał nieustannie do reformy kościelnéj, do rychłego zwołania nowego soboru, z którym dla unii kościelnéj nowe otwierały się widoki.

Sobór konstancyjski bowiem zawiódł nadzieje Witolda; podążyli nań wprawdzie biskupi ruscy z ziem litewskich z metropolitą Grzegorzem Zemblakiem na czele, ale wrócili z niesmakiem, a rychłe zamknięcie soboru po wyborze Marcina V odwlokło całą sprawę. Wszelkie nadzieje pokładano w przyszłym soborze, nawet Niemcy się odzywali, że gdyby papież nie był przerwał dzieła reformy, „byliby biskupi ruscy taką drogę znaleźli, żeby się z kościołem pojednać“ [45]). Tymczasem poselstwo dworu bizantyńskiego gorliwie krzątało się w Rzymie i w Polsce w sprawie unii kościelnéj;

umarł już był wprawdzie lub dogorywał metropolita Zemblak, niestrudzony apostoł unii na konstancyjskim soborze, ale gorliwi zwolennicy nie tracili nadziei, że „Bóg miłosierny ześle im w jego miejsce kogo innego, tak jak Abrahamowi zesłał w potrzebie jagnię na stos ofiarny“ [49]). Słowem, sprawa unii wcale nie poszła w zapomnienie, a załatwienie jéj pomyślne wraz z pojednaniem Husytów z kościołem zajaśniały w nowéj fazie pomysłów Witołda jako dwie gwiazdy przewodnie, które go do upragnionego celu miały doprowadzić. Nie dziw więc, że z zapałem pochwycił Witołd myśl unii z Czechami, że nie szczędził Hynkowi słów zachęty w czasie pierwszego poselstwa i wszelkich gotów był użyć środków, byle w téj sprawie na swojém postawić. Wiedział, że prałaci polscy wraz z przeważną częścią magnatów stawią opór projektom czeskim, ale i to mu tajném być nie mogło, że w społeczności szlacheckiéj nie brak było sympatyi dla Husytyzmu, a grunt dla wrogich kościołowi dążności dobrze był przygotowany. Partya Witołda mogła w téj sprawie liczyć na poparcie tych wszystkich, do których Husytyzm miał drogę utorowaną; wszystkie okoliczności pomyślnie się składały, tylko energii trzeba było i zręczności, któréj synowi Kiejstuta rzadko zabrakło.

Pierwszém jednak zadaniem Witołda było Jagiełłę dla sprawy czeskiéj pozyskać. Jagiełło dość miał rozumu, żeby uznawać olbrzymią wyższość Witołda, a wrodzona poczciwość i serdeczne braterskie uczucie strzegły go od tego, żeby z poczucia głębokiéj niższości nie wyrodziła się zazdrość. Wspomnienie smutnych zajść dawnych czas już był zupełnie załagodził, lojalne postępowanie Witolda, który w sobie samym i w swém państwie tyle miał warunków do wyniesienia się po nad brata, ścieśniało ten węzeł serdecznych uczuć braterskich, przyciągający Jagiełłę ku staremu druchowi. Jagiełło zresztą, z natury słaby i pozbawiony ducha

inicyatywy, potrzebował komuś ulegać i przywykł do tego w Polsce, a wyzwoliwszy się czasami na parę miesięcy z pod ciężkiéj opieki panów polskich wyjazdem do Litwy, tém chętniéj poddawał się tam wpływowi brata, którego serdecznie kochał. Z samym Jagiełłą zatém nietrudna była dla Witołda sprawa. Do Husytyzmu czuł wreszcie sam Jagiełło niejaki pociąg, myśl o czeskiéj koronie i o Husytach musiała wzbudzać w nim nieraz przelotną zachciankę wyzwolenia się z jarzma opieki panów duchownych. Ale mimo to wszystko Jagiełło nie mógł przyjąć ofiarowanéj mu korony, zgodne uchwały dwóch zjazdów przeszłorocznych krępowały mu ręce; pójść wbrew tym uchwałom i zdeptać w kwestyi zasadniczéj wolę panów polskich znaczyło tyle, co całą sprawę na szwank narazić: sam Witołd nie mógł Jagiełły do tego namawiać. Pozostawał więc tylko jeden środek, który nadto ambicyi Witołda schlebiał i składając całą sprawę w jego wyłącznie ręce, dawał mu jéj w pokierowaniu zupełną swobodę działania. Witold zatém sam postanawia przyjąć czeską koronę, pewny, że go Jagiełło poprze w trudném zadaniu, które na swe barki wkładał. Inna to bowiem rzecz jawnym zamachem stanu rzucić panom polskim rękawicę, a inna zupełnie, zręcznem wyzyskaniem środków, któremi Witołd mógł wpływać na stosunki polskie, związać politykę polską z swojéj polityki celem; była to zresztą przeważnie rzecz polityki zewnętrznéj, u jéj zaś steru stał w Polsce jeszcze zawsze Jastrzębiec.

W téj więc myśli pokierowano rokowaniami z poselstwem czeskiém na zamku worańskim. Jagiełło dał unii odmowną odpowną odpowiedź, ale wskazał Witołda, a Witołd przyjął koronę [50]). Był to zapewne skutek dawnych układów z Hinkiem, który już na listopadowych obradach w Pradze musiał sobie na ten wypadek jakieś instrukcye wyrobić; inaczéj nie mogliby posłowie na własną odpowiedzialność przedsię-

wziąć kroku tak stanowczego. Według Długosza miał Witołd zastrzedz się wyraźnie, że pod tym warunkiem przyjmuje koronę, jeśli Czesi na łono katolickiego kościoła powrócą. Długosz i z Witołda pragnie zdjąć hańbę jawnego sprzyjania herezyi, ale właśnie dla tego wymaga ta wiadomość ostrożnéj krytyki. Nam się wydaje, że Witołd tak ostrych żądań nie mógł wprost stawiać; nie wątpić jednak, że w pierwszéj zaraz chwili objawił im gorące życzenie, żeby się z kościołem pojednali i ofiarował się im na pośrednika, czego umiarkowana partya nigdy w zasadzie nie odrzucała [51]). Sprawa „unii“ Husyckiéj wymagała jednak dłuższych przygotowań, trzeba było wprzód porozumieć się z Husytami i z papiéżem: a na razie przedewszystkiém należało o tém pomyśléć, w jaki sposób objąć ofiarowane królestwa czeskiego rządy. Sam Witołd nie mógł do Czech pośpieszyć, tém mniéj osiedlić się tam stale, nie było więc innego środka, jak wysłać Czechom namiestnika, któryby w jego imieniu rządy sprawował. Na to stanowisko wybrał Witołd jednego z licznéj rzeszy książąt rodu Gedymina, Jagiełłowego synowca Zygmunta Korybutowica. Namiestnicze rządy Zygmunta miały ścieśnić węzły pomiędzy narodem czeskim a Gedymina dynastyą, a kto wié zresztą, czy Witołd nie miał w tém ukrytéj myśli, żeby w braku męskich potomków swoich i Jagiełły tą twardą szkołą politycznego życia utorować Korybutowi [52]) drogę do wyższych zadań i świetniejszéj roli dziejowéj. Pierwszą więc rzeczą było w ślad za czeskiém poselstwém wysłać do Pragi posła z podziękowaniem za koronę i z propozycyą co do namiestniczych rządów Zygmunta. Zadanie to dostało się Wyszkowi Raczyńskiemu, Polakowi z dworu Witołdowego, w udziale.

Łatwo pojąć z jaką niecierpliwością oczekiwali Prażanie wyniku rokowań worańskich. Nie mogąc doczekać się powrotu poselstwa, starali się przynajmniéj jakich wiado-

mości zasięgnąć, wyprawili zatém posłańca do Krakowa, do jakiegoś pana możnego, którego, jak stąd widać, ścisły węzeł sympatyi łączył z Husytami [53]). Odpowiedziano im, że posłowie czescy bawią jeszcze ciągle na Litwie, że ich tam król i Witołd dobrze przyjmują i w tych dniach dadzą im stanowczą odpowiedź. Tém większa radość zapanowała zatém w Pradze po przybyciu poselstwa i Wyszka Raczyńskiego. Na propozycyą Witolda względem namiestniczych rządów Korybutowica zgodzono się bez wszelkich zastrzeżeń. W podniosłym, pełnym namaszczenia liście do nowego króla oddają Czesi w głębokich wyrazach hołd monarchicznéj idei: „Król pokoju“, mówią, „niezbadanemi swemi wyrokami rozdzielając pomiędzy nienagannie rządzących ster téj machiny świata, porucza im rządy nad wszystkiemi ludami ustanawia monarchę jako namiestnika swego majestatu a gorliwego zarządcę swego państwa.“ Przystając na rządy namiestnicze, wymownemi wyrazy błagają Witołda, żeby sam swém przybyciem ich uszczęśliwił; aby zaś nowe królestwo jego godnie do tego przygotować, obiecują ład i porządek w niém przywrócić, obstają jednak niewzruszenie przy czterech artykułach praskich, jako swém wyznaniu wiary i tego porządku podstawie [54]). Niebawem zaś po wysłaniu tego listu, jak w roku poprzednim po uchwałach listopadowych, odbył się w Czerwcu 1421 r. sejm czasławski w celu zaprowadzenia ładu i porządku w Husyckim kościele. Nad tém zadaniem pracował w Lipcu w praskiem Carolinum wielki synod starszyzny duchownéj z obu obozów Husyckich, a jeśli w jego obradach tém jaskrawiéj uwydatniły się sprzeczne dążności Utrakwistów i Taborytów, to kto wié, czy najumiarkowańsi nie myśleli o tém, żeby skonsolidowaniem Husyckiego kościoła i pogromem skrajnych kierunków w myśl pragnień Witołda przygotować podstawę do unii [55]).

Tak odbył się ów idealny akt wstąpienia Witołda na tron czeski. Wiadomość o związkach jego z Husytami szybko po całym świecie gruchnęła, a zwłaszcza Zygmunta i Niemców przejęła strachem panicznym. Mimo klęsk dotychczas doznanych mógł się Zygmunt oddawać nadziejom, że Czesi, choćby jak bohaterskim, lecz odosobnionym oporem nie zdołają mu długo zaprzeczać praw do dziedzicznéj korony, jeśli ręka papiéża, pomoc krucyaty i zawiść świata niemieckiego ku słowiańskiéj w Czechach reakcyi nadal wspierać go będzie; skoro jednak Witołd wraz z Polską podjął się obrony czeskiego narodu, rzecz zaczynała być groźną. Niemcy, choć nieraz już przez Czechów na głowę pobici, uważali pogrom téj kacerskiéj garstki słowiańskiéj, która im się z rąk wyrywała, za kwestyą czasu, lecz odkąd unia się zawiązywała między Czechami a tą słowiańską potęgą, która światowy niemieckiemu pod Grunwaldem groźne wyrzekła *memento*i sprawa czeska zupełnie inne dla Niemiec przybiérać zaczęła rozmiary. Toż Czechy, to niezbędne ogniwo w systemie niemieckiego państwa, elektorstwo świętego rzymskiego imperium, miało zerwać węzeł polityczny z Niemcami i stanąć przeciw nim przednią strażą groźnéj słowiańskiéj potęgi, która jedném ramieniem dosięgłaby samego serca Niemiec. W przerażeniu piszą elektorowie niemieccy do Jagiełły a nie ośmielając się w obec samych pogłosek wyrzucać mu wprost związku z Husytami, w wymownych tylko słowach kréślą niebezpieczeństwo, jakie „wierze chrześcijańskiéj“ grożą od od kacerskiego Czechów narodu, i wzywają go do wspólnéj krucyaty [56]). Zygmunt, mniéj oględny a pomny dawnych z niektórymi panami polskimi stosunków, odzywa się wprost do nich ze skargą na konszachty ich króla z kacerzami, prosi, by go starali się opamiętać i, ze względu na honor narodu, odwieść od związków tak zgubnych [57]).

Jagiełło myślał teraz o tém, żeby z swéj strony w zewnętrznéj polityce poprzéć usiłowania Witołda i nowe jego stanowisko. Nie dziw, że w tym względzie był z nim w zgodzie Jastszębiec, zawsze gotów do obrony interesów Witołda. Kanclerz lgnął również w zasadzie do projektu unii politycznéj z Czechami, a skoro pojednanie ich z kościołem było jednym z głównych punktów Witołdowego programu, nie wzdragało się przeciw niemu sumienie biskupa. Tylko ze swego stanowiska jako biskup kładł Jastrzębiec na ten punkt tém większy nacisk, skoro zaś myśl wszelkiego kompromisu jest z natury dość elastyczną, wyobrażał go sobie może cokolwiek inaczéj, niż Witołd, jako prosty powrót Husytów na łono kościoła. Widać to z ówczesnych listów Jagiełły do Czechów, które zapewne wyszły z pod pióra samego kanclerza [58]). „Nie trwajcie“, są to słowa jednego z tych listów, „przy objaśnieniach i dowodach pisma świętego utworu waszych mistrzów, lecz powróćcie do nauk św. soboru konstancyjskiego. Tam bowiem wśród starszyzny całego świata chrześcijańskiego, tak świeckiéj jak i duchownéj, sprawa ta uległa takiemu rozstrząśnieniu, iż nie godzi się już dziś powątpiewać o prawdzie.“ W téj myśli wysłał Jagiełło z tém pismem w poselstwie do Czechów Siestrzeńca, żeby według danéj instrukcyi w tym kierunku działał. Nie tu jednak była droga do tych usług, które Jagiełło w sprawie czeskiéj miał oddać Witołdowi. Czesi stali pod bronią, przygotowywano się do nowéj na nich krucyaty, należało więc energicznie rozwinąć akcyą dyplomatyczną, żeby wymierzony na nich oręż zagłady powściągnąć. Nadto, czy Witołd, czy Jagiełło czeską koronę przyjmował, zawsze to wiodło do unii Czech z państwem polsko-litewskiém. Każdy krok, któryby w tak ważnéj dla narodu sprawie przedsięwzięto, musiał ulegać kontroli panów świeckich i duchownych; wkrótce zaś miał się odbyć zjazd panów, chodziło więc o to,

żeby uzyskać na nim przychylniejsze dla Czechów niż na dwóch poprzednich zjazdach uchwały.

Już sama obecność Witołda na zjeździe, który na dzień Wniebowzięcia N. Panny zwołano do Lublina, mogła w tym względzie korzystny wpływ wywrzeć na zgromadzonych. Łatwiéj było zorganizować w takim razie jego partyą, wlać w nią ducha, wciągnąć do niej w imię sympatyj Husyckich nowe żywioły. Nie tajną to zresztą było rzeczą, że sympatye w ciągu całorocznych rokowań z Czechami żywo rozbudziły się w narodzie. W miesiąc niespełna po zjeździe lubelskim, kiedy książę Raciborski pojmał posłów czeskich, dążących do Polski, ogólne oburzenie odezwało się w całéj Polsce i na Litwie, a brać szlachecka głośno się odgrażała: „czy król zechce, czy nie zechce, my ich wyrwiemy z niewoli; cóż to, owe książątko myśli rozerwać unią już zawiązaną z braćmi naszymi Czechami“ [59]). Słowem, z góry można było przewidzieć, że uchwały zjazdu lubelskiego inaczéj wypadną, niż w przeszłym roku w Łęczycy i Niepołomicach.

Odpowiedziano tu posłom czeskim, że król Zygmunt, prawowity dziedzic królestwa czeskiego, dość ma dwóch królestw, węgierskiego i niemieckiego, można go będzie zatém skłonić, żeby z czeskiego ustąpił. Jagiełło i Witołd będą się o to starali, a wtedy Czesi będą mieli zupełną swobodę w rozporządzeniu koroną swego królestwa. Witołd zaś czy Jagiełło chętnie ją z rąk ich przyjmie. Nadto obydwaj władcy Polski i Litwy dokładać będą wszelkich starań, żeby ich z kościołem pojednać [60]). Trudno sądzić, żeby zjazd lubelski istotnie oddawał się tak naiwnym złudzeniom co do gotowości Zygmunta do ustąpienia korony. Jasną jednak było rzeczą, że czego się nie czyni w skutek rokoszu własnych poddanych, do tego może zmusić niechętnego stanowczy nacisk takiéj potęgi, jaką była Polska i Litwa. Bądź co bądź, akcyą dyplomatyczną w sprawie czeskiéj należało

rozpocząć negocyacyami z Zygmuntem i w tym celu uchwalono wyprawić doń poselstwo z tą delikatną misyą dyplomatyczną. W wyborze posłów objawił się jednak widocznie wpływ przeszłorocznych zajść na zjeździe łęczyckim. Kanclerz, którego polityka w obec Zygmunta doznała tak ciężkich zarzutów, nie wydawał się odpowiednim kandydatem do odprawienia tego poselstwa. Powierzono je Janowi Tarnowskiemu, wojewodzie krakowskiemu, któremu przed dwoma laty oddana była kontrola nad kanclerzem, i obok niego Zbigniewowi Oleśnickiemu. Zbigniew, protonotaryusz kancelaryi królewskiéj, miał w téj właśnie misyi odbyć dopiero chrzest w zawodzie dyplomatycznym, w poprzednim już roku jednak śmiałém wystąpieniem w obec Zygmunta po wyroku wrocławskim zwrócił na siebie ogólną uwagę.

Zanim jednak podążymy za tymi posłami na dwór Luxemburczyka, musimy zająć się jedném jeszcze pytaniem, bez rozwiązania którego cała akcya dyplomatyczna posłów lubelskiego zjazdu nie byłaby zrozumiałą. Nie potrąciliśmy bowiem jeszcze o to pytanie, jakich środków zaradczych jął się kościół polski w obec niebezpieczeństwa, którém mu te urzędowe, tak bliskie stosunki Polski z Husytyzmem groziły. Stwierdziliśmy już poprzednio, że w społeczności szlacheckiéj grunt do przyjęcia posiewu nauk Husyckich zdawna dobrze był przygotowany, jeszcze podczas soboru konstancyjskiego głośno było o tém w Europie, że w całéj Polsce nie brak tajnych zwolenników nauki praskiego magistra, a w obec rozpoczętych rokowań o unią w tak wybitny sposób objawiły się manifestacye ogólnych sympatyj Husyckich. Powtórzyć nam zatém raz jeszcze, że trzeba było wytężonéj czujności duchowieństwa, aby w obec tego wszystkiego widmo Husytyzmu od Polski zażegnać.

Jakoż nie można przywódcom duchowieństwa czynić zarzutu, jakoby zasypiali sprawy. Episkopat polski a przy-

najmniéj jedna część jego, głębiéj pojmując zadanie chwili obecnéj, pracowała od dawna nad tém, żeby wyplenić robaka toczącego stosunki kościelne, usunąć źródło, z którego wyszedł Husytyzm, z którego zarazem przez opozycyą przeciw nadużyciom kościoła wyrodziły się w Polsce owe sympatye Husyckie. Dość tu przypomnieć gorliwy udział polskich biskupów w pracach przygotowawczych do wielkiego dzieła reformy kościelnéj na soborze konstancyjskim. Andrzéj Laskarys, biskup poznański, ów gorący zelota ówczesnego koncyliaryzmu, przechylał się nawet ku radykalnemu kierunkowi w obozie reformatorskim, z jego to ust usłyszała reprezentacya chrześciańskiego świata owę słynną uchwałę, stawiającą stanowczo zasadę wyższości soboru nad papieżem. Bardziéj konserwatywnym dążnościom hołdował sędziwy prymas. Mikołaj Trąba nie tylko do prac soboru gorliwie rękę przykładał, ale i dawniéj już miał myśl w tym kierunku wytężoną, żeby zarazem w skromniejszym zakresie partykularnogo ustawodawstwa kościelnego, o ile to było możliwém, usunąć braki i nadużycia, podkopujące organizm polskiego kościoła. W tym celu wyrobił sobie jeszcze u Jana XXIII przyzwalającą bulę, a po obaleniu tego papiéża postarał się o jéj potwierdzenie u Marcina V. Dawne bowiem statuta i uchwały synodów polskich dziś już nie wystarczały, niejedna rzecz przeżyła się i poszła w zapomnienie, a ustawy, które wyszły z zastosowania, obudzały lekceważenie innych ustanowień kościelnych; nie wiedziano dobrze, co zakazane, a co dozwolone, karność kościelna się rozprzęgła. Praca nad tym przedmiotem posunęła się w r. 1420 tak daleko, że w czasie przybycia pierwszych poselstw czeskich episkopat polski mógł na synodach w Wieluniu i Kaliszu do uchwalenia słynnych statutów Trąby przystąpić. Kościół polski nie abdykuje w nich ze zdobytego długą walką stanowiska politycznego, w sprawach nawet tak drażliwych, jak sprawa dziesięcin,

ściśle i niezłomnie formułuje swoje, tak wstrętne szlachcie żądania; ale zarazem gorliwie stara się wyplenić te nadużycia, które szlachtę w przepaść rozpaczy wtrącały, karnością kościelną powściągnąć zepsucie duchowieństwa, które religią podawało w poniewierkę i lekceważenia stanu duchownego było przyczyną. Osobny rozdział obmyśla wreszcie środki zaradcze przeciw herezyi Husyckiéj. Uchwała synodu wprowadza rozległy system denuncyacyi, całe duchowieństwo ma gorliwie śledzić zwolenników husyckiéj nauki i podawać ich władzy kościelnéj, w tym samym kierunku mają działać wizytatorowie biskupi, reszta zadania spada na sądy duchowne. Ścisła kontrola ma być rozciągnięta nad szkołami duchownemi, żeby z nich wypchnąć tych, którzy się już zarazili nauką Husycką, i wszelkie zetknięcie się szkół z powiewem Husytyzmu usunąć. Co najważniejsza wreszcie, należy dbać o to, żeby zwolenników Husytyzmu nie tylko denuncyonowano, ale pojmanych dostawiono sądom duchownym, do tego zaś potrzeba było pomocy „ramienia świeckiéj władzy“, to przedewszystkiém mieli biskupi wpływem swym u króla wyjednać [61]).

Takie uchwały jednak nie mogły wystarczyć. O ten ostatni punkt rozbijały się wszelkie usiłowania. Jeśli rząd prowadził z Czechami rokowania o unią, choćby z myślą przewodnią pojednania ich z kościołem, nie mógł ze względów politycznych występować ostro przeciw Husytom w Polsce, a przygotowująca się „unia polityczna“ z Czechami ułatwiała z nimi stosunki i posuwała zalew powodzi Husyckiéj, rozszerzającéj się wśród społeczeństwa polskiego. Interes kościoła polskiego wymagał, żeby zerwać stanowczo z Czechami, murem chińskim się od nich oddzielić, a w miejsce programu unii czeskiéj postawić nowy program, rokujący korzyści polityczne, któreby, wprost do serca narodu trafiając, zdołały go skupić około tego nowego sztandaru. Na to

jednak nie stać było ówczesnych najznakomitszych nawet polskich biskupów. Prymas był na to za stary i nie miał w tym względzie dość ducha inicyatywy; biskup poznański, zatopiony w ideach koncyliaryzmu *), nie był politycznym człowiekiem; Jastrzębiec jako kanclerz popierał wprost myśl unii z Czechami. Kościół polski wydał jednak w téj stanowczéj dla siebie chwili takiego człowieka, a był nim ów młody poseł lubelskiego zjazdu na dwór Zygmunta, Zbigniew Oleśnicki.

Zbigniew pochodził z rodu, który nie liczył się jeszcze wówczas do przedniejszéj arystokracyi, ale już szczycił się kilkoma dygnitarzami. Sam ojciec Zbigniewa czynny brał udział w życiu publiczném, a mając w kilka lat po wstąpieniu Jagiełły na tron oddaną sobie obronę Wilna i Litwy przeciw Krzyżakom i sprzymierzonym z nimi wówczas Witołdem, niepospolite oddał królowi i państwu usługi. Zbigniew już pod Grunwaldem zdobył sobie wdzięczność Jagiełły, a stąd i dla zasług ojca łaska królewska nie opuszczała go od lat młodzieńczych. Oddany stanowi duchownemu, wszedł do kancelaryi królewskiéj, dobił się w niéj pod kierunkiem Jastrzębca stanowiska protonotaryusza i przebył formalną szkołę dyplomatyczną, mając w referacie najważniejszy wydział kancelaryi, sprawy krzyżackie [62]). Względy króla i kanclerza, biskupa dyecezyi, opłacały mu się sowicie i wyniosły go w młodym wieku na godność proboszcza kollegiaty św. Floryana, która zwykle stanowiła szczebel do wysokich w kościele polskim dostojeństw. Słowem, w normalnym biegu

*) Wiem dobrze, że ten wyraz nie jest w polskim języku utarty. Skoro jednak łacińskie jego pochodzenie wyrobiło mu prawo obywatelstwa w obcych językach a trudno wynaleść inny wyraz na oznaczenie systemu dążności wielkich soborów XV wieku, nie wahałem się go używać.

rzeczy otwierała mu się świetna karyera, on zaś rwał się do niéj z młodzieńczą namiętnością, niepohamowana ambicya parła go naprzód, a iskra geniuszu, którą czuł w sobie, podawała mu środki do wydobycia się na wierzch nagłym, gwałtownym porywem. Już na pierwszą wieść o wyroku wrocławskim, kiedy Jagiełło i Witołd pogrążeni byli w rozpaczy, a Jastrzębiec bawił daleko na owém nieszczęsném poselstwie w Wrocławiu, Zbigniew skorzystał z chwili, ofiarował się na posła do Zygmunta i śmiałém, porywczém rzuceniem rękawicy ogólną na siebie zwrócił uwagę [63]).

Gorąca wiara, żarliwa dbałość o dobro kościoła i równie gorąca miłość ojczyzny, to były główne składniki téj potężnéj indywidualności. W całéj roli jego dziejowéj czuć to dobrze, że Zbigniew dojrzewał w epoce tryumfów idei kościelnéj i koncyliaryzmu na soborze konstancyjskim. On nie brał w nim udziału, za młody jeszcze do tego, pracował wówczas w kancelaryi królewskiéj, ale potężna intcligencya Zbigniewa przesiąkła na wskróś temi ideami, nie rzucając się w objęcia skrajnego kierunku. Nic śmieszniejszego, jak mienić Zbigniewa papistą, co tendencyjne pióra już nieraz usiłowały. Wszak to on późniéj, będąc u szczytu potęgi, wraz z akademią krakowską, któréj był kanclerzem, stanął silnie przy bazylejskim soborze; kiedy zaś sobór stanowczo zerwał z papiéżem, głęboka rozwaga i zmysł polityczny nie dozwoliły mu pójść na oślep za skrajną dążnością koncyliaryzmu, lecz za jego to głównie stało się sprawą, że Polska przez czas tak długi zachowywała neutralność pomiędzy soborem a papiéżem, z objawami widocznéj dla soboru sympatyi. Cechuje go ta właściwa gorącym zwolennikom reformy kościelnéj, podniosła żarliwość o dobro mającego się zreformować kościoła, ta żelazna, nieugięta stałość w rzeczach wiary i dogmatu. Jak Gerson lub d'Ailly nie dopuszcza Zbigniew najmniejszéj wątpliwości o dogmatach kościelnych, jak

oni zawziętą pała nienawiścią ku wszelkiemu w rzeczach wiary buntowi, ku herezyi a przedewszystém ku Husyckiéj nauce. Mąż tych przekonań, co Zbigniew, z zasady nie zna kompromisu, gdyż wszelki kompromis podkopuje fundament wiary, osłabia powagę kościoła. Zbigniew widzi to dobrze, że pod skrzydłami pojednawczych usiłowań zaraza herezyi tém szersze dla zalewu Polski wyżłabia sobie koryto. Jedna więc tylko myśl mu przyświeca, stanowisko ściśle odporne względem kacerskich Czechów. Wszelką korzyść polityczna na bok tu ustępuje, gdzie nad wiarą samą i w najświętszych rzeczach wiary tak groźne nad narodem zawisło niebezpieczeństwo.

Tak myślał ksiądz. Polityk jednak musiał nowe korzyści polityczne wyszukać, któremiby Polskę można odwieść od unii czeskiéj, patryota pragnął wyzyskać zawiłą sytuacyą dla dobra narodu i państwa. Widział zaś Zbigniew, jaki strach paniczny ogarnął Zygmunta na wieść o unii Polski z Czechami, czytał zapewne wylękłe listy jego do panów polskich, a pojmował to dobrze, że ostatni Luxemburczyk wszystko raczéj poświęci, niżli dziedziczną rodu Luxemburskiego koronę. Z tego trzeba było korzystać w najżywotniejszéj dla Polski sprawie krzyżackiéj. Ze wspomnień kancelaryjnych odgrzebał Zbigniew ów tajny układ z r. 1412, w którym Zygmunt dla obałamucenia Jagiełły zobowiązał się do wspólnéj akcyi wojennéj wymierzonéj na zagładę Zakonu: obaj mieli po dokonaniu dzieła rozebrać między siebie pruskie kraje, dawne zaś polskie ziemie miały do korony powrócić. Teraz należało przypomnieć Zygmuntowi ten układ i spróbować, czy pod naciskiem polsko-czeskiéj unii nie będzie musiał do tego projektu powrócić. Znane matactwa Luxemburczyka wymagały jednak pewniejszych rękojmii, niż gołe słowa lub martwe pergaminy, i o nich więc Zbigniew pomyślał. Oto ze wszystkich krajów czeskiéj ko-

rony w pewném jedynie posiadaniu miał Zygmunt Śląsk, niezłomnie katolicyzmowi wierny, tę starą Piastów dzielnicę, również za Kazimierza czasów wraz z Pomorzem stanowczo od Polski oderwaną, o której zwrot już z Wacławem toczyły się rokowania. Niech więc odda Polsce Śląsk w zastaw, dopóki rozbiór państwa krzyżackiego do skutku nie przyjdzie; jeśli, jak to tylekroć zrobił, skrewi w sprawie krzyżackiéj, to Śląsk przynajmniéj przy Polsce zostanie.

Taki plan katolickiéj a utylitarnéj polityki usnuł Zbigniew. Nie czas było jednak wystąpić z nim na lubelskim zjeździe, gdzie go partya Witołdowa w kolebce mogła pogrzebać; taki plan mając, należało już z gotowym wystąpić rezultatem, żeby wbrew przeciwnym prądom porwać wszystkich za sobą. Oleśnicki, jako poseł polski, udaje się z nim wprost do Zygmunta, zjednawszy snać wprzód dla téj myśli wspólnika poselstwa.

Posłowie polscy zastają Zygmunta na Węgrzech, w Tyrnawie. Żeby się nie sprzeniewierzyć zupełnie właściwéj instrukcyi poselskiéj, oznajmiają mu najpiérw, że Jagiełło zamierza pracować nad pojednaniem Czechów z kościołem. Skoro zaś, jak można było przewidzieć, wszelkie mięszanie się Jagiełły w sprawy czeskie nie mogło się Zygmuntow podobać, wyłuszczają dopiéro plan Oleśnickiego. Zygmunt nie mógł go również przyjąć. Jako król niemiecki, potrzebujący pomocy Niemców do walki z Czechami, nie mógł podpisać wyroku śmierci na Zakon Niemiecki. Ale zarówno niezbędną koniecznością było teraz dla niego pojednać się z Jagiełłą i Witołdem, choćby jaką ofiarą okupić sojusz z nimi, odwrócić ich od unii czeskiej. Nasuwa mu się zatém myśl tak ulubionéj wówczas polityki matrymonialnéj. Ofiaruje owdowiałemu Jagielle rękę swéj jedynéj córki, dziedziczki nie Śląska tylko, ale wszystkich trzech swych koron, z właściwym sobie cynizmem zapewnia posłów, że już dzieci mieć

nie będzie i pozwala im nawet zapytać się o to swéj małżonki. Gdyby jednak małżeństwo zgrzybiałego Jagiełły z dziecięciem Luxemburskiém nie wydało się właściwym projektem, to jeśli posłom polskim o Śląsk chodziło, miał płodny w pomysły Zygmunt inny plan w zanadrzu. Ofiarował Jagielle młodą wdowę po swym bracie Wacławie, a w posagu Śląsk jéj przeznaczał; frymarka krajami była u Luxemburczyka pospolitą rzeczą [64]). Oleśnicki więc dopiął celu, miał już cenną korzyść polityczną w zamian za unią z Czechami i z tą zdobyczą pospieszył do Polski, na świętomarciński zjazd w Niepołomicach. Tutaj projekt pozyskania śląskiéj krainy olśnił wszystkich i odniósł stanowcze zwycięstwo, Witołda nie było, partya jego nie mogła wywrzéć dość silnego nacisku i zapadła uchwała, żeby w myśl programu Oleśnickiego wysłać do Zygmunta w poselstwie Zawiszę Czarnego dla ukończenia rokowań, w dziewosłęby do królowéj Offki [65]). Zbigniew odetchnął swobodniéj i mógł ten dzień nazwać szczęśliwym.

Tymczasem zaszedł fakt, który w rozpoczętych rokowaniach z Zygmuntem obudził pewien ton fałszywy, wcale niepożądany dla twórców nowéj polityki. 4 Września uchwalono w Pradze wysłać nowe poselstwo do Polski; czas naglił, lada chwila miała spaść na Czechy nowa krucyata, nie dziw więc, że po decyzyi Witołda i odpowiedzi lubelskiéj pragnęli Czesi sprawę unii przyspieszyć. Jakoż niezwłocznie wyruszyło poselstwo z Pragi w towarzystwie kilku Polaków, domowników Witołda; licząc na osłonę jego powagi, bez obawy przejeżdżało przez ziemie śląskich książąt, lecz oto niespodzianie w pobliżu granic polskich, w Raciborzu, zdążyło do kresu swéj podróży. Jan Raciborski, jak wszyscy śląscy książęta, gorliwy katolik i sprzymierzeniec Zygmunta, pojmał posłów czeskich i osadził w więzieniu. Piorunem gruchnęła o tém wieść w Polsce i wszędzie, jak już wyżéj

wspomnieliśmy, niesłychane obudziła wzburzenie; nie należy bowiem zapominać, że to się stało właśnie pod świeżém wrażeniem lubelskiego zjazdu, przed powrotem posłów polskich z Węgier. Jak gromy posypały się na wylękłego księcia Raciborskiego ostre noty dyplomatyczne króla, Witołda, i niecierpliwego Korybutowica, za naruszenie przyjaznych stosunków sąsiedzkich, za zgwałcenie nietykalności poselstwa. Grożono otwarcie wojną, jeśli książę jeńców nie wypuści [66]).

Pojmanie posłów czeskich było dla projektów Oleśnickiego o tyle pomyślnym wypadkiem, że w chwili tak stanowczéj przerwało ostateczne układy o unią czeską i bez wątpienia ułatwiło mu przez to sprawę po powrocie z Węgier. Łatwo jednak pojąć, że wieść o tém zdarzeniu silnie zelektryzowała Zygmunta. Umysł, do matactw politycznych tak skory, ocknął się teraz i zaczął się zastanawiać, czy cała akcya dyplomatyczna Zbigniewa nie jest tylko zręcznem zastawieniem sideł. Dotychczas dochodziły go tylko pogłoski o unii polsko-czeskiéj, teraz miał w ręku niewątpliwe dowody, a papiéry, przejęte u posłów, pouczały go dokładniedokąd właściwie ta sprawa zaszła; znając zresztą ton czeskich odezw do Witołda, możemy sądzić, że Zygmunt wyczytać z nich mógł więcéj, niż gdyby znał dokładnie właściwy stan rzeczy. Z oburzeniem pisze o tém do jakiegoś księcia niemieckiego, który już wiedział o układach z Oleśnickim: „Możesz teraz widzieć, jaka u nich wiara, jaka gorliwość katolicka i uczucie dla kościoła, możesz osądzić, czy są obrońcami heretyków, czy też nic nie zawinili“ [67]). Równocześnie wysyła list do W. Mistrza ze stanowczém poleceniem, żeby Krzyżacy bez zwłoki wpadli do Polski, jeśli Witołd i Jagiełło z pomocą Czechom pospieszą [68]). I to bowiem pewna, że jeśli ów strach paniczny z powodu przygotowującéj się unii Polski i Czechów zmusił Zygmuta do takich ofiar w układach z Zbigniewem, to namacalne dowody,

które miał teraz w ręku, jeszcze bardziej musiały go przerazić. Nie zrywa zatém Zygmunt rokowań z Jagiełłą, tylko do większéj pobudzony ostrożności, nie spieszy się z niemi. List, który do niego w sprawie księcia Raciborskiego napisał, odznacza się tonem tak łagodnym i pojednawczym, że nie znać w nim śladu goryczy [69]). Dla ukończenia rokowań przygotowuje Zygmunt nawet zjazd z Jagiełłą w Wrocławiu, w stolicy tego kraju, którego oddaniem miał sojusz z Polską okupić [70]).

Zjazd ten jednak nie przyszedł do skutku, skończyło się tylko na poselstwie Zawiszy Czarnego. Wybór Zawiszy na posła w tak ważnéj sprawie wcale nie był szczęśliwy. Poruczono mu to zadanie, gdyż znano dobrze jego ścisłe z Zygmuntem stosunki. Ten rycerz znakomity, który tyle wawrzynów zdobył sobie w orszaku Zygmunta, któremu honor rycerski nie pozwalał walczyć za ukochanego wojowniczego monarchę, jeśli były waśnie pomiędzy Luxemburczykiem a własnym jego królem, teraz z radością pospieszył do niego, by go z Jagiełłą połączyć węzłem ścisłego sojuszu. Ale animusz rycerski nie bratał się dobrze z zadaniem dyplomatyczném. Zawisza zastał Zygmunta prawie na wyjeździe do Czech, na walną wojenną wyprawę. Niestosowna to była do rokowań dyplomatycznych pora, tém bardziéj, że i w Zawiszy żywo na widok przygotowań wojennych serce rycerskie zabiło. Zygmunt nie rad był teraz do niczego się zobowiązywać, spodziewał się, że oręż rozstrzygnie sprawę czeską korzystnie dla niego, odłożył zatém dalsze rokowania do powrotu z czeskiéj wyprawy. Zawisza na tém poprzestał, lecz niedość tego, jako rycerz nienaganny nie mógł ukochanego monarchy w potrzebie opuścić i bez wahania razem z nim na wojnę pospieszył. Po ciężkich klęskach Zygmunt szybko z Czech się cofnął, Zawiszy jednak honor rycerski kazał zostać na straconém stanowi-

sku, dostał się zatém do niewoli czeskiéj i nie mógł nawet przysłać do Polski wiadomości o swém peselstwie [71]).

Oleśnickiemu gorzko przyszło teraz żałować, że mógł tylko snuć projekta, wywalczać dla nich zwycięstwo, ale nie jego było rzeczą, ich wykonaniem kierować; ster polityki w innéj, niechętnéj jego pomysłom znajdował się ręce, od pewnego czasu nawet, mianowany proboszczem u św. Floryana, usunął się Zbigniew z kancelaryi królewskiéj. Można zaś było przewidzieć, że Witołd sprawy nie zaśpi i wszystkich sprężyn użyje, byle wyzyskać tę odwłokę w wykonaniu Zbigniewowych pomysłów. Tém gorzéj dla Oleśnickiego, że zbliżała się zima, którą król jak zwykle w rodzinnej ziemi, w gościnie u Witołda miał przepędzić.

Wśród zimy, w Styczniu przyszły wieści o wojnie czeskiéj, o nowéj strasznéj klęsce Zygmunta pod Niemieckim Brodem. Można było wprawdzie tém więcéj spodziewać się teraz, że Zygmunt, zgnębiony i pokonany, bardziéj niż w jesieni będzie pragnął sojuszu z Polską i chętniéj jeszcze niż wówczas wszelkie ofiary poniesie, byle Polskę odwieść od unii czeskiéj. Ale téż trzeba było tę chwilę wyzyskać, szybko podjąć na nowo rozpoczęte rokowania, a tu król bawił u Witołda. Łatwo teraz było Witołdowi odwodzić Jagiełłę od układów z Luxemburczykiem, któremu nowy program wszelkie widoki odzyskania Czech odebrał; łatwo skłaniać do unii ze zwycięskim bratnim narodem. Żeby jednak zamachem jednym zmienić całą podstawę tych matrymonialnych projektów, które miały Jagiełłę związać z Zygmuntem, podaje Witołd inny projekt małżeństwa. Ofiaruje mu rękę młodéj księżniczki ruskiéj Zofii, krewnéj obydwu Gedyminowiczów. Już w jesieni powstał był ten projekt, a Jagiełło wysłał wówczas na Litwę Zbigniewa niedługo po powrocie z Węgier, żeby tę piękność książęcą

obejrzał i zdał mu o niéj sprawę. Można sobie wyobrazić, w jakich ją barwach Oleśnicki przedstawił, widząc w tym projekcie zgubę całego planu swojego. Jagiełło jednak przybywszy na Litwę sam Zońkę obaczył, niezwykła uroda młodéj dziewczyny połechtała zmysłowa naturę starego króla; co innego to było, niż suchotnica Elżbieta, niedawno zmarła. Pomysł Witołda się udał, król pojął Zońkę w małżeństwo [72]). Witołd tryumfował; widząc, jak jego plany w Polsce paraliżowano, a znając zmysłową starego Jagiełły naturę, cieszył się teraz, że nie tylko swego zwolennika u steru polityki mieć będzie, ale obok niego wierną ajentkę w sypialni królewskiéj. Na tém się zawiódł, ale mógł tryumfować, że kraina śląska, posag królowéj Offki, nie będzie mu już planów krzyżować, że zdruzgotał ów pomost, który miał Jagiełłę od unii czeskiéj odwieść do Zygmunta. Naprożno wysilał się Zbigniew, żeby króla od małżeństwa z Zońką powstrzymać, Witołd go pokonał.

V.

Zabiegi Witołda w sprawie unii Husytyzmu z kościołem — w Pradze — u papiéża. — Niepowodzenie. — Korybut w Czechach. — Wojna z Zakonem w lecie 1422 r. — Upadek Korybuta. — Klęska polityki Witołda. — Zygmunt i Krzyżacy — projekt rozbioru Polski. — Sprawa przymierza Polski z Zygmuntem. — Układy w Lubiczu. — Kongres w Kezmarku. — Reakcya katolicka. — Projekt wyprawy czeskiéj. — Edykt wieluński. — Upadek Jastrzębca. Oleśnicki biskupem krakowskim. — Szafraniec kanclerzem. — Zakończenie.

Zwycięsca miał drogę wolną od przeszkód, teraz mógł śmiało zdążać do celu. Dwóch przedewszystkiém zadań musiał jąć się Witołd. Najpiérw należało dotychczasowe

rokowania o unią stwierdzić raz faktem i wysłać Korybutowica do Czech na rządy namiestnicze, następnie wypadało przystąpić do tego trudnego dzieła, które nowe Gedyminowiców królestwo, z rodziny państw chrześcijańskich wypchnięte, napowrót do jéj grona wprowadzić miało, rozpocząć pracę nad unią Husytyzmu z kościołem. Spełnienie pierwszego, politycznego zadania musiało jednak na razie pójść w odwłokę, w skutek chwilowego zwycięstwa programu Oleśnickiego; kiedy Polska nagłym a przelotnym zwrotem gotowała się do sojuszu z Zygmuntem przeciw Husytom, nie mógł Witołd bratanka z posiłkami polskiemi do Czech wyprawiać. Tém gorliwiéj zajął się za to drugiém zadaniem. Tu należało rzecz rozpocząć od rokowań ze stroną niższą, z Husytami, a zbadawszy najpiérw pojednawcze ich usposobienie, przesłać kuryi papieskiéj gotowy rezultat jako podstawę do dalszych z nią układów, jako warunki, pod któremi Husytyzm pragnie powrócić na łono kościoła. Z dziękczynnego zaś listu Czechów za przyjęcie korony wiedział Witołd dobrze, że Husyci przy czterech artykułach praskich niezachwianie zamierzają obstawać; w sprawie tych artykułów zatém porozumiéć się z nimi, o ile możności ich znaczenie złagodzić, to było pierwszym tych usiłowań celem. W téj myśli posłał jeszcze w jesieni Husyckim magistrom projekt zjazdu z katolickimi doktorami. Umiarkowani prascy magistrowie, w zasadzie myśli pojednawczéj wcale nie przeciwni, do dysput teologicznych zawsze skorzy, z ochotą ten projekt przyjęli, prosząc tylko Witołda o wyznaczenie miejsca zjazdu w Czechach, na Litwie lub w Polsce, o należyte listy bezpieczeństwa. W myśl pragnień Witołda wyrażają nawet wprost w swéj odpowiedzi gorącą nadzieję, że zjazd ten „doprowadzi do pożądanéj unii z powszechnym kościołem“. Ale z odpowiedzi téj, mimo tych wszystkich frazesów, mógł każdy, kto znał

stanowisko kościoła w téj sprawie, dla całego dzieła unii kościelnéj smutny wywróżyć horoskop. Magistrowie jasno zaznaczają swoje stanowisko, odrzucają wprost tradycyą kościelną, a zdają się z góry tylko na ten wyrok, jaki na nich wyda text ewangelii. „Jeśli wykażemy," piszą w swej odpowiedzi, „że nasze artykuły oparte są na ewangelii Pana Naszego Jezusa Chrystusa i że je pierwotny kościół apostolski zachowywał, to Wasza Wysokość użyczy nam w ich ścisłém zachowywaniu swéj opieki i przystąpi sam do nich, przyjmując je za swoje. Jeśli zaś nasi i Boga przeciwnicy jawnie nam dowiodą, czego się wcale nie spodziewany, że w ewangelii, w któréj jedynie prawda zbawienia się zawiera, jest cośkolwiek przeciwnego tym czterem artykułom, to my gotowi jesteśmy ustąpić i skłonić się przed prawdą ewangeliczną." [74]). Było to więc to samo stanowisko, z którego wyszło źródło późniejszego protestantyzmu; inne są zasady, na których opiera się nauka katolickiego kościoła, a wszelki kompromis na tej drodze zawsze jest niemożliwy. Nie wiadomo, jakie były dalsze losy tego projektu, może sami doktorowie katoliccy, którzy mieli na ten zjazd się udać, po takiej odpowiedzi nie chcieli się podjąć tego zadania. W związku z tym projektem było może uroczyste poselstwo, które Prażanie pod koniec r. 1421 wyprawili do swego króla. Przywodził mu znów Hynek z Kolsztynu, obok niego zaś sam burmistrz praski, jako legalny reprezentant przodującej Czechom stolicy, niektórzy panowie z obozu Utrakwistów i dwaj „doktorowie husyccy" pospieszyli stawić się przed majestatem Witołda; cały orszak poselstwa liczono na 132 koni. Z ust tych doktorów usłyszał niezawodnie również nowy król czeski, na jakich to podstawach Husyci chcieli przystąpić do rokowań o unią kościelną, jakkolwiek zaś jeszcze nie wiedział, co myśli kościół o takiej unii, mogło go

już to stanowisko zasadnicze husyckich doktorów odstraszyć od dalszych kroków w tym względzie [74]).

Witołd jednak nie tracił nadziei. Podczas pobytu Jagiełły na Litwie, przybył doń legat papieski, Antoni Zeno, przeznaczony na pośrednika w sporze z Zakonem; Witołd objawił mu swą myśl unii husyckiej, a pozyskawszy go dla niéj, bez zwłoki udał się z nią wprost do papiéża. Żywemi barwami kreśli Marcinowi V bezskuteczność wszystkich usiłowań, których celem było, siłą oręża i przemocą przywrócić kościołowi posłuszeństwo narodu czeskiego; tyle krwi z obu stron daremnie się przelewa, a tryumfy, które Husyci w tej walce nieustannie odnoszą, utwierdzają ich tylko w zatwardziałości i dodają im w oporze otuchy. Stwierdziwszy zatem nieodzowną potrzebę chwycenia się innych, pojednawczych kroków, zawiadamia papieża, że uległ naleganiom Czechów, przyjął ich pod swoję opiekę i przyrzekł im podjąć się pośrednictwa w pogodzeniu Husytów z kościołem. Dopóki więc poselstwu czeskiemu nie będzie danem zbliżyć się do stóp tronu stolicy apostolskiéj, prosi Witołd przedewszystkiem usilnie, żeby papież wstrzymał nową na Husytów krucyatę, którąby rozpoczęte dzieło pokoju w samym zawiązku mogła zniweczyć. Z tą prośbą, popartą listami legata papieskiego, wysłał Witołd do Rzymu swego powiernika, Polaka, Marcina, kanonika gnieźnieńskiego, który według obszerniejszej instrukcyi miał na dworze papieskim rozpocząć rokowania o unią husycką, a dla większego nacisku nie tylko od Witołda, lecz i od Jagiełły otrzymał w tym względzie upoważnienie [75]). Listy te rozminęły się z wcześniejszém pismem papieskiém, w którem Marcin V wprost wzywał Witołda do wspomagania Zygmunta przeciw Husytom [76]). Otrzymawszy to pismo, mógł się Witołd jeszcze spodziewać, że jego poselstwo a mianowicie informacye legata zdołają papieża zwrócić

na inną drogę, niebawem jednak przekonał się, że go te rachuby omyliły.

Marcin V był nieugięty. Jeszcze jako kardynał Odo Colonna liczył się do najzawziętszych wrogów Hussytyzmu i Wiklefizmu, a wstąpiwszy na tron papieski, nie tylko nie ostygł w tych uczuciach, lecz ze względów polityki kościelnéj tém gorliwiéj musiał je manifestować. Wiadomo, jak groźne niebezpieczeństwa zawisły były nad powagą stolicy apostolskiéj przed kilku laty na konstancyjskim soborze; papiestwo, zdeptane w czasach wielkiéj schizmy zachodniej, odarte z dawnego znaczenia w Pizie, poszło w poniewierkę za smutnych dni Jana XIII, w obec jego upokorzeń i żebraczych błagań o łaskę soboru. Pod wrażeniem tych wypadków otwarcie wyrzekł był sobór zasadę swej wyższości nad papieżem, a reforma kościoła, rozpoczęta w tych warunkach, byłaby musiała wypaść w myśl skrajnych reformistów, przekształcając zupełnie podwaliny średniowiecznego systemu organizacyi kościelnéj. Udało się wprawdzie Marcinowi odwrócić to niebezpieczeństwo odwleczeniem reformy i szybkiem zamknięciem soboru, niebawem jednak miał nowy sobór się zebrać, a głosy reformistów nie ucichły. Jeśli zaś najgorliwsi zwolennicy reformy byli w rzeczach wiary i dogmatu niezachwiani, to papiéż jakiémkolwiek ustępstwem w obec Husytyzmu byłby im sam podał miecz przeciw sobie; nic nie było łatwiejszą rzeczą wówczas, jak podać papiéża w podejrzenie herezyi. W zasadzie więc był papiéż przeciwny wszelkiéj myśli kompromisu, tém bardziéj zaś w téj chwili, kiedy z inicyatywy jego legata przygotowywano w Niemczech nową, wielką krucyatę husycką. Przerażały go wprawdzie zwycięstwa Husytów w dwóch latach ostatnich, ale mimo to oddawał się nadziei, że zjednoczone usiłowania Zygmunta i całych Niemiec muszą zgnieść naród czeski, a odosobniony jego opór długo potrwać nie może. Inna byłaby to jednak

rzecz zupełnie, gdyby ta wielka słowiańska potęga, której Witołd przywodził z Jagiełłą, stanęła po stronie pobratymczego narodu; Husytyzm mógł w takim razie przybrać rozmiary wielkiéj reformacyi słowiańskiéj, któréj świat katolicki nie tak łatwo byłby podołał. Marcin V przypominał sobie niezawodnie dobrze z aktu oskarżenia przeciw Hieronimowi z Pragi te artykuły, z których sobór dowiedział się o owych stosunkach pomiędzy Husytyzmem a wschodnim kościołem. Wszelkie więc zbliżenie się Gedyminowiców do Husytyzmu przejmowało papieża, nie mniéj jak Zygmunta i Niemców, strachem panicznym. Skoro go doszły o tych stosunkach pierwsze głuche wieści, pomyślał Marcin o tém, żeby nieprzychylném stanowiskiem, jakie dotychczas w obec Jagiełły i Witołda w sprawie krzyżackiéj zajmował, nie odstręczać ich nadal od siebie, wysłał zatém natychmiast do Polski legata, zaopatrzywszy go w inne zupełnie, niżli dawnych swych posłów, instrukcye. Teraz wysłuchawszy Witołdowego poselstwa, nie mógł się już łudzić ani chwili: widmo unii czesko-polskiéj stanęło przed nim w całéj grozie swej postaci, do najostrzejszych więc trzeba było sięgnąć zaklęć, by je rozwiać w przestworze.

Surowe gromy spadają bez zwłoki na Witołda, stanowczo upomina go papież, by zerwał z Husytami. To ich właśnie w zapamiętałym uporze utwierdza, pisze doń w odpowiedzi, że liczą na twoję pomoc; jeśli ty ich opuścisz, będą musieli się ugiąć. Łudzą cię tylko obietnicami powrotu na łono kościoła, by pomoc twoję wyzyskać. Wiedz zresztą, że dla ciebie, jako dla monarchy katolickiego, jedyną wskazówką winien być głos papieża [77]). I w polityczną jednak strunę uderza list papieski. „Jeśli zagarniesz wreszcie czeskie królestwo, czyż to zniosą elektorowie cesarstwa i inni książęta niemieccy, chociażby nawet Zygmunt na to przyzwolił, czyż warte jest tego to królestwo, żeby dla niego heretyków

wspomagać, po cudzą własność sięgać i tak wielką część chrześcijańskiego świata nową wojną zaburzyć... Cóż ci wreszcie stąd przyjdzie, choć cały świat zagarniesz, a duszę zgubisz.“ Kończy papież stanowczém zapewnieniem, że jeśli Witołd od tych zgubnych pomysłów nie odstąpi, z całą surowością spadnie nań ramię klątwy kościelnéj.

Równocześnie odezwał się także Marcin V do Jagiełły i episkopatu polskiego, namawiając ich, żeby Witołda od związku z Husytami powstrzymali [8]). Do Jagiełły pisze nierównie łagodniéj, chociaż i z jego upoważnienia poseł Witołdów mówił, choć dowiedział się od niego, że w Polsce z zezwoleniem króla werbują się już posiłki dla Husytów, wié bowiem, że nie Jagiełło jest duszą tych planów. Z wielu względów ciekawy jest list do prymasa polskiego i jego sufraganów. Nie potrzeba bowiem było zaprawdę na to długiego traktatu, napojonego erudycyą kościelną, żeby nakłonić biskupów do powstrzymywania Witołda od herezyi. Taki jest cel urzędowy tego pisma; papież wié jednak, że w toku jest unia Polski i Litwy z Czechami, obawia się, że biskupi, uwiedzeni myślą kompromisu, nie będą jéj się należycie opierać; informacye Antoniego Zenona mogły go o tém pouczyć. Dowodzi im zatém stanowczo, że wszelka myśl kompromisu jest grzechem, „gdyż nie ma zgody między Chrystusem a Belialem, między światłem wiary a ciemnością herezyi“.

Słowem, w pojednawczych swych usiłowaniach doznał Witołd stanowczéj porażki. Dokądkolwiek się udał, do Husytów, czy do papieża, wszędzie spotkał się z zasadami, które mu dowiodły, że piękny gmach unii husyckiéj w téj chwili jeszcze był zbudowanym na lodzie. Jeszcze sprawa husycka nie doszła do dojrzałości, do przesilenia. Tymczasem „kość już była rzucona,“ Korybut był już w Czechach.

Zanim jeszcze poseł Witołdów zdążył na dwór papieski, wyruszył Korybut do Czech z Krakowa z korpusem

około 5.000 ludzi liczącym. W ciągu postu, od czasu zwycięstwa Witołda nad programem Oleśnickiego, odbywał się w Polsce jawny werbunek posiłków dla Czechów [79]). Siła zbrojna, którą w ten sposób zebrano, jest najwyraźniejszym objawem rozległości i mocy sympatyi narodu dla sprawy husyckiéj. Nie było snać wśród szlachty polskiéj tego żywego entuzyazmu dla sprawy pobratymczego narodu w imię uczuć słowiańskich, skoro zaledwie półtrzecia tysiąca jezdnych stanęło pod znakami Korybuta. Zasady Husytyzmu miały wprawdzie wśród znacznéj części społeczności szlacheckiéj grunt dobrze przygotowany, życzono sobie zatém unii z braćmi Czechami, którzy z duchowieństwem, z dobrami kościelnemi tak ostro się obeszli, ale niezadowolenie ze stosunków kościelnych nie starczyło na to, żeby szlachta gromadnie rzucać miała dom i rodzinę i za Husytów bez nacisku konieczności krew przelewać. Nie omylimy się, jeśli do téj rzeszy wojska Korybutowego wliczymy najzagorzalszych zwolenników husyckiéj nauki, tę „szumowinę społeczności szlacheckiéj“ w oczach katolicyzmu, któréj się Polska w ten sposób z kraju pozbyła; szczególnie podobno na Rusi Czerwonéj wydał ten werbunek obfite plony [80]); niejednego zapewne zapędziła pod sztandar Korybutów awanturnicza żądza przygód i korzyści wojennych, ogół szlachty powstrzymał się jednak od udziału w tém przedsięwzięciu.

Korybut, przybywszy do Czech, trudne miał do spełnienia zadanie. Rozdwojenie pomiędzy Prażanami a Taborytami coraz groźniejsze przybierało rozmiary, niedługo przed jego przybyciem w saméj Pradze wydźwignął się był Jan z Żeliwa, skrajny przywódca partyi ludowéj, do najwyższego znaczenia, i największym tylko wysiłkiem umiarkowanego stronnictwa zdołał miecz katowski strącić go z tego stanowiska. Tém większe panowało roznamiętnienie, groźni Taboryci, którzy nikogo nie chcieli mieć królem, z równą zawiścią

spoglądali na Korybuta, jak gdyby sam Zygmunt znów wkraczał do kraju. Energią i zręcznem postępowaniem zdołał jednak Korybut pozyskać sobie starego Żyżkę, a z nim znaczną część jego stronnictwa, dokonał tém rozdwojenia w obozie Taborytów i miał przeciw sobie tylko partyą najskrajniejszą. Ale żeby to sprawić, żeby do Pragi sobie wstęp utorować, musiał zaprzysiądz uroczyście cztery artykuły praskie; jeśli zaś namiestnik „króla postulata," gdyż tak nazywano Witołda, tylko w ten sposób zdołał utrzymać się na stanowisku, że jawnym został Husytą, to dla pomysłu unii husyckiéj tém gorsze były widoki. Wkrótce udało się Korybutowi przywrócić ład w Pradze i w jéj okolicy, anarchia ustawała, coraz więcéj przyzwyczajano się uważać go za reprezentanta legalnéj władzy i uginać się przed nią[81]). Żeby jednak utrzymać się u steru władzy, z takim trudem zdobytéj, żeby go nie wypuścić z rąk podczas krucyaty, któréj nowa nawała miała na Czechy uderzyć, na to nie wystarczał skromny korpus kilkotysięczny; Korybut potrzebował koniecznie szybkiego a skutecznego poparcia z Polski.

Kiedy więc powodzenie polityki Witołda wymagało wytężenia wszystkich sił w tym kierunku, coraz trudniéj mu było cokolwiek uczynić w tym względzie. Nie tylko myśl unii kościelnéj z Husytami, która była jednym z kamieni węgielnych jego programu, ulatywała w sferę mrzonek nie do urzeczywistnienia; łatwo pojąć, że gromy papieskie z pogróżkami krucyaty, w tych sferach, w których ręku znajdował się rząd w Polsce, silne musiały wywrzeć wrażenie. Jagiełło chwalił się teraz w swych listach do papieża szumnym projektem przytłumienia herezyi w ziemiach królestwa polskiego. „Surowo nakazałem mym urzędnikom," odzywa się Jagiełło, „żeby na całym obszarze państwa bacznie śledzili tę obrzydłą zarazę duszy, a kogokolwiek znajdą, ktoby jéj uległ, mają go bez różnicy płci, bez względu na godność

i znaczenie w okowach odesłać do arcybiskupa i jego urzędników; tak więc po użyciu tych środków wielu już arcybiskup w więzieniach osadził, jak na to słusznie zasłużyli[82]).“ Jeśli w tych przechwałkach, spowodowanych naganą papieską, może być wiele przesady, to w każdym razie mamy w nich ciekawą ilusstracyą ówczesnego usposobienia kancelaryi królewskiéj. Łatwo nam pojąć, że biskup Jastrzębiec, odczytawszy ostatnie listy papieskie, nie miał już odwagi popierać czeską politykę Witołda. Może jednak stąd nawet nie przyszło do groźniejszego starcia pomiędzy Witołdem a rządem polskim, gdyż nieubłagana konieczność zwróciła wówczas politykę polską w inną stronę, nie dozwalając nawet myśleć w téj chwili o pomocy dla Czechów i Korybuta. Zaledwie bowiem zdołano się otrząsnąć z wrażenia groźnych listów papieskich, już zawisła była nad Polską nowa wojna z Zakonem.

Był to odwet świata niemieckiego za czeską politykę Polski. Jeszcze w jesieni przeszłego roku pisał Zygmunt do W. Mistrza, żeby bez zwłoki uderzył na Polskę, jeśliby Witołd i Jagiełło na prawdę Husytom zamierzali pomagać. Teraz, odkąd Korybut już do Czech się wyprawił, tém bardziéj nalegał Luxemburczyk na Krzyżaków. Wyprawę Korybuta uważał tylko za przednią straż wielkiéj armii, która niebawem do Czech podąży, a w bujnéj wyobraźni widział już na polach czeskich nowy Grunwald oręża polskiego. Widział Zygmunt, że Zakon nie był do wojny przygotowany, więc łudził go obietnicami silnego poparcia z Niemiec i wszelkiemi siłami popychał do walki; mniejsza o klęskę Zakonu, jeśli wojna zajmie wszystkie siły zbrojne Polski i nie dozwoli jéj pomagać Husytom w czasie nowéj krucyaty czeskiéj, po któréj się tyle spodziewano. Gdy więc na wiosnę 1422 r. legat papieski zbierał zeznania świadków, jako materyał do nowego w sprawie krzyżackiéj wyroku, a równocześnie toczyły się rokowania między pełnomocnikami Polski i Zakonu,

W. Mistrz odrzucał w myśl wskazówek Zygmunta wszelkie żądania polskie i wyzywał Jagiełłę do wojny. W pierwszych dniach Lipca stanęły wojska polskie u granic krzyżackich, i Witołd, cokolwiek w tym czasie myślał o sprawie czeskiéj, musiał się z niemi połączyć, gdyż tu szło o Żmudź, o ten żywotny interes Litwy, którego w stanowczéj chwili nie mógł opuścić. Przez kilka tygodni przewlokła się wojna, Zakon, zanadto słaby, by mógł w otwartém polu zmierzyć się z wojskami polskiemi, stawiał tylko opór w twierdzach obronnych, a otrzymując od Zygmunta nieustannie obietnice rychłéj pomocy, jak mógł najdłużéj przeciągał walkę. Leniwo wlokła się ta walka, gdyż Witołd i teraz nie mógł pragnąć zagłady Zakonu; jeśli kiedy, to po ostatnich doświadczeniach go potrzebował, żeby przezeń mieć Polskę w swéj mocy. O Żmudź mu tylko chodziło i ten cel łatwo osiągnął; kiedy już bowiem pod koniec Września zabrakło Krzyżakom siły do dalszego oporu, a wojskom polskim, słotami jesiennemi znękanym, śpieszno było do domu, zawarto pokój nad jeziorem meldzyńskiem, w którym Zakon zrzekł się pretensyi do Żmudzi, Polsce zaś odstąpił Nieszawę z przyległym okręgiem.

Wojna skończyła się zatém zwycięstwem, jakkolwiek korzyści pokoju meldzyńskiego nie były w odpowiednim stosunku ani do sił polskich, ani do pomyślnego położenia ówczesnego. Z tém wszysrkiém nie pora było teraz, po ukończeniu wojny krzyżackiéj, myśleć o pomocy dla Korybuta. Z jednéj wyprawy ruszać na drugą, to zawiele było dla polskiéj szlachty, skarb państwa był wyniszczony, a nadto długo jeszcze pod popiołem pozornego pokoju tlało zarzewie, z którego pierwszy wiatr dla Zakonu pomyślny mógł rozniecić nową, nierównie groźniejszą wojnę. Krzyżacy ciągle spodziewali się przyrzeczonéj pomocy z Niemiec i od Zygmunta, a tylko w tym celu, zniewoleni koniecznością, zawarli pokój, by go stargać i na Polskę uderzyć, skoro tylko po-

moc przybędzie [83]). W Listopadzie nawet jeszcze przybyły do Prus skromne spóźnione posiłki kilku książąt niemieckich, i długo, długo jeszcze nie ustępowała duszna atmosfera wojenna, krępując Witołdowi ręce.

Gdyby zresztą nawet i tego nie było, chociażby i w Polsce nie był się dokonał zwrot na niekorzyść Witołdowéj polityki, sprawy czeskie taką tymczasem przybrały postać, że niebawem nie było tam komu pomagać. Kiedy ukończyła się wojna z Zakonem, Korybut kończył już również w Czechach swą rolę, jako namiestnik „króla postulata“. Mie mając z Polski poparcia, nie mógł się długo na tém trudném stanowisku utrzymać. Po tak świetnych początkach, potrzebował do utrwalenia powagi namiestniczych rządów koniecznie jakichś wawrzynów i tryumfów wojennych, któreby go w oczach narodu podniosły, a do tego nie miał sił dostatecznych; szalę zwycięstwa w wojnach husyckich zawsze przechylała silnie zorganizowana armia Taborytów, która mu była stanowczo niechętna, z czasem nawet sam Żyżka zaczął się od niego ze swém stronnictwem odwracać. Porwał się Korybut do oblęgania Karolowego Tynu, téj poważnéj świętości czeskiego narodu, dotychczas przez katolików bronionéj, któréj zdobycie mogłoby mu było istotnie dodać znaczenia i powagi. Ale bezskuteczne oblężenie téj niezdobytéj twierdzy, w którém ówczesna sztuka oblężnicza do ostatecznych doszła wysiłków, przewlekając się w nieskończoność, tém bardziéj uszczuplało rozgłos Witołdowego namiestnika. Czesi, nie widząc żadnych namacalnych korzyści z rządów Korybuta, zaczęli się doń zniechęcać, nawet w saméj Pradze partya ludowa brała górę w nieobecności namiestnika, a Nowe Miasto praskie jawnie oddało się Taborytom. Korybut musiał pośpieszyć do stolicy, wyparł Taborytów, surowo ukarał zdradę, ale topór katowski, pod którym padły głowy przywódców buntu, zagłębił jeszcze tę przepaść, która go od Taborytów dzieliła, i w saméj Pra-

dze rozdrażnił umysły. Skoro potém zawarto rozejm z Karolowym Tynem, powaga Korybuta tém bardziéj upadła, a czém większe było niedołęstwo ówczesnéj trzeciéj krucyaty, która tę jedynie korzyść odniosła, w tém jaskrawszém świetle ukazała się niemoc Korybuta. Hegemonia Husytyzmu usuwała się zupełnie z rąk Utrakwistów praskich, przywódca umiarkowanych Taborytów Żyżka zaczynał być panem sytuacyi, a w obec tego Korybut, po smutnym zawodzie, 23 Grudnia 1422 r. opuścił Pragę [84]).

Na każdym zatém punkcie polityka czeska Witołda doznała sromotnéj klęski. Smutny koniec roli Korybuta przekonać go musiał ostatecznie, że pożegnać się należy z marzeniami o unii, skoro sami Czesi opuścili jego namiestnika, skoro ster rewolucyi czeskiéj dostał się w nieprzyjazne mu ręce. Po tak ciężkiéj porażce jakże urość musiał w oczach narodu ten człowiek, który polityce polskiéj inny wytykał kierunek. Skoro na św. Marcina 1422 r. znów zebrali się panowie polscy na zjeździe w Niepołomicach, gorzko im przyszło żałować, że przed rokiem nie wyzyskano programem Oleśnickiego tych korzyści, które się wówczas same nastręczały. Teraz już było zapóźno, sprawa unii czesko-polskiéj sama w sobie upadła, nie pora więc było wywierać nią nacisk na Zygmunta. Niesmak ogólny wszystkich musiał ogarnąć, jedynym skutkiem czesko-polskiéj polityki to tylko było, że w całym świecie okrzyczano Jagiełłę i Witolda za jawnych przyjaciół herezyi, na Polskę całą rzucano oszczerstwa, a pod osłoną starań o unią rzeczywiście Husytyzmowi otwarła się droga do kraju. Wątpliwe były jeszcze bardzo korzyści traktatu meldzyńskiego, owoc ciężkiéj i kosztownéj wojny, gdyż Krzyżacy odmawiali ratyfikacyi traktatu i coraz głośniéj było o ich przygotowaniach do wojny, o posiłkach z Niemiec dążących. Ciężka atmosfera zawisła nad Polską.

Żwawo istotnie krzątali się Krzyżacy, nie o pokoju myśląc, lecz o krwawym odwecie. Kiedy pod wodzą kilku książąt niemieckich przybyły do Prus spóźnione posiłki, sądził Zakon, że to dopiéro przednia straż przyobiecanéj pomocy, i téj saméj zimy jeszcze pragnął wojnę odnowić. Chodziło tylko o to, żeby sobie dalszą pomoc z Niemiec zapewnić i zrealizować szumne obietnice Zygmunta. Około niego więc krzątał się Marszałek Zakonu, a Luxemburczyk nie wiedział, jak się wywinąć w obec tych nalegań. Podżegał on Zakon przeciw Polsce, kiedy mu o to chodziło, żeby ją od wspomagania Czechów odwrócić; po pokoju meldzyńskim może go jeszcze przez czas jakiś przygniatała ta obawa, ale im więcéj spostrzegał, że widmo unii polsko-czeskiéj samo się rozwiało w powietrzu, tém bardziéj nie na rękę mu było, bez potrzeby, dla dobra Krzyżaków wdawać się w wojnę z Jagiełłą i Witołdem. Najpierw więc łudził Zakon przez czas jakiś rokowaniami, które poselstwo jego miało toczyć z posłami polskimi o obalenie traktatu meldzyńskiego. Skoro jednak te układy nie odniosły skutku, a Marszałek nieustannie nalegał, żeby natychmiast wojnę rozpocząć, postanowił Zygmunt olśnić Zakon wielkim fajerwerkiem politycznym, któryby go na razie przynajmniéj zaspokoił. Poleca zatém rozbroić się Zakonowi, rozpuścić do domu posiłki niemieckie, a w nagrodę za to wyciąga z zanadrza szumny projekt ni mniéj, ni więcéj, tylko — rozbioru Polski; nie tylko Żmudź i Nieszawę Zakon odzyska, ale skoro ten projekt się urzeczywistni, zagarnie ziemię dobrzyńską, łęczycką i kujawską, a zdusi przy tém wroga, który mu już tylekroć nóż do gardła przyłożył. Na zjeździe presburskim, w którym obok Zygmunta i Marszałka Zakonu wzięli udział biskup wrocławski, Konrad i Przemko Opawski, jako pełnomocnicy wszystkich innych książąt śląskich, oprócz nich Albert Austryacki, Ludwik Bawarski i liczni węgierscy panowie, ułożono ten pro-

jekt w Grudniu 1422 r. Zakon miał zabrać kraje państwu swemu przyległe, Węgrzy odzyskaliby Ruś Czerwoną, dawne królestwo Galicyi i Lodomeryi, Ślązaków także myślano czémś zaspokoić, a co jeszcze z Polski zostanie, to uczestnicy koalicyi po dokonaniu dzieła między siebie zgodnie rozbiorą [85]). Mógł taki plan powstać w bujnéj fantazyi Zygmunta, kiedy mu unia czesko-polska groziła, kiedy po rokowaniach z Oleśnickim sądził, że go Polska w pole wywiodła; wtedy wszystkich gotów był użyć środków, by zdławić tę groźną potęgę i wydrzéć jéj z rąk Luxemburgów dziedzictwo. Ale teraz ten plan śmiały na to mu się tylko przydał, żeby uśpić jęki Krzyżaków. I któż z téj całéj koalicyi był tak groźnym dla Polski? czy Zygmunt, który z Czechami nie mógł sobie dać rady, czy ten Zakon, który jéj się oprzéć nie mógł, czy Węgry od Turków zagrożone, czy ci śląscy książęta, którzy z Husytami mieli dość do czynienia, a jak sprawa raciborska dowiodła, drżeli przed Polską, czy wreszcie ci książęta niemieccy, których niedołęstwo w sprawie husyckiéj w tak jaskrawém objawiło się świetle. Wszyscy najżywotniejszemi swemi sprawami zanadto byli skrępowani, żeby w tak awanturnicze wdawać się plany, a z całéj koalicyi, odkąd sprawa unii polsko-czeskiéj upadła, tylko jeden Zakon miał w pokonaniu Polski prawdziwy interes. Jeśli wiadomość o tym projekcie doszła do Polski, to mogła ją w każdym razie pobudzić do baczności, potwierdzając dawne wieści o wrogich zamysłach Zakonu. Ale nowy fajerwerk polityczny, puszczony z Polski w postaci wiadomości o sojuszu jéj z Turkami i Tatarami, wystarczył zupełnie, żeby widmo téj wielkiéj koalicyi rozpłynęło się niepowrotnie. W Malborgu bowiem poznano się szybko na wartości projektu Zygmuta, a Marszałek, bawiący w Wrocławiu, otrzymał w odpowiedzi na szumną o nim relacyą ścisłe wskazówki, że nie o rozbiorze Polski, ale o znośnym pokoju dla Zakonu myśleć należy, gdyż Wi-

tołd i Jagiełło, z pomocą Turków i Tatarów, i Krzyżakom i wszystkim ich sprzymierzeńcom łatwo daliby radę [86]).

Zamydlając Krzyżakom oczy szumnemi projektami, myślał Zygmunt na prawdę o odnowieniu dawnego sojuszu z Polską, gdyż mu to w téj chwili wskazywał interes polityczny. W polityce czeskiéj Witołda i Jagiełły widział bowiem przedewszystkiém zemstę za wyrok wrocławski. Teraz nadarzała mu się sposobność naprawić krzywdę, wyrządzoną Polsce tym wyrokiem, i uzyskać nowe z nią przymierze, nie narażając się bynajmniéj Niemcom. Przed dwoma laty nie mógł sądem rozjemczym, korzystnym dla Polski, odsrtęczać od siebie Niemców, których w obec walki z Czechami potrzebował; teraz kiedy Polska wywalczyła sobie orężem korzyści traktatu meldzyńskiego, dość było na nie przyzwolić, żeby sobie jej przyjaźń okupić. Im groźniejsze zaś krążyły wieści o zbrojeniu się Zakonu i pomocy, któréj się Krzyżacy od Zygmunta spodziewali, tém łatwiéj było Luxemburczykowi odstąpieniem sprawy Zakonu uzyskać przymierze z Polską.

Na tém zaś przymierzu zależało mu teraz więcéj, niż kiedykolwiek. Coraz bardziéj bowiem się przekonywał, że w Polsce jedno tylko stronnictwo pchało rząd do unii z Czechami; skoro teraz sprawa unii sama przez się upadła, mógł przewidywać, że stronnictwo przeciwne weźmie górę, przyjdzie czas reakcyi przeciw Husytyzmowi, a w takim razie, kto wié, czy mu się nie uda wyjednać posiłków polskich przeciw Czechom. Bądź co bądź, zawsze jeszcze myśl o unii czeskiéj mogła się odrodzić w pomyślniejszych warunkach, tém bardziéj więc należało Zygmuntowi połączyć się przymierzem z Polską i pod osłoną tego przymierza zbliżyć się do tego, który był duszą planów unii z Czechami, do Witołda. Zygmunt go znał dobrze z dawnych stosunków i pragnął teraz związać się z nim ściśle, żeby mu w przyszłości nie szkodził.

Do tego zaś wszystkiego pierwszym krokiem musiało być odnowienie przymierza.

I węgierscy panowie życzyli sobie tego przymierza. Nie wiadomo do jakich środków sięgnął Luxemburczyk, żeby w komedyi, którą odegrano w Presburgu ku chwilowéj uciesze Zakonu i na koszt jego, użyć jako dekoracyi przyzwolenia panów węgierskich na projekt rozbioru Polski. Może niektórzy z nich byli wtajemniczeni w plany Zygmunta, inni dali się może na chwilę połechtać projektem odzyskania królestwa Galicyi. W każdym razie niedługo potém wręcz oświadczyli panowie węgierscy, że nie mają zgoła ochoty przelewać krew w interesie Krzyżaków [87]). Im zależało na przyjaznych stosunkach z sąsiednią Polską; w całéj Europie głośno było o powadze, jakiéj zażywała Polska wówczas u Hordy tatarskiéj a przez nią i u samego Sułtana, z czasów konstancyjskiego soboru pamiętano dobrze interwencyą Jagiełły, która od Węgier najazd turecki odwróciła. W obec niebezpieczeństwa, które Węgrom nieustannie groziło, źle było bez potrzeby zrywać z tą potęgą. Czém więcéj zatém zamącały się stosunki między Polską a królem węgierskim, tém bardziéj pragnęli Węgrzy odnowienia dawnego sojuszu.

W Polsce zaś naturalnym wynikiem upadku polityki czeskiéj była również myśl powrotu do przymierza z Zygmuntem. Łatwo było podjąć ją Jastrzębcowi, skoro cały niemal swój zawód kanclerski utrzymywaniem tego przymierza wypełnił, a ci, którzy ten sojusz już w roku poprzednim zawiązać pragnęli, tém goręcéj dążyli do niego teraz, widząc w nim najpewniejszą rękojmię katolickiéj reakcyi. Skoro więc na zebranie niepołomieckie (11 Listopada 1422 r.) przybyły propozycye zjazdu z panami węgierskimi dla wstępnych w tym względzie rokowań, wszyscy przyjęli je bez wahania. W skład poselstwa weszły teraz obydwa stronnictwa, obok Jastrzębca, Zbigniewa z Brzezia i Jana Tuliszkowskiego, stary kasztelan

krakowski Krystyn z Ostrowa, znani nam Jan Tarnowski, Mikołaj Michałowski i Zbigniew Oleśnicki [88]); przyłączył się doń i ów rycerz nieustraszony, który w ostatnich czasach tyle wycierpiał dla sprawy Zygmunta, Zawisza Czarny. Dla dodania zaś większéj powagi poselstwu, wyznaczono mu na przywódcę sędziwego prymasa, który na usilne tylko nalegania, chory i bliski śmierci, podjął się téj uciążliwéj podróży [89]). Król, wyjeżdżając wprost z Niepołomic na Litwę, zaopatrzył je w najrozleglejsze pełnomocnictwo, w którém tyle tylko zastrzeżono, żeby posłowie nie zobowiązywali króla w obec Zygmunta do osobistéj pomocy zbrojnéj [90]).

W końcu Listopada i na początku Grudnia toczyły się rokowania w Lubiczu pod Kezmarkiem. Niekorzystnie musiała wpłynąć na ich przebieg rychła śmierć Mikołaja Trąby, przywódcy polskiego poselstwa. Tymczasem Zygmunt odwołał potajemnie rozległe pełnomocnictwo, w które był również swoich posłów zaopatrzył [91]). Nie mógł zaprawdę uczynić inaczéj, łudził bowiem wówczas Krzyżaków, że temi rokowaniami uzyska obalenie meldzyńskiego traktatu. W téj chwili nie mógł jeszcze się zdemaskować, jeszcze bowiem posiłki niemieckie stały w Prusiech załogą, a Zakon, żeby ich długo nie żywić, domagał się bezzwłocznego rozpoczęcia wojny. Wprzód należało je do domu rozpuścić, a całą sprawę przewlec o kilka miesięcy. Tymczasem mogli posłowie Zygmunta wybadać panów polskich pod względem właściwego stanu polityki czeskiéj i utorować drogę przymierzu. Jakoż wskutek instrukcyi jego nie ułożono tu jeszcze wcale formalnego traktatu, odwlekając to do zjazdu obydwóch królów, który miał się odbyć za trzy miesiące, w ciągu Marca następnego roku. W pierwszych zatém tygodniach r. 1423 bawił Zygmunt Krzyżaków projektem rozbioru Polski, tymczasem zaś między jego dworem a litewską siedzibą Jagiełły krążyły listy w celu ostatecznego ułożenia się o miejsce i czas zjazdu. W końcu

Marca 1423 r. przyszedł ten zjazd do skutku w Szczęsnowicach, a w Kezmarku wydali sobie obaj królowie wzajemnie dokumenta, zawierające odnowienie przymierza lubowelskiego [92]). Zygmunt nie poruszył nawet kwestyi krzyżackiéj i zmusił tém Zakon do ratyfikacyi traktatu meldzyńskiego, Jagiełło w zamian za to przyrzekł odwołać uroczyście z Czech Korybuta, który po opuszczeniu Pragi tułał się jeszcze przez czas jakiś po dworach przyjaznych panów; prócz tego zamanifestował Jagiełło otwarcie zerwanie z Czechami, przyrzekając Zygmuntowi dostarczyć zbrojnéj pomocy przeciw Husytom [93]). Traktat ten zawarto również w imieniu Witołda. Łatwo pojąć, że Zygmunt pragnął przy téj sposobności zobaczyć się z Witołdem, żeby go dla siebie pozyskać, lub przynajmniéj na przyszłość ściślejszym stosunkom utorować drogę; panowie polscy po wstępnych rokowaniach z poselstwem węgierskiém gorąco nalegali, żeby Witołd od zjazdu się nie ociągał. Ale czy ciężki zawód w sprawie czeskiéj rzeczywiście powalił Witołda na łoże boleści, czy po doznanéj klęsce tą wymówką chciał się usunąć od udziału w tryumfie swych przeciwników, dość, że Kiejstutowic pozostał na Litwie, ale uginając się przed koniecznością, nie powstrzymywał Jagiełły od podróży do Kezmarku.

Niesłychana radość zapanowała na wiadomość o tym traktacie w Rzymie. Ustąpiło już niebezpieczeństwo unii Polski z Czechami i wielkiéj reformy słowiańskiéj [94]), Marcin V widział już Husytyzm w gruzach leżący. „Nie miałem piękniejszego dnia w ciągu pontyfikatu mego nad ten“, pisze papież do Witołda, „w którym doszła mię wiadomość o waszym sojuszu z królem Zygmuntem. W nim są bowiem dane podwaliny niewątpliwego zwycięstwa, którém heretyków na miazgę zetrzemy, tém bardziéj, że — jak słyszę — ty lub król polski z wielką siłą zbrojną w téj świętéj wojnie udział weźmiecie“ [95]).

Naturalném następstwem tego traktatu był w Polsce zwrot stanowczy ku reakcyi katolickiéj. Pierwszym krokiem ku temu było ostateczne zerwanie z Czechami; sam Witołd zamanifestował je otwartém pismem do Czechów, w którém wyrzeka się wszelkiéj z nimi wspólności, Jagiełło w liście do elektorów cesarstwa wiadomością o zbrojeniu się przeciw Husytom zbijał dosadnie krążące o nim wiadomości, jakoby z nimi był w związku [96]). Z różnych jednakże względów nie przyszło do czynnego udziału Polski w krucyatach Husyckich. Wśród tego stronnictwa, które od samego początku przeciwne było wszelkim związkom z Czechami, nie brak było zapewne takich, którzy chętnie byliby przyłożyli rękę do wytępienia herezyi w samém jéj gnieździe, radziby byli widzieli sztandary polskie obok sztandarów Zygmunta i krzyżowników niemieckich. W każdym razie jednak była to sprawa obca Polsce, pod względem politycznym pokonanie Husytyzmu było tylko celem Zygmunta i Niemców; nie dziw więc, że i ci panowie, którzy nigdy nie byli za brataniem się z Czechami, nie chcieli również popychać narodu do awanturniczéj wojny w obcym interesie. Nie tak łatwo zresztą było przywieść w Polsce do skutku wyprawę na Czechów, skoro Husytyzm wśród szlachty szeroko się był rozgałęził i żywe w niéj obudził sympatye. Inna to bowiem rzecz, nie brać tych sympatyj za wskazówkę w polityce, a inna zmusić zwolenników Husytyzmu do walki z Husytami. Przekonał się o tém Jagiełło, kiedy w myśl zobowiązań przyjętych w Kezmarku, pomyślał na prawdę o wyprawieniu posiłków do Zygmunta; projekt ten musiał już nawet przybrać dość określoną postać, skoro dzień św. Jakóba (25 Lipca) wyznaczono na termin, Hradecz zaś lub Jaromierz na miejsce zebrania się wojska, które miało do Czech wyruszyć. Wiadomo jednak, że ziemianie Rusi Czerwonéj nie chcieli słyszeć nawet o powołaniu na tę wojnę, i napró-

żno Jagiełło, bawiąc wówczas w Trębowli, zaklinał ich na swój honor królewski, którego jako wierni poddani strzedz powinni, a który mu nakazywał dotrzymać danego słowa [97]). Toż samo musiało się w innych ziemiach polskich powtórzyć, gdyż projekt wyprawy czeskiéj spełzł na niczém [98]). Sprawa ta poszła na razie w odwłokę, jeszcze i w roku następnym dopominał się Zygmunt o przyrzeczone posiłki, snując plan wspólnéj krucyaty [99]); i tym razem werbunek przeciw Czechom bardzo nieobfite wydał plony [100]). Najgorliwsi nawet zwolennicy reakcyi katolickiéj mogli się łatwo przekonać, że niebezpiecznie było gwałtem kierować polityką polską przeciw Czechom, że to mogło rozbudzić nawet w Polsce reakcyą na rzecz Husytyzmu. Lepiéj w polityce zewnętrznéj zachować neutralność, nie dopuszczać żadnego zetknięcia się z Czechami, a w wnętrzu państwa jąć się gorliwie stłumienia herezyi.

W tym kierunku w istocie krzątano się żwawo. Najpierw prałaci, zebrani na synodzie łęczyckim, radzili nad obostrzeniem środków zaradczych przeciw herezyi, które już przed trzema laty na synodzie kaliskim obmyślano. Wówczas, jak wiadomo, wszelkie uchwały rozbiły się o brak pomocy „ramienia świeckiego“, teraz łatwiéj było ją sobie wyjednać. Wobec sympatyj Husyckich jednak, rozszerzonych w narodzie, niedość było, że król wydał surowe dekreta, niedość, że i panowie do nich się przychylili; żeby dekretom, które zamyślano wydać przeciw Husytyzmowi, wyrobić powszechne zastosowanie i ogólną wziętość, należało taką drogę obmyśleć, iżby ogół szlachty wciągnąć do tego ustawodawczego zadania. Legalnéj zaś reprezentacyi narodu wówczas jeszcze Polska nie miała, z każdą niemal ziemią zatém trzeba było z osobna traktować. Rozpoczął król od narad z Wielkopolanami, następnie zawezwał panów i szlachtę krakowską, sandomierską i z Rusi Czerwonéj na wielki

zjazd do Korczyna, na którym zgodzono się co do głównych punktów edyktu przeciw Husytom. Żeby jednak w tym względzie znieść się jeszcze z Wielkopolanami i ogólne porozumienie przywieść do skutku, postanowiono na św. Marcin odprawić nowy zjazd w Wiślicy, a w nim obok dygnitarzy królestwa miała wziąć udział reprezentacya szlachty, w któréjby zasiadało po dwóch wysłańców każdego rodu, każdego klejnotu szlacheckiego [101]). Nie wiadomo, czy przyszedł do skutku ten zjazd, pod względem kiełkującego parlamentaryzmu tak ciekawy, dość, że na początku następnego roku wydał król ów słynny, tak sumiennie przygotowany edykt wieluński [102]). Starostowie, rajcy miejscy i inni urzędnicy otrzymali w nim surowy nakaz, śledzić i chwytać heretyków, wszyscy, którzy z Czech powracali, mieli się poddać ścisłemu dochodzeniu inkwizytorów, czy nie są zarażeni herezyą Husycką. Ktokolwiek z obywateli królestwa jeszcze w Czechach bawił, miał powrócić w oznaczonym terminie (do dnia Wniebowstąpienia); inaczéj dobra jego ulegną konfiskacie, a on sam na siebie i na potomstwo swoje ściągał wyrok infamii. Zakazano również surowo wszelkich stosunków handlowych z Czechami, zwłaszcza zaś handlu ołowiem, bronią i żywnością; Polska miała się murem chińskim oddzielić od heretyków sąsiadów, a w wnętrzu swojém stanowczemi środkami wytępić herezyą. Jeśli Husytyzm, który w owym czasie, jak sam Jagiełło przyznawał, tak szeroko był w Polsce rozgałęziony [103]), nie wzrasta późniéj i nie rozszerza się daléj, lecz objawia się tylko w jednostkach, było to dziełem wieluńskiego edyktu i wspieranéj nim czujnéj baczności wyższego duchowieństwa. Tymczasem i w rządzie samym zaszły ważne zmiany, które dawały rękojmię, że nie zajdzie nowy zwrot w polityce, któryby zdołał zwichnąć to odporne względem Czech stanowisko.

Niepowodzenia polityki czeskiéj, klęska dyplomatyczna Witołda, zachwiały zupełnie nadwątlone już dawniéj stanowisko Jastrzębca, tém bardziéj, że kanclerz w ostatnich czasach, nie mogąc iść za Witołdem, a nie chcąc stanąć przeciw niemu, miał ręce zupełnie skrępowane. Tém bardziéj rósł w oczach narodu Zbigniew Oleśnicki; porażka dyplomatyczna, którą Zbigniew poniósł po poselstwie do Zygmunta, podniosła go po klęsce polityki Witołdowéj jeszcze wyżéj, niż gdyby był wówczas zwyciężył; kto wie, jakie losy byłyby jeszcze jego program spotkały, a tak żal tylko wszystkich ogarniał, że go w właściwéj porze nie urzeczywistniono. Jasną było rzeczą, że przy najbliższéj sposobności będzie się musiał Jastrzębiec z urzędu kanclerskiego usunąć, a w takim razie Zbigniewowi otwierały się do niego widoki. Sposobność ta nastręczyła się rychło ze śmiercią prymasa na zjeździe w Lubiczu, w Grudniu 1422 r. Król bawił wówczas na Litwie, była więc słuszna obawa, żeby w rozporządzeniu prymasowstwem i innemi godnościami, które teraz mogły zawakować, nie uległ wpływowi Witołda. Przy niezastygłém prawie jeszcze ciele prymasa piszą zatém do Witołda panowie polscy, na poselstwie w Lubiczu zgromadzeni [104]), przypominając mu, że król zobowiązał się nie rozporządzać dostojeństwami państwa bez ich rady i zezwolenia, a jeszcze w roku poprzednim za wstawieniem się samego Witołda to zobowiązanie powtórzył; proszą usilnie, żeby król się wstrzymał z jakiémkolwiek postanowieniem w tym względzie aż do powrotu z Litwy, polecają wreszcie opiece Witołda przy sposobności otwierających się wakansów Zbigniewa Oleśnickiego i Stanisława Ciołka, dawnego urzędnika kancelaryi królewskiéj, którego przed kilkoma laty za pamflet na królową Elżbietę usunięto z dworu. W lot powstają różne kombinacye z powodu obsadzenia różnych dostojeństw, a w każdéj z nich Zbigniew odgrywa pierw-

szorzędną rolę. Myślano bowiem podobno i o tém, żeby go wynieść od razu na godność prymasa, z pominięciem zwykłych pośrednich dostojeństw [105]; z Litwy nadeszła pogłoska, że Jastrzębiec ma zostać prymasem, biskupstwo krakowskie obejmie podkanclerzy Szafraniec, Zbigniew otrzyma pieczęć kanclerską, a Ciołek posunie się na podkanclerza [106]. Tego jednak nie mógł dopuścić Witołd; kto tak stanowczo jasnym swoim programem starł się przed rokiem z jego przewodnią myślą polityczną, kto podczas układów meldzyńskich tak ostro mu się sprzeciwiał, ten nie mógł stanąć u steru polityki polskiéj. Zawzięcie musiały się ścierać różne projekta, skończyło się wreszcie na tém, że Jastrzębiec otrzymał prymasowstwo, jako *panis bene merentium*, urząd kanclerski musiał oddać Szafrańcowi, a na stolicy biskupiéj w Krakowie zasiadł Oleśnicki. Wszelkiemi siłami opierał się Jastrzębiec temu wywyższeniu, nie chcąc wypuścić z ręki pieczęci kanclerskiéj, ale musiał uledz woli królewskiéj [107].

Chociaż więc Zbigniew nie został kanclerzem, była to nowa klęska dla Witołda. Podkanclerzy Jan Szafraniec nie odgrywał dotychczas wybitniejszéj roli politycznéj; przyszłość dopiero dowiodła, że należał do zawziętych przeciwników Witołda, który téż wszystkim Szafrańcom równą odpłacał to nienawiścią. Jeżli jednak tylko zważymy, że to był brat rodzony Piotra Szafrańca, który na zjeździe łęczyckim rej wodził między oskarżycielami Jastrzębca, rzuci to w każdym razie ważne światło na jego stanowisko polityczne. Wiemy zaś, czém było biskupstwo krakowskie i bez kanclerskiéj pieczęci; korzystając z niego zręcznie, zwłaszcza w obec Szafrańca na urzędzie kanclerskim, zajmie Zbigniew niebawem pierwsze stanowisko w radzie koronnéj, pociągnie za sobą całą szlachtę małopolską, oprze się na niéj i wydźwignie się z czasem do dyktatury. Jeszcze nie od razu to się stanie, jeszcze nieraz

przyjdzie mu uledz w drobniejszych sprawach, ale z czasem ten cel osiągnie. A nie tylko w sprawie czeskiéj, nie tylko w sporze o młyn lubicki, o który się nad Melnem sprzeczano, będzie Zbigniew przeciwnikiem Witołda: na całéj niemal linii bojowéj swego programu politycznego, wszędzie spotka się Witołd ze Zbigniewem. Jakoż w jednym i to ważnym względzie dał się niebawem uczuć brak Jastrzębca: zerwała się solidarność Witołda z rządem polskim, Witołd zgniewany tém i zniechęcony, że plany jego w Polsce paraliżowano, szuka pod koniec życia po za nią i przeciw niéj sprzymierzeńców, a Zygmunt Luxemburczyk umié z tego skorzystać.

Zdążyliśmy do kresu. W ciągu pierwszych lat sprawy husyckiéj, w których Polska najżywszy brała w niéj udział, spotkaliśmy dwa przeciwne programy, które ostro ścierają się z sobą, wydzierają sobie z rąk zwycięstwo, aż wreszcie jeden z nich sam w gruzy upada, ustępując z konieczności drugiemu miejsca. Świetny program Witołdów łatwo sobie serce zdobywa, chroni pobratymczych Czechów od oręża zagłady, dąży do zbratania się słowiańskich narodów, do skupienia sił słowiańskich przeciw wrogim żywiołom. Żałować nam, że ta świetna, dodatnia myśl Witołdowego programu była w XV wieku tylko piękną mrzonką, a ścisła logika dziejów dozwala po ich przestworze przesuwać się marzeniom politycznym, ale nie daje im oblec się w ciało rzeczywistości. Uczucia gorącéj sympatyi dla pobratymczego narodu nie mogły w Polsce obudzić się tak silnie, żeby przebić drogę programowi Witołda przez wszystkie olbrzymie trudności i zapory. Pierwszą nieprzełamaną zaporą była sprawa unii kościelnéj, na któréj gruncie Witołd podwaliny swego programu opierał; skoro pojednawcze jego usiłowania u jednéj i u drugiéj strony napotkały opór nieugięty, skoro ten grunt się usunął, musiał cały program runąć

w przepaść nicości. Gdyby zaś Witołd poszedł był inną drogą, która mu się sama nasuwała, gdyby był rzucił otwarcie katolicyzmowi rękawicę i pragnął wyzyskać tylko te punkta styczne, które zdawały się łączyć Husytyzm z cerkwią wschodnią, nie byłby również osiągnął celu. Nie mówić już o oporze, któryby mu w takim razie Polska stawiła, ale te wszystkie analogie między rewolucyjnym Husytyzmem a konserwatywną cerkwią wschodnią, tak łudzące w odległości stu mil, które Ruś od Czech dzieliły, byłyby się rozprysły jak bańki mydlane, przy istotném zbliżeniu; biskupi ruscy, którzy z niesmakiem wrócili z Konstancyi, nie byliby również zdołali się zgodzić z Prokopem Gołym, a dogmata staréj cerkwi wschodniéj nie mogłyby się zespolić z reformacyjnym pierwiastkiem Husytyzmu. Piękna mrzonka Witołda przyniosła Polsce tylko tę szkodę, jaka spaść musi na każde państwo z niedojrzałego porywu ku niedoścignym celom, wyrwała jéj z rąk te korzyści, które pod grozą ciężkiéj dla Zygmunta sytuacyi można było osiągnąć.

Utylitarny program Oleśnickiego byłby może zdołał odzyskać dla Polski ten Śląsk, na pół wprawdzie zniemczały, w którym jednak przytłumiony żywioł słowiański pod opieką polskich rządów mógł się odrodzić; skoro zaś korzystna dla téj myśli chwila minęła, zapewnił przynajmniéj Polsce bez nowéj wojny bezpieczne posiadanie zdobyczy meldzyńskiego traktatu. Jeśli zaś do głębszéj jego przewodniéj myśli sięgniemy, to kto na gruncie katolickim stoi, musi przyklasnąć bezwzględnie programowi Oleśnickiego i uczcić w nim zbawcę narodu. Skoro zresztą unia polityczna z pobratymczym narodem niemożliwą była wówczas rzeczą, to każdy musi przyznać, że Zbigniew, chroniąc Polskę od Husytyzmu, olbrzymią sobie zdobył zasługę. Anarchia, która trawiła Czechy, a tkwiła w rewolucyjnym,

socyalnym pierwiastku Husytyzmu, przeszczepiona na grunt polski, byłaby smutne wydać musiała owoce, kiedy młodzieńczéj Polsce trzeba było budować się i przeobrażać w państwo nowożytne. Z jakiegokolwiekby kto więc patrzał stanowiska na religijną stronę Husytyzmu, niechaj czołem uderzy przed Oleśnickim.

DODATEK.

Do napisania powyższego szkicu spowodowała mię przedewszystkiem praca p. Antoniego Prochaski, przytoczona powyżéj (str. 130), jak to na samym wstępie wyraźnie zaznaczyłem. Przeczytawszy tę pracę, miałem pierwotnie zamiar napisać o niéj recenzyą; spostrzegłem jednak, że odmienne moje zapatrywania wymagają obszerniejszego uzasadnienia i rozwinięcia, to zaś spowodowało mię do napisania odrębnéj rozprawy o tym samym przedmiocie, którą umieściłem w I tomie warszawskiego Ateneum z r. 1879. W rok potém ogłosił p. Prochaska artykuł polemiczny przeciw mojéj rozprawie, w zeszycie styczniowym lwowskiego Przewodnika naukowego i literackiego z r. 1880. Chcąc odpowiedzieć na ten artykuł, byłbym musiał uczynić to natychmiast, wówczas jednak powstrzymały mię od tego inne literackie zajęcia, od których nie mogłem się oderwać. Powtarzając jednak dawniejszą rozprawę prawie bez zmian *) w niniejszym szkicu, muszę odeprzeć zarzuty, w artykule polemicznym p. Prochaski zawarte.

---

*) Zmiany w niniejszéj redakcyi polegają tylko na nieznacznych i nielicznych uzupełnieniach według nowo wydanych źródeł, mianowicie p. Prochaski: Cod. diplom. Vitoldi.

Artykuł p. Prochaski składa się z dwóch części. W pierwszéj usiłuje zbić moje zapatrywania przytoczeniem rozmaitych wątpliwości, w drugiéj używa w tym celu „źródeł archiwalnych, dotychczas niepublikowanych“, jako najsilniejszego taranu, pod którego ciosem mają się w puch rozbić moje pomysły i spostrzeżenia.

W pierwszéj jednak i w drugiéj części wprowadza autor polemikę na drogę zupełnie niewłaściwą, podsuwając mi zapatrywania, do których zupełnie przyznać się nie mogę. Stało się to niezawodnie wskutek nieporozumienia, gdyż czego innego nie przypuszczam. Mimo to jednak nic w tym względzie nie zmieniłem w tekscie powyższego szkicu, odczytawszy go bowiem uważnie, nie spostrzegłem żadnych niejasności, w którychby można upatrywać powód takiego nieporozumienia.

P. Prochaska polemizuje ciągle z mojém jakoby twierdzeniem, że w Polsce były dwa stronnictwa w latach 1420 do 1423, jednemu zaś przywodził Jastrzębiec, a drugiemu Oleśnicki. Aby to twierdzenie obalić, powtarza po kilkakroć z naciskiem, że Oleśnicki był wówczas jeszcze tylko proboszczem kolegiaty św. Floryana i nawet w radzie koronnéj nie zasiadał, że zatém nie mógł być przywódcą stronnictwa.

Polemika ta zupełnie zbyteczna, gdyż ze stronnictwem Oleśnickiego nikt się nie spotka w powyższym szkicu, kto go uważnie przeczyta. Aż do zbytku może starałem się to wycieniować, że akcya polityczna Oleśnickiego w końcu r. 1421 była dopiero jego debiutem, że młody proboszcz kolegiaty św. Floryana stał dopiéro na pierwszym szczeblu świetnéj karyery; wspomniałem o względach króla i kanclerza, którym to wszystko zawdzięczał, pomimo młodego jeszcze wieku. Kanclerz Jastrzębiec był jego zwierzchnikiem w kancelaryi królewskiéj, dopóki w niéj pracował jako pro-

tonotaryusz, na co również nie omieszkałem zwracać uwagi. Jakże więc mógł być Oleśnicki przywódcą stronnictwa przeciw Jastrzębcowi?

Twierdziłem tylko, że Jastrzębiec był organem polityki Witołda, że wskutek tego na stanowisku kanclerza utrzymywał się tylko wpływem swego protektora, że płynąć musiał przeciw silnemu prądowi, który reprezentowali magnaci, przeważający swem znaczeniem w radzie koronnéj. Około Jastrzębca grupowali się tylko ludzie, związani z nim węzłami osobistemi, którzy przybyli bronić go do Łęczycy, (str. 194) przeważnie pewno jego klejnotnicy, oraz adherenci Witołda pomiędzy możniejszymi panami w radzie koronnéj. „Gdy się mówi o stronnictwie politycznem“, zarzuca mi p. Prochaska, „nie koniec na tém, że się wymienia głowę, trzebaby i o członkach coś powiedzieć.“ Otóż *ultra posse nemo tenetur*, co do mnie, rad już byłem, że w Zbigniewie z Brzezia i Januszu Tuliszkowskim dostrzegłem dwa przykłady owych możnych adherentów polityki kanclerza (str. 193). Było to bez wątpienia grono nieliczne, czego najlepszym dowodem ogólna niepopularność Jastrzębca. Z nieprzyjaciół jego składała się niezawodnie przeważna większość rady koronnéj, pomiędzy nimi zaś wymieniłem jako najwybitniejszych stanowiskiem lub zawziętością: Jana Tarnowskiego, Mikołaja Michałowskiego, Piotra Szafrańca, Bartosza z Charbinowic i Wojciecha Malskiego. Dwaj pierwsi należeli już wówczas do najznamienitszych dygnitarzy, Szafraniec i Malski wznieśli się w następnych latach do najwyższych dostojeństw.

Oleśnicki stał wówczas jeszcze zupełnie na uboczu. Dopiero w poselstwie do Zygmunta, w jesieni r. 1421, udało mu się od razu wydobyć na wierzch rozwinięciem samodzielnéj a genialnéj akcyi politycznéj. Nie staje przez to jeszcze Oleśnicki na czele stronnictwa, ale jego program

polityczny ściera się ostro z programem Witołda, zjednywa sobie licznych zwolenników wśród panów rady koronnéj, od dawna Witołdowi niechętnych, i chwilowo odnosi zwycięstwo nad myślą polityczną Witołda, ale niebawem Witołd odzyskuje przewagę i programowi Zbigniewa zadaje cios stanowczy. Po klęsce, któréj późniéj doznały zamysły Witołda, nie dziw, że Oleśnicki znów występuje na widownię, jako pierwszorzędny statysta, a wsparty przez możnych panów, których uwagę na siebie zwrócił, przy pierwszéj sposobności osiąga tak wpływowe w państwie stanowisko, jakiém była stolica biskupia w Krakowie. Odtąd dopiéro coraz więcéj wpływowych dygnitarzy grupuje się koło niego, powstaje zawiązek prawdziwego Zbigniewowego stronnictwa. Dzieje się to po roku 1423, są to więc rzeczy, które nie wchodzą w zakres niniejszego szkicu. Nawiasem tylko nadmienić wypada, że Zbigniew przez długie jeszcze lata staczać miał ciężkie zapasy, zanim doszedł do szczytu potęgi w r. 1439. Nie wszyscy, którzy byli przeciwnikami Widołda w czasie układów o unią z Czechami, nie wszyscy przeszli do obozu Oleśnickiego, gdyż program jego polityczny obejmował wiele punktów, na które nie wszyscy zgodzić się mogli, a nadto osobiste względy ważną tu odgrywały rolę. Nie tutaj miejsce rzecz tę bliżej rozwijać, tu stwierdzam tylko, że o stronnictwie Oleśnickiego można dopiéro mówić po roku 1423, kiedy po upadku Jastrzębca stosunki te zupełnie inną przybrały postać.

Wyjaśniając to nieporozumienie, załatwiamy się tém samém z wieloma zarzutami i wątpliwościami, które zawiera pierwsza część polemicznego artykułu p. Prochaski.

Wątpliwą to również wydaje się p. Prochasce rzeczą, czy Jastrzębiec był organem Witołdowéj polityki w Polsce. Słusznie stwierdza p. P., że spostrzeżenie to jest podstawą, na któréj opiera się cała konstrukcya powyższego szkicu.

Otóż ta podstawa jest bez wątpienia tak silnym fundamentem, że na niéj śmiało można budować. Nie mamy wprawdzie dokumentu, w którymby Jastrzębiec przyjmował wobec Witołda ściśle określone zobowiązania, gdybyśmy jednak potrzebowali koniecznie takich dokumentów do odgadnienia stanowiska historycznych postaci w dziejach naszych XV wieku, należałoby podobno w ogóle o historycznéj konstrukcyi zrozpaczyć. Wszystkie okoliczności, zestawione powyżéj na str. 177, przemawiają za tém tak wymownie, że chcąc bronić tego twierdzenia, musiałbym chyba powtórzyć tutaj te wszystkie ustępy powyższego szkicu.

Przyznaje wreszcie p. Prochaska, że tak być mogło, nie pojmuje jednak, dla czego Zbigniew miał być wrogiem Witołda. Na to dosyć jest zdać sobie tylko sprawę z całego zawodu politycznego tych obydwu ludzi, aby przyznać, że na przeciwnych stali biegunach. P. Prochaska jednak uważa to w ogóle za zbyteczne, wniknąć w dążności najwybitniejszych postaci historycznych, których dziejami się zajmuje. Nie pojmuje również p. Prochaska, dla czego po upadku sprawy Korybuta w Czechach „upadła partya Witołdowa a Oleśnicki został zwycięscą“. Jest to zaś rzecz tak prosta, że prostszéj sobie wyobrazić nie mogę. Witołd chwyta się z zapałem unii z Czechami, przyjmuje czeską koronę i wysyła Korybuta do Czech jako namiestnika. Oleśnicki zmierza do tego, żeby pogodzić się z Zygmuntem, pomagać mu do zgniecenia Czechów, a nabyciem Śląska powetować sobie wyrzeczenie się korzyści politycznéj, które z unii czeskiéj miały wyniknąć. Jeśli to nie wystarcza do stwierdzenia, że Zbigniew był (nie wrogiem, lecz) stanowczym przeciwnikiem politycznym Witołda, to już w istocie nie wiem, co może być wskazówką w odkrywaniu tak wybitnych prądów przeciwnych. Gdy zaś Witołdowe zamysły rozbiły się o stek nieprzepartych trudności, gdy ta porażka stała się

jawną i widoczną, gdy pieczęć kanclerska z rąk wiernego Witołdowi Jastrzębca dostała się Szafrańcowi, członkowi rodu, który mu zawsze był nieprzychylny, gdy równocześnie Zbigniew zajął wpływowe stanowisko krakowskiego biskupa: cóż to znaczy innego, jak że partya Witołdowa upadła, a Oleśnicki zwyciężył.

Według p. Prochaski, Witołd dał się tylko użyć za płaszczyk Husytofilskiéj polityki, dopóki mu to było potrzebném w stosunkach z Krzyżakami i Zygmuntem. Dowodzić ma tego ta okoliczność, że od r. 1423 Witołd odwraca się ponownie od Czechów, a w Polsce i późniéj jeszcze odzywają się echa Husyckich sympatyj. Co do Polski, musimy tylko przypomnieć, że cały drugi rozdział poświęciliśmy rozbiorowi kwestyi, o ile sympatye Husyckie mogły w Polsce znaleść grunt przyjazny. Nie będziemy się zatem dziwili, że ze zwrotem w polityce zewnętrznéj sympatye te nie mogły ustać od razu. Inna rzecz z Witołdem. U niego nie sympatya była sprężyną polityki Husytofilskiéj, ale polityczna rachuba. Unia z Czechami wydawała mu się pomostem do urzeczywistnie planów, do których spełnienia przez całe życie dążył wszystkiemi siłami. Skoro spostrzegł, że go ta rachuba omyliła, że unia czeska, jak ją w r. 1421 i 1422 pojmował, była mrzonką nie do urzeczywistnienia, skoro go projekt téj unii w dalszych swych następstwach przywiódł do ciężkiéj politycznéj porażki, cóż dziwnego, że się od Czechów odwrócił stanowczo. Było to właściwością elastycznéj natury Witołda, że względem dawnych sprzymierzeńców i przyjaciół, gdy się stosunki zmieniły, stawał się wrogiem zawziętym; całe dzieje jego stwierdzają fakt ten po tyle razy. Gdy plan unii rozbił się o nieprzeparte trudności, a pokój meldzyński powetował porażkę polityczną, poniesioną wskutek wrocławskiego wyroku, Witołd zapomniał rychło urazę ku Zygmuntowi, a od traktatu kezmarskiego

począł znów zbliżać się do niego coraz więcéj, wiązać się ściśléj, niż przed wrocławskim wyrokiem. Cóż więc dziwnego, że w latach późniejszych, jako sprzymierzeniec Zygmunta, nastaje ostro na Husytów, i to tém gwałtowniéj, jeśli polityka polskiéj korony, któréj ster w ręku jego przeciwników spoczywał, z rachuby politycznéj, z antagonizmu ku Zygmuntowi powtórnie zbliża się do Czechów. Już wówczas jednak o unii z Czechami nie ma zupełnie mowy, w drugiéj fazie polityki polskiéj wobec Husytów działają tylko dwie sprężyny: antagonizm względem Zygmunta i myśl użycia znakomitych wojsk husyckich w wojnie z Krzyżakami.

Uwagi te wystarczą do odparcia zarzutów, ktoremi p. Prochaska usiłował zbić moje twierdzenia w drugiéj części swego artykułu. Z tych nowych bowiem, niepublikowanych źródeł, które p. Prochaska przytacza, wynika tylko, że Witołd sprzeciwia się stanowczo w r. 1429 Husytofilskiéj polityce, którą ówczesny kanclerz polski, Jan Szafraniec, zamyślał na nowo inaugurować. Dla czego? — staraliśmy się właśnie wytłómaczyć; dodamy tu tylko, że to się działo w kilka miesięcy po zjeździe łuckim, kiedy Witołd jak najściśléj związał się z Zygmuntem.

Z tych nowych źródeł dowiadujemy się zarazem, jak zawziętymi, nieprzejednanymi wrogami Witołda byli Szafrańce. P. Prochaska spostrzegł to dopiéro po odkryciu tych źródeł, ja zaś, nie znając ich zgoła, jeszcze w rok przed tém zaliczyłem Piotra Szafrańca do najzawziętszych wrogów Witołda i Jastrzębca i motywa téj nienawiści starałem się jasno uzasadnić (ob. wyżéj str. 192).

Przeciwnikami Witołda — rozumuje p. Prochaska — byli w Polsce Szafrańce, którzy w r. 1429 popierali myśl przymierza z Czechami. Oleśnicki, gorliwy katolik, był przeciwnym temu przymierzu z kacerskim narodem, a więc jako

przewodnik Szafrańców, nie mógł (nietylko w r. 1429, ale i w latach 1420—23!) być przeciwnikiem Witołdą!

Dziwne to zaiste pojęcie o ścieraniu się politycznych prądów i stronnictw, jak gdyby walka tych prądów była pojedynkiem dwóch tylko nieprzyjaciół. Musi to być przecież wiadomém p. Prochasce, że Oleśnicki był również i w ostatnich latach Witołda stanowczym jego przeciwnikiem, co bynajmniéj nie przeszkadzało, że równocześnie z Szafrańcami ostro się ściérał. Między Polską a Witołdem rozwarła się wówczas przepaść, w stanowisku zatém wobec Witołda nie było różnicy między Oleśnickim a przeciwną mu partyą, w któréj tak wybitne miejsce zajmowali Szafrańce. Był to właśnie czas téj walki, o któréj wspomniałem powyżéj, w któréj Zbigniew zwolna coraz większy wpływ sobie zdobywał, ale często jeszcze przez swoich przeciwników pokonywany, z czasem dopiéro, gdy wszystkie znaczniejsze dostojeństwa zajęli jego adherenci, zapanował wszechwładnie i w swoje ręce ujął ster rządów.

Wszystko to znów wykracza po za zakres powyższego szkicu. Dotknąłem tylko téj kwestyi, żeby stwierdzić, że te nowe źródła, których amunicya miała obalić do reszty moje twierdzenia, bynajmniéj przeciw nim nie przemawiają. Przeciwnie, jeśli z nich wynika ów zawzięty antagonizm Szafrańców wobec Witołda, jest to tylko potwierdzeniem moich spostrzeżeń.

W ogóle w całéj téj polemice z p. Prochaską nie chodzi bynajmniéj o fakta, ale o ich wytłómaczenie i ugrupowanie. Faktem jest, że Witołd chwycił się gorąco projektu unii czeskiéj, przyjął ofiarowaną koronę, wysłał do Czech Korybuta dla objęcia rządów w swojém imieniu; wdając się zarazem gorliwoie w rokowania z stolicą apostolską i z Husytami w sprawie unii kościelnéj. Obydwaj stwier-

dzamy te fakta, a różnimy się tylko w ich wytłómaczeniu i umotywowaniu.

Otóż zdarza się to nieraz w życiu potocznem, że ktoś miałby ochotę zająć się jakąś sprawą, ale wstrzymują go od tego rozmaite względy. Wyszuka sobie zatém brata lub przyjaciela, który się temi względami nie potrzebuje krępować, wysuwa go jako osobę działającą na widok publiczny i pod osłoną téj obcéj firmy bezpiecznie przystępuje do dzieła.

Tak wyobraża sobie p. Prochaska stanowisko Polski i Witołda wobec Husytów w latach 1420—23: Witołd służy za płaszczyk Jagielle i polityce polskiéj. Jest to nawet wyrażenie, którego p. Prochaska po kilkakroć z upodobaniem używa.

Jeśli źródła mają rozstrzygnąć, kto z nas ma słuszność, trudno zaprawdę oczekiwać tego wyroku. Musielibyśmy chyba odszukać pamiętnik Witołda w rodzaju wydanych niedawno pamiętników Metternicha, w którychby książę litewski zwierzał się z swych planów i zamysłów, z genezy ich i rozwoju. Co prawda, i w takim razie nie mielibyśmy jeszcze pewnéj rękojmii, czy autobiograf szczérą prawdę napisał. Skoro zaś nie ma nadziei, żeby kiedykolwiek udało się odkryć pomnik tego rodzaju, jakichże środków musi się chwytać praca historyczna, żeby zdać sobie sprawę z motywów Witołdowéj polityki. Oto z dziejów Witołda odtworzy sobie jego charakterystykę, z obfitego materyału faktów wysnuje zasadnicze zarysy jego dążności, rozpozna cele, do których polityka jego zmierzała, i zastanowi się nad tém rozważnie, jaki związek organiczny mógł zachodzić pomiędzy postępowaniem jego w sprawie Husyckiéj a ogólnym systemem tych dążności i celów. Tą drogą poszedłem i w ten sposób starałem się wytłómaczyć politykę Witołda. Stąd wynika różnica między mojemi a p. Prochaski zapa-

trywaniami. P. Prochaska bowiem nie kusi się w ogóle bynajmniéj o odtworzenie charakterystyki historycznych indywidualności, nie zdaje sobie sprawy z ścierania się przeciwnych prądów, chociaż je dostrzedz tak łatwo, nie motywuje czyjegoś postępowania organicznym związkiem między rozmaitemi krokami jakiéjś osobistości, a ogólnym systemem jéj zamysłów i celów; stwierdza tylko fakta i szuka motywów w pomysłach tego rodzaju, jak owa firma fałszywa, którą dał Witołd Husytofilskiéj polityce Jagiełły. Komu takie motywa wystarczą, napróżno starałbym się go przekonać, że niewłaściwie pojmuje Witołda.

Polemikę z p. Prochaską uważałem sobie za obowiązek, od którego trudno było mi się usunąć, skoro pomimo jego zarzutów oddaję po raz drugi szkic powyższy w ręce czytającéj publiczności. Szkic ten doznał jednak również silnych zarzutów od innego jeszcze historyka, który niezawodnie jak mało kto ma prawo zabiérać głos w téj kwestyi, od p. Jakóba Caro. Mógłbym wprawdzie te zarzuty pominąć, gdyż ich p. Caro publicznie nie ogłosił; mnie tylko są one znane z korespondencyi prywatnéj, którą prowadziliśmy w tym przedmiocie. Już wówczas jednak zapowiedziałem panu Caro, że przy nowém ogłoszeniu tego szkicu pragnąłbym liczyć się z jego zarzutami, skoro zaś przeciw temu bynajmniéj się nie zastrzegł, czynię to tém śmieléj, że zarazem daję tém dowód, jaką wagę przywiązuję do jego zdania.

Otóż pisze mi p. Caro: *Sie haben eine richtige Vorstellung von dem Geschichtsvorgang, so gewiss, als die Prochaska's falsch und unrichtig ist. Aber ich kann mir nicht helfen: Sie haben insoweit eine richtige Vorstellung und ein tiefgreifendes Verständniss von der verschlungenen Sachlage, als Sie — mich*

zwar ergänzend, vervollständigend, mannigfach berichtigend, mit mir übereinstimmen, und ich muss es aufrecht erhalten, dass Ihre Vorstellung von dem richtigen und logischen Wege abweicht, wo Sie von mir differiren, wobei ich natürlicherweise nicht die kleinen untergeordneten Differenzpuncte im Auge habe. Es sind namentlich drei Puncte, in denen ich Ihnen unter keinem Umstande beipflichten kann.

1) Der erste bezieht sich auf die Methode in der Behandlung des Długosz. Sie glauben ihm alles, wo nicht der Gegenbeweis geführt wird, und ich glaube ihm nichts, was nicht durch andere Quellen erhärtet wird.“ Wychodziłoby to na wyrok Omara, wskutek którego cały prawie Długosz mógłby bez szkody dla historyi pójść na spalenie. Przeciw temu zaś sam p. Caro z pewnością założyłby *veto*, co jest najlepszą ilustracyą przesady, któréj się w tém wyrażeniu dopuścił. I ja wreszcie nie wierzę bynajmniéj Długoszowi we wszystkiem, gdzie mu się inne źródła wyraźnie nie sprzeciwiają. Jak zaś zdaniem mojem oceniać należy metodę Długosza i w jaki sposób z niego korzystać, tego nie potrzebuję szerzéj wyjaśniać, odsyłając łaskawego czytelnika do szkicu o Długoszu na str. 118 i następ. téj książki.

2) Der zweite Punkt meiner Einwendungen betrifft Ihre angebliche grosse Combination Zbygniew Oleśnicki's, die sich der Combination Witołds entgegensetzt. Ganz grad herausgesagt: daran ist nicht eine Silbe wahr. Surowy ten wyrok motywuje p. Caro następującemi dwoma argumentami:

a) Dass Zb. auch überhaupt einen selbständigen Plan auf's Tapet gebracht hat, ist nicht einmal von Długosz behauptet worden; er sagt doch nur, Zb. sei als Gesandter zu Sigismund gegangen. Na ten zarzut odpowiada przyp. 64. w niniejszéj redakcyi tego szkicu. Rozszerzyłem go umyślnie dla tego, że mi zarzut p. Caro zwrócił uwagę na potrzebę

bliższego uzasadnienia rzeczy, która mi się zrazu zupełnie prostą i jasną wydawała.

b) Aus der Registratur Sigismunds wird sich ja vielleicht einige Aufklärung über diese Sache ergeben, aber jedenfalls nicht, dass Sigismund der Krone Polen Schlesien angeboten hat, denn das konnte er einfach nicht. Długosz und Sie reden von Schlesien, wie in der Zeit Maria Theresias. Gab es denn damals ein Schlesien? War es nicht ein Complex von Herzogthümern, die ganz souveräne Bündnisse mit fremden Fürsten eingiengen, und Freistädten, die sich das polnische Regiment noch weniger als das des Podiebrad gefallen lassen haben würden? Und Schlesien war als Theil der böhmischen Krone Reichsland, also an sich inaliénable. Samo sformułowanie tego zarzutu wyręcza mię prawie od odpowiedzi. Rozumiem, żebym j a mógł dopuścić się tak rażącego anachronizmu w pojmowaniu stosunków Śląska za czasów Oleśnickiego; nie byłoby nawet w tém nic tak dziwnego, gdybym jako profesor austryackiéj historyi miał przed oczyma Śląsk z czasów Maryi Teresy. Skąd jednak mógł biedny Długosz stać się współwinnym téj zbrodni, przeczuwając dziwną intuicyą stosunki, które dopiéro w trzy wieki po nim nastały, tego doprawdy nie rozumiem. Nie sprzeczam się o to, czy projekt odstąpienia Śląska był łatwym do urzeczywistnienia, jakkolwiek mogę sobie wyobrazić księstwa śląskie w podobnym stosunku do Polski, jak Mazowsze; i o ziemiach Zakonu utrzymywano późniéj, że jako część składowa Rzeszy były *inaliénables*, a jednak mimo to dostały się pod polskie panowanie. Możnaby wreszcie zarzucić, że cały projekt był mrzonką, o czém jeszcze niejedno dałoby się powiedzieć; dokładne jednak opowiadanie Długosza, poparte świadectwem Windecka, starczy mi zupełnie na dowód, że zarzut p. Caro przeciw pojawieniu się takiego projektu jest zupełnie bezzasadny.

3) W końcu zarzuca mi p. Caro, że nie uwzględniam stanowiska, jakie wobec całéj téj sprawy zajmowała polityka brandenburska. Zarzut ten wypowiada zupełnie ogólnie, dodając tylko, że dokładne sformułowanie jego wymagałoby prawie osobnéj rozprawy. Niech mi więc będzie wolno odpowiedzieć także ogólnie, że pragnę w najbliższym czasie zająć się obszerniejszém opracowaniem tego ważnego przedmiotu, a mam nadzieję, że rozbiór stanowiska pierwszych Hohenzollernów brandenburskich wobec polskiéj korony będzie wprawdzie uzupełnieniem niniejszego szkicu, ale da się zupełnie pogodzić z jego wynikami.

PRZYPISKI.

[1]) Obacz o tém Maurer: Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły str. 36.

[2]) Caro: Gesch. Polens. III 257—259. Dość przeczytać ten ustęp i porównać tekst z adnotacyami, żeby się dowodnie przekonać, jaka jest wartość historyczna tego romansu D-ra Caro. Jestto ciekawy okaz patologiczny, wskazujący, dokąd zawiść namiętna ku pewnym postaciom historycznym w połączeniu z chorobliwą fantazyą może doprowadzić tak poważnego nawet pisarza.

[3]) Długosz: Hist. Pol. (wydanie Przezdzieckich) IV. 4.

[4]) Palacky: Documenta Mag. Joannis Hus vitam illustrantia 506.

[5]) Porównaj Helcla: Badania w przedmiocie dziesięcin kościelnych w Polsce: Biblioteka Warszawska r. 1863, tom III. str. 1—55.

[6]) Bobrzyński: Uchwały zjazdu piotrkowskiego z r. 1406 oraz takiegoż zjazdu z r. 1407, w tomie I Rozpraw i Sprawozdań wydz. fil. hist. Akademii Umiejętności str. 111.

[7]) Tamże str. 114.

[8]) Kętrzyński i Smolka: Kodex dyplomatyczny klasztoru tynieckiego, 195.

[9]) Przykłady kilku takich procesów zawiera przytoczony powyżéj Kodeks tyniecki. Szczególnie na uwagę zasługuje głośny proces klasztoru tynieckiego z kilkoma znamienitymi oby-

watelami ziemi krakowskiéj i sandomirskiéj o rozmaite wsie w okolicy Brzostka. Rzecz ta musiała zakończyć się ostatecznie jakimś kompromisem, skoro niektóre z tych wsi spornych, jak to widać z Liber beneficiorum Długosza, były w drugiéj połowie XV w. własnością klasztoru, inne zaś do niego już nie należały.

[10]) Starodawne prawa polskiego pomniki tom IV. ed. Heyzmann str. 200.

[11]) Bobrzyński: Uchwały zjazdu piotrkowskiego l. c. 115.

[12]) Heyzmann: Starodawne prawa polskiego pomniki IV. 97.

[13]) Wszystko to oparte na statutach kościelnych, ogłoszonych w IV tomie Starodawnych prawa polskiego pomników.

[14]) Bobrzyński: Uchwały zjazdu piotrkowskiego l. c. 114. Starod. pr. pol. pomn. IV. 100.

[15]) Bobrzyński l. c. 121: Literae conspirationis dominorum secularium adversus spirituales.

[16]) Charakterystycznych przyczynków do illustracyi tych stosunków dostarczają zapiski sądowe, Helcel: Starod. pr. pol. pomn. II.

[17]) Palacky: Documenta Mag. Joannis Hus vitam illustratia 315.

[18]) Długosz: Hist. Pol. IV. 544.

[19]) Bielowski: Monumenta Poloniae hist. II. 863.

[20]) Palacky: Documenta Mag. Joannis Hus vitam illustratia 30, 506.

[21]) Przypuszcza to Prochaska l. c. VII. 176.

[22]) Prochaska l. c. VII, 214—227; por. charakterystykę stronnictw husyckich w dziele E. Denis: Huss et la guerre des Hussites. Paris, 1878 str. 265—295.

[23]) Ob. Caro: Gesch. Polens II. 496—508.

[24]) Anegdota zawarta w Vitae episcoporum Posnaniensium Długosza, dowodzi najlepiéj, w jakie barwy jaskrawe przyoblekała tę myśl tradycya XV wieku. Ojciec Jastrzębca, oddając go do szkół, odzywa się: „Oddaję cię synu mój nie w liczbę żaków ale biskupów; pamiętaj, abyś zostawszy bi-

skupem nie zapomniał o dzisiejszém ubóstwie naszém, w którém i mnie i matkę, braci i siostry twoje widzisz“. Porównaj Wiszniewskiego Hist. liter. pol. V. 20. O skarbach Jastrzębca i uposażeniu rodziny ob. Długosza Hist. Pol. t. IV, 539.

[25]) Mansi: Concil. ampl. coll. T. XXVI, 1091. Wzmianka Długosza, Hist. Pol. T. IV, 575, jakoby Jastrzębiec jako biskup poznański wysłał na sobór pizański swego zastępcę, musi być zatém pomyłką.

[26]) Na tę solidarność Jastrzębca z Witołdem piérwszy, o ile mi wiadomo, zwrócił uwagę szanowny mój kolega prof. Bobrzyński, w odczycie p. n. „Gniazdo Rytwiańskich,“ który miał w Krakowie w r. 1877, a którego dotychczas jeszcze drukiem nie ogłosił.

[27]) Por. powyżéj szkic p. t. Witołd pod Grunwaldem. Powtarzają się tu niektóre myśli, w szkicu powyższym zawarte; dla związku z całością niniejszego szkicu niepodobna było ich tutaj pominąć.

[28]) Caro: Geschichte Polens III. 551.

[29]) Akt unii horodelskiéj z roku 1413, Długosz: Hist. Pol. IV. 153.

[30]) Ob. wyżéj str. 49 nast.

[31]) Por. K. Stadnickiego: Koryatowicze, w VII tomie Rozpraw i Sprawozdań Wydz. hist. filozof. Akademii Umiejętności.

[32]) Usiłowania Witołda w sprawie unii kościelnéj objawiają się najwybitniéj podczas soboru konstancyjskiego. Od śmierci metropolity kijowsko-moskiewskiego Kipryana (um. 1406), który rezydował w Moskwie, stara się Witołd usilnie w Konstantynopolu o przywrócenie rezydencyi metropolitalnéj w Kijowie i osadzenie swego kandydata na godności metropolity. Skoro te usiłowania nie odnoszą skutku, zbiéra Witołd biskupów ruskich swego państwa na synodzie w Nowogródku i tutaj pod jego wpływem wypowiada synód posłuszeństwo Focyuszowi, następcy Kipryjana, a obiéra metropolitą Bułgara Jerzego Zemblaka, wznosząc tym sposobem podwaliny autonomicznego rusko-litewskiego kościoła (r. 1415). Niebawem potém

(r. 1418) wysyła Witołd Zemblaka wraz ze wszystkimi sufraganami na sobór do Konstancyi, dla rozpoczęcia rokowań o unią; po rychłém zaś zamknięciu soboru udaje się Zemblak w sprawie unii do Konstantynopola, w skutek czego w r. 1420 przybywa do Jagiełły i Witołda poselstwo bizantyńskiego dworu w celu dalszych w tym względzie rokowań. Ob. Caro: Gesch. Polens II. 439—444, Hefele: Conciliengeschichte VII 342, Caro: Liber cancellariae I. Nr. 72.

[33]) Caro: Gesch. Pol. III, 368, według listu Mistrza Inflanckiego do W. Mistrza (Bunge: Liv-Est-Kurlandisches Urkundenbuch IV. 798). Caro nie dostrzega jednak tego, że to musieli być ruscy biskupi i zaciéra w ten sposób najcharakterystyczniejszy rys tego faktu. Również nie poważyłbym się wraz z Dr. Caro wnosić z tego listu, że współcześnie podczas zjazdu szramowickiego odbył się kongres Witołda z Zygmuntem.

[34]) Kojałowicz: Hist. Lithuaniae II. 90. Por. Caro l. c.

[35]) Raczyński: Cod. dipl. Lithuaniae 159.

[36]) Długosz: Hist. Pol. IV. 146.

[37]) Długosz: Hist. Pol. IV. 258.

[38]) Ustęp ten wyjmuję z dokumentu Mikołaja Trąby, wydanego w Łęczycy 28 Lipca 1420; text dokumentu łaciński, oskarżenie i rota przysięgi po polsku. Dokument ten znalazł w oryginale Dr. Piekosiński w archiwum miejskiém krakowskiém i udzielił mi łaskawie jego kopii; wspomina go Gołębiowski, Panowanie Władysława Jagiełły 536 uw. 472. Cały przebieg łęczyckiego zjazdu opowiadam według tego dokumentu z uwzględnieniem Długosza, Hist. Pol. IV. 262.

Dokument ten, jako dotychczas drukiem nie ogłoszony, umieszczam tutaj w całości:

Nicolaus Dei gratia sancte Gneznensis ecclesie archiepiscopus et primas. Decet ut ea, que iudicialem coram nobis exploracionem habuerunt, illo future memorie testimonio comendentur, quo et iustitia iusti sit super eum et loquentium os obstruatur iniqua. Proinde ad universorum tam presentium quam posterorum notitiam deducimus per presentes, quod, cum die et loco inferius annotatis, nos una cum reverendis in Christo

patribus et dominis Jacobo Plocensi et Andrea Posnaniensi coepiscopis et fratribus nostris simul cum serenissimo principe et domino nostro domino Wladislao rege Poloniae, nec non et cum preclaris principibus dominis ducibus ac magnificis et ingenuis viris palatinis, castellanis et aliis proceribus nobilibusque ac maioribus regni Poloniae pro ordinandis et disponendis utiliter et salubriter rebus negotiisque ac statu ipsius regni convenissemus personaliter ad tractatus faciendos et parlamenta. Nonnulli ex nobilibus et proceribus eisdem et signanter Petrus Schaffranecz Cracoviensis, Barthosius Sandomiriensis et Albertus Malski Lanciciensis subcamerarii ac plures alii sub nominibus ac parte dicti serenissimi domini Wladislai regis nec non principum ac totius communitatis nobilium et populi regni predicti Polonie contra reverendum in Christo patrem dominum Albertum Jastrabecz episcopum Cracoviensem, cancellarium dicti regni Polonie coram nobis et coepiscopis ac domino rege prefatis, nec non Johanne Seniore et Allexandro preposito Gnesnensi Mazovie ducibus, aliisque principibus secularibus ac Cristino Cracoviensi castellano, nec non Johanne de Tarnow Cracoviensi, Sandywogio Poznaniensi, Nicolao Sandomiriensi, Jacobo Syradiensi, Nicolao Lanciciensi, Mathia Brestensi, Janussio Gnevkoviensi palatinis, Mosticio Posnaniensi, Michaele Sandomiriensi, Floriano Wisliciensi, Mathia Koth Naklensi, Georgio Bechoviensi Castellanis, nec non Paulo de Bogumilouicze Cracoviensi, Passcone Poznaniensi, Johanne Calisiensi, Petro Sandomiriensi, Petro Siradiensi, Prandotha Lanciciensi, Andrea Brestensi judicibus ac diversis aliis natu et dignitate maioribus regni Polonie, judicio et ad tractatus et parlamento huiusmodi presidentibus, per eos et verbum Clementis Wantrobka generalis procuratoris Cracoviensis, tamquam prolocutoris eorum proposuerunt cum querela in effectu in hunc modum, quod dictus dominus Albertus episcopus Cracoviensis et cancellarius regni dicto domino regi nec non corone ac communitati prefatis in et super infrascripto foret culpabilis et noxius articulo, videlicet, quia per ipsum et ex ipso suisque consiliis provenisset, quod contra conclusa et determi-

nata in pleno et communi prelatorum et baronum consilio cum dicto domino rege, non accersitis nec adhibitis ad id, prout accersiri et adhiberi presentesque adesse debebant, dictis dominis Johanne de Tarnow Cracoviensi et Nicolao Sandomiriensi palatinis, ad hoc per dictum consilium assignatis et deputatis, dictus dominus Wladislaus rex Polonie compromissum et inscriptionem fecit in illustrem principem dominum Sigismundum Romanorum et Hungarie regem, super terris, bonis, limitibus, et aliis ad regnum Polonie spectantibus et per magistrum et ordinem de Prussia invasis et occupatis et exinde [regno] predicto et corone Polonie dampnum . . . . dit et factum [est] quominus habuerint quadraginta milia sexagenarum grossorum et terras, que et quas magister et ordo predicti regno et corone eisdem per viam concordie offerebant . . . . . non rege cum exercitibus suis gentium armorum in campo constitutis et prosequentibus et repetentibus huiusmodi invasa et occupata per magistrum et ordinem antedictos, et alias in lingua polonica sub hiis verbis: Tego naczǫ szaluyemi ot krolija ij odewscheij koronij pospolstwa, kdisch krol ijechal do Koschicz seymowaczssije sskrolem Wangerskim ssanoka, tegdi wschitczi panowije, ktorzisch bili tamo, przikazali rzekǫcz, aczbi krol Wangerskij ktorego zapissu zǫdal ot naschego krolija, abisczego nigednǫ stronǫ nyeczynili przeswedzenya panow woijewod a naymǫ krakowskego ij Sandomirskego. Tusstij yechaw ijotpissalgess czterdzesczitissǫcz kop, czsosch ije krzizewniczi dawali nawoyne vbrodnicze ij ginne granicze krolewstwa, yegoschess nijemijal vczinicz yuschcodziless krolya ij wschitkǫ koronǫ pospolstwa. Super qua quidem querela dicto Clemente Wantrobka prolocutore nominibus, quibus [supra], instante et petente per nos et dominos alios superius nominatos ad respondendum cogi dictum dominum Albertum episcopum et cancellarium regni in judicio et coram judicibus . . . . . regni Polonie terrestribus. Nos post habitum cum dictis coepiscopis, rege, ducibus et natu maioribus nobis assidentibus, de super colloquium et tractatum, [prout de iure] debuimus, interloquendo pronunciavimus et declaravimus dictum

dominum Albertum episcopum et cancellarium in foro suo ecclesiastico fore et esse conveniendum, iudicandum et per eum coram nobis, tamquam iudice sibi competente, et non aliis super premissis in querela suprascripta respondendum fore et debere responderi. Tandem ipse dominus Albertus episcopus ad querelam huiusmodi respondit per verbum coram nobis in effectu, negando narrata, prout narrantur, fore vera, et dixit petita fieri non debere animo litem contestandi. Postque dicto Clemente Wantrobka, prolocutore, pro intentione sua in probationibus legitimis deficiente, nos communicato nichilominus cum prefatis dominis Jacobo Plocensi et Andrea Poznaniensi coepiscopis nostris et aliis doctoribus sacre theologie et juris canonici, viris peritis, ibidem nobiscum presentibus consilio, ipsi domino Alberto Episcopo ad innocentiam suam ostendendam super premissis detulimus iuramentum. Quia mox et in continenti tactis manualiter in pectore suo sacris pendentibus reliquiis, iuramentum, quod in omnibus et de omnibus in querela prescripta expressis a primo ad ultimum sit innocens et immunis, et quod in omnibus pure et fideliter dicto domino regi consuluit pro bono regni et corone, prestitit corporale et alias verbis polonicis sub hac forma: To czso mi dali vinǫ panovije ot krolija ij ot koroni pospolstwa, tegom wschego ot pirwego do poslednijego praw a ginako tego zapissa albo compromissam nijewidal, gedno ijakom gij zminuti przet krolem czedl ij oprawil. Tako mi bog pomozi, matka boza, sswyanthi krzisch yswijancza. Ex quibus dictum dominum Albertum episcopum declaravimus et per presentes declaramus ac iudicamus fuisse et esse in premissis innocentem et immunem, ac absolvimus ab inpeticione dicti Clementis Wantrobka et quorum nominibus proponebat super articulo suprascripto. In quorum testimonium presentes nostras literas fieri et nostri appensione sigilli mandavimus communiri. Actum et datum in castro Lanciciensi sabbato proximo post festum sancti Jacobi apostoli, que est vicesima octava dies mensis Julii, anno domini millesimo quadringentesimo vicesimo. Presentibus principibus, baronibus et nobilibus suprascriptis, nec non venerabilibus et circumspectis

viris dominis: Johenne Pella Cruschwiciensi preposito, Magistro Nicolao Peyser, sacre theologie professore, Sandomiriensi, Nicolao Philippi Kiczka Gneznensi archidiaconis, Wladislao Nicolai de Opporow decretorum doctoribus, Alberico Warschoviensi archidiacono, Petro de Kobylino decano Poznaniensi, Jaschcone Budkonis de Czechel et Przedwogio de Grandi cantore Wladislaviensi, canonicis Gneznensibus, Stanislao archidiacono, Mroczslao canonico Plocensibus, Stanislao Siradiensi, Adam Lanciciensi subiudicibus et aliis pluribus fide dignis.

[39]) Por. Długosz IV, 262; jak bliskie stosunki łączyły Janusza Tuliszkowskiego z dworem Luxemburgskim, świadczy delikatna misya, którą mu Jagiełło w r. 1419 powierzył, a któréj celem było załagodzenie małżeńskich sporów Zygmunta z Barbarą Cyllejską.

[40]) Ob. Raczyńskiego Codex diplomaticus Lithuaniae 237.

[41]) Ob. wyżéj przyp. 38. Quod pure et fideliter dicto domino regi consuluit pro bono regni et corone.

[42]) Długosz: Hist. Pol. IV. 263.

[43]) Długosz IV 266 i 271 pomięszał widocznie pierwsze poselstwo Prażan z drugiém. Pierwsze sprawował tylko sam Hynek; drugie było „legatio sollemnior quam ante missa fuerat," por. Prochaska l. c. VII. 234. Wiedział Długosz, że Hynek udał się z Wolborza do Witołda, wiedział o pobycie posłów czeskich w Niepołomicach, który się do drugiego poselstwa czeskiego niewątpliwie odnosił, a pomięszawszy obydwa poselstwa, osadził towarzyszy Hynka na rok przeszło cały w Niepołomicach. Tymczasem zdaje się, że podczas drugiego poselstwa Hynko pospieszył z odpowiedzią tymczasową, którą otrzymał w Woranach, do Pragi, inni zaś posłowie zaczekali w Niepołomicach na urzędową odpowiedź lubelskiego zjazdu. Na tym zjeździe bowiem według Długosza (Hist. Pol. IV. 274): Talis Bohemorum nuntiis, qui et ipsi ex Nyepolomicze pro responso sollicitaturi advenerant, responsio..... edita est. Wiedząc zaś zarazem, że na św. Marcin 1420 odbył się zjazd w Niepołomicach, na którym obradowano nad sprawą czeską, a sądząc, że wówczas w Niepołomicach posłowie czescy bawili.

ubarwił zapewne Długosz (Hist. Pol. IV 269) historyą tego zjazdu, ową fikcyjną odpowiedzią niepołomicką.

44) Prochaska l. c. VII. 246.

45) Tamże 249—255.

46) Długosz: Hist. Pol. IV. 246.

47) Mansi: Conciliorum amplissima collectio XXVII. 857.

48) Caro: Gesch. Polens II. 442, Hefele: Concilliengeschichte VII. 342.

49) Caro: Liber cancellariae I. Nr. 72. II. Nr. 137.

50) Długosz: Hist. Pol. IV. 271.

51) W odezwie magistrów praskich do Witołda z 12 Listopada 1421 (Caro: Liber cancell. II 104) spotykamy jakby odpowiedź na jego często niezawodnie powtarzane projekta „unii“: ex quibus universalis ecclesie unio et salus poterit evenire.

52) Tém imieniem ojca nazywają Zygmunta Korybutowicza najczęściéj źródła współczesne dla odróżnienia od Zygmunta Luxemburskiego.

53) Ob. Palacky: Urk. Beiträge zur Gesch. der Husitenkriege I. Nr. 94. Prochaska l. c. VII. 268 pisze o korespondencyi „Krakowian“ z Prażanami w tym względzie. List ogłoszony przez Palackiego nie jest jednak prawdopodobnie pismem „mieszczan krakowskich,“ zawiéra bowiem wiadomości, które właśnie świeżo przywiózł był z Litwy podskarbi koronny, a więc pochodzi zapewne od jakiejś osoby ze sfer możnowładczych. W odpowiedzi na tę wiadomość tytułują wreszcie Prażanie swego korespondenta krakowskiego: nobilis f a u t o r confidentissime.

54) Caro: Liber cancellariae II, 96. O poselstwie Wyszka Raczyńskiego ob. Prochaska: Cod. diplom. Witoldi Nr. 948. Układy worańskie pozostały dość długo tajemnicą, jak widać z aktu, świeżo ogłoszonego tamże Nr. 988. Jestto relacya szpiega Zakonu, który z wycieczki do Polski przybywszy do Torunia, donosi o tém W. Mistrzowi jako o wielkiéj nowości dopiero 20 Stycznia 1422.

[55]) Prochaska l. c. VII. 278. Por. Prochaska: Cod. diplom. Witoldi Nr. 948.

[56]) W Listopadzie 1420 jeszcze Zygmunt nic nie wie o rokowaniach Czechów z Jagiełłą, skoro go wzywa na pomoc przeciw Husytom, na co mu Jagiełło stanowczo odmowną daje odpowiedź. Ob. Cod. dipl. Witoldi Nr. 905, 906. Już na początku r. 1421 jednak, a więc jeszcze przed zawarciem układów worańskich doszły Zygmunta jakieś głuche wieści o związkach Jagiełły i Witołda z Husytami, jak o tém świadczą ówczesne jego listy do panów polskich i Fryderyka Brandeburskiego, ob. Caro: Liber cancellariae II. Nr. 108, i Palacky: Urk. Beiträge zur Gesch. der Hussitenkriege I. Nr. 66. W Lipcu 1421 już głuche te wieści przybrały — jak widać — wyraźniejszą postać; Zygmunt pisze wówczas (9 Lipca) do Witołda: Et quia semper habuistis bonum nomen, tamquam verus catholicus et christiane fidei strenuus propugnator, doleremus puro corde, quod jam vobis in provecta aetate constitutis, gloriosum nomen deberetis perdere, et famam vestram per adhesionem Wiclefistarum et hostium fidei denigrare. Ob. Cod. diplom. Witoldi Nr. 950. Jeszcze wówczas nawet nie miał Zygmunt o całéj sprawie dokładnych wiadomości, 20. Lipca bowiem prosił W. Mistrza, żeby się dowiedział o właściwych zamiarach Witołda względem Husytów, tamże Nr. 954, por. Nr. 955. Odpowiedź W. Mistrza (z 6 Sierpnia 1421) tamże Nr. 961. W. Mistrz obiecuje zasięgnąć wiadomości, nie sądzi jednak, żeby to było właściwą rzeczą, Witołda przez posłów wprost o to zapytywać. Dopiero pojmanie poselstwa przez Jana Raciborskiego (ob. wyżéj str. 219.) przekonało go, że wszystkie te obawy nie były płonne, ob. tamże Nr. 973 i 974 (listy Zygmunta z 8 Października 1491) a korespondencye, przejęte przez księcia raciborskiego, pouczyły go dokładnie, dokąd już sprawa była zaszła. — List elektorów do Jagiełły ob. Caro: Liber cancellariae II. Nr. 53.

[57]) Caro: Liber cancellariae II. Nr. 108.

[58]) Tamże Nr. 56, 57.

[59]) Grünhagen: Geschichtsquellen der Hussitenkriege Nr. 20.

[60]) Długosz: Hist. Pol. IV. 274.

[61]) Statuta Mikołaja Trąby z r. 1420 nowo wydane wraz z bulami Jana XXIII i Marcina V, w IV tomie Starodawnych prawa polskiego pomników, str. 173—258, a zwłaszcza 240—242.

[62]) Maurer: Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły 36.

[63]) Długosz: Hist. Pol. IV. 246 n.

[64]) Długosz: Hist. Pol. IV. 275—278, por. Windecka kron. Mencken: Scriptores rerum Germanicarum I. 1146. Prochaska (l. c. VIII. 15) broni słusznie wiarygodności opowiadania Długoszowego przeciw podejrzeniom Dra Caro (Geschichte Polens III. 525), tak, że w tym względzie nie mam tu nic dodać. Nie rozwija jednak Prochaska zupełnie programu Oleśnickiego i lekceważy sobie całą jego akcyą dyplomatyczną Czy to lekceważenie jest uzasadnione, pozostawiam to osądzeniu czytelników, stanowczo jednak zastrzedz się muszę przeciw takiemu traktowaniu textu Długosza, z jakiém się w tém miejscu w pracy Prochaski spotykamy. „Posłowie," pisze P., „wracają z szumnym projektem do Polski, zapewne jak powiada z przekąsem Długosz, większe ze swego poselstwa wystawiając skutki, aniżeli się spodziewali, ani rzeczywiście uzyskali". W uwadze zaś dodaje: „Słowa te Długosza są bardzo ważne, o ile, że są zarzutem przeciw Zbigniewowi Oleśnickiemu wymierzonym, który posłował wraz z Tarnowskim". Słowa te brzmią zaś rzeczywiście: „Qui (nuntii) Poloniam revertuntur, crassius gratiusque Regi suo Poloniae, quam speraverant, quamque expetierant, relaturi," — co znaczy po polsku: „Posłowie wracają do Polski, przynosząc królowi o ważniejszéj i milszéj rzeczy wiadomość, niźli się spodziewali, niż nawet sami żądali". — Że zaś posłowie polscy w propozycyach przedłożonych Zygmuntowi, rozwinęli samodzielną akcyą polityczną, po za właściwą instrukcyą poselską, lub nawet wbrew téj instrukcyi, wnoszę to z następujących powodów. Według Długosza odpowiedziano posłom czeskim na zjeździe lubelskim, że Jagiełło i Witołd wyprawią natychmiast posłów do Zygmunta z następującą misyą: 1) żeby z nim traktować o pogodzeniu Czechów z kościołem, 2) żeby go skłonić do zrzeczenia się

korony czeskiéj. Jakąkolwiek zaś Zygmunt da odpowiedź, non dubitabimus in fidei sanctae favorem et Regni vestri quietationem, vestrum Regnum acceptare, jeśli tylko unia Husytyzmu z kościołem przyjdzie do skutku. Nie mamy zgoła powodu podejrzywać tutaj Długosza, gdyż jest to właśnie jedyny ustęp, w którym mimo znanéj swojéj metody przemilczania, pisze tak wyraźnie o przyzwoleniu na unią z Czechami. Jakkolwiek zaś bez wątpienia nie pominięto na zjeździe lubelskim projektu unii Husytyzmu z kościołem (gdyż to była jedna z zasadniczych podstaw programu Witołdowego), możemy jednak sądzić, że w odpowiedzi téj nie domagano się tak ostro nawrócenia Husytów, jako przedwstępnego warunku. Znając Długosza, możemy śmiało przypuszczać, że w tym względzie dopuścił się przesady, aby zmyć z Polski zakałę łączenia się z Husytami. Na wszystkich poprzednich zjazdach zapadały uchwały, aby dać Czechom wymijającą odpowiedź; zjazd lubelski po raz pierwszy przychylił się do ich żądań. Możemy śmiało twierdzić, że był to skutek obecności Witołda na zjeździe lubelskim, gdyż Witołd już przed kilku miesiącami przyjął w Woranach stanowcze zobowiązania względem Czechów. Nie mając zaś zgoła powodu sądzić, że posłów czeskich na zjeździe lubelskim oszukano, musimy wnosić, że instrukcya poselska, dana Tarnowskiemu i Oleśnickiemu, obejmowała te dwa punkta, które wymieniono Czechom jako przedmiot ich misyi. Posłowie polscy natomiast oświadczyli wprawdzie Zygmuntowi, zgodnie z punktem 1., że Jagiełło pragnie Czechów pogodzić z kościołem, drugiego jednak, głównego punktu zgoła nie poruszyli. Nie domagali się zatem od Zygmunta odstąpienia czeskiéj korony, ale przeciwnie zobowiązali się imieniem Jagiełły do pomocy zbrojnéj przeciw husyckim Czechom, jeśli przystanie na projekt, który w tekście wyłuszczyliśmy dokładnie. Takiéj przecież instrukcyi otrzymać nie mogli właśnie w téj chwili, kiedy w polityce polskiéj zaszedł stanowczo zwrot, dla projektu unii czeskiéj pomyślny, kiedy zjazd lubelski przychylił się do tego projektu. Kombinacya zatem przymierza, zwróconego przeciw Krzyżakom zarówno i Husytom, kombinacya zawierająca w sobie ewentualną

myśl nabycia Śląska, musiała być samodzielnym pomysłem posłów, wbrew instrukcyi powziętym. Jeśli zaś rozważymy, komu inicyatywę w tym pomyśle przypisać należy, Oleśnickiemu czy Tarnowskiemu, nie będziemy się podobno długo wahali. Nieprzyjazne bezwzględnie stanowisko względem Czechów cechuje Oleśnickiego na każdym kroku w całym jego późniejszym zawodzie, zarówno jak myśl odzyskania Śląska, nad któréj urzeczywistnieniem, choćby tylko częściowem, późniéj tak gorąco pracował. Prowadzenie polityki na własną rękę, równie jak śmiałość pomysłów, to także cechy wybitne jego indywidualności. Możemy stąd wnosić, że Oleśnicki myśl taką powziął i skłonił do niéj Tarnowskiego. Był to jego debiut polityczny, krok śmiały tego rodzaju, że jeśli się uda, otwiera drogę do świetnéj od razu karyery, w przeciwnym zaś razie gubi dyplomatę. Oleśnickiemu się udało, gdyż wynik jego układów z Zygmuntem doczekał się uznania rady koronnéj; że zaś późniéj rzecz cała się rozbiła, było to następstwem okoliczności, których Oleśnicki nie zdołał odwrócić.

[65]) Długosz: Hist. Pol. IV. 279.

[66]) Korespondencya w sprawie raciborskiéj ob. Palackiego Urkundl. Beiträge I. Nr. 136, 138, 142, Grünhagena Geschichtsquellen der Hussitenkriege Nr. 20 i Prochaski Cod. dipl. Witoldi Nr. 969.

[67]) Prochaska l. c. VIII. 147.

[68]) Palacky: Urk. Beitr. I. Nr. 146.

[69]) Prochaska l. c. VIII 148.

[70]) Palacky: Urk. Beitr. I. Nr. 159.

[71]) Długosz: Hist. Pol. IV. 280. Dawniéj już pracował Zawisza nad pogodzeniem Zygmunta z Jagiełłą. Jeszcze bowiem w Czerwcu r. 1421 dowiedział się o tem W. Mistrz z listu Zygmunta, ob. Cod. dipl. Witoldi Nr. 944. Skoro więc powzięto myśl przymierza z Zygmuntem na podstawie preliminarzy tyrnawskich, powierzono tę misyą Zawiszy. O stosunkach Zawiszy z Zygmuntem por. tamże Nr. 986.

[72]) Długosz: Hist. Pol. IV. 278. 283.

[73]) Caro: Liber cancellariae II. Nr. 83.

[74]) Cod. dipl. Witoldi Nr. 988. Szpieg krzyżacki pisze W. Mistrzowi z Torunia, powróciwszy z wycieczki do Polski: Ouch wisse euwir grossmechtigkeith, das her Heymko, houptman von den Hussen unde ander behemische Herren domete unde der burgermeister von Pragow und czwene husische doctores geczogen sint durch Polan czu Wytowdo, unde haben mit en hundirt unde czwei und dreisik pferde unde mogen itczunt sien bei Wytowd. Ouch gnediger herre wisset, das der konig von Polan ein weip nimt in Littawen, unde itczundt hochczeit hot adir jo kurczlich wirt haben. O tém poselstwie i o rokowaniach z Czechami, które się toczyły w zimie z r. 1421 na 1422, podczas pobytu Jagiełły na Litwie, nadmienia także komtur dynaburski W. Mistrzowi, ob. tamże Nr. 982.

[75]) List Witołda do Marcina V z 5 Maja 1442, Palacky: Urkundl. Beiträge I. Nr. 172. Co do Jagiełły ob. list papieża do niego, tamże str. 206. O legacie Antonim Zenonie ob. Prochaska: Cod. dipl. Witoldi Nr. 966. Konrad biskup wrocławski donosi Zygmuntowi 5. Kwietnia 1442 r., „że u Witołda jest jakiś człowiek, mieniący się legatem papieskim, który twierdzi, iż ma pełnomocnictwo przywrócenia Husytów na łono wiary katolickiéj“ (das er sie wol ufnemen moge uf ein solichs, das er si zu dem cristenglouben brengen mochte). Biskup spisuje tu pogłoski, które mu przywiózł jego domownik Rzebkiewicz, przybywszy od Witołda. Taką to — jak widać — postać przybrały pogłoski o przychylném dla zamysłów Witołda usposobieniu legata.

[76]) List Marcina V do Witołda (z 18 Lutego lub 1 Marca 1422,) Caro: Lib. canc. II. Nr. 114. Jeśli zamiast „pridie“ czytać „pridem,“ w treści listu nie byłoby przeciw dacie jego żadnych zarzutów. „XXII. Kal. Mart.“ może być pomyłką za „XII. K. M.,“ lub też ta cyfra rzymska jest marginesowém rozwiązaniem daty „pontificatus anno quinto,“ które się do textu w niewłaściwe miejsce dostało.

[77]) Taka jest treść długich wywodów listu papieskiego z 21 Maja 1422, Caro: Liber cancell. II. Nr. 109.

[78]) Palacky: Urkundl. Beiträge I. Nr. 184. 187.

[79]) Prochaska l. c. VIII. 58. Według jego kombinacyi składało się wojsko Korybuta z 2500 jezdnych i może tyluż pieszych. W Styczniu 1422 Zakon otrzymał od szpiega swojego wiadomość, że Korybut wybiera się do Czech z siłą zbrojną 17000 jezdnych. Cod. dipl. Witoldi Nr. 988. List wypowiedni Korybuta, w którym Zygmuntowi w imieniu Witołda wypowiada wojnę, z datą: Krzyczów 16. Kwietnia 1422, tamże Nr. 998; Zygmunt otrzymał go 5 Maja, ob. tamże Nr. 1002. 25. Kwietnia był już Korybut na Morawach, ob. Palacky: Urkundl. Beiträge I. Nr. 177. 26. Kwietnia pisze W. Mistrzowi jakiś szpieg z Torunia, że król polski miał otrzymać listy wypowiednie od elektorów i książąt Rzeszy z pogróżką wojny, jeśli wspomagać będzie Czechów. Król tak mocno przeląkł się tych listów, iż zaraz posłał do Krakowa rozkaz, aby Korybut wrócił z drogi, jeśliby jeszcze nie wyruszył; było to jednak już za późno. Ob. Cod. dipl. Witoldi Nr. 1000. Jestto zapewne pogłoska o listach, o których wyżéj w przyp. 56. Krzyżakom jednak już w Styczniu 1442 było wiadomo, że niektórzy Polacy, nie czekając wyprawy Korybuta, na własną rękę (up er eigen eventuer) podążyli do Czech. Tamże Nr. 982.

[80]) Palacky: Urkundl. Beiträge Nr. 273.

[81]) Prochaska l. c. VIII 59—69, Denis: Huss et la guerre des Hussites 315 n.

[82]) Caro: Liber cancellariae I. Nr. 72. W liście tym prosi Jagiełło papiéża o upoważnienie arcybiskupa gnieźnieńskiego do rozgrzeszania heretyków, powracających na łono kościoła. Bulla papieska, zawiérająca to upoważnienie, ma datę 8 Września 1422 (Theiner: Monum. Polon. II. Nr. 31), list ten jest zatém wcześniejszy. Jagiełło nie wysłał go podczas wojny, a zatém zapewne niebawem po otrzymaniu listu Marcina V z 21 Maja.

[83]) Caro: Geschichte Polens III. 337—347.

[84]) Denis: Huss et la guerre des Hussites 317—320, Prochaska: l. c. VIII, 102—113.

[85]) Sokołowski: Projekt rozbioru Polski w wieku XV w I tomie Rozpraw i Sprawozdań Wydziału filozoficzno-history-

cznego Akademii Umiejętności str. 97 n. (według aktów w Grünhagena; Geschichtsquellen der Hussitenkriege). Nie mogę się jednak zgodzić z Sokołowskim i z Prochaską, który za nim idzie w pojmowaniu doniosłości tego projektu.

[86]) Grünhagen: Geschichtsquellen der Hussitenkriege str. 47.

[87]) Tamże str. 37.

[88]) Caro: Liber cancellariae II. 124.

[89]) Długosz: Hist. Pol. IV. 308.

[90]) Caro: Liber cancellariae II. 197.

[91]) Tamże 196.

[92]) Długosz: Hist. Pol. IV. 312, Dogiel: Cod. dipl. Pol. I. 52. Raczyński: Cod. dipl. Lithuan. 300.

[93]) Caro: Liber cancellariae I. XVII.

[94]) Jeszcze pod koniec r. 1422 wzywał Marcin V kategorycznie Jagiełłę, żeby Korybuta z Czech odwołał. Caro: Liber cancell. II. Nr. 115.

[95]) Tamże Nr. 130.

[96]) Palacky: Urkundl. Beiträge I. Nr. 273.

[97]) Palacky: Urkundl. Beiträge I. Nr. 262, 264.

[98]) Ob. list Oleśnickiego do papieża. Caro: Lib. cancell. I. Nr. 49.

[99]) Caro: Liber cancellariae I. Nr. 17.

[100]) Helcel: Starodawne prawa polskiego pomniki. II. Nr. 1976.

[101]) List Jagiełły do Witołda, Caro: Lib. cancell. I. Nr. 8.

[102]) Volumina Legum I. 85, Caro: Liber cancell. I. Nr. 9.

[103]) W przytoczonym powyżéj liście Jagiełły (Caro: Lib. canc. I. Nr. 8) znajduje się następujący ustęp: „super dandis modo et ordine, quibus valeamus huic morbo pestifero heresis, qui proh dolor serpit in regno nostro, obviare“.

[104]) Caro: Liber cancellariae II. Nr. 124.

[105]) Długosz: Hist. Pol. IV. 310.

[106]) Caro: Liber cancellariae II. Nr. 125. Wiadomość, że kombinacyą tę ułożyli Witołd i Jagiełło, jest tylko pogłoską, która doszła do królowéj Zofii.

[107]) Długosz: Hist. Pol. IV. 311.

SŁOWO O HISTORYI.

W dodatku do poprzedniego szkicu, w polemice z p. Prochaską, miałem sposobność stwierdzić, że różnice między jego a mojemi zapatrywaniami wynikają przeważnie z odmiennego stanowiska, z jakiego się zapatrujemy na zadanie i metodę pracy historycznéj. Nie wyjaśniłem bliżéj tego twierdzenia, zamierzając w niniejszym szkicu rozwinąć dokładniéj moje zapatrywania o pojęciu, zadaniu i stanowisku historyi. Sądzę, że każdy czytelnik, którego studya historyczne zajmują, zechce się razem ze mną zastanowić nad temi zagadnieniami, gdyż niejedno z nich zapewne sam już nieraz roztrząsał przy czytaniu prac historycznych.

Szkic niniejszy, na pół polemiczny, napisałem niebawem po ukazaniu się broszury p. Bobrzyńskiego, traktującéj o tym samym przedmiocie.*) Zastrzegając się przeciw niektórym twierdzeniom p. Bobrzyńskiego, nie poprzestałem na krytyce i polemicznych wywodach, ale starałem się rozwinąć organicznie moje myśli o pojęciu, zadaniu i stanowisku historyi. P. Bobrzyński odpowiedział mi wprawdzie, że między zapatrywaniami naszemi nie ma zasadniczéj róż-

---

*) W imię prawdy dziejowéj. Rzecz o zadaniu historyi i dzisiejszém jej stanowisku, z powodu głosów dziennikarskich o swojej książce „Dzieje Polski w zarysie“ skreślił Michał Bobrzyński. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1879.

nicy, jeśli usunniemy nieporozumienia, które stąd tylko wynikły, że w broszurze swojej nie określił dość jasno swego stanowiska w obec znanych i głośnych teoryj Buckle'a. Mimo tego wyjaśnienia jednak muszę to stwierdzić, że zapatrywania nasze w kilku najważniejszych kwestyach z zakresu historyozofii pogodzić się nie dadzą; sam p. Bobrzyński przyznaje przecież wyraźnie, że w kwestyi zasadniczéj zajmuje to samo stanowisko, co Buckle, jakkolwiek zastrzega się stanowczo przeciw „płonnym, nieudowodnionym wcale, excentrycznym hipotezom“ angielskiego historyozofa, które rzeczywiście z główną myślą jego teoryi w luźnym tylko bardzo są związku. Nietylko więc organiczną, ale i krytyczną część tego szkicu powtarzam tutaj prawie bez zmiany, tém bardziéj, że między niemi ścisła zachodzi łączność.

I.

Broszura p. Bobrzyńskiego i jego „Dzieje Polski w zarysie“.

W samym tytule broszury p. Bobrzyńskiego objawia się wyraźnie okolicznościowy jej charakter. Autor odpowiada w niéj na głosy dziennikarskie o pierwszém wydaniu swych „Dziejów Polski“, nie zbija jednak, nie rozbiera poszczególnych zarzutów, nie wymienia nawet wprost żadnéj recenzyi, lecz usiłuje wykazać, że źródłem przeważnéj części tych sądów jest właśnie nieznajomość „zadania historyi i dzisiejszego jéj stanowiska“. Wyjaśnienie tego przedmiotu jest więc celem pierwszéj części broszury, w drugiéj części stara się autor stwierdzić, że główne pociski tych dorywczych głosów dziennikarskich godzą właśnie przedewszystkiém w traktowanie przedmiotu, odpowiednie dzisiejszemu stanowisku historyi i jéj zadaniu. Odpierając

je zatém jako prosty wynik nieznajomości zasadniczych pojęć o naukowém stanowisku historyi, oświadcza zarazem, że z niecierpliwością oczekuje krytyki naukowéj, choćby najsurowszéj, od któréj spodziewa się uznania i stwierdzenia jednych, sprostowania innych wyników swéj książki.

Nie tutaj miejsce oceniać krytycznie książkę p. Bobrzyńskiego. W artykule niniejszym, do którego wspomniana broszura dała bezpośredni powód, będę miał wprawdzie sposobność dotknąć mimochodem niejednego szczegółu téj książki, ale krytyka jéj nie może być mojém zadaniem. To tylko muszę zaznaczyć, że zdaniem mojém w niepospolitéj téj książce odróżniać należy dwa odrębne zupełnie pierwiastki. Wiele złożonych w niéj poglądów jest wyrazem ogólnego i jednolitego sądu całego grona dzisiejszych naszych historyków czyli t. z. nowszéj szkoły naszéj historycznéj. Wiadoma to bowiem rzecz, że w ciągu ostatnich lat kilkunastu dokonał się w dziejopisarstwie naszém ważny przewrót, którego wyniki po największéj części nie dotarły jeszcze do szerszéj publiczności. Źródła dziejowe, wydobyte na jaw podczas kilku poprzednich lat dziesiątków, doczekały się w tym czasie skrzętnego rozpatrzenia i opracowania, z gorliwością rzucono się do wykrywania źródeł, i w ten sposób rozszerzył się niezmiernie zakres znajomości faktów, o których niedawno nikt jeszcze nie miał wyobrażenia. Przybyło wiele świeżych sił naukowych, wykształconych na gruncie ogólnego postępu nauki, w których ręku ten materyał, obficie nagromadzony i ciągle jeszcze wzrastający, coraz bujniejsze w monografiach historycznych zaczął wydawać i dotąd wydaje owoce. Umiejętna metoda w pracy historycznéj jest bowiem w ogóle dziełem kilku ostatnich lat dziesiątków; nasze dziejopisarstwo zaczęło ją sobie przyswajać, kiedy była jeszcze w kolebce, i żyło później przez czas dłuższy tradycyami tego słabego wpływu,

dopóki w ostatnich czasach świeży zastęp nowych pracowników nie wniósł do pracy nad naszemi dziejami metody wydoskonalonéj postępem nauki w ostatnich kilkudziesięciu latach. Nic téż dziwnego, że wskutek współdziałania tych czynników, pod wpływem bardziéj ożywionego ruchu na polu naszego dziejopisarstwa, wyrobiły się w cechu historycznym zapatrywania, na które godzą się niemal wszyscy do cechu należący, choć szersza publiczność nie miała jeszcze sposobności z niemi się zapoznać. Książka p. Bobrzyńskiego ma przedewszystkiém tę zasługę, że usiłuje stać się wyrazem tych zapatrywań, dobrym ich przewodnikiem w obec szerszego grona czytającéj publiczności. Ale nic na tém kończy się zasługa i wartość téj książki. Nikt nie zaprzeczy, że prócz tego pierwiastku dzieło p. Bobrzyńskiego zawiera wiele zapatrywań i poglądów, które są wyłączną własnością autora i, o ile się utrzymają, będą jego indywidualną zasługą, a w każdym razie on sam za nie jedynie odpowiada. Z ogólnym, zasadniczym poglądem, który się w całém dziele przebija, z tém wszystkiém, co jest wyrazem jednolitego sądu dzisiejszéj szkoły historycznéj, mają te zapatrywania to niezaprzeczone pokrewieństwo, że nie podobna im odmówić wspólnego źródła, którém jest niezaprzeczenie dzisiejszy kierunek, dzisiejsze stanowisko pracy dziejopisarskiéj. O tyle więc ma autor poniekąd prawo, niejako w imieniu obecnego stanowiska nauki, w imieniu t. z. dzisiejszéj szkoły historycznéj, odpiérać niektóre pociski, które na książkę jego spadły z procy dorywczéj krytyki publicystycznéj. Jeśli mu zarzucają, że nie godzi się odsłaniać całéj nagiéj prawdy o naszéj przeszłości, jeśli domagają się od niego jakiejś bezwzględnéj, niemożliwéj bezstronności, którąby była tylko zupełną abdykacyą sądu historycznego, jeżeli zaczepiają myśl przewodnią całéj książki, która w braku silnéj, po-

trzebom państwa i społeczeństwa odpowiadającéj władzy rządowéj, upatruje główną przyczynę naszego upadku: to wszyscy towarzysze zawodu, choćby wielu zapatrywaniom autora niejedno mogli zarzucić, zgodzą się na to jednomyślnie, że takie pociski „w imię prawdy dziejowéj“ odeprzéć należy.

Czy jednak również wszyscy się zgodzą na owę lekcyą historyki, którą autor w broszurze swéj daje dziennikarstwu i publiczności, na ów wykład zasadniczych pojęć o „zadaniu historyi i dzisiejszém jéj stanowisku?“ Niejedno, co autor w tym przedmiocie powiada, uznamy za niewątpliwy wyraz ogólnego naszego przekonania, na zasadnicze jednak określenie zadania i pojęcia historyi, jak je p. Bobrzyński w swéj broszurze podaje, nietylko nie będzie zgody powszechnéj, jednomyślnéj, lecz w ogóle nawet wątpię, czy wielu znajdzie się w cechu sprzymierzeńców autora, którzyby się skupili pod wywieszonym przezeń sztandarem. Tém bardziéj należy to stwierdzić i nie ociągać się z krytyką tych zapatrywań, ponieważ autor w całéj broszurze w imieniu cechu niejako przemawia; gdyby się żaden głos w tym przedmiocie nie odezwał, byłoby to przyznać się milczeniem do solidarności z zapatrywaniami, których co najmniéj znaczna większość historyków stanowczo nie podziela. Jest to obowiązek względem publiczności, dla któréj p. Bobrzyński broszurę swą napisał, obowiązek, którego ja tém chętniéj się podejmuję, im goręcéj staję po stronie autora w obec owych pocisków krytyki publicystycznéj. Do nieomylności nikt nie rości sobie pretensyi, występując w szranki oczekuję zarzutów na moje wywody, w téj nadziei i w tém przekonaniu, że wszelki spór naukowy, prowadzony dla miłości prawdy i nauki, dla któréj każdy z przeciwników równie gorące żywi uczucia, może nie małe oddać usługi rozjaśnieniu kwestyi spornéj. Niejedno też za-

pewne, co w artykule tym wypadnie mi powiedzieć, będzie indywidualném mojém zapatrywaniem, samo ujęcie przedmiotu musi mieć na sobie piętno indywidualności autora, to tylko mogę oświadczyć, że będę starał się przedewszystkiém być wiernem echem tych zapatrywań, które według mego sądu i przekonania są wyrazem ogólnéj, panującéj w „cechu historycznym“ opinii.

Na samym wstępie muszę wreszcie odpowiedzieć naprzód na zarzut niekonsekwencyi, który mię łatwo spotkać może. Oto p. Bobrzyński w tym celu właśnie wyłuszcza swoję teoryą historyi, żeby ze stanowiska téj teoryi rozprawić się z głosami dziennikarskiemi; jakże więc można przyznać się, w najważniejszych przynajmniéj rzeczach, do solidarności z tą odprawą, czyniąc tym sposobem zadość wymaganiom obecnego stanowiska nauki, a zarazem najstanowczéj wypowiadać wojnę zasadniczym podstawom saméj teoryi? Na zarzut taki jedyną możemy dać odpowiedź, zwracając uwagę na częsty i dość pospolity stosunek między praktyką a teoryą. Nikt mi nie zaprzeczy, jeśli powiem, że autor „Dziejów Polski w zarysie“, „Ustawodawstwa nieszawskiego“ i innych tyle cenionych monografij jest reprezentantem, i to wybitnym u nas reprezentantem, obecnego kierunku i stanowiska nauki historycznéj. Najzupełniéj téż możemy się zgodzić na jego teoryą pracy historycznéj, mianowicie pracy badawczéj, co najwięcéj z niektóremi tylko zastrzeżeniami, słowem na to wszystko, co wypowiada w swojéj broszurze aż do téj chwili, kiedy przystępuje do wyłuszczenia swéj teoryi o pojęciu i zadaniu nauki historycznéj. Ta teorya nie jest zresztą rzeczą nową, choć w téj właśnie formie nie była może jeszcze ujęta i określona; wiemy dobrze, że zasadnicza jéj myśl liczy nie mało zwolenników, ale podobno grono ich uszczupla się coraz bardziéj, a najmniéj pewnie znajdziemy ich pomiędzy

historykami z zawodu. Niepodobna tutaj wykazać, jaką doniosłość praktyczną ma ta teorya w zastosowaniu, w pracy historycznéj, po ściślejszym dopiéro rozbiorze będziemy sobie mogli zdać z tego sprawę. Rzecz jasna wszakże, że jeśli samę teoryą za błąd uważamy, to zastosowanie jéj w pracy historycznéj musiałoby według naszego zapatrywania być źródłem niebezpiecznych dla właściwego zadania historyi zboczeń. Sam jednak autor „Dziejów Polski w zarysie“ jest dla nas dostatecznym i pocieszającym dowodem, że historyk, który dzielnie włada właściwą metodą naukową, pomimo teoryi, która go do owych zboczeń wiedzie, ma w téj metodzie talizman przeciw takim zboczeniom i pozostaje historykiem we właściwem tego słowa znaczeniu, choć według postulatów jego teoryi, historyk miałby inne do spełnienia zadanie.

Nie tylko polemika jednak jest celem tego artykułu. Występując przeciw teoryi p. Bobrzyńskiego, nie poprzestanę na ujemnych wynikach krytyki, lecz będę się starał również określić pojęcie i zadanie historyi, jak je według mego przekonania w obec dzisiejszego stanowiska nauki historycy pojmują. Dla pełniejszego rozwinięcia przedmiotu i dokładniejszego wycieniowania myśli zasadniczéj, przystąpię daléj do wyłuszczenia głównych zasad pracy dziejopisarskiéj, tj. krytyki i konstrukcyi historycznéj, w którym to przedmiocie nierównie łatwiéj będzie mi zgodzić się z autorem wspomnianéj broszury. Złoży się w ten sposób krótki i ogólny szkic głównych zasad historyki, którego przedmiot, spodziewam się, zasługiwać może o tyle na uwagę szerszéj publiczności, o ile ją w ogóle prace historyczne zajmują i stanowisko najpopularniejszéj niezaprzeczenie nauki nie jest dla niéj obojętném. Tak mało u nas o tym przedmiocie pisano, jedyną tylko przecież mamy o nim książkę, zapomnianą, nieczytywaną i w istocie przestarzałą

już historykę Lelewela [1]), że zaprawdę nie od rzeczy będzie poruszyć znów raz te zagadnienia, których objaśnienia i rozbioru, nie obojętna dla postępu historyi publiczność słusznie się może domagać.

II.

Poglądy p. Bobrzyńskiego i Buckle'a.

„Praca historyka", mówi p. Bobrzyński, „nie jest niczém inném jak zebraniem faktów dziejowych i zastosowaniem do nich wyników nauk społecznych i politycznych..." „Historya", polega na stwierdzeniu „i sprawdzeniu ogólnych prawd naukowych" (z zakresu umiejętności społecznych) „w dziejach każdego narodu". Żeby się zaś nie zdawało, że w ten sposób historya „nie przynosi nic nowego, a zatém nie ma żadnego posłannictwa i celu", w tych słowach określa autor bliżéj naukowe zadanie historyi:

„Nie jest przedewszystkiém dla nauki obojętną rzeczą, że prawo jakieś, postawione na podstawie całego szeregu zawsze w ten sposób powtarzających się zjawisk, stwierdzi się wybitnie i wyraźnie jeszcze na jednym przykładzie i daświadczeniu. Takie ogólne prawo rozpada się jednak na mnóstwo szczegółowych zasad, z których każda w pewnych się tylko warunkach objawia. Otóż w historyi różnych narodów powtarzają się często i sprawdzają jedne i też same ogólne zasady, ale ponieważ historya każdego narodu ma swoje odrębne w aściwości, i w pewnych, sobie tylko właściwych rozwija się warunkach, więc téż każda historya daje pole do wykrycia wielu drobniejszych praw, grupujących się około znanéj ogólnéj zasady. Jest téż w naukach społecznych i politycznych, jak w każdéj umieję-

tności wiele praw ważnych, nie zupełnie jeszcze sprawdzonych, są takie, które nie wyszły z obrębu mniéj lub więcéj uzasadnionych hipotez. Każda nowa historyczna praca o takie prawa potrąca, każda może się nie pomału do ich stwierdzenia i sprostowania przyczynić. Istnieją nakoniec w życiu politycznem i społecznem człowieka fakta, któreśmy już raz i drugi dostrzegli, ale których jeszcze dotychczas nie zdołaliśmy wyjaśnić, powiązać, ocenić i choćby pod pewne przypuszczalne prawa podciągnąć. Jakież to pole dla historyka do wynalezienia większéj ilości podobnych faktów i do rozwiązania nierozwikłanéj dotychczas zagadki. Pomiędzy nauką o społeczeństwie i państwie a historyą zachodzi więc jak najściślejszy związek: piérwsza toruje drogę i stanowi punkt wyjścia dla drugiéj, druga gromadzi dla piérwszéj nowe materyały, a nieraz ją wprost nowemi spostrzeżeniami zbogaca".

Dotknąwszy następnie praktycznego, polityczno-etycznego zadania historyi narodowéj w obec każdego danego narodu, kończy autor określenie pojęcia historyi następującemi słowy:

„Nie można tu nareszcie pominąć i tego mniemania, które obok powyższych dwóch celów, przyznaje nadto historyi trzeci cel samoistny. Historya sama przez się, tj. sam obraz przeszłości ma być i to umiejętnym celem. Mniemanie to atoli nie da się uzadnić. Przedmiot historyi oraz nauk społecznych i politycznych jest jeden i ten sam: życie towarzyskie człowieka, a cała treść historyi, wszystkie wykryte przez nią objawy i prawa rozwoju ludzkości, w naukach społecznych i politycznych w zupełności się mieszczą. Historya dostarczywszy tym naukom wszystkich swoich wyników, sama przez się nie może téż żadnego innego umiejętnego zadania posiadać".

Posłuchajmyż jeszcze, jak autor pojmuje zakres i znaczenie umiejętności „społecznych i politycznych“.

„Nauki to niezmiernie rozległe, a myliłby się wielce, ktoby je tylko za umiejętności prawnicze poczytał. Ich przedmiotem jest wszystko, co się składa na życie towarzyskie człowieka, a więc związki etyczne, prawne i polityczne, związki mające na celu rozwój społeczeństw i jednostki we wszystkich możebnych kierunkach. Nauki te nie są żadną apriorystyczną filozofią, ale są umiejętnością ścisłą, rozwijającą się systematycznie, postępującą krok za krokiem, stwierdzającą pojedyńcze zasady i prawa na drodze doświadczenia i indukcyi, stawiającą na podstawie tych praw dalsze hipotezy i pracującą nad ich rozwiązaniem. Znaczenie to umiejętne zdobyły one sobie dopiero w naszym wieku, kiedy do nich zastosowano metodę nauk ścisłych i przyrodniczych. Badają one przedewszystkiem, mianowicie za pomocą statystyki, obecne życie towarzyskie człowieka i jego wytwory, zarówno w szczegółach, jakoteż w całości i związku, a sięgając na téj podstawie w przeszłość, pytają się, czy w przechowanych nam objawach dawniejszego życia w historyi, prawa dzisiejszego rozwoju ludzkości nie znajdują potwierdzenia, rozwinięcia i większéj liczby przykładów, czy po pewnych faktach następowały zawsze jedne i te same skutki. Prawo takie rozwoju, widoczne dzisiaj, stwierdzone licznémi faktami w przeszłości, staje się umiejętnym pewnikiem“.

Pomimo zapewnienia, że to „nauki niezmiernie rozległe“, mogłaby jeszcze po przeczytaniu tego ustępu pozostawać niejaka wątpliwość co do zakresu pojęcia nauk społecznych. Nie powiada tu autor zupełnie jasno, co myśli o umiejętnościach społecznych w ściślejszém tego słowa znaczeniu, jako o umiejętnościach, których przedmiotem jest społeczeństwo, objawy życia i rozwoju społecznego,

tj. właśnie „związki, mające na celu rozwój społeczeństw i jednostek we wszystkich możebnych kierunkach“, czy też uważa je za system umiejętności, których zadaniem jest tłómaczyć wszystkie objawy życia ludzkości we wszelkich kierunkach, a więc zarówno w dziedzinie rozwoju intelektualnego i estetycznego, jak etycznego, politycznego, ekonomicznego itp., i sprowadzać te objawy do ogólnych praw życia i rozwoju ludzkości. Wątpliwość tę usuwa jednak inny ustęp broszury, tłómaczący wyraźnie, czego autor żąda od historyka. „Kreśląc przeszłość narodu“, mówi bowiem p. Bobrzyński, „musi historyk uwzględniać wszystkie tak różnorodne objawy jego życia, a więc obok stosunków politycznych i społecznych także i geografią, piśmiennictwo, obyczaje, religią, przemysł, handel, gospodarstwo i sztukę. Historyków, którzy to uwzględniali, mamy już wielu, mało jednak takich, którzy dla rzeczy umieli znaleść odpowiednią formę. Pospolicie opisuje się dziś jeszcze na początku wypadki, a następnie w osobnych rozdziałach kreśli się rozwój prawa, gospodarstwa, piśmiennictwa, obyczajów, sztuki. Jest to ze strony historyka w każdym razie nieporadność, lub co gorsza brak zrozumienia rzeczy. Przecież w rzeczywistości żadna ze stron życia narodu nie rozwijała się odrębnie, wszystkie były ze sobą nierozerwalnie splecione, wszystkie nawzajem zależały od siebie, ze wszystkich dopiéro razem wytwarzały się polityczne wypadki“. Jeśli więc historya ma być folwarkiem doświadczalnym, dla stwierdzania wykrytych już praw umiejętności społecznych, i odkrywania nowych, jeśli zaś uwzględniać ma zarówno wszelkie dziedziny życia ludzkości, „splecione ze sobą nierozerwalnie“ i tłómaczyć ich wzajemne na siebie oddziaływanie, to wniosek stąd naturalny, że przedmiotem nauk społecznych ma być życie ludzkości we wszystkich kierunkach, w najrozleglejszém znaczeniu, a celem ich od-

krywanie praw rządzących ludzkością, tak jak prawa fizyczne rządzą przyrodą.

Tak pojmuje p. Bobrzyński zakres, zadanie i znaczenie umiejętności społecznych i historyi. Nie będziemy się starali stwierdzić z kilku kart jego broszury, czy w zapatrywaniu swém na system praw, rządzących ludzkością, zbliża się do stanowiska socyologii Comte'a, jego statyki i dynamiki społecznéj, czy też fizyki społecznéj Queteleta, biologii Spencera lub fizyologii Schäfflego. Nie mamy prawa dopatrywać się w jego stanowisku eklektyczności, ani też samodzielności nie możemy mu przyznać, gdyż w ogóle nie podobna nam dokładnie zdać sobie sprawy z tego stanowiska. Słusznie tylko możemy mieć żal do autora, że wskazując tak stanowczo i jasno zadanie historyi, zupełną ciemnością pokrył podstawę, z któréj to zadanie wynika, i nie powiedział nic zgoła, co mamy sądzić o tych prawach ludzkością rządzących, które historya stwierdzać ma w dziejach.

Z tego już rozbioru teoryi p. Bobrzyńskiego łatwo stwierdzić jéj pokrewieństwo ze stanowiskiem Buckle'a. Nie sądzimy wprawdzie bynajmniéj, jakoby autor „Dziejów Polski“ podzielał wszystkie historyozoficzne zapatrywania angielskiego myśliciela, z luźnych, porozrzucanych po broszurze wzmianek o czynniku etycznym, możemy wnosić śmiało, że nie zgadza się z Buckle'm w sprawie t. z. praw moralnych i w negacyi ich rozwoju; w obec stanowiska, jakie p. Bobrzyński zajmuje w osądzaniu roli dziejowéj państwa i kościoła, stwierdzimy również na pewno, że nie podpisałby nigdy owéj teoryi Buckle'a o czterech zasadniczych prawach rozwoju i postępu ludzkości.[2]) Ale w określeniu zadania i pojęcia historyi jest pokrewieństwo wielkie i niezaprzeczone. Buckle tylko przyznaje historyi samodzielniejszy zakres działania, żąda od niéj odkrywania praw

rządzących ludzkością, nie sądząc, jakoby nauki społeczne w przeważnéj części już uporały się z tém zadaniem i jakby tylko należało je stwierdzać, prostować lub uzupełniać za pomocą pracy historycznéj. I to prawda jednak, że wyraża się z uznaniem np. o niektórych prawach fizyki społecznéj Queteleta i przyjmuje je bez zastrzeżeń. Różnica między teoryą angielskiego historyozofa a naszego autora jest więc tylko, że się tak wyrażę, ilościową i polega przedewszystkiém na korzystniejszém wyobrażeniu naszego historyka o wynikach dogmatycznych umiejętności społecznych. W istocie rzeczy stanął jednak p. Bobrzyński na stanowisku Buckle'a.

Jeśliby kto zarzucił zatém, że teorya p. Bobrzyńskiego nie jest bynajmniéj rzeczą nową, to pewnie się nań oto autor nie pogniewa. Wszak on nie chciał budować nic nowego, zamiarem jego było tylko określić „zadanie historyi i dzisiejsze jéj stanowisko“. Niech nam więc wolno będzie zapytać, czy teorya Buckle'a przyjęła się tak ogólnie w nauce, wśród tego poniewieranego przezeń „cechu historyków“, żeby autor, który się do jéj zwolenników zalicza, miał prawo wygłaszać jéj zasady w imieniu dzisiejszego stanowiska historyi, w imieniu dzisiejszéj szkoły historycznéj. My wiemy tyle tylko, że ten niepoprawny cech historyków na całym świecie zajął względem Bucklizmu odporne stanowisko i niejednokrotnie pokusił się o to, by mu dać stanowczą odprawę. Jeśli zaś w teoryi nie wiele było zapasów z postulatami Buckle'a, to cały kierunek pracy dziejopisarskiéj od czasów wyjścia jego dzieła, pracy, wśród któréj w naszéj literaturze między innemi pisma p. Bobrzyńskiego tak zaszczytne zajmują stanowisko, dowiódł wymownie i stanowczo, że „cech historyków“ nie ugiął się przed Buckle'm, i nie dokonał w swéj nauce zasadniczéj reformy według jego wymagań.

Przyznajemy jednak, żo to pokrewieństwo teoryi p. Bobrzyńskiego ze stanowiskiem Buckle'a nie rozstrzyga jeszcze o jéj wartości, tém bardziéj, że, jak wiadomo, ten wzgląd nie będzie miał żadnego znaczenia dla tych wszystkich, którzy i dziś jeszcze stanowisko odporne „cechu historycznego“ wobec postulatów Buckle'a kładą na karb jego cechowego wstecznictwa, niedołęstwa i lenistwa umysłowego dzisiejszych historyków. Pozostaniemy więc na gruncie saméj teoryi p. Borzyńskiego i zastanowimy się przedewszystkiém, czy zadanie, które autor historyi zakréśla, jest do spełnienia możliwe, i czy historya może się podjąć tego zadania.

III.

Prawa rządzące ludzkością. — Indywidualności historyczne.

Na teoryą p. Bobrzyńskiego ten tylko w zasadzie zgodzić się może, kto przyzna: 1) że życiem i rozwojem ludzkości rządzą stałe, niezmienne prawa, tak jak prawa natury rządzą w świecie przyrody; 2) że t. z. „nauki społeczne i polityczne“ zdołały choć w części te prawa odgadnąć i w system ułożyć, tak jak umiejętności przyrodnicze to uczyniły z prawami natury. Rzecz jasna bowiem, że tylko w takim razie można mówić na seryo o stwierdzaniu tych praw w dziejach, o uzupełnianiu ich za pomocą badań historycznych.

Artykuł niniejszy nie może jednak z natury rzeczy wdawać się w zasadniczy i wyczerpujący rozbiór piérwszego pytania. Gdyby kto nawet, zaprzeczając racyi bytu metafizyce, chciał z zakresu téj kwestyi usunąć zupełnie rozbiór najzawilszych i najgłębszych zagadnień metafizycznych, ści-

śle z nią połączonych, to należałoby jeszcze w każdym razie roztrząsnąć choćby tylko kwestyą wolności woli i konieczności, objawiającéj się w życiu społeczném, a o tém wszystkiém możnaby tomy zapisać, jeśli się nie ma zamiaru wydawać apodyktycznych wyroków z trójnoga nieomylności. Nie na wieleby się to zresztą przydało, gdybym w tym względzie wypowiedział moje indywidualne zapatrywanie, skoro w ogóle staram się usilnie traktować tę rzecz ze stanowiska ogólnéj, w „duchu historycznym“ panującéj opinii, a o tym przedmiocie nikt nie może mieć prawa do przemawiania w jéj imieniu.

To tylko zaznaczyć muszę stanowczo, że jeszcze bynajmniéj nie stwierdzono, jakoby takie prawa niezłomne i niewzruszone istotnie rządziły życiem i rozwojem ludzkości, nie podniesiono tego zapatrywania do wysokości pewnika naukowego, i wskutek tego mamy zupełną swobodę zgadzać się z niém lub nie zgadzać, nie opuszczając przez to gruntu naukowéj dyskusyi. Mówią nam wprawdzie i dowodzą datami statystycznemi, że w niektórych dziedzinach życia społecznego objawia się owa zadziwiająca, „przerażająca“ niezmienność stosunku cyfr statystycznych, że rok w rok powtarza się ten sam stosunek dat w statystyce ludności, małżeństw i najrozmaitszych ich kategoryj, samobójstw, zbrodni i t. p., wykazują nam, że społeczeństwo nierównie ściśléj płaci coroczny podatek samobójstwu, kradzieży, zgwałceniu itp., niż, pomimo wszelkich środków egzekucyi — kasie państwowéj. Uznajemy ten fakt i pouczeni przezeń nie będziemy wątpić, że objawy życia społecznego w pewnych dziedzinach są dopóty w swym ogólnym wyniku niezmienne, dopóki warunki, w których społeczeństwo żyje, ważnym nie ulegną przeobrażeniom. Ale te wszystkie badania, choć tak ciekawe i pouczające, nie odkrywają nam bynajmniéj owych praw niezłomnych, któreby

choć w przybliżeniu w ten sposób tłómaczyły objawy życia ludzkiego, jak np. prawo ciążenia tłómaczy zjawiska przyrody. Nie przeczymy tych praw stanowczo, ale przyznajemy, że jeżeli są, my ich nie znamy, zgódźmy się na to, że w niektórych dziedzinach życia ludzkości, jak np. w dziedzinie stosunków ekonomicznych, zbliżamy się zwolna do ich poznawania, i stwierdźmy wreszcie, że w niektórych kierunkach życia społecznego prawa takie rządzą i obowiązują, chociaż my je znamy może tak niedokładnie, jak przed laty przodkowie nasi znali prawa przyrody. Nikt jednak wymagać od nas nie może, żebyśmy się przekonali, że takie prawa rządzą wszelkiemi objawami życia i rozwoju ludzkości, iż wszystko co czynimy, wszystko co się wśród nas dzieje jest naturalnym i nieodmiennym tych praw wynikiem, tak jak wszelkie zjawiska w świecie przyrody z odkrytych i nieodgadnionych praw natury z niezłomną wynikają koniecznością.

„Cech historyczny“ tém bardziéj nie może się o tém przekonać, nie z powodu zacofania i wstecznictwa, ale wskutek nauki, którą mu daje zasób doświadczeń, jego pracą nagromadzony w skarbnicy historyi. Pamięta przedewszystkiem o olbrzymiéj roli dziejowéj pewnych indywidualności historycznych, które tak przeważny wpływ wywarły na rozwój ludzkości, pamięta o wydarzeniach, które ten rozwój niezaprzeczenie pchnęły na nowe tory, choć ich genezy i przebiegu niepodobna ująć w żadne karby niezłomnych praw, rządzących ludzkością.

W teoryi tych praw bowiem, nie ma zgoła miejsca na rolę dziejową indywidualności historycznéj. Wszelkie próby zbudowania takich teoryj wychodzą z zasady, że pomiędzy prawami rządzącemi ludzkością a prawami przyrody zachodzić musi bliska analogia; szukając jéj zatém albo w życiu organiczném albo w prawach rządzących światem nie-

organicznym, zmierzają do utworzenia biologii lub fizyki społecznéj. W teoryi biologicznéj jednostka nie odgrywa żadnéj roli; komórką społeczną, najniższym ustrojem, od którego zaczyna się organiczne życie społeczeństwa, jest dopiéro rodzina. W fizyce społecznéj zaś jedném z zasadniczych pojęć téj mającéj powstać nauki, jest pojęcie człowieka przeciętnego (l'homme moyen). Człowiek przeciętny jest typem, którego własności fizyczne, moralne i umysłowe w daném społeczeństwie oznaczyć można ściśle cyframi, z dokładnością zadziwiającą, t. j. w liczbach całych i ułamkach dziesiętnych. Ten typ w społeczeństwie przeważa, największa liczba jednostek zbliża się do niego, różniąc się w rozmaitych kategoryach własności drobnemi zboczeniami, które również w ułamkach dziesiętnych można wyrazić; niewiele tylko jednostek anormalnych przekracza ten typ przeciętny *in plus* lub *in minus*. Jeślibyśmy zatém mogli oznaczyć przeciętnego człowieka w społeczeństwie polskiém na początku XVI wieku, to mielibyśmy po nad jego linią np. Kopernika lub jakiegoś olbrzyma atletycznéj siły, który dobrze zasłużył się w bitwie pod Orszą, poniżéj téj linii zaś głupkowatego idyotę albo karła, którym się zabawiano w komnatach krakowskiego zamku. Wszystko to bardzo pouczające, ale historya, obojętna zupełnie względem anormalności fizycznéj karłów i olbrzymów, stwierdza zarazem, że olbrzymy duchowe, wysterczające wysoko po nad poziom przeciętnego człowieka, jeśli znajdą się na stanowisku odpowiedniém ich niezwyczajnym siłom i zasobom duchowym, stają się temi potężnemi indywidualnościami historycznemi, bez których rozwój dziejowy ludzkości, kto wie, czyby nieraz innemi nie poszedł był tory. Nie przeczymy, że najpotężniejsza nawet indywidualność historyczna bywa do pewnego stopnia wyrazem swojéj epoki, tj. właśnie niejako kwintesencyą tych czynników moralnych i umysłowych,

poruszających współczesném życiem ludzkości, czynników, na których wytworzenie złożyły się przeważnie jednostki przeciętne; wiemy dobrze, że tę teoryą posuwają czasami do ostateczności, dość przypomnieć ów znany paradox, że kiedyś potomkowie nasi uważać będą Napoleona za personifikacyą idei jego epoki. Któż jednak zdoła zaprzeczyć, że jeśli którąkolwiek z tych wielkich postaci dziejowych wykréślimy z historyi, nie zdołamy sobie bez nich wyobrazić tego zwrotu, który był następstwem ich roli dziejowéj. Gdybyśmy mieli najdokładniejsze daty statystyczne z drugiéj połowy VIII wieku i mogli z nich obliczyć przeciętnego człowieka owéj epoki w państwie frankońskiém za Pipina, w Italii, za Pirenejami i na tym całym obszarze, na którym następnie rozległy się marchie Karolowéj monarchii, to przyznalibyśmy, że bez tego wielkiego króla Franków, który tak wysoko wzbił się po nad poziom przeciętnego człowieka, cała suma ludzi przeciętnych jego epoki nie stworzyłaby monarchii uniwersalnéj i nie dałaby początku temu rozwojowi cywilizacyjnemu, który z tego źródła wypłynął. Zapewne, że bez tego wszystkiego, co przed Karolem Wielkim zdziałali jego poprzednicy, o wiele mniéj wzniesieni po nad typ przeciętny swojéj epoki, bez Arnolfingów i św. Bonifacego, bez poprzedniego zbliżenia się papiéży do Pipina, bez tego popędu wreszcie, który zamysłom i ideom wielkiego monarchy dali tacy ludzie jak Alkuin, nie byłby Karol dokonał tego dzieła, które imię jego w rzędzie najpotężniejszych postaci dziejowych umieściło. Ale to jest właśnie cechą wielkich indywidualności historycznych, że geniusz ich umie wyzyskać materyał danych stosunków i pchnąć ich rozwój w kierunku, o którym jeszcze poprzednim pokoleniom ani się nie marzyło. A bez monarchii Karolowéj czy możemy sobie wyobrazić rozszerzenie feudalizmu po całym zachodzie europejskim, jednolitą zatém zasadniczą podstawę ustroju

społecznego w świecie germańsko-romańskim, odświeżenie tradycyj literackich, któremi następne wieki się karmiły, wskrzeszenie idei cesarstwa, do średniowiecznych stosunków zastosowanéj, hegemonią papiestwa, która już za Mikołaja I wystrzela w górę, słowem to wszystko, co istotę wieków średnich stanowi? Albo czy całe dzieje Polski, kto wie czy nawet samo pojęcie polityczne i etnograficzne Polski, możemy sobie wyobrazić bez Chrobrego? Przeciętni Wielkopolanie, Kujawiacy, Mazowszanie i Chrobaci nie byliby z pewnością utworzyli i utrzymali Polski Bolesławowéj; Obodryci i Łużyczanie, a nawet i Korutanie, pomimo przyjęcia chrześcijaństwa ulegli i zniknęli z widowni dziejowéj, gdyż nie mieli wśród siebie takiego Bolesława, któryby się wzniósł wysoko po nad typ ich przeciętny. Na cóż wreszcie więcéj przykładów? Jeżeli z p. Bobrzyńskim mamy się rozprawiać, to otwórzmy tylko jego własną książkę i odczytajmy mu ego utyskiwania, że w epoce, w któréj państwo polskie najtrudniejsze, najżywotniejsze dla siebie miało spełnić zadanie, zabrakło nam potężnych indywidualności historycznych, któreby potrzebom czasu sprostać zdołały. Zarzucano nieraz książce p. Bobrzyńskiego zbytnią, bezwzględną surowość w ocenieniu najwybitniejszych postaci historycznych w naszych dziejach. Szanowny autor trzyma się istotnie téj metody, że skréśla w ostrych, wyrazistych konturach położenie danéj chwili, zaznacza stanowczo, co w obec tego położenia uczynić należało, i stąd biorąc miarę do ocenienia postaci historycznych, którym to zadanie przedewszystkiém w udziele się dostało, tém ostrzéj je osądza, im więcéj ich postępowanie oddalało się od wytkniętego postulatu. Jeśli więc tak wiele żąda od indywidualności historycznych, jeśli np. osądzając tak korzystnie przeciętnego człowieka w Polsce XVI wieku, winę nieszczęśliwego przesilenia w ustroju państwowym składa w przeważnéj części na Zygmunta Augusta,

jeśli uznaje olbrzymie znaczenie indywidualności historycznych w rozwoju dziejowym ludzkości i narodów, niechaj nie głosi teoryi, w obec któréj nie ma miejsca na rolę dziejową wielkich jednostek, gdyż według niéj wszystko, co się stało, było nieuniknionym wynikiem niezmiennych praw, ludzkością rządzących [3]).

Lecz niedość tego. Według téj teoryi, wszelkie wydarzenia dziejowe same przez się nie mają żadnéj wartości w badaniu naukowém, i zasługują na nie tylko o tyle, o ile z nich wysnuć można owe prawa ogólne, dotychczas niezbadane, lub uzupełnić jeszcze albo rozwinąć daléj odkryte już prawa. Przypuśćmy zatém, że będziemy mieli jak najściśléj opracowaną teoryą emigracyi, a mianowicie tego jéj typu, w którym wśród rozbudzonego do wędrówki popędu, cały znaczniejszy odłam jakiegoś narodu, w karby pewnéj organizacyi politycznéj ujęty, opuszcza ojczyznę i przesiedla się w inne strony, przypuśćmy, że teorya mięszania się plemion będzie dokładnie wyjaśniona w drodze pozytywnego badania, i że w obu tych teoryach złożone będą prawa ogólne, rządzące życiem i rozwojem ludzkości w tych dwóch przytoczonych kierunkach. Czyliż poznawszy te teorye, będziemy zarazem znali i umieli wytłómaczyć genezę narodu angielskiego, aby przeniknąć jego istotę i łatwiéj ocenić to wszystko, co przezeń, przez jego indywidualność narodową, na obu półkulach zdziałaném zostało? Czy nam te prawa ogólne wytłómaczą, w jaki to sposób i dla czego osiedlili się Normanowie na obszarze północno-zachodniéj, nadbrzeżnéj kończyny państwa zachodnio-frankońskiego, przesiąkli tu duchem wytwarzającéj się i rozwijającéj wówczas narodowości francuskiéj, tą drogą spuścizną kilkowiekowéj dziejowéj pracy świata germańsko-romańskiego, i opanowawszy następnie Anglią, w asymilacyi z pierwiastkiem anglosaxońskim dali początek narodowi angielskiemu. Czy to wszystko, co w tym

wielkim procesie dziejowym wydaje się zrządzeniem przypadku, a co w rozwoju ludzkości było źródłem tylu płodnych w następstwa wydarzeń, wytłómaczą nam owe prawa ogólne, tak jak prawa natury wyjaśniają powstanie i przebieg jakiéjś wielkiéj burzy, któréj następstwa widzimy w zmianie łożyska rzéki i w odmiennéj fizyognomii jéj brzegów.

Wątpimy bardzo. Lecz powiedzą nam, że umiejętność, która te wszystkie prawa odkryje i w system zestawi, jest jeszcze w kolebce. My i o tém wątpimy, i jeśli téj saméj wolno użyć przenośni, że jeśli ma kiedykolwiek powstać w kolebce owa umiejętność, to w obecnym ruchu umysłowym dają się czuć zaledwie pierwsze oznaki brzemienności, jako zapowiedź jéj przyszłego urodzenia, a kto wie, czy nie jest to brzemienność pozorna. To tylko pewna, że póki tych praw nie znamy, nie możemy ich stwierdzać w dziejach; jeśli zaś poprzestaniemy na tych bez wątpienia wielce pouczających ogólnych spostrzeżeniach, które w pewnych dziedzinach życia społecznego poczyniono, i jak niektórym uczonym się podobało, nazwano prawami, to historya mieścić w sobie będzie jeszcze olbrzymie mnóstwo materyału, który z tą kategoryą praw czy spostrzeżeń w bardzo luźnym tylko będzie związku i w ich karby ująć się nie da.

Przypuśćmy jednak nawet, że te oznaki brzemienności nie są pozorne, że umysł ludzki zdobędzie się na odkrycie praw, rządzących ludzkością we wszystkich kierunkach jéj życia, że znajdzie się kiedyś dla biologii ludzkości Kopernik czy Newton, w obec którego odkryć, pomysły dzisiejszych socyologów będą tak maluczkiemi, jak kosmograficzne wyobrażenia uczonych starożytnych w obec dzisiejszéj nauki. Możemy się oddać marzeniom i przypuścić, że kiedyś powstanie umiejętność, budująca system praw, które zdolne będą nam wytłómaczyć życie i rozwój ludzkości we wszy-

stkich jego kierunkach, w wzajemném oddziaływaniu czynników fizycznych, moralnych i intelektualnych, i że będzie można wówczas każdy objaw tego życia w teraźniejszości czy w przeszłości sprowadzić do tych praw ogólnych. Byłaby to więc biologia ludzkości, korona wszelkich nauk antropologicznych, któraby korzystała z nich wszystkich i z każdéj z osobna i ostateczne z nich wydobywała wnioski. Kto wie, jakie nowe jeszcze przedtém powstałyby nauki, któreby téj królowéj haracz składały, nauki, o jakich dziś zaledwie może marzymy. Nauka o objawach psychicznych, na pozytywnych podstawach oparta, nie psychologia transcedentalna rozumie się, ale psychofizyka, czy jakby ją w przyszłości nazwano, etnografia, lingwistyka umiejętna, statystyka ze wszystkiemi wydoskonalonemi swemi rozgałęzieniami, i wszystkie inne nauki antropologiczne pracowałyby dla téj królowéj. Historya (jako statystyka przeszłości, że użyję tego niezupełnie tu właściwego wyrażenia) dostarczałaby jéj materyału w spostrzeżeniach nad zaginionemi typami objawów życia ludzkości, na historyi jedynie możnaby oprzéć pracę nad prawami rozwoju. Ale i historya byłaby téj królowéj poddanką i nie ważyłaby się uzurpować sobie tego zadania, któreby było istotą téj najwyższych nauk antropologicznych monarchii. Jéj bowiem tylko, téj biologii ludzkości, byłoby rzeczą odkrywać i w system układać prawa ludzkością rządzące, inne więc musi być zadanie, inne pojęcie historyi.

IV.

Pojęcie historyi. — Przedmiot pracy historycznéj.

Cóż więc jest historya?

Żeby pojęcie to określić, musimy na chwilę zapomnieć zupełnie o naszéj nauce, o wszelkiéj w ogóle historyi pisanéj lub opowiadanéj, a zastanowić się wyłącznie nad pojęciem historyi w właściwém, piérwotném znaczeniu.

Otóż przyznamy, że wszystko ma swoję historyą. I najbiedniejsza kobieta, która w nędzy trawiąc całe życie, nigdy za kopce graniczne rodzinnéj wioski nie wyjrzała, i koń, który młodość przepędził pod siodłem dzielnego żołnierza, wśród niebezpieczeństw wojny i salw armatnich, późniéj woził bryczkę jakiegoś szlachetki, a skończył zawód w ciężkiéj pracy przy pługu, i robak każdy, który ciężko pracował, szukając pożywienia i pełzał po ziemi, póki go stopa jakiegoś przechodnia na miazgę nie starła, i chata każda wieśniacza, od chwili, kiedy w jéj budowie piérwsze węgły złożono, aż do czasu, kiedy pochylona starością w gruzy się rozsypała, i sprzęt każdy i kamień każdy, który potrącamy nogą, i ta bryła olbrzymia, któréj cząstką drobną jest ten kamień, ta nasza kula ziemska, na któréj powierzchni tyle cierpień się przesuwa, tyle rozkoszy przemija, tyle namiętności rozżarza się i wygasa, i zbrodnia wreszcie każda, od chwili, kiedy w myśli złoczyńcy objawiły się pierwsze zawiązki zamiaru, ze wszystkiemi fazami psychicznego rozwoju myśli zbrodniczéj, ze wszystkiemi przeszkodami, które pokonać wypadło, aż do ostatecznego spełnienia zbrodniczego czynu, i choroba każda od piérwszych zaledwie dostrzegalnych jéj objawów aż do katastrofy, która niszczy ludzki organizm, lub do zupełnego ustania wszelkich najlżejszych objawów patologicznych, i pożar

każdy, od chwili kiedy pierwsza iskierka, nieuważną ręką wykrzesana, spadła na wiązki siana w kącie jakimś ukryte, aż do zgaśnięcia ostatniego płomyka na bezładnych zgliszczach spalonego folwarku — wszystko ma swoję historyą.

Cóż jest zatém historya? Jest to suma ogólna wszystkich wydarzeń, odnoszących się do pewnego danego przedmiotu, od piérwszych pojawów jego istnienia aż do chwili, w któréj istnienie jego się kończy; jeśli zaś ów dany przedmiot w téj chwili istnieje, to historya jego kończy się z chwilą obecną i kres jéj posuwa się naprzód z każdą godziną, z każdym dniem i rokiem ubiegającym. Wydarzenia, których suma stanowi historyą danego przedmiotu, nie są jednak osobnikami, ustanowionemi przy sobie w ściśniętym szeregu, niepodobna pomiędzy niemi pociągnąć granic, późniejsze bowiem wypływają z wcześniejszych i spływają się w jednę nierozerwalną całość, współczesne oddziaływają na się wzajemnie, w ścisłéj łączności z wcześniejszemi, z których wypłynęły, i z późniejszemi, które z nich wynikają. Im zawilsze i wyższe pojęcie danego przedmiotu, tém bardziéj do nieskończoności dochodzi suma wszystkich wydarzeń, tém liczniejsze miryady wydarzeń współczesnych krzyżują się na jednéj linii, tém większa panuje między niemi różnorodność, tém trudniéj zdać sobie sprawę ze związku przyczynowego, który pomiędzy poszczególnemi wydarzeniami zachodzi. Stare, zużyte i pod niejednym względem chromające porównanie historyi z biegiem rzéki szybko płynącéj, w któréj miliony kropel składają się na jednolitą masę wody, wypełniającéj łożysko, uzmysławia poniekąd tę ścisłą łączność między niezliczoném mnóstwem wydarzeń, stanowiących historyą każdego przedmiotu, którego pojęcie należy do zakresu pojęć wyższych i zawilszych.

Najwyższém pojęciem, którego historya nie jest nam zupełnie ukryta, jest dla nas ludzkość. Jak wszystko, tak

i ludzkość ma swoję historyą. Kresem jéj jest chwila obecna, początek gubi się w przepaści tajemniczych zagadek, któréj ciemności hipotezy o pochodzeniu człowieka i piérwotném rozszerzaniu się rodu ludzkiego po obszarze lądów stałych nie zdołają rozjaśnić. To tylko pewna, że pierwotny rozwój ludzkości przechodził rozmaite, zupełnie nam nie znane i przeważnie jeszcze niezrozumiałe fazy, zanim doszedł do tego stopnia, odkąd możebnym był dalszy postęp w kierunku, z którego już sobie łatwiéj możemy zdać sprawę, w kierunku, który doprowadził ludzkość do tego, czém jest dzisiaj. Im dalszy postęp, tém rozlegléj rozszérza się jego horyzont, tém więcéj przybywa czynników, które na rozwój ludzkości wpływały, objawiając się w nieprzejrzanéj ilości faktów. Każdy z tych faktów jest w najściślejszym związku przyczynowym z tysiącami innych, współczesnych, wcześniejszych i późniejszych, a suma ich ogólna, dzieląca chwilę obecną od zamierzchłych czasów przed tysiącami lat, wyniosła ród ludzki z tego stanu piérwiastkowego, w jakim się wówczas znajdował, do tego stopnia rozwoju, na którym ludzkość w naszéj epoce stanęła. Suma tych wszystkich faktów, to treść historyi ludzkości.

Od pojęcia historyi, dziejów danego przedmiotu, odróżniać musimy pojęcie nauki o tych dziejach. Jeśli powrócimy do przytoczonych powyżéj przykładów, to zgodzimy się na to, że historya jakiegoś zwierzęcia, które spostrzegamy w lesie lub na ulicy, kamienia, który potrącamy nogą, lub jakiegoś sprzętu domowego, a choćby i dzieje któregokolwiek człowieka same przez się nie mogą być przedmiotem nauki. Historya jakiéjś zbrodni może być przedmiotem godnym skrzętnego zajęcia, jako materyał do aktu oskarżenia lub obrony sądowéj; historya danej choroby, opisana z wszelką drobiazgową dokładnością, zajmuje nieraz niesłychanie świat lekarski, mając dlań nietylko praktyczne, lecz i na-

ukowe znaczenie, nauką jednak sama przez się nie będzie. Ale historya ludzkości może być i jest istotnie przedmiotem odrębnéj nauki. Nie miałaby może taka nauka racyi bytu w obec istot zamieszkujących jaką inną planetę, ale ludzkość pragnie znać te koleje, te wielkie zapasy, które w ciągu wieków przechodziła, rozwijając się nieustannie, pragnie wiedzieć, jakiemi to tory toczył się ów rozwój od czasów, z których ją o objawach jéj życia pierwsze dochodzą wiadomości, aż do chwili obecnéj. Pragnienie téj wiedzy objawiało się zawsze, i wtedy jeszcze, kiedy o prawach rządzących ludzkością nikomu się nie śniło, i dziś, kiedy myśl ludzka sili się je odgadnąć; a jeśli takie prawa są rzeczywiście i kiedyś duch ludzki je przeniknie, to i w takim razie możemy sądzić, że pragnienie to nie ustanie. Żądza téj wiedzy jest zaś dla nas dostateczném uzasadnieniem racyi bytu nauki o dziejach ludzkości, t. z. historyi powszechnéj, czyli historyi *par excellence* jako nauki [4]).

Rzecz jasna, że tak pojęta historya jako nauka nie będzie prostém wyliczeniem wszystkich wydarzeń, których suma ogólna dzieje ludzkości stanowi. Wyliczenie takie w samém zasadniczém swém pojęciu jest rzeczą niemożebną. Umysł ludzki nie może zebrać i ogarnąć wszystkich wydarzeń chwili, dopiéro co ubiegłéj, choć mu najłatwiéj byłoby dotrzeć do ich znajomości, jakżeby więc mógł zbadać, w jaki sposób zdołałby zestawić tę całą sumę wydarzeń, która tysiące lat dziejów ludzkości wypełnia. Mechaniczném zestawieniem faktów wyrywałoby się je wreszcie z naturalnego związku, w którym się w istocie znajdowały, spojone ze sobą nierozerwalnym stosunkiem przyczyn do następstw. Była wprawdzie w rozwoju nauki historycznéj faza, w któréj historycy, trzymając się wyłącznie schematu chronologicznego, zapisywali pod każdym rokiem niektóre ważniejsze, wédług ich sądu szczególniéj na uwagę zasługujące

wydarzenia, ale metoda taka annalistyczna, która już należy do archeologicznych zabytków nauki, bardziéj się oddalała od jéj celu, niż stare pieśni historyczne, które barwném swém, całość przedmiotu artystycznie ujmującém opowiadaniem, pod względem metody stały nierównie wyżéj, chociaż mięszały prawdę z utworami fantazyi. Historya, pomna tego, że jéj celem naukowym jest kréślić przebieg dziejowego rozwoju ludzkości, korzysta ze wszystkich danych, znanych jéj faktów, by z nich wykazać, jakie to fazy ten rozwój przechodził, dzieli więc ogrom swego przedmiotu na główne epoki, w ramach tych epok rozmieszcza składowe ich okresy, opisuje stopień rozwoju, w jakim się ludzkość w każdym okresie znajdowała, a więc jéj stan moralny, umysłowy, ekonomiczny, urządzenia polityczne itp., tłómaczy współdziałanie wszystkich tych czynników, które się na wytworzenie takiego stopnia rozwoju złożyły, i opowiada wydarzenia, które rozwijając się na tle stosunków danéj epoki, dokonywały w nich powolnego przeobrażenia, dopóki ich nie przekształciły zasadniczo i nie nadały im tych kształtów, jakie się w następnéj fazie dalszego rozwoju objawiają. Z natury rzeczy to zresztą wynika, że historya nie zajmuje się całą ludzkością w dziejach każdéj epoki, ale przedewszystkiém temi jéj cząstkami, które w jéj rozwoju przodują; i w tém właśnie objawia się najwybitniéj postęp w ogólnym rozwoju, że z każdą dalszą epoką rozszerza się horyzont historyi, obejmując swym zakresem coraz więcéj cząstek ludzkości, które w dawniejszych epokach jeszcze w ogólnym tym ruchu nie brały udziału, ani nie ulegały jego wpływowi. Stąd wynika pojęcie udziału w życiu dziejowém ludzkości, udziału biernego i czynnego: każda cząstka ludzkości, każdy naród, dopiéro co powołany do dziejowego życia, rozpoczyna je zrazu udziałem biernym, który w miarę dalszego rozwoju staje się coraz czynniejszym, jeśli naród

nie ma zamrzeć i usunąć się z widowni dziejowéj. W téj saméj zatem epoce rozmaite są stopnie względnéj wartości tego udziału różnych cząstek ludności w ogólném życiu dziejowém; historya, kréśląc obraz danéj epoki, opisując zdarzenia, które wiodły do nowych przeobrażeń, ocenia i odważa należycie te względne wartości, staranném cieniowaniem zaznacza różnice pomiędzy udziałem rozmaitych narodów w rozwoju ogólnym i przez to uwydatnia rozliczność i różnobarwność odmiennych typów, które biorą udział w życiu dziejowém każdéj epoki. Pomna zaś głównego celu swojego, przedewszystkiém na piérwszy plan wysuwa obraz tych stosunków, które fizyognomii ogólnéj danego okresu nadają piętno charakterystyczne, te wydarzenia powszechnodziejowe, które w ogólnym rozwoju istotnie wpływową odgrywają rolę.

Tak określilibyśmy pojęcie historyi. Wskazaliśmy, w czém widzimy jéj naukowe uzasadnienie, jéj racyą bytu w hierarchii nauk; w téj mianowicie niezaprzeczonéj potrzebie umysłu ludzkiego, domagającego się téj wiedzy, która treść i istotę historyi stanowi. Przygotowani jesteśmy na zarzut, że takie określenie historyi nie odpowiada wymogom, jakie się łączą z pojęciami umiejętności. Taka bowiem tylko nauka, powiadają, ma prawo zająć miejsce w areopagu umiejętności, która z materyału przez się zgromadzonego i zbadanego wysnuwa prawa ogólne i układa je w system. Umiejętności przyrodnicze zatem, fizyka, chemia, geologia, botanika z anatomią i fizyologią roślin itp., z umiejętności antropologicznych np. lingwistyka i nauki społeczne mają w przeznaczeniu swém ten pasport, który im wstępu do królestwa umiejętności dozwala, historya, taka, jak my ją pojmujemy, nie może się nim wykazać. A więc dobrze, jeśli idzie o tytuł, wolimy, by nauka nasza pozostała nieutytułowaną, niż żeby okupywała drogo ten

tytuł, podszywając się pod zadanie, które jest niezgodne z jéj pojęciem i istotą. Z tytułem umiejętności czy téż bez niego historya zarówno spełniać będzie swoje posłannictwo wobec téj potrzeby umysłu ludzkiego, która dała początek jéj istnieniu. A ci, którzy jéj życie i pracę swoją poświęcili, zgodzą się nawet z tym losem, żeby jako słudzy nieutytułowanéj pani w hierarchii służby naukowéj skromniejsze zajmować stanowisko, głęboko przekonani, że mimo to praca w zakresie historyi nie nada im piętna niższości umysłowéj. Kto bowiem ma odgadnąć koleje, jakie ludzkość w rozwoju swym dziejowym przechodziła, kto ma rozstrząsnąć stopień tego rozwoju w każdéj epoce i należycie z niego zdać sprawę, ten zaprawdę podejmuje się zadania, które tyle sił umysłu wyzywa do walki, że nie godzi się pracy dziejopisarskiéj w porównaniu z pracą na polu innych nauk nakładać tego ubliżającego piętna. Nie ma granic doskonałości, do jakiéjby się wznieść można w spełnieniu zadania pracy historycznéj: do ideału doskonałości w tym względzie nikt dotrzéć nie zdoła, wobec najznakomitszego nawet dzieła zawsze będziemy musieli powiedzieć, że łatwo sobie wyobrazić o wiele bystrzejsze jeszcze przeniknięcie stosunków, odważenie czynników, które się na nie złożyły, o wiele potężniejszy artyzm w roztoczeniu ich obrazu, w ugrupowaniu przedmiotu [5]). O tyle téż historya, jeśli na tytuł umiejętności nie zasługuje, to będąc nauką, jest i z natury rzeczy musi być sztuką zarazem. Od pracy naukowéj w jakimkolwiek innym zakresie wiedzy ludzkiéj wymaga się ścisłości w badaniu i sformułowaniu jego wyników, jasności i przejrzystości, w braku któréj najświetniejsze nawet wyniki badań w części przynajmniéj chybią celu, ale na tém kończą się pod względem formy te wymagania. Na odtworzenie zaś i wycieniowanie tego stopnia rozwoju, w którym się ludzkość lub cząstka jéj jakaś w danéj epoce znajdowała,

na skreślenie dróg, jakiemi ten rozwój daléj się toczył, zdobyć się może w połączeniu z ścisłością badania tylko artyzm prawdziwy, dla którego nie ma granic doskonałości [6]).

Poprzestaliśmy dotychczas tylko na określeniu pojęcia historyi powszechnéj, gdyż powtarzamy to raz jeszcze, tylko dzieje ludzkości w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu pojmujemy jako naukę, jako historyą *par excellence*. Z tém wszystkiém w zakresie pracy historycznéj najrzadziéj, zwłaszcza w czasie obecnym, spotkać się można z usiłowaniem objęcia całego olbrzymiego przedmiotu nauki. Każdy pracownik na polu historyi musi wprawdzie starać się o to by z całości przedmiotu o ile można najjaśniéj zdołał zdawać sobie sprawę, potrzeba mu tego dla wzniesienia się do stanowiska powszechnodziejowego poglądu, w którego świetle stanąć powinien każdy przedmiot specyalnéj pracy. Ale dzisiejsze stanowisko nauki wymaga podziału pracy, która jedynie ogromowi zadania w części podołać może. Największą też zasługę naukową zdobywają sobie prace historyczne z mniéj lub więcéj ograniczonym zakresem przedmiotu, w każdym razie prace monograficznéj natury, które, im większą posiadają wartość, tém cenniejszym choć nieraz drobnym stają się przyczynkiem do historyi w właściwém, naukowém tego słowa znaczeniu, tj. do powszechnych dziejów ludzkości.

W wyborze specyalnego przedmiotu w zakresie pracy historycznéj panuje zatém wielka swoboda i dowolność, któréj granice ostatecznie z saméj natury rzeczy wynikają. Są bowiem przedmioty, których traktowanie w historyi nie miałoby zgoła naukowego uzasadnienia. Pan Bobrzyński mówi, że „niepodobna pisać umiejętnie dziejów ludności, mieszkającéj np. między Wisłą a Niemnem“, my użylibyśmy jeszcze jaskrawszego przykładu i wykreśliwszy do

wolnie na mapie Europy trójkąt, którego wierzchołki opierałyby się o ujścia Sekwany, Odry i Dunaju, zapytalibyśmy czy możliwą byłoby rzeczą napisać umiejętnie czy nieumiejętnie historyą ludności zamieszkałéj w tym trójkącie. Dałoby to się tylko w takim razie wykonać, gdyby mechaniczne zestawienie całéj sumy wydarzeń, jakie zaszły na pewnym danym obszarze, było rzeczą możebną i odpowiadało zadaniu historyi. Tak jednak nie jest, fakta, które się zdarzyły w obrębie tego trójkąta, łączą się najściśléj, nierozerwalnie z faktami, których ojczyzna leży po za jego granicą, pomiędzy niemi zaś, jeśli ich całą sumę rozważymy, nie ma zgoła istotnego, przyczynowego związku, gdyż ludność zamieszkująca ten trójkąt, nie stanowi odrębnéj, organicznéj części ludzkości, tj. w tém ujęciu nie odgrywała nigdy w rozwoju ogólnym ludzkości odrębnéj, samoistnéj roli. Ten wzgląd zaś rozstrzyga ostatecznie o tém, co może być przedmiotem specyalnéj pracy historycznéj. Prawo to przysługuje wszystkiemu, co w rozwoju dziejowym ludzkości odgrywało samoistną rolę i stanowiło w ten sposób odrębną, organiczną całość, czy to był naród albo też cała grupa narodów, które na tym samym gruncie cywilizacyjnym wyrosły, jak np. t. z. świat germańsko-romański, czy państwo narodowe lub sztucznie z odłamów rozmaitych narodowości utworzone, czy prowincya państwa jakiegoś, czy miasto którekolwiek, czy postać jakaś historyczna, czy wreszcie instytucya jakaś społeczna lub polityczna, rozważana w dziejach danego narodu lub rozleglejszéj ich grupy, czy którykolwiek kierunek życia ludzkości w ogóle lub w danéj organicznéj cząstce, jak np. ruch umysłowy w danéj epoce itp., wszystko to może być przedmiotem pracy historycznéj, gdyż w tém wszystkiém znajdą się ważniejsze lub mniéj cenne przyczynki do historyi powszechnéj. W tym kierunku nie ma granicy coraz

szczegółowszego specyalizowania pracy historycznéj, która zamykając się w obrębie tak ścieśnionego, ograniczonego zadania, a nie schodząc ze stanowiska powszechnodziejowego poglądu, tém staranniéj przetrawi w szczegółach dany przedmiot, i złoży wynik najściślejszego badania jako przyczynek do wielkiéj ogólnéj skarbnicy wiedzy historycznéj.

Rzecz jasna zresztą, że praca historyczna w traktowaniu danego przedmiotu, zastosowywać się musi w każdym wypadku do jego istoty. Historyk np., który weźmie sobie za zadanie opracować dzieje miasta Norymbergi, będzie się starał zbadać i w obrazie dziejowym wyjaśnić wszystko, co się odnosi do rozwoju miasta, jego urządzeń, objawów życia moralnego i umysłowego, sztuki, handlu itp. Tak opracowana historya Norymbergi będzie niezawodnie nieobojętnym przyczynkiem do dziejów powszechnych, przedewszystkiém cennym dla historyi Niemiec, ale nie wszystko, co jéj treść stanowi, da się użyć w ogólnéj historyi niemieckiéj. Historyk narodu niemieckiego skorzysta niemało z téj monografii, użyje nawet niejednego szczegółu, który jaskrawo ilustruje jakąś stronę życia miejskiego lub rzuca charakterystyczne światło na odrębną rolę dziejową danego miasta, ale ze wszystkich szczegółów, które w historyi lokalnéj Norymbergi są niezbędne, będzie się starał wydobyć wnioski ogólne, by z ich pomocą, na podstawie licznych prac tego rodzaju, utworzyć sobie wierny obraz rozwoju żywiołu miejskiego w Niemczech. Jego bowiem z natury rzeczy to tylko obchodzi, co w rozwoju dziejowym całego narodu niemieckiego wybitną odegrało rolę. Podobny zachodzi stosunek między historyą powszechną a dziejami poszczególnych narodów. Najznakomitsza i najzupełniejsza kolekcya dzieł, zawierających dzieje rozmaitych narodów, nie będzie jeszcze stanowić historyi powszechnéj. Autor, który do tego najszczytniejszego zadania w zakresie pracy

dziejopisarskiéj przystąpi, ze wszystkich tych dzieł skrzętnie będzie korzystał, znajdzie w nich materyał do odtworzenia ogólnego stanu i stopnia rozwoju cywilizacyjnego ludzkości w danéj epoce, odgadnie z ich pomocą odrębne cechy roli dziejowéj, jaką każdy z tych narodów w dramacie historyi powszechnéj odegrał, będzie się starał usilnie, żeby w wydobywaniu ogólniejszych wniosków nic nie uronić z tego wszystkiego, co monografie w skarbcu wiedzy historycznéj nagromadziły, ale nie będzie mógł tego obfitego materyału w całości przenieść do gmachu, który ma powstać pod jego ręką.

Każda praca monograficzna natomiast, jeśli ma mieć rzeczywistą wartość naukową i spełnić swoje zadanie, nie może zapominać o tém, co stanowi istotę historyi jako nauki i powinna utrzymać się na stanowisku powszechno-dziejowego poglądu. Historyk Norymbergi nie wyrwie zatem dziejów tego miasta z ogólnego naturalnego związku, nie będzie mógł ich opasać murem chińskim i od całości dziejów odgrodzić, ale będzie się starał rozwinąć ich obraz na tle historyi żywiołu miejskiego w ogóle, a zwłaszcza w Niemczech, i uwydatnić przedewszystkiém to stanowisko, jakie się w zakresie téj historyi przedmiotowi jego monograficznéj pracy należy. Autor, któryby się zajął monografią historyczną o poezyi prowansalskiéj w wiekach średnich, nie spełni swego zadania, jeśliby najskrzętniéj zebrał biografie poetów, wyliczył ich utwory, oznaczył najdokładniéj czas ich powstania i rozebrał je ze stanowiska ogólnéj krytyki estetycznéj; zadaniem jego będzie zarysować szkic ogólnych dziejów ojczyzny téj poezyi w epoce jéj rozkwitu, wyjaśnić jéj genezę, rozwój i upadek na tle dziejów powszechnych fantazyi i poezyi owéj epoki, zaznaczyć wyraźnie, czém była poezya prowansalska w ogólnych dziejach fantazyi i twórczości poetyckiéj w wiekach średnich.

Toż samo można o każdym przedmiocie monograficznym powiedzieć. Historya jakiegokolwiek narodu, którąby dzieje jego traktowała w oderwaniu od dziejów powszechnych i nie stawiała ich w świetle powszechnodziejowych prądów, byłaby w obec dzisiejszego stanowiska nauki ramotą i o tyle zasługiwałaby na uwagę, o ileby ją za surowy materyał można uważać.

Jakikolwiek więc jest przedmiot pracy historycznéj, czy najdrobniejszy jakiś szczegół monograficzny, czy dzieje wielkiego narodu lub cała epoka historyi powszechnéj, zawsze przyświeca jéj ten sam cel, stanowiący istotę nauki, zawsze te same środki służą do dopięcia celu. Piérwszym warunkiem do spełnienia właściwego zadania pracy historycznéj jest poznanie wszystkich faktów, zakres danego przedmiotu wypełniających; czyniąc zadość temu warunkowi, spełnia praca historyczna piérwsze swe zadanie, jako praca badawcza. Skoro zaś zbadanego materyału faktów nie podobna ułożyć mechanicznie według chronologicznego, geograficznego czy jakiegokolwiek innego schematu, lecz celem pracy historycznéj jest zbudować zeń umiejętnie jakiś przyczynek do dziejów ludzkości, po badaniu historycznem następuje praca konstrukcyjna, jako drugi stopień pracy dziejopisarskiéj. Nauka postępuje tém raźniéj, im bardziéj wydoskonala się metoda, im dzielniejszemi środkami posługiwać się może praca historyczna w badaniu i w konstrukcyi. Jakiekolwiek zaś miejsce przyznamy historyi w hierarchii nauk, musimy to stwierdzić, że w naszym wieku, w bieżącém stóleciu, metoda pracy historycznéj, mianowicie w zakresie badania, uczyniła tak znaczne postępy jak w dziedzinie każdéj niemal innéj nauki i wydoskonaliła do tego stopnia środki dotarcia do prawdy, która wszystkich nauk wspólnym jest celem, że dopiero od czasu takiego wydoskonalenia metody historycznéj, godzi się mówić na

seryo o naukowém stanowisku historyi. Być może, że dla tego w ruchu obecnym na polu pracy historycznéj przeważa kierunek pracy badawczéj, że przynajmniéj metoda w konstrukcyi historycznéj nie wydoskonaliła się w tym co badanie stopniu. Ale i w tym względzie jest niezaprzeczenie praca historyczna na drodze coraz większego postępu, i pod względem konstrukcyi wymaga się z dzisiejszego stanowiska nauki zupełnie czego innego, niźli przed laty kilkudziesięciu. Otóż wierni założeniu będziemy się starali określić dzisiejsze stanowisko historyi, wyłuszczając główne zasady pracy badawczéj, zdając sprawę ze środków technicznych, jakiemi się konstrukcya historyczna posługuje.

V.

Źródła historyczne.

Celem badania historycznego jest poznawać fakta dziejowe. Rzecz jasna, że najbliższém źródłem, do którego umysł ludzki w chęci poznawania faktów sięga, jest pamięć ludzka, pamięć każdego człowieka wraz z pomocą, jakiéj mu udzielić zdoła pamięć innych, przeszczepiająca się z pokolenia w pokolenie, a więc tradycya dziejowa. I długo téż z tego źródła jedynie czerpano. Buckle mówi, że znikąd historya tyle szkody nie doznała, co z wynalezienia i rozpowszechnienia pisma; odkąd bowiem znalazł się środek utrwalenia tego wszystkiego, co tak skrzętnie, w obawie uronienia czegokolwiek, przechowywano w skarbnicy tradycyi, odtąd źródło tradycyi wygasło, a pismo skaziło jéj czystość. Jest to paradox, godny tylu innych genialnych paradoxów tego autora, ale tyle jest w nim niezawodnie prawdy, że łatwość przechowania skarbów tradycyi w pi-

śmie nadwątliła energią pamięci, i ująwszy tradycyi uroku świętości, w niejednym wypadku dała pochop do jéj skrzywienia. To jednak pewna, że tradycya mimo całéj swéj siły, która jest rękojmią jéj żywotności, mogła zawsze mieć słabą tylko stosunkowo zdolność utrzymania w świadomości ludzkiéj tego ogromu faktów, które treść historyi stanowią; mimo całego swego majestatu, który ją do pewnego stopnia chronił od skażenia, musiała w każdém nowém pokoleniu wskutek zmiany pojęć i zapatrywań, przy współdziałaniu fantazyi, znacznym ulegać przeobrażeniom i była wskutek tego zawsze, jak i dziś jest, jedyném nieraz i wielce cenném, ale mętném źródłem dziejowém. I gdzie badanie historyczne posługiwać się może tém jedném tylko źródłem, smutny tam jest los historyi. Mamy jednak obok tradycyi mnóstwo innych rodzajów źródeł historycznych, których mianem obejmiemy wszystko, co o pewnych faktach dziejowych dostarcza nam wiadomości.

Ze względu na to, w jaki sposób nam źródła historyczne dostarczają świadectw o faktach dziejowych, możemy cały ich zasób podzielić na dwie kategorye. Sposób to bywa bowiem dwojaki: bezpośredni i pośredni. Świadectwa bezpośrednie czerpiemy z takich źródeł, które są w ścisłém tego słowa znaczeniu pomnikami, czyli zabytkami przeszłości. Wszystko, co się z téj przeszłości ostało, czego ząb czasu nie zniszczył, co w epoce swego powstania służyło do bezpośredniego użytku współczesnych, czego sam widok przenosi nas w czasy minione, dając bezpośrednie świadectwo o pewnéj stronie życia dziejowego owéj epoki, wszystko to należy do téj piérwszéj kategoryi źródeł. Każde zaś opowiadanie, którego celem jest przekazać potomności lub téż współczesnym świadomość danych wydarzeń, jest już tylko świadectwem pośredniém i zalicza się do źródeł, które za pośrednictwem czyjéjś opowieści, dostarczają

nam wiadomości o pewnych faktach. Wartość względna tych dwóch kategoryj źródeł najlepiéj się uwydatni, jeśli poznawanie faktów historycznych, porównamy z dowiadywaniem się o wydarzeniach współczesnych. Przypuśćmy zatém, że znajdujemy się na wieży, z któréj widać dokładnie bitwę, toczącą się pod murami miasta. Patrząc się na nią, dowiadujemy się bezpośrednio o jéj przebiegu. Jeśli zaś w towarzystwie naszém znajduje się jakiś ślepy, który o wszystkich operacyach wojennych obu armii nieprzyjacielskich z naszego tylko dowiaduje się opowiadania, to możemy o nim powiedzieć, że czerpie wiadomości o bitwie w sposób pośredni.

Z piérwszéj kategoryi źródeł, z bezpośrednich pomników przeszłości najłatwiéj zachowują się zabytki monumentalne, które trwałością swoją niszczącemu wpływowi czasu zdołają się oprzeć. A więc przedewszystkiém wszelkie budowle z epok minionych zachowane, od piramid egipskich aż do naszych starych modrzewiowych dworków szlacheckich, które gdzieniegdzie jeszcze, dzięki trwałemu materyałowi i szczęśliwym okolicznościom, przez kilka wieków aż do dni naszych się ostały. Następnie wszystkie przedmioty, które szczególna ich wartość, przypadek lub wczesne zamiłowanie naszych przodków w starożytnościach, zachować zdołały od zniszczenia; wszelkie przedmioty sztuki plastycznéj, obrazy i rzeźby, wszelkie sprzęty, narzędzia i ubiory, od zabytków t. z. przedhistorycznych, odkrywanych we wnętrzu prastarych grobów, aż do urządzeń domowych ostatnich generacyj, które nam jeszcze niekiedy służą do użytku, choć się nieraz ich staroświecczyzny wstydzimy. Dalej monety, rozważane jako bezpośrednie zabytki przeszłości, jako środek zamienny epok minionych, słowem wszystkie przedmioty, należące do zakresu badań archeologii w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu. I pisma wszyst-

kie, czy to oryginały dokumentów lub listów, czy kodexy rękopiśmienne, należéć będą, jako zabytki przeszłości, jako przedmioty archeologiczne, do téj saméj kategoryi źródeł.

Inaczéj już będzie z pismami, jeśli w ich treść wejrzymy. Ściśle wprawdzie biorąc, i pod względem treści zaliczać musimy wszystkie pomniki piśmienne, jako zabytki piśmiennictwa, do źródeł bezpośrednich. Cała literatura w najrozleglejszém znaczeniu stanowi jednę z wielkich gałęzi téj kategoryi źródeł, gdyż z niéj czerpiemy bezpośrednio wiadomości o ruchu umysłowym, o kierunku fantazyi i sile twórczości, o wyobrażeniach i pojęciach danéj epoki. I kronika każda i pamiętniki wszystkie, jako pomniki literackie rozważane, są źródłem bezpośredniém; do źródeł pośrednich należą tylko opowiadania, w tych pomnikach zawarte, o ile z nich czerpiemy wiadomości o faktach dziejowych.

Są jednak zabytki piśmienne, które pod względem treści w całéj rozciągłości i bez wszelkich zastrzeżeń do źródeł bezpośrednich zaliczyć musimy, gdyż fakta, które ich treść stanowią, w sposób bezpośredni dochodzą do naszéj wiadomości. Fakt, który mamy zbadać, stanowi właściwą istotę takiego zabytku, a pismo służy tylko do utrwalenia faktu w pamięci ludzkiéj. Stenogramy np. z posiedzeń parlamentów mają dla poznania treści mów parlamentarnych takie same znaczenie, jak gdyby czytający był obecnym na posiedzeniu i mowy te słyszał. Nie od dawna datuje się wprawdzie wynalazek stenografii, jeśli jednak z czasów dawniejszych mamy text przemówienia jakiegoś, spisany przez samego mówcę z wszelką rękojmią autentyczności, możemy go ze stanowiska badania historycznego traktować na równi ze stenogramem dzisiejszym. W wszelkich również autentycznych pomnikach prawa, czy to są edykta, statuta lub kodyfikacye urzędowe prawa zwyczajowego,

pismo jest tylko środkiem zachowania postanowień prawnych w pamięci ludzkiéj, sam text zaś jest właśnie tém prawem, którego poznanie jest w danym wypadku celem pracy badawczéj [7]). Niemniej wszelkie dokumenta urzędowe, których treść stanowią dekreta, wyroki sądowe, rozporządzenia i rozkazy, rozważane jako wyraz czyjéjś woli, warunki umów prywatnych lub międzynarodowych, traktaty handlowe, pokojowe itp., noty dyplomatyczne mają w obec badania historycznego to samo znaczenie. Natomiast, ściśle biorąc, należałoby dokumenta, zawierające sprawozdanie o przebiegu pewnych faktów w formie opowiadania, a więc protokoły urzędowe, niektóre akta notaryalne itp. zaliczać ze stanowiska teoryi do źródeł pośrednich a tylko charakter ich urzędowy nadawałby im w rzędzie tych źródeł, pod względem wiarygodności, piérwszorzędne znaczenie; należy tylko na to uważać, że często forma opowiadawcza takich dokumentów jest rzeczą pozorną, a treść ich istotną stanowią warunki umowy, rozporządzenia itp. Wszelki jednak materyał opowiadawczy, zawarty w dokumentach, ma bezwzględnie tylko wartość źródła pośredniego, w skutek czego np. w jakimś akcie donacyjnym, tak pospolitym u nas wśród dokumentów wieku XIII, praca badawcza zupełnie inne zajmuje stanowisko w obec samego nadania, jako wyrazu woli monarszéj, a ustępów, zawierających np. opowieść o zasługach obdarzonego, czyli t. z. w terminologii dyplomatycznéj narracyi. Toż samo zresztą, co o dokumentach, można powiedzieć o korespondencyi, która do dziejów niektórych epok tak obfity i ważny materyał stanowi. Każde opowiadanie, zawarte w liście, choć skreślone pod bezpośredniem wrażeniem wypadków, jest źródłem pośredniém, wszystko zaś co w tym samym liście uważać można za rozporządzenia piszącego lub téż za wyraz jego przekonań.

sądu, uczucia lub zamiaru ma niezaprzeczenie wartość źródła bezpośredniego.

W téj pierwszéj kategoryi źródeł wybitne miejsce zajmuje język, ten nieoceniony materyał historyczny, tylekroć sromotnie nadużywany, który z pomocą lingwistyki porównawczéj tak olbrzymie już oddał historyi usługi. W czasach, zupełną ciemnością przyćmionych, do których ani żadne materyalne pomniki przeszłości, ani téż nić tradycyi nie sięga, prastare zabytki języka, umiejętną ręką lingwistyki z dzisiejszego materyału odtworzone, jedyną są dla historyka pochodnią, rozświecającą mu zakres pojęć, do jakich wówczas ludzkość w rozmaitych swych częściach wznieść się zdołała, i tym sposobem wskazują mu drogę do odtworzenia obrazu ówczesnego stopnia cywilizacyjnego rozwoju. I później lingwistyka nie usuwa się z swoją skuteczną pomocą, tłómaczy historyi i rozwiązuje zagadki pokrewieństwa ludów, do psychologicznego ocenienia ich ducha dostarcza cennych wskazówek, oznacza ich siedziby i wędrówki, podaje najważniejsze przyczynki do odgadnięcia etnograficznego składu historycznych narodów. Z materyału tego korzysta praca historyczna jako z źródła bezpośredniego, przedwiekowe szczątki tego trwałego zabytku przeszłości dostarczają jéj bezpośrednio jedynych wiadomości o faktach i stosunkach, po których tylko w nich jednych pozostały ślady, gdy wszystko, co w ich epoce było materyą, od dawna już uległo zniszczeniu.

W kategoryi źródeł pośrednich piérwsze miejsce należy się tradycyi, już choćby dla tego samego, że wszystkie pomniki historyograficzne sprowadzić można do pojęcia tego źródła, uważając je za tradycyą, na piśmie utrwaloną. Z żywą, ustną tradycyą w właściwém tego słowa znaczeniu, rzadko się dziś zdarza spotkać pracy historycznéj, co najwięcéj w dziejach najbliższych nam, niedawno ubiegłych

czasów, gdyż obecnie siła tradycyi istotnie osłabła i nie sięga daleko w głąb przeszłości. Badamy wprawdzie klechdy i podania ludowe, a badania takie mogą dostarczyć historyi wiele nie obojętnych przyczynków; nie będziemy jednak w tym materyale szukali wiadomości o faktach dziejowych, ale wydobędziemy zeń stare zabytki w dziedzinie utworów fantazyi ludowéj. Zresztą badanie historyczne zajmuje się zwykle tylko tradycyą, skrystalizowaną już w pomnikach literackich, których zadaniem było, jéj pamięć potomności przekazać.

Daléj zaliczymy do źródeł pośrednich to wszystko, co z wątka bezpośrednich jako materyał opowiadawczy wydzielić należy. A więc nietylko opowiadania, zawarte w listach, „narracye“ dokumentów itp., ale przedewszystkiém wszelkie napisy, znajdujące się na bezpośrednich zabytkach przeszłości, czy nimi są budowle, monety, zbroje lub sprzęty domowe, słowem cały materyał epigraficzny, który szczególnie w studyach nad historyą starożytną, zwłaszcza w obec dzisiejszego stanowiska nauki, tak niesłychanie ważną rolę odgrywa. Najważniejsze w zasobie tych materyałów miejsce zajmują opowieści epigraficzne, z góry przeznaczone na to, by potomności pamięć jakichś faktów dziejowych przekazać, opowieści, które zupełnie na równi ze zwykłymi zabytkami historyograficznemi traktować należy, gdyż różnią się od nich jedynie materyałem piśmiennym. Ale nietylko pismo służy do utrwalenia tradycyi, nietylko zabytki piśmienne wypełniają zasób źródeł pośrednich, sztuka plastyczna to samo w pewnym względzie spełnia zadanie. Portret każdy, jako przedmiot sztuki rozważany, czy na płótnie, czy na monecie lub w rzeźbie się znajduje, jest niezawodnie źródłem bezpośredniém; jeśli zeń jednak korzystamy do odtworzenia zewnętrznéj postaci jakiegoś człowieka historycznego, przybiera znaczenie źródła pośre-

dniego. Tak też z wszelkich współczesnych obrazów, rzeźb, numizmatów i pieczęci czerpiemy jako z źródeł pośrednich wiadomości o kostiumach i urządzeniach domowych, różnica zaś między tym rodzajem źródeł a opowiadaniem, w stosunku do faktów dziejowych, polega tylko na większéj zdolności wiernego odtworzenia przedmiotu w sztuce plastycznéj.

Najważniejszą jednak grupę w kategoryi źródeł pośrednich stanowi historyografia, tj. pomniki literackie, zawiérające opowiadania o faktach dziejowych. Źródła te są już same przez się pracami historycznemi, które do źródeł o tyle tylko zaliczyć możemy, o ile są albo współczesne lub bliskie wypadkom opisywanym, albo też stanowią zbiornik tradycyi, która choć odległych czasów sięgając, w nich dopiéro utrwaliła się na piśmie. Pamiętniki i relacye poselskie, gazety, biografie współczesne, roczniki i kroniki i jakiekolwiek inne rodzaje historyograficznych pomników rozróżnić można, składają tę grupę źródeł. Pomimo niższéj swéj ze stanowiska teoryi wartości w stosunku do źródeł bezpośrednich, stanowią pomniki historyograficzne jednę z najważniejszych gałęzi całego rozległego zasobu źródeł, gdyż wiele jest objawów dziejowego życia ludzkości, których świadomość tylko w formie opowiadania może być potomności przekazaną, które w żadnym zabytku bezpośrednim nie mogą się ostać.

VI.

Krytyka źródeł.

Z wszystkich tych źródeł może praca badawcza w celu poznawania faktów historycznych wtedy dopiéro korzystać, jeśli się w nich należycie rozpatrzy, zda sobie sprawę z ich

istoty i przysposobi je do tego, by o faktach dziejowych mogły dawać rzetelne świadectwo. Krytyka źródeł jest zatém piérwszym, przygotowawczym stopniem badania historycznego.

Piérwszą w zakresie téj czynności rzeczą jest stwierdzić należycie istotę każdego danego pomnika, przekonać się o jego autentyczności i, co najściśléj z kwestyą autentyczności się łączy, oznaczyć epokę, do któréj każdy dany pomnik, mianowicie z kategoryi źródeł pośrednich, należy. Najciekawszy bowiem pomnik architektury, najwspanialsze dzieło sztuki, najszczególniejszy przedmiot archeologiczny lub numizmat na nic nam się nie przyda jako źródło dziejowe, jeśli nie będziemy umieli naznaczyć mu właściwego miejsca na obszarze naszych wiadomości historycznych, nie zdołamy stwierdzić, jakiéj epoki i jakiego narodu jest dziełem. Dokumenta historyczne w treści swéj, a najczęściéj w dokładném datowaniu, zawiérają zwykle pod tym względem dostateczne wskazówki, w źródłach zaś historyograficznych, jako w opowiadaniu, rzadko w tym względzie zdarzy się napotkać jakieś trudności [8]). Wszelkie jednak zabytki archeologiczne musi wprzód ta pomocnicza nauka zbadać i określić; od ścisłości jéj badań i doskonałości metody zależy to zatém, o ile te cenne bezpośrednie źródła mogą się przydać w pracy historycznéj.

Rzecz jasna również, że tylko taki pomnik źródłowy, którego autentyczność jest stwierdzona, który więc istotnie jest tém, za co się wydaje, może służyć jako źródło historyczne. Fabrykatów umyślnych, falsyfikatów, sprytniéj lub niezgrabniéj podrobionych, nic brak we wszystkich gałęziach materyału źródłowego. Pełno ich wśród przedmiotów archeologicznych, całe fabryki falsyfikatów nieraz odkrywają, a krytyka naukowa, im bardziéj się wydoskonala, im obfitszym zasobem pozytywnéj wiedzy rozporządza, tém łatwiéj

odróżnia prawdę od fałszu. W pomnikach piśmiennych także kąkolu tego wiele narosło: i dziś wszakże cel praktyczny niejednego wiedzie do fałszerstwa dokumentów, dawniéj zaś i większa giętkość w pojęciach moralności panowała pod tym względem, i sposobności było więcéj do tego rodzaju oszustwa w braku należytych środków kontroli. Potrzeba odróżnienia autentycznych dokumentów od falsyfikatów dała początek dyplomatyce, odrębnéj nauce pomocniczéj, bez któréj żaden historyk obejść się nie może, a która w ostatnich czasach dochodzi do takiego stopnia wydoskonalenia metody, że dziś już falsyfikaty rzadko mogą prawdę historyczną kazić. Nie tak często zdarzy się spotkać podrabiane pamiętniki, kroniki lub poemata historyczne, w których fantazya fałszerza posługiwała się wiadomościami historycznemi, z rzetelnych źródeł zaczerpniętemi. I te falsyfikaty runęły już po największéj części pod taranem nieubłaganéj krytyki, poruszanym siłą dzisiejszéj znajomości historyografii powszechnéj. Można nawet powiedzieć, że obecnie stoimy u kresu epoki przejściowéj, w któréj, wobec rozbudzonego na polu badań historycznych zmysłu krytycznego, posuwano się nieraz do hiperkrytycyzmu, piętnującego autentyczne pomniki mianem falsyfikatów. Wieleż to dokumentów, w ten sposób napiętnowanych, doczekało się z postępem dyplomatyki należnéj im rehabilitacyi, i historyograficznym niektórym pomnikom (pisma Hroswity z Gandersheim, Ligurinus), które dłoń hiperkrytycymu z szeregu źródeł historycznych wypchnęła, wrócono już niewątpliwe piętno autentyczności.

I falsyfikat wreszcie może być źródłem historycznem, tylko nie tém, za które się wydaje. Samo już fałszerstwo jest faktem, który zeń stwierdzić możemy, a fakt taki bywa czasem rzeczą niemałéj wagi. Jeśli wreszcie, np. u nas w wieku trzynastym fałszerz jakiś podrabiał dokument Mieszka Starego, to w anachronicznéj treści fabrykatu, opartéj

na znajomości współczesnych stosunków, podał nam mimowoli przyczynek do ich poznania. Tak też cenném źródłem do historyi austryackiéj jest t. z. „*privilegium majus*“, fabrykat dyplomatu cesarza Fryderyka I, podrobiony przez Rudolfa IV w drugiéj połowie XIV wieku, gdyż z niego się dowiadujemy, jakie to pretensye rościł sobie ówczesny książe austryacki, zamierzając dopiąć celu fałszerstwem dokumentu. Również i owe kroniki Kagnimira, Prokosza i tylu innych bajecznych naszych historyografów, które Dyamentowski w XVII wieku fabrykował, są ciekawą ilustracyą poziomu umysłowego i wiadomości historycznych w jego epoce.

Niedość jest jednak odnieść każde źródło dziejowe do właściwéj epoki i stwierdzić jego autentyczność, praca badawcza, zanim je zużytkuje, musi wprzód poznać właściwą jego postać, lub o ile czas tę postać przetworzył, stara się mu ją w sposób umiejętny przywrócić. Czynność ta nie może następować zresztą po wykonaniu dwóch piérwszych, musi się odbywać współcześnie lub nawet je niekiedy poprzedzać, gdyż bez niektórych jéj wyników obu piérwszych niepodobna wykonać. Tak każdy przedmiot archeologiczny, z ziemi wydobyty, należy wprzód oczyścić ze rdzy i naleciałości, zanim sobie z jego istoty zdołamy zdać sprawę. Często znajdujemy tylko fragment takiego przedmiotu, a w takim razie, wtedy dopiéro będziemy mogli z niego korzystać, jeśli nam nauka sposobem porównawczym w przybliżeniu przynajmniéj piérwotną postać całości odtworzy. Z ruin budowli jakichś badacz fachowy, znając zasadę techniki i jéj historyą, wydobędzie umiejętnie wnioski, jak wyglądała całość gmachu. Najobfitsze jednak pole nastręczają do tego rodzaju pracy wszelkie pomniki piśmienne, czy do pośrednich, czy do bezpośrednich źródeł należą. Posiadając oryginał dokumentu, lub autograf pomnika historyografi-

cznego, mamy go w pierwotnéj, właściwéj postaci. Mogą być w nim tylko niejakie skazy lub luki, pismo może być zupełnie zbladłe, tak że je materyalnie dopiéro środki chemiczne zdołają odtworzyć, w papierze lub w pergaminie zdarzają się luki, niekiedy tak nieznaczne, że z pewnym darem kombinacyi można treść brakujących wyrazów odgadnąć. I dokumenta nieraz zachowywały się tylko w odpisach, a między pomnikami historyograficznemi autograf jest niesłychaną, wyjątkową rzadkością. Pozostały tylko kopie, czasem znaczna ich liczba, a pomiędzy tekstami odpisów zachodzą nieraz tak wielkie różnice, że znaczenie najważniejszych ustępów bardzo może być wątpliwe, dopóki się nie rozstrzygnie, który tekst jest autentyczny; w niektórych rękopisach znajdują się ważne ustępy, których nie ma w innych manuskryptach, a wskutek tego nasuwa się wątpliwość, czy to nie są późniejsze wtręty, których wartość źródłowa może być zupełnie inną od wartości pierwotnego pomnika. Otóż krytyka badawcza porównywa wszystkie teksty rękopisów danego pomnika, zapisuje wszelkie różnice i zboczenia, na ich dokładném rozpoznaniu opiéra wnioski o bliższém lub dalszém pokrewieństwie rozmaitych rękopisów, i z wniosków tych buduje drzewo genealogiczne, w którém protoplastą całéj rodziny rękopisów będzie autograf, a wszystkie znane nam manuskrypta znajdą tam właściwe swoje miejsce w dalszém rozgałęzieniu rodziny, połączone z sobą ogniwami przypuszczalnych rękopisów zaginionych. Manuskrypt, który w tém drzewie genealogiczném najbliższym się okaże potomkiem autografu, weźmiemy za podstawę w odtworzeniu pierwotnego tekstu; mogą w nim jednak znaleść się w szczegółach pomyłki, ze złego odczytania pochodzące, które łatwo sprostujemy odmianami tekstu z innych rękopisów, prawnuków tego samego autografu, ale reprezentantów innéj, niżli ten podstawowy manuskrypt,

linii rodowéj. Tekst pomnika historyograficznego, w ten sposób odtworzony, wydaje się w publikacyach źródłowych, przystępnych dla całego rozległego grona badaczy; z takiém krytyczném wydaniem ustają wątpliwości co do jego osnowy, która ustalona i w piérwotnéj odtworzona czystości służyć może dopiéro jako źródło historyczne.

Po dokonaniu tych przedwstępnych czynności krytycznych, źródła bezpośrednie przysposobione już są należycie, by z nich wydobywać wiadomości o faktach, które ich treść i istotę stanowią. Źródła pośrednie, a mianowicie historyograficzne, wymagają jednak dalszego jeszcze przysposobienia. Skoro treść ich bowiem stanowi opowiadanie o faktach dziejowych, zanim te fakta poznamy i użyjemy ich w pracy historycznéj, należy wprzód sprawdzić wiarygodność opowiadania. Niedość jest jednak w każdym wypadku z osobna zastanawiać się nad wiarygodnością każdego poszczególnego ustępu w tym lub owym historyograficznym pomniku. Prawda historyczna wymaga pewniejszych, bardziéj przedmiotowych kryteryów, niżliby je podmiotowa zupełnie dowolność w takiém traktowaniu rzeczy dać mogła. Należy więc opracować krytycznie cały pomnik historyograficzny, z którego mamy choćby tylko jakiś szczegół zaczerpnąć, aby ze stanowiska ogólnéj znajomości jego wartości źródłowéj ocenić wiarygodność każdego poszczególnego ustępu.

Główna zasada w badaniu wiarygodności jakiegoś opowiadania opiéra się na tém, żeby przedewszystkiem stwierdzić, czy autor mógł i czy chciał prawdę powiedzieć. Te dwa względy nie zawsze się łączą, niekiedy nawet są w jaskrawéj sprzeczności; często autor, który mógł znać prawdę, i właśnie dlatego, że mógł ją znać najdokładniéj, nie chciał jéj podać do powszechnéj wiadomości; tém właśnie odznacza się przedewszystkiém t. z. historyografia oficyalna, to samo powiedzieć można o wielu pamiętnikach, których autorowie

z pobudek miłości własnéj często się dopuszczają fałszu. Ze względu zatém na piérwszy punkt, najkorzystniéj świadczy o wiarogodności współczesność autora, który albo sam był naocznym świadkiem opisywanych wydarzeń, albo téż u innych naocznych świadków czerpał swoje wiadomości. Należy więc poznać tego autora, jeżeli jest osobistość skądinąd znana, postarać się o jego biografią, stwierdzić, o ile mógł być bliskim wypadkom opisywanym i skąd się o nich dowiadywał, jakie stanowisko zajmował wobec przebiegu spraw współczesnych. Jeśli zmienne były koleje jego życia, jeśli wśród nich zapatrywania jego ważniejszym ulegały przeobrażeniom, nieobojętną będzie rzeczą przekonać się, w jakim czasie, pod jakich przekonań wpływem powstało jego dzieło lub pewien tego dzieła ustęp. Rozważając z tego stanowiska całość każdego pomnika historyograficznego i każdy jego ustęp z osobna, sprawdzając o ile można wiarygodność podanych faktów porównaniem z innemi, mianowicie z bezpośredniemi źródłami, pozna się tak dokładnie źródłową wartość pomnika, zdobędzie się tyle wskazówek do ocenienia jego właściwości, że nietrudno będzie sprawdzić wiarygodność takich nawet ustępów, które w braku innych środków kontroli jedynie z tego stanowiska można należycie osądzić. Nawet w takim razie, jeśli autor ukrył swe imię i, jak widać ze wszystkiego, nie był bynajmniéj wybitną osobistością, z własnego dzieła jego można powziąć niejakie przekonanie, czém był i jak się zapatrywał na sprawy współczesne, by według tego wartość źródłową jego dzieła ocenić.

Te wszystkie uwagi zastosować można jednak tylko do pomników współczesnych z opisywanemi wydarzeniami, a więc przedewszystkiem do pamiętników, relacyj poselskich i współczesnych ustępów w większych kronikach. Na większe jeszcze wysiłki zdobywać się musi krytyka badawcza wobec

pomników historyograficznych, obejmujących dzieje rozleglejszéj epoki, w których sam autor mógł czerpać tylko z innych źródeł piśmiennych lub też z tradycyi ustnéj. Źródła takie są to zatém właściwie prace historyczne, wykonane ze stanowiska tego dziecięcego i niedojrzałego stadium metody, w jakiém się praca dziejopisarska w czasie ich powstania znajdowała. Bez ścisłego rozbioru krytycznego tych źródeł niepodobna z nich korzystać, w dziejach starożytności zaś i wieków średnich są całe epoki, których ciemnicę ten jedyny płomyk zdoła tylko rozświecić. Rozbieramy zatém krytycznie całą osnowę takiego pomnika historyograficznego i stwierdzamy przedewszystkiém, które ustępy jego opiérają się na znanych nam źródłach współczesnych danéj epoki, dokumentach lub zabytkach historyograficznych. Z takich ustępów nie będziemy naturalnie korzystać, mając czystsze źródło w ich pierwowzorach; ale dokładne ich zbadanie opłaci nam się sowicie, gdyż najpiérw wydzieli osobno cały materyał danego pomnika, oparty na źródłach nieznanych, a zarazem dostarczy nam niezbędnych wskazówek do ocenienia metody, jaką się autor w wyzyskiwaniu swych źródeł posługiwał. Będziemy widzieli, czy wypisuje je dosłownie, co zdarza się często i jest najkorzystniejszym dla wartości pomnika wypadkiem, czy skraca je umiejętnie albo też niedbale i pobieżnie, czy przekształca ich treść własnemi kombinacyami, ubarwia niewinnemi dodatkami lub skrzywia tendencyjném przekręcaniem. Z tym zasobem spostrzeżeń przystępujemy dopiéro do rozbioru materyałów, opartych na źródłach nieznanych. Z treści i istoty każdego poszczególnego ustępu staramy się stwierdzić, na jakiem się źródle opiéra, na dokumencie historycznym, na opowieści innego jakiegoś historyograficznego źródła lub też na ustnéj tradycyi. Ustępy téj ostatniéj kategoryi traktuje praca badawcza jako tradycyą, przepuszczoną przez alembik właści-

wości litereckich autora, z których nieraz dokładnie możemy sobie zdać sprawę; niekiedy uda nam się odgadnąć bliższe źródło téj tradycyi, czy to podanie ludowe, fantastycznemi już ubarwieniami upstrzone, czy wdzięczną pamięć zakonników jakiegoś klasztoru o życiu i czynach dobroczynnego a dawno zmarłego fundatora, czy wątek tradycyi rodzinnéj, przeszczepiającéj się z jednego pokolenia w drugie i t. p. Badając wiadomości, prowdopodobnie z innych pomników historyograficznych czerpane, dochodzimy czasami do wyników zdumiewających. Zebrawszy np. z rozmaitych ustępów sporą wiązankę charakterystycznych wskazówek, zdołamy niekiedy odgadnąć naturę owych zaginionych źródeł, lub nawet jakiś pomnik, jeśli był dla autora obfitą kopalnią wiadomości, w piérwotnéj postaci odtworzyć. Krytyka doszła w tym względzie do mistrzowstwa, dość wspomnieć, że Giesebrechtowi udało się z pism Aventina, autora XVI wieku, z pomocą innych źródeł, odtworzyć prawie w całości t. z. roczniki altaheńskie, jeden z najważniejszych pomników XI stólecia, w 30 zaś lat potém odkrycie piérwotnego ich tekstu potwierdziło jak najświetniéj wyniki tego mozolnego badania. Jeśli niekiedy zbytnia śmiałość hipotez w stwierdzeniu takich źródeł zaginionych przekracza granice naukowéj ścisłości, są to zboczenia, które zdarzają się w każdéj nauce, nie ujmują jednak wartości świetnéj, z rzadką ścisłością wydoskonalonéj metodzie.

Ta metoda jednak, jak w ogóle cała metoda krytycznego oceniania źródeł, jest dopiéro dziełem tego naukowego kierunku w pracy historycznéj, który się w naszém stóleciu obudził, a na którém opiéra się dzisiejsze stanowisko historyi. Dawniéj posługiwała się praca dziejopisarska przeważnie źródłami pośredniemi, mianowicie wiadomościami czerpanemi z pomników historyograficznych. Nie mając jednak wyobrażenia o umiejętném odtwarzaniu piérwotnej ich

osnowy, korzystano z piérwszego lepszego, licznemi błędami skażonego tekstu, a najpotworniejsze hipotezy opiérały się nieraz na wyrażeniach, które były tylko bałamutną pomyłką niedbałego przepisywacza. O stwierdzeniu istotnéj wartości źródłowéj pomników historyograficznych i poszczególnych ich ustępów nikomu się nie marzyło, z dowolnością niczem nie krępowaną oddawano pierwszeństwo mętnym źródłom późniejszym, oceniając wiarygodność każdego z osobna świadectwa według własnego widzimisię. Jeśli kto zaś sięgnął do źródeł bezpośrednich i opowieści pomników historyograficznych uzupełniał wiadomościami, zaczerpanemi z dokumentów, to nie odróżniając ziarna prawdziwego od plewy fabrykatów, wprowadzał często do historyi w najlepszéj wierze najwierutniejsze fałsze. Posługiwano się wprawdzie nieraz wywodami etymologicznemi, ale dopóki nie było lingwistyki umiejętnéj, monstrualne wnioski, z materyałów językowych wydobywane, zawsze tylko szkodę przynosiły nauce. Materzał archeologiczny, o ile go wyzyskać usiłowano, mógł także do większego tylko przyczynić się zamętu, dopóki nie umiano oznaczyć chronologii jego pomników, dopóki, jak mówi Merimée o niedawnych jeszcze czasach, „ośmioboczny kościół w Montmorillon uważano za świątynię Druidów, a w muzeach paryskich pancerz z XVI wieku uchodził za zbroję Rolanda“.

Te smutne dla historyi czasy minęły, a jeśli jeszcze gdzieniegdzie odezwą się ich epigonowie, to krytyka naukowa szybko załatwia się z ich elukubracyami. Odkąd zaś historya w umiejętnéj metodzie krytycznego ocenienia źródeł zdobyła sobie naukową podstawę, odtąd ma prawo do tytułu nauki, ale nikt téż nie ma prawa odmawiać jéj tego tytułu.

VII.

Stwierdzanie faktów.

Z tak przysposobionych i krytycznie ocenionych źródeł czerpie praca badawcza wiadomości o faktach. Cel pracy historycznéj wymaga jak najdokładniejszego poznania istoty każdego faktu, skąd wynika konieczna potrzeba wyzyskania wszelkich źródeł, w których o danym fakcie jakiekolwiek znaleść można świadectwa, — potrzeba, której tylko prace monograficzne sprostać zdołają. Niekiedy materyał źródłowy jest tak obfity, że zupełne jego wyzyskanie staje się celem niedoścignionym, w takim więc razie tyle można tylko powiedzieć, że z kilku prac o tym samym przedmiocie traktujących, *caeteris paribus*, ta będzie miała największą naukową wartość, która na najobfitszym oprze się materyale. Wielka zresztą zachodzi różnica pomiędzy rozmaitemi materyałami źródłowemi pod względem wewnętrznéj ich wartości; kto więc np. w pracy o jakimś wielokroć już opracowanym przedmiocie dotrze do źródła, które jego istotę w szczególnie charakterystyczny sposób objaśnia, złoży o wiele ważniejszy do zbadania danego faktu przyczynek, niż gdyby zdołał wyzyskać mnóstwo nowych, ale mniéj ważnych materyałów. Z tém wszystkiem zupełne wyzyskanie wszystkich źródeł jest postulatem naukowéj ścisłości, bezwzględnie obowiązującym, gdzie tylko spełnienie jego możebne; jeśli zaś niepodobną jest rzeczą żądaniu temu zadość uczynić, należy przynajmniéj zebrać jak najobfitszy zasób dostępnego materyału.

Pomiędzy wszystkiemi źródłami dziejowemi, zarówno bezpośredniemi jak i pośredniemi, najwybitniejsze miejsce zajmują źródła piśmienne i najczęściéj téż badaniu history-

cznemu z nich wypada korzystać. O najważniejszych bowiem objawach dziejowego życia ludzkości, o życiu społecznem, politycznem i umysłowem w piśmiennych tylko źródłach możemy szukać historycznych wiadomości; w badaniach nawet nad historyą sztuki, których przedmiot właściwy stanowią monumentalne zabytki przeszłości, niepodobna się obejść bez wielu wskazówek, zawartych w źródłach piśmiennych.

Badanie historyczne, mając ze źródeł piśmiennych wydobyć wiadomość o danym fakcie, musi przedewszystkiem zdać sobie należycie sprawę z istotnego znaczenia tekstu, musi się zająć jego umiejętną interpretacyą. Mało co bowiem tyle szkody przyniosło prawdzie dziejowéj, jak interpretacya dowolna i nieumiejętna, na żadném też polu nie wojowała tak zwycięsko tendencya. Dowolności i umyślnemu fałszowi kładą jednak tamę zasady umiejętnéj hermeneutyki. Niedość tu znać ogólnie język danego pomnika: rodowity Francuz, czytający Wiktora Hugo, Taine'a i Renana, nie będzie jeszcze bez specyalnych studyów należycie rozumiał kronik i dokumentów francuskich XIII wieku, a najznakomitszy filolog, który całe życie strawił nad klasyczną literaturą, nie jest tém samém jeszcze przygotowany do interpretacyi łacińskich pomników średniowiecznéj historyografii. Nawet studya specyalne nad językiem danéj epoki nie uczynią jeszcze zadość wszelkim wymaganiom umiejętnéj hermeneutyki. Jeśli w ważniejszym jakimś tekście nasunie się wątpliwość co do znaczenia jakiegoś wyrazu, należy najpierw zdać sobie sprawę, jakie znaczenie miewa ten wyraz zwykle w współczesnych pomnikach, następnie zaś dokładne zestawienie wszystkich ustępów danego pomnika lub innych pism tego samego autora, w których się ten wyraz znajduje, wykaże z wszelką ścisłością, w jakiém znaczeniu go użyto w danym ustępie. Nieraz od

interpretacyi kilku wyrażeń wątpliwych zależy pogląd na najobfitsze w następstwa fakta dziejowe, na początek i znaczenie instytucyj, które w rozwoju społecznym rozległéj grupy narodów najwybitniejszą rolę odegrały, i w takich to wypadkach praca badawcza, czém daléj posunie granice drobiazgowéj ścisłości w interpretacyi tekstu, tém lepiéj wywiąże się z obowiązków, jakie na nią cel pracy dziejopisarskiéj wkłada.

Zgromadziwszy wszystkie źródła, w których się mieszczą wiadomości o danym fakcie, rozpoznawszy umiejętnie właściwe znaczenie tych wiadomości, stara się praca badawcza stwierdzić z nich istotę faktu. W tym celu musi krytyka przedewszystkiem rozwikłać trudności, wynikające ze sprzeczności, jakie często pomiędzy różnemi świadectwami źródłowemi zachodzą. Kiedy krytyka historyczna znajdowała się jeszcze w kolébce, mniemano nieraz, że praca badawcza uczyni zadość jéj wymaganiom, jeśli ze sprzecznych świadectw powyjmuje dowolnie rozmaite szczegóły i jednych użyje w opowiadaniu, inne usunie dla uniknięcia sprzeczności. Taka dowolność i źle zrozumiana bezstronność krytyczna nie zdoła nigdy dotrzeć do prawdy dziejowej, w każdym zaś razie brak jéj będzie wszelkiéj rękojmii, czy w takiém dowolném postępowaniu nie powybiéra właśnie fałszywych szczegółów z rozmaitych świadectw źródłowych i zamiast prawdy nie poda samego fałszu. Jedyną wskazówką w tym względzie może być tylko przedmiotowy sąd krytyczny o wartości poszczególnych świadectw, oparty na dokładném ich ocenieniu, które zaliczyliśmy do zadań pierwszego, przygotowawczego stopnia w badaniu historyczném. Bierzemy zatém za podstawę źródło najpewniejsze i najwiarogodniejsze, oczyszczając je jeszcze wprzód ze szczegółów, które według wskazówek innych źródeł, a zarazem ze stanowiska ogólnéj znajomości tego pomnika źródłowego wobec krytyki

ostać się nie mogą. Z innych źródeł, choćby wątpliwéj nieraz wartości, niejeden szczegół, niejeden rys charakterystyczny, którego wiarygodność sprawdzić możemy, uda się nieraz krytyce historycznéj uratować, by go następnie wtłoczyć w schemat treści źródła podstawowego. Niepodobna tu wyłuszczyć wszystkich zasad, któremi się krytyka historyczna w każdym wypadku kieruje. Rzecz jasna jednak, że daje pierwszeństwo źródłom bezpośrednim przed pośredniemi, w rzędzie tych ostatnich zaś współczesnym przed późniejszemi, że dana jakaś wiadomość nabywa tém większéj wiarygodności, w im większéj ilości niezawisłych od siebie źródeł się powtarza itp. Te wszystkie wskazówki jednak, jakkolwiek według nich najczęściéj w pracy badawczéj postępować należy, nie są bynajmniéj niezłomnemi przepisami, od którychby w żadnym wypadku niewolno było odstąpić. Zdarzy się np., że jakiś pomnik historyograficzny podaje nam opowiadanie ze wszech względów wiarygodne, tymczasem znajdujemy dokument niewątpliwéj autentyczności, którego data dowodzi, że główna osoba, w opisanym fakcie działająca, tego samego dnia znajdowała się w zupełnie innem, odległém miejscu. Nieraz na podstawie takiego *alibi* najwiarygodniejsze świadectwa źródłowe podawano w wątpliwość, choć często nie było do tego żadnego powodu. Ścisłe, szczegółowe badania dyplomatyczne dowiodły bowiem, że w niektórych kancelaryach było utartym zwyczajem, wydawać dokumenta w nieobecności króla bez wszelkiéj o tém wzmianki i bez wszelkich zastrzeżeń, lub, jeśli data wydania dokumentu różną była od daty czynności prawnéj, która jego treść stanowi, zapisywać w nim świadków saméj czynności, chociaż nie byli obecni przy spisaniu dokumentu. Przytoczyliśmy ten przykład, właśnie dlatego, że jest tak prosty a posłuży może do praktycznego wyjaśnienia przypadku, w którym badanie historyczne odstąpić

musi od pewnych wskazówek krytyki, choć w stu innych przypadkach pójdzie za niemi. Nie ma bowiem szablonów, którymiby pracę badawczą można skrępować, to tylko pewna, że podstawą jéj musi być zawsze dokładne, szczegółowe ocenienie wewnętrznéj wartości świadectw źródłowych a ostatnią dla niéj instancyą jest trzeźwy zmysł krytyczny, który w zbadaniu istoty faktów dziejowych na téj podstawie wnioski swoje opiera.

Rzecz to jasna zresztą, że praca historyczna w zbadaniu faktów dziejowych o tyle zdoła sprostać swemu zadaniu, o ile w źródłach znajdzie do tego dostateczny materyał. Wieleż jednak najważniejszych faktów, których poznanie dopomogłoby nam może do rozwiązania najzawilszych zagadek dziejowych, przebrzmiało bez śladu, bez utrwalenia się w pamięci ludzkiéj za pośrednictwem źródeł. Bezsilna wobec takich, zupełną ciemnicą zasłoniętych faktów, nie może praca historyczna wyrzekać się chęci ich zbadania, jeśli na nie skądkolwiek choćby jak słabe pada światełko. Nieraz ani w żadnym bezpośrednim zabytku przeszłości, ani w tradycyi ustnéj lub pisanéj nie przechowała się wprost pamięć jakiegoś wydarzenia, o którym jednak z przypadkowych wskazówek, w rozmaitych źródłach porozrzucanych, intuicya historyczna może wydobyć jakąś, choć niepewną i niedokładną wiadomość. Jak w braku pewnych dowodów, z nieznacznych ale skrzętnie nagromadzonych poślak przysięgli mogą w danym wypadku nabrać tak głębokjego przekonania, że wydadzą werdykt, uznający oskarżonego winnym zarzuconéj mu zbrodni, tak praca badawcza z nielicznych nieraz wskazówek buduje hipotezę o fakcie, którego jéj żadne źródła wprost nie zdołają odsłonić. Wielu badaczy w przesadnéj sumienności lęka się wszelkich hipotez, inni znów zbyt śmiałemi, a na dostatecznym zasobie wskazówek źródłowych nie opartemi pomysłami szkodzą prawdzie dziejowéj i najwięcéj

się przyczyniają do obudzenia nieufności ku wszelkiéj hipotezie w badaniu historycznéj; z tém wszystkiém jednak, praca dziejopisarska, jak każda praca naukowa, nie może się jéj wyrzec, gdyż bez niéj musiałaby broń złożyć wobec niejednéj ważnéj pozycyi strategicznéj, którą zręczna taktyka hipotetyczna zdobędzie z niemałym dla celu historyi pożytkiem, i świetnym nieraz, jak już często późniéj odkrycie nowych źródeł pokazało, dla swéj bystrości krytycznéj tryumfem.

I tu wreszcie należy to przypomnieć, na co już poprzednio nieraz zwracaliśmy uwagę, że fakta dziejowe nie są osobnikami, obok siebie ustawionemi, ale łączą się z sobą ściśle i jedne z drugich wynikają. Otoż szczególnie w powiązaniu luźnych, dokładnie nam znanych faktów, w wykryciu łączników, które je wiążą, słowem w t. z. kombinacyi historycznéj, oddaje hipoteza badaniu historycznemu niepospolite usługi. Ten stopień pracy historycznéj, którego celem jest ugrupowanie faktów według ich naturalnego, na stosunku przyczyn do następstw opartego porządku, znajduje się już na rozdrożu między badaniem a konstrukcyą [9]).

VIII.

Nauki społeczne i polityczne.

Wśrod badania historycznego wytwarza się zatém w umyśle badacza przez kombinacyą odkrytych faktów dziejowych ten obraz przeszłości, którego wypracowanie jest celem konstrukcyi historycznéj. Jakikolwiek jest jednak w każdym danym wypadku przedmiot pracy historycznéj, praca konstrukcyjna musi sobie przedewszystkiém zdać sprawę ze stosunków epoki, na których tle rozwijają się wydarzenia dziejowe. Jeśli to jest praca monograficzna, bę-

dzie niekiedy właściwym jéj przedmiotem obraz stosunków politycznych, społecznych, intelektualnych i t. p., w związku ogólnym lub w jakimkolwiek poszczególnym kierunku rozważanych, a więc ogólny stopień rozwoju jakiéjś organicznéj cząstki ludzkości w danéj epoce, lub którakolwiek jego poszczególna strona, odrębnie wzięta. Jeśli zaś przedmiotem danéj pracy monograficznéj będą wydarzenia dziejowe, wśród których i przez które stosunki epoki współczesnéj przekształcają się i zwolna na inne wchodzą tory, to i w takim razie historyk przedewszystkiém będzie musiał poznać te stosunki, czerpiąc o nich wiadomości z gotowych już wyników poprzednich badań i uzupełniając je własnemi spostrzeżeniami, w ten bowiem tylko sposób zdoła należycie ocenić znaczenie i istotę wydarzeń dziejowych, które przedmiot jego własnéj pracy stanowią.

Rzecz jasna zaś, że pierwszym warunkiem umiejętnego poznania tych stosunków w każdéj danéj epoce jest fachowe wykształcenie w zakresie ich przedmiotu. Przypuśćmy np., że w danym wypadku chodzi o poznanie stopnia umysłowego rozwoju pewnéj epoki w ogóle lub w jakim szczególnym kierunku; wiadomości o nim czerpać będzie historyk w jego bezpośrednich objawach, a więc w pomnikach ówczesnego piśmiennictwa, a do ich zrozumienia i ocenienia potrzebne jest fachowe wykształcenie w naukach, do których zakresu te źródła należą, jako pomniki piśmiennictwa. Gdyby kto bez żadnego specyalnego wykształcenia w matematyce i astronomii przestudyował najsnmienniéj wszystkie dzieła Galileusza, Tychona de Brahe i Kepplera, mógłby zestawić ich dokładną bibliografią, zliczyć nawet ogólne sumy liter i wyrazów w nich zawarte, ale wiele najistotniejszych rzeczy nie mógłby w nich zrozumiéć, nie zdołałby ich ocenić i nie napisałby nigdy historyi astronomii w owéj epoce. W podobném położeniu byłby autor, któryby bez poprze-

dnich studyów literackich i estetycznych, nie rozczytując się nigdy w nadobnéj literaturze, przystąpił do pracy o dramacie hiszpańskim XVII wieku, lub gdyby kto bez umiejętnéj znajomości architektury, jéj technicznéj i estetycznéj strony, porwał się do studyów nad dziejami gotyki średniowiecznéj.

Ale dość tych przykładów. Skoro umysł ludzki nie może ogarnąć tych wszystkich wiadomości, bez których badanie historyczne w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu obejść się nie może, to mamy w tém tylko wskazówkę, w jak szczegółowych rozgałęzieniach rozdrabniać się musi praca monograficzna na polu historyi, jak rozległą zaś skale ogólnego wykształcenia potrzebuje sobie zdobyć historyk, który wziąwszy sobie za zadanie opracować jakąś epokę dziejów powszechnych lub narodowych, z wyników prac monograficznych będzie korzystał.

W każdéj jednak pracy tego rodzaju obraz stosunków społecznych i politycznych stanowić będzie część jéj najważniejszą i najistotniejszą. Jakkolwiek bowiem wszystkie strony dziejowego życia ludzkości w ścisłym są związku i oddziaływają na się wzajemnie, jakkolwiek jéj organizacya społeczna i polityczna z wyników pracy dziejowéj na wszystkich innych polach czerpie soki żywotne, to przecież ona, jeśli wolno użyć tego porównania, stanowi to łożysko, w którém toczą się fale życia umysłowego, rozwoju sztuki, przemysłu itp. Nikt zaś już dziś nie będzie twierdził, jakoby do poznania stosunków społecznych i politycznych danéj epoki nie potrzeba było równie umiejętnego, fachowego wykształcenia jak w pracy o dziejach stanu umysłowego lub sztuki. Weźmy na przykład którąkolwiek stronę organizacyi społecznéj, to przyznamy, że historyk, któryby bez prawniczego wykształcenia pisał o stosunkach prawnych w Polsce wieku XIV, choćby się wyuczył na pa-

mięć ustawodawstwa wiślickiego i wszystkich dokumentów ówczesnych, w tém samém byłby położeniu, co ów niedoszły historyk astronomii, którego powyżéj przywiedliśmy dla przykładu. Dopóki téż historyą traktowano wyłącznie ako historyą polityczną, a teorya nauk politycznych nie dawała jeszcze pracy historycznéj dostatecznego poparcia, ci tylko historycy mogli sprostać zadaniu dziejopisarskiego zawodu, którzy biorąc czynny udział w życiu publiczném, przeszedłszy praktyczną szkołę wykształcenia politycznego, z niego czerpali wskazówki do ocenienia historycznych stosunków i wydarzeń. I dziś niezawodnie zawód publiczny niemałe oddać może historykowi usługi, wykształcenie jednak fachowe w naukach społecznych i politycznych zupełnie prawie, i to pod pewnym względem nierównie skuteczniéj, zdoła zaradzić temu brakowi, który niegdyś mógł usunąć tylko czynny udział w życiu publiczném. O tyle więc najzupełniéj zgodzimy się z p. Bobrzyńskim, który od historyka wymaga fachowego w tych naukach wykształcenia. Tylko, że nauki społeczne (których część składową t. z. nauki polityczne stanowią) pojmować będziemy, tak jak to ostatecznie i p. Bobrzyński w praktyce czyni, nie jako biologią ludzkości, któraby wszystkie objawy jéj życia tłómaczyć miała, ale w ścisłém, właściwém znaczeniu, jako system nauk, gromadzących badania i spostrzeżenia o życiu społeczném, jego objawach i formach (ekonomia społeczna, statystyka, nauka o państwie ze wszystkiemi rozgałęzieniami, oraz nauka prawa).

I w tém nie zgodzimy się z p. Bobrzyńskim, jakoby stwierdzanie wyników nauk społecznych (choćby tak pojętych) w dziejach ludzkości miało być zadaniem historyi. Rzecz to jasna, skoro zupełnie inaczéj określiliśmy powyżéj cel i pojęcie naszéj nauki. Ale czy to ma być celem czy środkiem, w każdym razie zastrzedz się przeciw temu

musimy, jakoby historyk miał w dziejach to stwierdzać, co mu nauki społeczne i polityczne jako wynik swych badań podają. Badania te opiérają się bowiem przedewszystkiém na znajomości obecnych stosunków społecznych i dzisiejszego państwa, używają niekiedy do ilustracyi swych spostrzeżeń niektórych przykładów z historyi, zwykle niezbyt daleko w głąb przeszłości sięgających, a co najwięcéj w niektórych tylko rozdziałach nauki o państwie zasilają się wiadomościami historycznemi, i to najczęściéj o państwie klasycznem, do których pracownikom na polu tych nauk, wskutek rozpowszechnionego ogólnie wykształcenia klasycznego, nie trudno dotrzeć. Jeśli kto wobec tego stanowiska nauk społecznych i politycznych, w historyi chce stwierdzać ich wyniki, nie ustrzeże się dowolnego, a tak szkodliwego prawdzie dziejowéj, naginania stosunków przeszłości do dzisiejszych pojęć, do formułek, które zbyt ciasne są i nieelastyczne, by w nich pomieścić się mogły wszystkie objawy społecznego i politycznego życia, od naszych zupełnie odrębne. Organizacya rodzima ludów germańskich i słowiańskich przed zetknięciem się z pierwiastkami cywilizacyjnemi świata starożytnego, całe wieki średnie z tyloma tak charakterystycznemi typami życia społecznego i politycznego, a nawet i budowa państwa i społeczeństwa w epoce nowożytnéj przed rewolucyą francuską, tak mało dostarczyły dotychczas materyału naukom społecznym i politycznym, że niewolnicze zastosowanie ich wyników do badań nad stosunkami tych czasów nie zdoła uwydatnić charakterystycznych odrębności ich typów, ale zaopatrzy tylko oko historyka w szkła dzisiejszych pojęć, które obraz przeszłości w fałszywém, duchowi epoki nie odpowiedniém świetle wystawia. „Historyk uzbrojony w nauki społeczne i polityczne“, mówi p. Bobrzyński, „oznaczy z łatwością po niewielu faktach, z jakim znanym rodzajem ustroju państwa i społe-

czeństwa w danym wypadku się spotyka, a przykładając zbadane przez się stosunki i urządzenia do tego ogólnego wzoru, ułoży je w jednę harmonijną całość i z łatwością opisze, wskaże szczegóły, które w tym ustroju więcéj niż pospolicie są rozwinięte, wskaże zarazem jego niedostatki i braki, wyświeci przyczyny tych wad i zalet, a przez to indywidualność jego wybitnie zaznaczy". Mogłoby istotnie tak być lub przynajmniéj podobnie, gdyby te dane „rodzaje ustroju państwa i społeczeństwa" istotnie znane były tak dokładnie naukom społecznym i politycznym. Że jednak tak nie jest, to przyznać powinien p. Bobrzyński, który, jak mało kto u nas, zna nowszą literaturę historyczną o ustroju państwa i społeczeństwa w wiekach średnich. Czy nauki społeczne i polityczne skorzystały choć cokolwiek z prac Waitza, Rotha, Sohma, Fickera, K. Hegla, Warnköniga, Guerarda, Fustela, Kembla, Freemana, Stubbsa i t. p. Mamy w nich wprawdzie niejakie wskazówki do takiego oznaczania „rodzajów ustroju państwa i społeczeństwa", ale na czém się te wskazówki opierają. Na bardzo pobieżnych wiadomościach, czerpanych z jakiegoś podręcznika wątpliwéj wartości, do którego wyniki nowych, najznakomitszych prac nie dotarły, albo na téj odwiecznéj przestarzałéj literaturze, którą my już za archeologiczny zabytek nauki uważamy. Nie mamy tu na celu żadnych oskarżeń i wyrzutów, stanowczo tylko zaznaczyć musimy, że stwierdzając w historyi wyniki tych nauk na dzisiejszém ich stanowisku, zabrnęlibyśmy na niebezpieczne manowce.

Z tém wszystkiém wysoko cenimy u historyka fachowe wykształcenie w naukach społecznych i politycznych i stanowczo uznajemy, że bez niego błąkać się będzie jak ślepy wśród lasu niezrozumiałych faktów i stosunków, że wobec tego braku i najpotężniejszy nawet artyzm utworzy może wdzięczne i ponętne, choć dyletantyzmem trącące opowiada-

nie, ale najistotniejszym zadaniom pracy dziejopisarskiéj nie sprosta. Historyk wykształcony w naukach społecznych i politycznych, znając umiejętnie dzisiejszy ustrój państwa i społeczeństwa, rozumiejąc rozliczne jego życia objawy, téj szkole zawdzięczać będzie zdolność należytego zrozumienia, ocenienia i przedstawienia stosunków epok minionych. Nie będzie ich wtłaczał gwałtownie w formułki pojęć dzisiejszych, nie będzie ich przykrawał według szablonów teoryi, ale badając źródła, zrozumie należycie osnowę i znaczenie ustaw, z mnóstwa szczegółowych faktów odtworzy sobie obraz praw zwyczajowych, z mnóstwa objawów życia społecznego odgadnie umiejętnie warunki, od których stosunki społeczne danéj epoki były zależne, przeniknie ich istotę i zaznaczy typowe ich znamiona. Wykształcenie fachowe w tych naukach jest dla historyka gimnastyką, po któréj przebyciu umysł jego nabrać może dopiéro potrzebnéj siły i zręczności do umiejętnego rozpatrzenia się w stosunkach społecznych i politycznych przeszłości. Przystępując zaś do badania tych stosunków z obfitym zasobem wskazówek i spostrzeżeń, w które go znajomość obecnego ustroju państwa i społeczeństwa uzbroi, tłómacząc ich genezę, kreśląc ich obraz i zaznaczając tory, w których się toczył ich rozwój, wzbogaci tém samém zakres wiedzy nauk społecznych i politycznych i dostarczy im materyału, z którego rychléj czy późniéj będą musiały skorzystać. „Dopóki téż pomiędzy historykami a uczonymi badającymi naturę państw i społeczeństw nie zapanuje najściślejszy związek“, mówi p. Bobrzyński, „dopóki jedni nie będą znać wyników prac drugich i wyników tych między sobą wymieniać,[10]) dopóty o istotnym, prędkim postępie obu umiejętności nie może być mowy“. Żeby zaś ten związek ścisły a tak pożądany zapanował, na to potrzeba w badaniach na polu umiejętności społecznych i politycznych

pewnéj reformy, któraby im pozytywniejszy, że się tak wyrażę, kierunek wytknęła. Weźmy na przykład tak ważny objaw życia społecznego, jak genezę państwa; objaw, którego ścisłe, umiejętne traktowanie wymagałoby z natury rzeczy jak najskrzętniéjszego wyzyskania obfitego materyału historycznego. Otóż w całéj, tak obfitéj literaturze politycznéj wszystkich narodów nie ma ani jednéj monografii, w któréjby ten przedmiot był opracowany z tego jedynie stanowiska. Gdyby pozbiérać prace, zajmujące się tym przedmiotem wyłącznie lub w związku z ogólnym systemem nauki o państwie, złożyłoby się z nich sporą biblioteczkę. Znajdziemy w nich najrozmaitsze apriorystyczne teorye, ze stanowiska politycznego przekonania każdego autora wygłaszane, na których poparcie służyć ma przytoczenie pewnych wiadomości historycznych, luźnie powyrywanych a często źle zrozumianych, z przypadku lub z umysłu. Teorye te pracy historycznéj wielkich usług nie oddadzą, gdyby zaś historyk chciał którąkolwiek z nich stwierdzić w dziejach, zaszkodziłby tém bez wątpienia nie mało prawdzie dziejowéj. Gdybyśmy jednak mieli monografią, któraby teoryą genezy państwa oparła na dokładném zbadaniu obfitego materyału historycznego, zawierającego takie niezliczone mnóstwo faktów, ten ważny objaw życia społecznego objaśniających, i nauki polityczne zdobyłyby przez nią sobie pozytywną, niewątpliwéj wartości podstawę do dalszych badań o naturze państwa, i praca historyczna wobec dzieł tego rodzaju inne mogłaby zająć stanowisko. Czémkolwiek jednak są nauki społeczne i polityczne na dzisiejszym stopniu swego rozwoju, cokolwiek dają pracy historycznéj, musi historyk z wdzięcznością przyjmować, gdyż przez nie tylko nabędzie wprawy w umiejętném ocenieniu stosunków społecznych, wprawy w zawodzie dziejopisarskim niezbę-

dnéj, bez któréj historykiem w prawdziwém tego słowa znaczeniu być niepodobna.

Z zastosowania fachowych wiadomości do materyału, którego pracy konstrukcyjnéj dostarcza badanie, wynika umiejętny sąd o faktach i stosunkach dziejowych, o ich znaczeniu w stosunku do współczesnéj epoki i wobec ogólnego dziejowego rozwoju, słowem sąd historyczny, który pracy konstrukcyjnéj pochodnią przyświeca. Niepodobna powiedzieć, żeby sąd historyczny poprzedzał konstrukcyą, on wyrabia się właściwie wśród téj pracy umysłowéj, która z materyału, badaniem zdobytego, obraz przeszłości odtwarza, a ustalając się i krystalizując, wytyka téj pracy drogę i kierunek. Nie możemy zgodzić się z p. Bobrzyńskim, jakoby podstawą sądu historycznego były nauki społeczne i polityczne. Na wykształceniu w tych naukach oprze się niezawodnie sąd historyczny w zakresie stosunków społecznych i politycznych, ale jakże mają być te nauki podstawą sądu historycznego w stosunku do dziejów umysłowego rozwoju, sztuki lub poezyi, albo téż w ocenieniu współdziałania tych różnych czynników dziejowego życia. Sąd historyczny w specyalnej pracy monograficznej opiera się w stosunku do każdego szczegółu na wykształceniu w nauce, któréj znajomości właśnie dany przedmiot historycznego badania wymaga, w ocenieniu zaś epok całych, wielkich, poruszających ludzkością prądów dziejowych, wszelkich skomplikowanych objawów życia dziejowego, w których się współdziałanie różnorodnych jego czynników krzyżuje, wynika sąd historyczny z indywidualnego poglądu na świat i życie, który jako wykwit całego ogólnego wykształcenia, jako filozofia indywidualna stanowi treść i istotę duchową każdego myślącego człowieka.

IX.

Konstrukcya. Sąd historyczny.

O konstrukcyi historycznej nierównie trudniej jest pisać, niżli o pracy badawczéj. Nie daliśmy wprawdzie wyczerpującej teoryi badania historycznego, ale wyłuszczeniem głównych jéj zasad usiłowaliśmy przynajmniéj zaznaczyć właściwy kierunek pracy badawczéj, objaśnić niektóre najważniejsze środki, któremi się wobec dzisiejszego stanowiska nauki posługuje. Konstrukcya historyczna obejmuje jednak tak olbrzymi, a zarazem tak różnorodny materyał, że najogólniejszy nawet zarys jéj teoryi nie dałby się w krótkim szkicu pomieścić. Nadto, konstrukcya historyczna jest w znacznej części sztuką, sztuki zaś niepodobna ująć w ciasne karby stałych prawideł. Dość więc będzie zaznaczyć tutaj kilka najogólniejszych i najważniejszych postulatów, rozwijając to daléj, co już przy określeniu pojęcia historyi było powiedziane.

Wracamy przedewszystkiem do tego, że konstrukcya historyczna ma cel dwojaki: opisywać i tłómaczyć stosunki, które składają się na ogólny stopień rozwoju ludzkości w danej epoce, i opowiadać wydarzenia, w skutek których te stosunki dalszym ulegają przemianom. Z pomocą wiadomości fachowych, w których jedynie znajdzie się klucz do zrozumienia tych stosunków, wyjaśnia konstrukcya historyczna ich genezę, odtwarza ich obraz i wykazuje związek przyczynowy, objawiający się w wzajemném oddziaływaniu stosunków politycznych, ekonomicznych, obyczajowych i intelektualnych. Najtrudniejszém téż i najszczytniejszém zadaniem konstrukcyi jest odgadnąć naturę i siłę tego wzajemnego oddziaływania, i o to zadanie rozbija się najczęściej energia najpotężniejszych nawet talentów, które

w odtworzeniu ustroju politycznego i społecznego lub stanu umysłowego danéj epoki w najświetniejszy z zadania swego wywiązują się sposób.

Choćby w najściślejszém badaniu najlepsza dana była pracy kodstrukcyjnej podstawa, od siły artyzmu historycznego, którą ktoś jest obdarzony, zawisłem to będzie przeważnie, o ile zadaniu swemu zdoła sprostać. Wyobraźnia historyczna, kierowana lejcami wskazówek, których wiadomości fachowe muszą dostarczyć, opierając się na pozytywnych wynikach badania, genialnymi błyskami rozświeci treść spostrzeżeń, pracą badawczą ze źródeł wydobytych, i rzuci śmiało pierwsze kontury obrazu, dopomoże konstrukcyi historycznej do użycia właściwych barw w odmalowaniu szczegółów, do należytego rozdzielenia światła i cieni, do wydobycia efektów artystycznych, które jaskrawo zaznaczą charakterystyczne znamiona opisywanych stosunków. Jak w pracy twórczej artysty, siła fantazyi wytwarza nietylko rozmaite figury, które mają stanąć w obrazie, ale zarazem i związek, jaki między niemi zachodzi, stosunek ich wzajemny, słowem to wszystko, co w ugrupowaniu staje staje się wyrazem akcyi i ruch w dzieło sztuki wprowadza, tak też wyobraźnia historyczna, w tych samych pozostając, jakieśmy zaznaczyli, warunkach, dozwala odgadnąć i wyrazić naturę i potęgę wzajemnego oddziaływania rozmaitych stosunków, do których odtworzenia poprzednio tak czynną przyłożyła rękę. Wyobraźnia rozbujała, jeśli dowelnie z wynikami badań historycznych postępuje, tworzy obrazy fantastyczne, które prawdę dziejową na ciężki szwank narażają. Trudno też o ostrzejszy dla historyka zarzut, jak że się dał uwieść fantazyi, że praca jego jest utworem wyobraźni. Ale i to pewna, że tylko żywa, potężna wyobraźnia, idąc za wskazówkami umiejętnego sądu, zdoła z surowego materyału, który jej źródła podają, odtworzyć prawdziwy

obraz przeszłości; nic w tym obrazie nie będzie, czegoby źródła nie potwierdzały, lub do czegoby przynajmniej drogą umiejętnej hipotezy nie dostarczyły pozytywnych wskazówek, fantazya tylko te wszystkie dane przetopi i z nich ukształtuje obraz przeszłości. Bez współdziałania żywéj wyobraźni w pracy konstrukcyjnej, dzieło historyczne, choćby na najznakomitszém badaniu oparte, dostarczyć może wielu cennych przyczynków do dokładnego poznania niewykrytych lub nieściśle zbadanych faktów, lecz zadania pracy dziejopisarskiej nie spełni, choć bez wątpienia stokroć większą będzie miało naukową zasługę, niż utwór najświetniejszego talentu i prawdziwie poetyckiéj fantazyi, lśniący połyskiem błyskotliwych efektów, lecz nie wzniesiony na umiejętnej podstawie ścisłego krytycznego badania. Tylko szczęśliwe połączenie tych dwóch pierwiastków, z skuteczną pomocą fachowego, do specyalnego przedmiotu pracy historycznéj zastosowanego wykształcenia, z całą usilnością skierowaną ku odgadnięciu prawdy dziejowéj, jako jedynego celu, może sprostać temu zadaniu, które z istoty i zasadniczego pojęcia historyi wynika.

Niedość jest jednak dźwignią potężnéj fantazyi z materyału badaniem przysposobionego odtworzyć sobie w umyśle obraz przeszłości; żeby się tą zdobyczą własnego umysłu z ogółem świata naukowego podzielić, żeby ten obraz przenieść szczęśliwie na papiér i tak przekroczyć ostatni stopień dziejopisarskiego zadania, na to potrzeba rozlicznych warunków specyalnego literackiego uzdolnienia, składających się na to, co talentem historycznym zowiemy. Prawdziwy talent historyczny natchnie ciepłem plastyki każdy obraz dziejowy, który wyjdzie z pod jego ręki; idąc za wskazówkami umiejętnego na dzieje poglądu, wysunie naprzód rzeczy najistotniejsze; z drobiazgów wyciśnie ich treść właściwą lub wybierze z nich te, które w opowiada-

niu do ilustracyi ogólniejszych spostrzeżeń przydać się mogą; umiejętném i artystyczném zarazem ugrupowaniem każdemu szczegółowi naznaczy właściwe miejsce, i jeśli nie dotrze do doskonałości, to osiągnie w każdym razie cel pracy dziejopisarskiej, skreśli obraz przeszłości, pełen prawdy i życia. Reguł tu niepodobna ustanawiać, dla techniki sztuki dziejopisarskiej nie ma instrukcyi, to tylko pewna, że jeśli ta sztuka ma spełnić swe naukowe zadanie, nietylko na podwalinach ścisłego badania musi się opiérać, lecz w saméj konstrukcyi umiejętny sąd historyczny kierować powinien jéj dłonią.

Rzeczą sądu historycznego jest przedewszystkiém rozpoznać i zaznaczyć w rozwoju dziejowym właściwe granice pomiędzy odrębnemi jego fazami i epokami. Zdrowy i trzeźwy bowiem tylko sąd historyczny oceni doniosłość tych wydarzeń, przez które stosunki jakiegoś okresu, dalszym ulegając przemianom, dają początek nowéj epoce; bystry sąd historyczny dostrzeże tę granicę, od któréj wpływ tych wydarzeń wyraźnie się objawiać zaczyna, odkąd spowodowane przezeń przemiany widocznie się uwydatniają i odtąd początek nowego okresu zaznaczy. Czy to więc w dziejach powszechnych, czy w historyi jakiegoś narodu, czy w jakimkolwiek przedmiocie historycznéj pracy, właściwe rozgraniczenie rozmaitych stopni dziejowego rozwoju wyjaśni dopiéro należycie jego istotę, wysunie naprzód główne sprężyny, wprawiające w ruch jego mechanizm. W ramach właściwego podziału na okresy nietylko kierunek i pochód dziejowego rozwoju jasno i wyraźnie się zaznaczy, ale i obraz stosunków i opowiadanie wydarzeń dziejowych w właściwém ukaże się świetle, każdy szczegół nawet nie trudno będzie w odpowiedniém umieścić miejscu i do całości dostroić, jeśli się rozważy jego wartość w stosunku do myśli przewodniéj ogólnego podziału.

Jakiemi zasadami sąd historyczny ma się kierować w rozgraniczeniu okresów, tego niepodobna również stałemi i niezmiennemi przepisami określić. W jakimkolwiek jednak zakresie pracy dziejopisarskiéj podział taki ma być dokonany, czy to w obrębie jakiéjś większéj epoki dziejów powszechnych, czy w dziejach jakiegoś narodu lub państwa, czy w historyi jakiéjś dążności ogólniejszéj, objawiającéj się w dziejach, sąd historyczny czerpać winien wskazówki do właściwego rozgraniczenia epok w istotnych, zasadniczych zmianach stosunków, wskutek których cały prąd dziejowego rozwoju nowy, odmienny od dotychczasowego wyżłabia sobie kierunek. Jednostronności przedewszystkiém tutaj ustrzedz się należy; dlatego też niepodobna zgodzić się na zdanie p. Bobrzyńskiego, jakoby jedynym względem w podziale dziejów jakiegoś narodu na epoki miała być zmiana ustroju politycznego i społecznego. Jest to niezaprzeczenie wzgląd bardzo ważny, ale nie jedyny i nie zawsze decydujący stanowczo. Kierując się wyłącznie tym jedynym względem, tracimy nieraz z oczu ważne czynniki, które na losy narodu, na jego charakter i kierunek jego dziejów potężnie wpłynęły i niemało bez wątpienia, prędzéj czy późniéj, oddziaływały na ustrój społeczny i polityczny, a których doniosłość nie doznaje w ten sposób należytego ocenienia.

Do najcelniejszych zadań sądu historycznego należy również ocenienie roli dziejowéj indywidualności historycznych. Aby należycie zdać sobie sprawę ze stanowiska jakiéjś postaci historycznéj wobec każdego z osobna wziętego faktu, niedość jest wycisnąć jak najsumienniéj wszystkie świadectwa źródłowe, w których jakiekolwiek w tym względzie znaleść można wskazówki; z zadania tego można tylko wtedy wywiązać się szczęśliwie, jeśli się syntetycznie treść duchową człowieka historycznego odtworzy, jego temperament, charakter, cały system jego przekonań i dążności,

z całą tego systemu genezą, ze wszystkiemi metamorfozami, które w duchowym rozwoju téj indywidualności dostrzedz się dadzą, z psychologiczném uzasadnieniem tego rozwoju, z dokładném rozpoznaniem zewnętrznych wpływów i ich oddziaływania na wewnętrzne czynniki psychiczne danéj osobistości. Spoglądając na każdą czynność jakiegoś człowieka historycznego ze stanowiska takiéj analizy psychologicznéj, zdołamy jasno rozpoznać w każdym wypadku motywa działania, cel i zamiar; zdołamy ocenić, o ile skutek odpowiedział zamiarowi i jaki wpływ wywarł na dalsze postępowanie téj osobistości; w ten zaś sposób nietylko na jednym jeszcze szczególe sprawdzimy tym probierzem wartość naszéj syntezy, ale i sam fakt, z tego stanowiska rozpatrywany, ukaże nam się dopiéro w takiém świetle, że istotną jego doniosłość nietrudno nam będzie osądzić. Niekiedy mamy obfity materyał źródłowy do zgłębienia treści duchowéj historycznego człowieka w jego listach, pamiętnikach lub zwierzeniach, o których nam pozostawiły wiadomość bliskie mu osoby, i wtedy to analiza psychologiczna, oparta na takich materyałach, może mieć wartość pewną i niezachwianą. Najczęściéj jednak materyału takiego zgoła nie posiadamy i tylko rozglądając się w czynach jakiegoś męża historycznego, w jego stosunkach i zewnętrznych kolejach życia, możemy sobie z nich utworzyć wyobrażenie o jego charakterze i dążnościach. Hipoteza odgrywa w takim razie w charakterystyce osobistości ważną rolę, żywa wyobraźnia dzielnie wspomagać musi dźwignię sądu historycznego, jeśli umiejętne a głębokiém poczuciem psychologiczném natchnione wyzyskanie samych tylko faktów ma utworzyć wierny a zarazem pełen życie portret duchowy jakiejś postaci historycznéj. Przeciw wybujałości hipotezy i wybrykom fantazyi jedyną wprawdzie, ale w obec dzisiejszego stanowiska nauki dość silną, zaporę stanowi wy-

maganie, by w charakterystyce osobistości historycznych nic nie umieścić, coby się źródłami w krytyczny sposób uzasadnić nie dało: pragnąc sprostać temu wymaganiu i prawdzie dziejowéj zadość uczynić, historyk nie zabrnie na trzęsawiska nieuzasadnionych hipotez i nieda się porwać wyobraźni.

Miłość prawdy dziejowéj ustrzeże historyka od zdrożnej i naganńej stronniczości. Sąd historyczny jest wprawdzie polem, w którego obrębie stronniczość ma najwięcej uprawnienia, ale i tutaj są pewne, naukowem zadaniem historyi zakreślone granice, których indywidualnym zapatrywaniom autora przekraczać nie wolno. Niedorzecznością jest wymagać bezwzględnéj bezstronności w sądzie historycznym, który z istoty swéj nie jest niczém inném, jak wykwitem indywidualnych, na fachowem wykształceniu i wynikach historycznego badania opartych przekonań. Rzecz jasna tylko że ślepa, nie z przekonań i zasad, lecz z namiętnych, osobistych uprzedzeń wynikająca stronniczość względem pewnych osobistości historycznych, dążności i objawów dziejowego życia, wiedzie niechybnie do zboczeń, które pracę historyczną zniżyć mogą do karykatury, pamfletu lub do rzędu pospolitej elukubracyi publicystycznej. Nieodłączną właściwością takiéj stronniczości bywa zresztą zawsze anachronistyczny koloryt obrazu dziejowego, szkodliwe prawdzie dziejowéj modernizowanie stosunków przeszłości. Tak też nawzajem, kto zrozumie i odczuje stosunki jakiejś epoki, kto się w jéj czasy przenieść zdoła, ten w sądzie historycznym ustrzeże się zdrożnéj stronniczości, nie zapierając się indywidualnych przekonań.

Przyznając jednak, że stronniczość, w właściwych utrzymywana granicach, ma wszelkie uprawnienie w sądzie historycznym, musimy domagać się bezwzględnéj bezstronności w konstrukcyi, a przedewszystkiém w badaniu. Nie

mówimy już o umyślném skrzywianiu prawdy historycznéj; stronniczość może się objawiać w konstrukcyi bez popełnienia jawnego fałszerstwa, choćby tylko ugrupowaniem przedmiotu, zręcznem dobraniem barw, sztucznem rozdzieleniem cienia i światła, słowem użyciem tych wszystkich środków, wskutek których rzeczy autorowi miłe zarysują się wydatnie na pierwszym planie, inne ukryją się w cieniu. Rzecz jasna, że wszystkie takie środki uznać należy za zdrożne i niodozwolone, choć często zdarzy się z nimi spotkać w najznakomitszych pomnikach dziejopisarstwa, jakiekolwiek zaś zalety pod względem barwności i żywości opowiadania mogłyby z takiéj tendencyi wyniknąć, bezstronność w pracy konstrukcyjnéj musi być uważaną za jeden z pierwszych historyka obowiązków. „Z największą troskliwością powinien się zajmować faktami, przemawiającemi na korzyść kierunku lub stronnictwa, przeciw któremu walczyłby wszelkiemi siłami, gdyby żył w wieku, którego dzieje kreśli, gdyż przez macosze obchodzenie się z niemi wykracza przeciw prawdzie dziejowéj. Historyk, o świętości swych obowiązków przekonany, wytęża wszystkie siły swych zdolności, żeby w prawdziwych choć czarnych barwach przedstawić fakta, zawierające oskarżenie kierunku lub stronnictwa, dla którego osobiście pełen jest najżywszéj przychylności; boli go to i smuci, ale miłość prawdy czynić mu tak nakazuje“ [11]). Stronniczość w badaniu, tendencya w krytyce historycznéj, naginanie wyników badania do stronniczych założeń, tendencyjna interpretacya lub wybór niewłaściwego tekstu, nie według zasad umiejętnéj krytyki, lecz dla obrony z góry powziętych uprzedzeń, wszystko to są już tak ciężkie przewinienia, że je z umyślném fałszerstwem bez wahania na równi można postawić.

Ani tendencya jednak, ani wybujałość fantazyi, ani zbytnia śmiałość hipotez, wobec dzisiejszego stanowiska

nauki wiele szkody prawdzie dziejowéj przynieść nie może. Wobec rozbudzonego na polu dziejopisarstwa ruchu, wobec tak znacznéj ilości uprawiających je pracowników, każde takie zboczenie łatwo zostanie sprawdzone i ulegnie sprostowaniu. Historya na dzisiejszém swém stanowisku, choć tyle jeszcze czeka ją zadań niespełnionych, tak dzielnemi już rozporządza środkami w pracy rzemieślniczéj, że bystre oko krytyki historycznéj wykryje zawsze rychléj czy późniéj każde takie zboczenie, które zarazem jest wykroczeniem przeciw naukowéj metodzie, a z wykryciem błędu runie zarazem cała budowa, na jego podstawie oparta. W zakresie konstrukcyi historycznéj obowiązują postulaty, od których przestrzegania dziś nikomu uchylić się nie wolno, a które prawdę dziejową dostatecznie zabezpieczają. Ta metoda badania, która historyi dała dopiéro ścisłą, naukową podstawę, i umiejętny sąd historyczny w konstrukcyi, to są dwa węgły, na których się dzisiejsze naukowe stanowisko historyi opiéra.

PRZYPISKI

[1]) Historyka. O łatwém i pożytecznem nauczaniu historyi. O historyi, jéj rozgałęzieniu i naukach, związek z nią mających. O potrzebie gruntownéj znajomości historyi. Jakim ma być historyk. Warszawa. 1862.

[2]) Stwierdził to sam p. Bobrzyński w przedmowie do drugiego wydania swych Dziejów Polski w zarysie.

[3]) „Teorya organiczna usuwa z poglądu nadzieje ludzkości nietylko cały mechanizm wzajemnego oddziaływania przypadkowych czynników, lecz z nim zarazem w ogóle wszelkie znaczenie przypadku, a najcelniejszém jéj dziełem jest udowodnić z zaszłych wydarzeń, że tak a nie inaczéj wypaść musiały i że będąc naturalnym objawem ducha epoki, nie byłyby dały powstrzymać się ani zmienić żadną indywidualną samowolą; co prawda jednak, rozumowanie takie jest dopiero wtedy możebne, gdy się owe wydarzenia już dokonały. To pewna zresztą, że żadna siła indywidualna nie zdobędzie sobie znaczenia w historyi, jeżeli nie zdoła opanować i wyzyskać dla siebie jakiéjś potężnéj, poruszającéj do działania sprężyny i pewnych, właściwych ludzkiéj naturze skłonności do poddania się obcym wpływom. Z tém wszystkiém jednak nie są tylko dziećmi swéj epoki i jéj wyrazem ci ludzie pełni hartu i siły, którzy potęgą twórczości obdarzeni lub nieprzełamaną stałością woli, stanowczo na losy dziejów wpłynęli. W wielu razach widzimy, że ów duch ludzkości. o którego organicznym rozwoju

tyle się mówi, zaledwie zdołał wznieść się do jakiegoś poczucia cierpianego ucisku, do tęsknego jakiegoś nastroju i cichego pragnienia zmiany; on wskazał tylko co najwięcéj zadanie, którego dokonanie było ogólną potrzebą, ale spełnienie tych pragnień i sposób ich spełnienia, jest zasługą i dziełem małéj liczby wybrańców. W innych wypadkach nie było nawet tego niedołężnego poczucia potrzeby i z trudnością tylko udało się tym wyjątkowym osobistościom, kiedy ich usiłowania już skutek pomyślny uwieńczył, przemódz bezrozumny opór leniwych mas i nowy cel ukazać ich oczom. Wreszcie tam, gdzie siła jakaś indywidualna podjęła zadanie swojego czasu, rzadko wyniki jéj roli dziejowéj zdołały ściśle wymaganiom chwili zadośćuczynić; po największéj części jestto ich cechą, że tak w złym jak i w dobrym kierunku przekraczały granicę istotnéj potrzeby albo téż, co więcéj, poruszały się po za jéj obrębem. Wieleż to razy w przewidywanym rozwoju jakichś wydarzeń nagła, niespodziewana następuje przerwa. Daleko widzące umysły częstokroć tak umiały zręcznem wyrachowaniem zapanować nad wzburzoną falą ogólnego nastroju, iż sprowadziły ją na różną zupełnie drogę i długo innym celom kazały jéj służyć. Przy sprzyjających okolicznościach znakomite talenta zdołały nadać tak wielkie znaczenie swym indywidualnym zapatrywaniom, że potęga ich przez wieki całe nieprzezwyciężony opór stawiała postępowi. W dziedzinie sztuki niektóre formy, rozkwitłe pod wpływem twórczości artystycznéj pewnych genialnych umysłów, utrzymały się przez długie czasy zwycięsko na stanowisku, pomimo zasadniczych przeobrażeń, jakim tymczasem ogólny uległ smak estetyczny; i w nauce nawet odziedziczone błędy przewlekają się z pokolenia w pokolenie jak długa choroba. Powtarza się to tak jasno i tak wybitnie w dziejach każdéj epoki, że stąd możemy czerpać wskazówki do rozjaśnienia ciemnic tajemniczéj pierwotnéj doby historyi. Niezaprzeczenie miała ludzkość zawsze jednakie uzdolnienie i równe potrzeby, lecz w zaspokojeniu owych popędów nie wszyscy jednaki brali udział. Zarody kiełkującéj cywilizacyi nie wystrzeliły od razu na rozległéj przestrzeni jak młody las, z organiczną konie-

cznością i prawidłowością, lecz błędnym, nieudolnym, pozbawionym twórczości popędom mas dopiero szczęśliwe pchnięcie ręki wielkich ludzi utorowało drogę do pierwszych wyraźnych celów i dopomogło do pierwszego daléj sięgającego zaspokojenia potrzeb...

....Nie jest to w ludzkiéj mocy obliczyć i oznaczyć, kiedy jakaś wielka indywidualność historyczna wystąpi na widownią, i ta właśnie okoliczność narusza wszelką prawidłowość historycznego rozwoju, utrzymując go w ciągłém błądzeniu i wahaniu pomiędzy najrozmaitszemi nie mającemi ze sobą związku kierunkami. Każda potęga indywidualna potrzebuje jednak do rozwinięcia swéj działalności dobrze przygotowanego gruntu w masach, wśród których i przez które jéj działać wypadnie; jeśli zabraknie takiego gruntu lub jeśli, co gorsza, panuje w społeczeństwie nastrój wręcz przeciwny, wówczas ani pożyteczne ani szkodliwe wyniki jéj działalności nie mogą przyjąć się i nie zdołają wywrzéć pożądanego skutku, szczególniéj zaś te zabiegi, któreby z potrzebami danéj chwili były w stanowczéj sprzeczności. Im żywsze jest wzajemne oddziaływanie w stosunkach społecznych, im bardziéj rozwinięta jest wymiana myśli, im powszechniéj rozciągają się te dwa ważne czynniki, tém bardziéj zmieniają się warunki niezbędne do wyrobienia i utrzymania wpływu tych osobistości. Widnokrąg ich działalności rozszerza się naturalnie, lecz prawdopodobna potęga ich wpływu traci na doniosłości, o ile tylko nie jest bezpośrednio dalszym ciągiem lub dopełnieniem istniejących już potrzeb i prądów. Do walki z niemi występuje bowiem skupiona siła opinii publicznéj, która pilnie zbadała już wszelkie stosunki, wyrobiła sobie o nich stały sąd i nie łatwo pozwoli indywidualnym zachciankom oderwać się od tysiąca korzeni, z któremi jest zrośnięta, nie łatwo da się popchnąć na tory odrębnego zupełnie rozwoju. Tak więc powstaje wspólna praca żywiołów pobudzających i pobudzanych, a z nią owe pozory organicznego rozwoju, gdyż im więcéj przybywa osobistości kierujących, tém bardziéj maleje potęga ich przewagi".

Lotze: Mikrokosmos, Ideen zur Naturgeschichte und Geschichte der Menschheit. III. 65.

[4]) P. Bobrzyński gubi zupełnie w swojéj teoryi pojęcie historyi powszechnéj. Słyszymy tam o stwierdzaniu praw społecznych w dziejach rozmaitych narodów, dowiadujemy się, że to nie będzie pracą jałową, „ponieważ historya każdego narodu ma swoje odrębne właściwości i w pewnych sobie tylko właściwych rozwija się warunkach," mówiąc o społeczném zadaniu historyi, zna autor również tylko historyą narodową, słowem kreśląc „rzecz o zadaniu historyi i dzisiejszém jéj stanowisku", zapomniał o tém, czém jest przedewszystkiém historya *par excellence* jako nauka tj. historya powszechna, historya ludzkości (l'histoire universelle, die Weltgeschichte). Prawda, że historya, w ten sposób pojęta, będzie samoistną nauką a p. Bobrzyński odmawia jéj stanowczo s a m o i s t n e g o c e l u.

[5]) „Nie trudno jest pisać historyą, skracać depesze, streszczać publiczne mowy, w stosownéj liczbie dorzucać słowa pochwały lub nagany, wykazywać przeciwieństwa, przedstawiać wielkich ludzi i stwierdzać, ile w nich mieściło się sprzecznych ze sobą cnót i zbrodni, wymieniać ich własności, zalety i wady: wszystko to rzecz bardzo łatwa. Ale być prawdziwie wielkim historykiem, stanowi bez wątpienia umysłową rzadkość. Jest dzieł uczonych nie mało, które w swoim rodzaju za doskonałość uchodzą. Są poetyczne utwory, które śmiało skończonemi nazwać można, jeśli im zaś jeszcze brak czegoś, to drobne ich niedostatki bledną w obec świetnego blasku całości. Powiedzieć to samo można i o mowach Demostenesa, w których niepodobna zmienić ani jednego słowa bez nadwerężenia całości. Ale dzieła historycznego nie znamy żadnego, któreby choć w dalekiéj części odpowiadało naszemu pojęciu o tém, jaką historya być powinna. Nie mamy ani jednego utworu, któryby nie zbaczał mniéj lub więcéj w tę lub owę stronę od zasadniczego historyi pojęcia". Macaulay: The romance of the history (1828).

[6]) P. Bobrzyński czuje dobrze doniosłość piérwiastku artystycznego w pracy dziejopisarskiéj i obejmuje nawet cały zakres konstrukcyi historycznéj nazwą k u n s z t u h i s t o r y-

cznego. „Niedość jest,“ mówi „dobrze badać źródła i trafny sąd o nich wydać. Chcąc być historykiem w całém tego słowa znaczeniu, potrzeba jeszcze umieć opowiadanie swoje i uwagi skreślić w odpowiedniéj, pod względem artystycznym nienagannéj formie. Inaczéj praca historyczna nie stanie się przystępną dla wszystkich lub co gorsza niedołężną formą rzetelne swoje wyniki zamąci i skazi“. O każdéj przecież nauce można powiedzieć, że niedołężna forma kazi i mąci jéj wyniki, od formy zaś nawet, która na ten epitet bynajmniéj nie zasługuje, może być jeszcze bardzo daleko do artyzmu. Jeśli zaś artyzm w pracy historycznéj ma być tylko środkiem popularyzowania jéj badań, służyć do tego, żeby się stała „przystępną dla wszystkich,“ to byłoby tylko pewnym czynnikiem w obec społecznego, nie zaś naukowego zadania historyi. Wszak w każdéj również nauce nie brak popularyzatorów, którzy jéj wyniki podlewają ponętną dla umysłowego podniebienia publiczności zaprawą. Ale artyzm w pracy historycznéj jest czém inném, jest niezbędnym warunkiem w spełnieniu właściwego, naukowego zadania historyi. Gdyby to zadanie polegało istotnie na stwierdzaniu praw społecznych w dziejach i wykrywaniu nowych, wymagałaby praca historyczna, jak każda praca naukowa, ścisłości spostrzeżeń i bystrości w wydobywaniu wniosków, ale to, co zwiemy artyzmem historycznym, byłoby rzeczą zbyteczną. P. Bobrzyński jest jednak zanadto historykiem, żeby w tym ważnym punkcie nie miał się przyznać do zdania, które jest w sprzeczności z jego własną teoryą,

[7]) Rzecz jasna, że wszelkie prace prywatne o daném współczesném prawie zwyczajowém mają już wartość źródła pośredniego, jako opis urządzeń i instytucyj prawnych, choć jak najściśléj ze stanowiska prawniczego sformułowany. Rzeczywista wartość źródłowa takiego pomnika jest względna i zależy od mniéj lub więcéj dokładnych informacyj autora, jakoteż od znaczenia i powagi, jaką sobie taka praca prywatna w praktyce prawniczéj wyrobić zdołała, tak że czasami może się pod względem wartości praktycznéj równać kodyfikacyi urzędowéj.

[8]) Zdarzają się wprawdzie dokumenta i listy niedatowane, ale tu często już osoba, od której list lub akt urzędowy pochodzi, usuwa z grubsza wszelkie wątpliwości, tak że potrzeba ścisłego oznaczenia chronologii danego pomnika w szczuplejszych zamyka się granicach. Niebrak jednak dokumentów i listów, zwłaszcza w kopiaryuszach i t. z. formularzach, w których nazwiska osób są powypuszczane, gdzie więc je z treści tekstu na podstawie dotychczasowego zasobu wiedzy historycznéj uzupełniać należy. Jeśli praca badacza źle spełni to zadanie, przypisze np. list jakiś innéj osobie i do innego czasu odniesie, staje się mimowoli powodem fałszu, który prawdę historyczną skrzywia i zamąca. W zakresie źródeł pośrednich najwięcéj w tym względzie trudności nastręczają materyały epigraficzne.

[9]) P. Bobrzyński cały zakres pracy badawczéj obejmuje mianem *nauki o źródłach*. „Nauka ta," mówi, „postawiła nam dwie uzupełniające się metody historycznego badania. Jedna z nich polega na zużytkowaniu wszystkich źródeł, odnoszących się wprost do pewnéj epoki lub danego faktu. Druga zowie się metodą odwrotną a lepiéj wsteczną". Przyznamy, że w badaniu stosunków pewnéj epoki wnioski krytyczne z stosunków późniejszych mogą być bardzo dzielnym środkiem badawczym. Czy jednak ten środek pomocniczy godzi się nazywać *metodą odwrotną* lub *wsteczną*, jedną z *dwóch metod* historycznego badania? Gdyby wszystkim środkom badawczym tego co t. z. metoda wsteczna rodzaju przyznać nazwę odrębnych metod, możnaby niemało ich naliczyć, a rozróżnianie dwóch metod historycznego badania okazałoby się bezzasadném.

[10]) Przyznajemy, że historycy często za mało korzystają z nauk społecznych, i poczytujemy im to za wielką winę. Jak mamy jednak to zdanie p. Bobrzyńskiego pogodzić z jego teoryą, że historya jest stwierdzeniem wyników tych nauk w dziejach, tego istotnie nie wiemy.

[11]) Słowa te wyjęte są z artykułu mego „o stronniczości w historyi," (w Niwie, Lipiec 1874), w którym obszerniéj traktowałem o tym przedmiocie.

UZUPEŁNIENIE.

W przypiskach do szkicu p. t. „Niepoprawny ród“ str. 30 nadmieniłem o hipotezie Dr. Piekosińskiego, według której genezę państwa polskiego należałoby tłómaczyć najazdem Lechii wschodniej przez Lechitów nadłabskich. Hipoteza ta znana mi była wówczas z posiedzeń krakowskiej Akademii Umiejętności, na których Dr. Piekosiński czytał swoję pracę o tym przedmiocie. Zastrzegając się zatem przeciw pomysłom Dr. Piekosińskiego, zapowiedziałem obszerniejszą polemikę, skoro praca jego w druku się ukaże. Zanim jednak ukończył się druk pierwszej seryi tych szkiców, ukazała się nietylko praca Dr. Piekosińskiego, ale i moja rozprawa polemiczna w XIV tomie Rozpraw i Sprawozdań z posiedzeń Wydziału filozoficzno-historycznego Akademii Umiejętności w Krakowie*). Do tych więc prac odsyłam łaskawego czytelnika. Uzupełniając przypisek 9 do tego szkicu (str. 29) nadmieniam jeszcze, że według przytoczonej rozprawy Dr. Piekosińskiego (str. 167) polskimi potomkami Werszowców byli Rawici.

W końcu proszę o poprawienie rażących omyłek druku, które się wkradły do nagłówków str 157 i 159, a mianowicie str. 157: Dziesięciny szkolne, zamiast Dziesięcina wolna; str. 159: Sądownictwa duchowne zamiast: Sądownictwo duchowne.

---

*) Cały ten tom zajmują trzy polemiczne rozprawy o tym przedmiocie, a mianowicie:

Bobrzyński: Geneza społeczeństwa polskiego na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII wieku, str. 1—84.

Piekosiński: O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju, str. 85—292.

Smolka: Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski Piastowskiej z powodu rozpraw pp. Bobrzyńskiego i Piekosińskiego str. 293—398.

TREŚĆ.

	Strona.
Niepoprawny ród	1
Przypiski	28
Witołd pod Grünwaldem	31
Przypiski	57
Długosz	65
Unia z Czechami	125
Dodatek	150
Przypiski	263
Słowo o historyi	279
Przypiski	355
Uzupełnienie	361

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP

H V /100

12165/1